

Charles Reade

KLASZTOR I MIŁOŚĆ

Tom II

ROZDZIAŁ LVIII

Gerard wynajął skromny kąt na zachodnim brzegu Tybru i co dzień udawał się na poszukiwanie pracy, pokazując próbki swego pisma we wszystkich sklepach, o których zasłyszał, że wykorzystują takie zlecenia.

Przyjmowano go chłodno.

- Nieco cienie piszemy nasze listy - powiedział jeden.

- Jakież to czarny inkaust! - orzekł drugi.

- Na co się zda? Mało pisze się dziś po łacinie. Czy nie piszecie po grecku? - powtarzali najczęściej.

- A jakże, piszę, jeno nie tak biegle jak po łacinie.

- Nie zarobicie nigdy na chleb w Rzymie.

Gerard wypożyczył za wysoką opłatą piękny grecki manuskrypt i wrócił do domu ze smętną luką w sakiewce, lecz z nie mniejszą odwagą.

W ciągu dwóch tygodni uczynił znaczne postępy w greckiej kaligrafii i, aby nie tracić czasu, pracował nad nią do południa, przez resztę zaś dnia poszukiwał klientów.

Gdy wszystkim już pokazał wzory greckiego pisma, lepsze niż kiedykolwiek dotąd oglądali, kupcy powiadomili go, że greka i łacina są jednakowo niepokupne; miasto zawałone było pracami z całej Europy. Powinien był zgłosić się przed rokiem...

Gerard kupił psalterion.

Gospodyni, u której mieszkał, polubiła go dla jego wyglądu i dobrego wychowania, często też, przechodząc, rzucała parę uprzejmych słów. Pewnego dnia, zaprosiwszy chłopca na obiad, zapytała ku jego zdziwieniu, czym się smuci. Opowiedział o swej sytuacji. Przedstawiła mu wtedy swój pogląd na sprawę.

- Ci przebiegli handlarze - ręczę - trzymają na służbie pisarzy i płacą nędzne grosze, a za ich prace otrzymują wysokie ceny. Nic tedy dziwnego, że chłodno was przyjęli. Wedle mnie piszecie aż zbyt dobrze. Skąd wiem - spytacie. - Ano nie macie zwyczaju zamykać drzwi jak ten grubianin Pietro, a kobiety są ciekawe. Tak, tak, piszecie dla nich za dobrze.

Gerard poprosił, by wytłumaczyła, co ma na myśli.

- Przecie to jasne - rzekła - wasza dobra praca mogłaby wpaść w oko komuś z ich klientów.

Gerard westchnął: - O pani, tyle złego widzicie w ludziach, a sama taka dobra jesteście i szczerą!

- Mój drogi chłopcze! Rzymianie to chytra nacja. Ja zaś, dziękować Najświętszej Pani, pochodzę ze Sieny.

- Popeliłem błąd, opuszczając Augsburg - stwierdził Gerard.

- Augsburg? - powtórzyła wzgardliwie. - Czyż można to miejsce porównać z Rzymem? W ogóle nie słyszałam o takim mieście.

Zapewniała, że Gerard świetnie da sobie radę wbrew księgarzom.

- Widzą, żeście cudzoziemiec, przeto kłamią bez sensu i umiaru. Wszyscy przecie wiedzą, że nasi wielcy panowie zostali od wielu lat szaleństwem dotknięci na punkcie pisania, wprost przez okna wyrzucają pieniądze, zamieniając żyzne ziemie i bogate domy za zapisane skóry owcze, które trzymają potem w skrzyniach i komodach. Boże im dopomóż i wyratuj z tego szaleństwa, tak jak to już uczyniłeś w tylu innych okazjach; a zaprawdę skłócone rody mniej nieco teraz rąbią się i przebijają, rzadziej chciwcy chcieliby pożreć z zemsty siekaną i smażoną wątrobę swego przeciwnika od czasu, gdy zapanowała moda gryzmolenia. Mogę zaiste wymienić dwie rzeczy: mamy jego eminencję kardynała Bessariona i samego papieża. Już ci dwaj mogą utrzymać kilku takich jak ty piszących i będziecie mieli co robić w dzień i w nocy. Porozmawiam z Teresą, która zna wszelkie dworskie plotki.

Już następnego dnia gospodyni powiedziała chłopcu, że rozmawiała z Teresą i dowiedziała się o następnych pięciu signorach zarażonych manią pisarską. Gerard zanotował ich nazwiska, zakupił pergamin i przez parę dni zajął się przygotowywaniem próbek pisma.

Zaopatrzywszy je w swój adres i nazwisko, pozostawił po jednej próbce u drzwi wszystkich owych pięciu signorów i czekał pełen nadziei na rezultat.

Nie było żadnego.

Mijał dzień za dniem, zmartwienie chłopca rosło.

Dziwnym zbiegiem okoliczności w tym samym czasie Małgorzata w Rotterdamie z takim trudem walczyła o utrzymanie dla pozostających pod jej opieką starców i wówczas właśnie była aresztowana za to, że leczyła nielegalnie, zamiast legalnie zabijać.

Gerard pojął, że wnet nędza zajrzy mu w oczy.

Całe popołudnia zbierał piosenki i starał się ich nauczyć. Gromadził do kolorowania karty do gry i skasował jeden posiłek dziennie.

Ten ostatni genialny pomysł ściągnął na niego świeży kłopot.

W owych camere locande gospodyni przyrządzała wszystkie posiłki, lokatorzy zaś dostarczali prowiantów. Szybko więc przejrzała Gerarda i zapytała, jak mu nie wstyd. Bezceremonialnie zagadnięty chłopak poczerwieniał, stał zakłopotany, a kobieta wnet spokojnie zaapelowała do jego zdrowego rozsądku pytając, czy przeciwności losu można pokonać o pustym żołądku.

- Pazienza, mój chłopcze! Czas przyniesie poprawę; tymczasem będę was żywić za „Bóg zapłać”. Jest to italski odpowiednik gratis.

- O nie, pani gospodyni! - odrzekł Gerard. - Moja sakiewka nie jest jeszcze całkiem pusta i gnębiłbym się jeszcze bardziej, gdyby ludzie tracili przeze mnie swe zarobki.

- Zupełnie taki sam z was szaleniec jak z waszego sąsiada Pietro, który siedzi tu z jedynym, i to niedobrym obrazem.

- Skąd wiecie, pani, że to zły obraz?

- Bo nikt nie chce go kupić. To taki jeden malarz bez talentu. Powinien przywdziać szyszak i przypasać miecz, a swój obraz nosić zamiast tarczy.

Ponieważ Gerard słuchał pilnie, przeto niewiasta powiedziała mu więcej. Pietro przybył z Florencji z pełną sakiewką i nie dokończonym obrazem. Wynajął od niej nieumeblowany pokój naprzeciwko Gerarda i urządził go schludnie. Gdy skończył obraz, zaprosił gości i otrzymał oferty kupna. Były one wedle opinii gospodyni wcale szczodre, on zaś odrzucił je z taką pogardą, że zrobił sobie wrogów ze swoich klientów. Od tego czasu często zabierał obraz z domu na sprzedaż, ale zawsze przynosił go z powrotem. W ostatnim miesiącu spostrzegła, że wszystkie rzeczy poznikały jedna po drugiej z jego pokoju, że teraz nosi już stale jedno tylko ubranie i śpi w nocy na wielkiej skrzyni. Odkryła to zaglądnąjąc przez dziurkę od klucza, ponieważ gdy kiedykolwiek wychodzi on z domu, bardzo pieczołowicie zamyka pokój.

- Boi się, że ukradniemy mu skrzynię czy obraz, którego żadna żyjąca dusza w Rzymie, na tyle głupią nie będąc, nie chce kupić?

- Ach, miła pani gospodyni, czyż nie widzicie, że on chce ukryć biedę?

- To znaczy, że tym gorszy szaleniec! Czy myśli, że wszyscy mamy takie twarde serca jak on? Powinien nas najpierw wypróbować!

- Czemu tak o nim mówicie? Taka jego dola jak i moja, w dodatku to wasz rodak.

- My sierieniczycy lubimy cudzoziemców. Taka dola jak wasza? O nie, zupełnie inna. Wyście najmilszym młodzieńcem spośród wszystkich lokatorów, co mieszkali w moim domu, włosy macie jak złoto, a on jest zgorzkniałym głupcem. Poza tym wy umiecie ująć serca niewieście, a on nie. Nie życzę sobie, aby umarł w moim domu z głodu i zepsuł moją sławę. Tak czy owak jeden głodomór wystarczy w domu. Jesteście daleko od rodziny i ja jako gospodyni mam obowiązek liczyć wasze posiłki. To obowiązek mój i holenderskiej niewiasty, waszej matki, która jest daleko stąd; już my niewiasty załatwimy tę sprawę. Troskaj się o własne interesy będąc mężczyzną i pozostaw gotowanie nam, niewiastom, dla których

niewiele więcej pozostało na świecie poza pieczeniem drobiu, karmieniem piersią mężczyzn w ich niemowlęctwie i wymiataniem pajęczyn w ich domu, gdy dorosną.

- Droga, dobra pani, zaiste często przywodzicie mi na myśl matkę, która jest daleko.

- Tym lepiej. Przypomnę ci ją jeszcze lepiej, nim się rozstaniemy. - Zaczyna niewiasta promieniała z zadowolenia.

Gerard nie był sobkiem, nie zaślepiała go właściwa kobietom stronniczość, rozpoznał w ubogim dumnym Pietro swe własne troski. Im dłużej rozmyślał, tym silniej postanawiał dzielić swe skromne zasoby z tym nieszczęśliwym artystą. Pietro odpłaciłby mu swą życzliwością. Próbował przychwycić go, zaczepić, nie udawało mu się to jednak.

Pewnego dnia usłyszał w pokoju jęki. Zapukał do drzwi, nikt się nie odezwał. Zapukał raz jeszcze. Tym razem zabrzmiało nieuprzejme: „Wejść”.

Posłuchał i nieco nieśmiało wszedł do mansardy. Ujrzał krzesło, obraz odwrócony do ściany, żelazną miednicę, sztalugi i długą skrzynię, na której zwinięty w kłębek leżał wynędzniały młody mężczyzna o niezwykle błyszczących oczach. Gerard nigdy w życiu nie widział niczego, co by bardziej przypominało zwiniętą w krąg kobrę, gotową do ataku na pierwszego, który wejdzie do izby.

- Zaczyna signor Pietro - zaczął Gerard - wybaczone mi, proszę, że znużony własną samotnością zakłócam waszą. Jestem waszym najbliższym sąsiadem w tym domu i, jak mi się zdaje, towarzyszem niedoli. Jestem również artystą.

- Jesteście malarzem? Witajcie, signor. Siądźcie tu na łóżku. Pietro zeskoczył i z demonstracyjną kurtuazją wskazał chłopcu gestem swój opuszczony tron.

Gerard oddał ukłon, uśmiechnął się, ale zawahał się nieco.

- Może nie mam prawa zwać się malarzem. Jestem pisarzem, kaligrafem, kopiuję greckie i łacińskie manuskrypty - jeśli mam co kopiować.

- I nazywacie siebie artystą?

- Nie ubliżając waszym większym zasługom, signor Pietro.

- Żadna to obraza, cudzoziemcze, żadna. Zdaje mi się, że artysta musi myśleć i malować to, co przemyślał. Kaligraf zaś przerysowuje czarno na białym cudze myśli.

- Słusznie rozrózniliście. Jednakże kopista może spisywać myśli wielkich starożytnych i dzieła czystego rozumu, których żaden malarz nie potrafi namalować; a także myśli Boga, których aniołowie nie zdołają namalować. To jednak nieistotne. Jestem także malarzem, ale lichym.

- Tym większe macie szczęście. Wasze prace kupią w Rzymie.

- Starając się przedstawić tak znakomitemu jak wy człowiekowi mniemałem, iż prędzej zdolnym kaligrafem zwać się powinienem niż nędznym malarzem.

W tej chwili usłyszeli kroki na schodach.

- Ach, oto nasza dobra gospodyni - zawołał Gerard. - Hej, zacna pani, oto rozmawiam z signorem Pietro. Ufam, iż zezwoli mi tutaj spożyć mój skromny obiad.

Italczyk skłonił się poważnie.

Gospodyni wniosła parujący i apetyczny obiad Gerarda. Z obojętną twarzą postawiła półmisek na łóżku i odeszła. Gerard zabrał się do jedzenia. Nim przełknął parę kęsów, przestał jeść i rzekł: jestem chłop pozbawiony dobrych manier, signor Pietro. Nie smakuje mi, gdy jem sam. Przez miłość dla naszej Świętej Panienki, zjedzcie ze mną łyżkę tej potrawy. Zapewniam, że smaczna jest. Pietro utkwiał płonące oczy w twarzy chłopca.

- Jakże to, dobry młodzieńcze, wy - cudzoziemiec - oddajecie mi swój obiad?

- Za dużo tu dla jednego.

- Dobrze, przyjmuję - zgodził się Pietro; na pozór spokojnie wziął półmisek do rąk i wyrzucił jego zawartość przez okno.

Potem odwrócił się i rzekł, drżąc ze złości i udręki:

- Oduczcie się na przyszłość dawania jałmużny artyście, którego nawet nie znacie, panie kaligrafie.

Gerard poczerwieniał z gniewu, lecz zapanował nad sobą całą siłą woli, aby nie wytargać wyniosłego malarza za uszy. Zniszczyć taki dobry posiłek! Matczyzna krew zawrzała w jego żyłach z oburzenia nad bezbożnością. Na koniec jednak zwyciężyło współczucie dla drażliwości Pietra i jego egoizmu, a nawet odrobina szacunku wobec tej z ubóstwa zrodzonej dumy.

Powiedział chłodno:

- Takie postępowanie uszłoby może w opowieści waszego rorodaka signora Boccaccio, ale uczciwe nie jest.

- Wyjaśnijcie swą myśl! - odrzekł ponuro malarz.

- Poczęstowałem was połową mego obiadu, nie całym. A wyście zabrali wszystko! Mieliście prawo wyrzucić waszą część, nie moją. Duma - rzecz dobra, ale sprawiedliwość - lepsza.

Pietro się zdziwił, a potem zastanowił.

- Prawda - rzekł. - Wziąłem was za głupca, tak przejrzysty był ten wybieg. Wybaczcie! I, proszę bardzo, zostawcie mnie samego! Widzicie, w jakiej jestem kondycji.

Świat nauczył mnie goryczy. Nienawidzę ludzi. Nie zawsze byłem taki. Jeszcze raz, proszę, przebaczenie mi niegrzeczność, i wszystkiego najlepszego!

Gerard westchnął i skierował się ku wyjściu. Nagle coś nowego wpadło mu do głowy:

- Signor Pietro - powiedział - my Holendrzy lubimy się targować zajadle. Powiadają, że nasi ludzie een eij scheeren - to znaczy: „jajko ogolą”. Skoro więc straciłem obiad, nakarmcie więc moje oczy widokiem waszego obrazu, który stoi odwrócony do ściany.

- Nie, nie - zaprotestował porywczco malarz - nie proście o to. Jużem dość grubiańsko się wobec was zachował. Nie chciałbym rozlać waszej krwi.

- Broń Boże! Mojej krwi?

- Cudzoziemcze - powiedział ponuro Pietro. - Zgniewany ciągłymi obelgami ciskanymi na obraz, który jest mym dziecięciem pod sercem poczętym, w jakowejś chwili uroczyste ślubowałem, iż przebiję sztyletem następnego, co by sztydził z dzieła, trudu i miłości, które obrazowi poświęciłem.

- Każdy więc, kto nie pochwali obrazu, ma być zamordowany? - Gerard spoglądał z ciekawością na odwrócone płótno.

- Nie, nie! Gdybyście jeno chcieli spojrzeć nań i trzymać na wodzy papuzi język... Będziecie jednak mówić. Odwróciłem go na zawsze do ściany. Gdy umrę, niech mi zrobią z niego trumnę.

Gerard zastanowił się.

- Przyjmuję warunki. Pokażcie! Nie rzeknę ani słowa. Pietro poszedł i odwrócił płótno; ustawił je w takim miejscu mansardy, w którym miał najlepsze światło, i sam zwinął się na skrzyni... Błyskały stamtąd tylko jego oczy i stiletto.

Na obrazie Święta Dziewica i Chrystus płynęli przez powietrze w obłoku zamglonych anielskich twarzy. W dole na czterdzieści czy pięćdziesiąt mil rozciągał się pejzaż, nad którym purpurowiało niebo.

Gerard stał i spozierał w milczeniu. Po chwili podszedł zupełnie blisko, a potem odstąpił najdalej, jak tylko mógł; patrzył, ale nic nie mówił.

Po półgodzinie owej zabawy Pietro wykrzyknął zadziornie i nieco niekonsekwentnie:

- Cóż to, czy nie powiecie mi słowa? Gerard się ocknął.

- Wybaczcie łaskawie, proszę; zapomniałem, iż jest tu nas trzech. Tak dużo dałoby się rzec... - odrzekł dobywając miecza.

- Co chcecie uczynić? - krzyknął Pietro i zeskoczył przerażony z legowiska.

- Bronić się przeciw twemu szpikulcowi, signor, i to w należytej proporcji, gdyż, jako już rzekłem, Holendrem jestem. Trzymaj się zatem w przyzwoitej odległości, gdy będę swój sąd ogłaszał, inaczej bowiem przyszpilę cię do ściany jak chrabąszcza.

- Tylko tyle - odetchnął z ulgą Pietro. - Obawiałem się, że chcecie pociąć mieczem mój biedny obraz tyłoma już podłymi językami raniony.

Gerard prowadził dalej dzieło „krytyki w trudnych warunkach”: stanął w pozycji obronnej, ostrzem miecza celując w malarza, i przyglądał się jednocześnie obrazowi.

- Po pierwsze, signor, muszę rzec, iż w sztuce mieszanania poniektórych barwników, a także przygotowywania oleju wy, Italczyco, pozostajecie daleko w tyle za nami, Flamandami. Mniejsza o to. Mimo iż poślednim jestem artystą, potrafię nauczyć was pewnych sekretów van Eycków, z których będziecie mogli wynieść znakomite korzyści, malując następny obraz. Już w tym jednak dziele dostrzegam jedną z owych wielkich zalet i umiejętności waszego narodu. Zaprawdę jesteście solis filii. My barwę mamy, wy - imaginację. Królowo Niebios! Oto człek ten przesycił obraz duszą swą nieśmiertelną. Jedną jeno mam do was, panie, pretensję; dawniej przeze mnie podziwiane dzieła zdadzą mi się teraz sztywne i ziemskie... I draperia trochę przykrótka i sztywna. Czemuż nie mogłaby powiewać swobodnie, gdy one postacie są w powietrzu i w ruchu.

- Poprawię! Poprawię! - krzyknął żarliwie Pietro. - Wszystko zrobię dla tego, kto potrafi dojrzeć, co udało mi się zrobić.

- Ba! Uczę się na tym pejzażu. Odtąd gardzić będę owymi spiesznie namalowanymi widoczkami, które wprzódy mnie zadowalały. Oto prawdziwe oblicze Natury - rozległa dolina wraz z całą jej głębią, ukazano każde drzewo i pole, każdy dom, każda postać i rzeka coraz drobniejsze i mniej wyraźne, doskonale odmierzone, aż oto wizja rozplynęła się w oddali. Ach, jakie to piękne! Spryciarz zawiesił ową Boską postać w powietrzu ponad małym, nędznym światem u dołu. Oto święci unoszący się pod purpurowym baldachimem niebios; daleko w dole zaś ziemia i krzątający się jak pszczoły ludzie. I oni pozwalają wam pokazać ten kwitnący hymn, ten malowany poemat na ulicach Rzymu i przynieść go z powrotem do domu jako przedmiot, który nie znalazł kupca! Twierdzą, iż w Gandawie, Brugii czy nawet Rotterdamie z rąk by wam go wydarli. Słusznie powiadają, że obce oczy jaśniej widzą. Courage, Pietro Vannucci. Przyjmijcie wyrazy mej czci. Będąc sam miernym malarzem, wybaczam wam wielkość. Wybaczam! Dziękuję Bogu za ciebie i tak rzadkich jak wy ludzi, zginam kolano w należnym hołdzie. Wasz obraz jest nieśmiertelny, a wy, choć posiadacie jeno skrzynię, królem jesteście najbardziej królewskiej ze sztuk. Viva, il maestro! Viva!

Malarz z wylewnością właściwą swej nacji rzucił się Gerardowi na szyję, wdzięczny za ten nieoczekiwany wybuch zachwytu.

- Powiadają, że to marzenie szaleńca - załkał.

- Sami są obłąkani! Nie, to głupcy! - krzyknął Gerard.

- Szlachetny cudzoziemcze! Nie będę już nienawidził ludzi, skoro są na świecie tacy jak ty! A ja, podła gadzina, wyrzuciłem twój obiad za okno jak łajdak i potwór!

- Bądźże teraz grzeczny, potworze, i zjedz ze mną wieczerzę.

- Ach, jakże by nie! Dokąd idziecie?

- Zamówić posiłek. Obraz będzie naszym trzecim towarzyszem.

- Zaproszę go w czasie twej nieobecności. Mój biedny obraz, moje dziecię ukochane.

- Ach, mistrzu, on będzie spoglądał na wiele jeszcze wieczerz, gdy ciebie i mnie dawno stoczą robaki.

- Mam nadzieję - rzekł Pietro.

ROZDZIAŁ LIX

Tydzień później dwaj przyjaciele siedzieli przy pracy razem, każdy jednak malował w innym usposobieniu. Pietro szybko parał się ze swą robotą, dokonywał cudów w ciągu paru minut, potem nie czynił nic, narzekał tylko. Później znów brał się do dzieła i z jękiem rzucał wszystko. Tymczasem roztrotny Holender pracował spokojnie i spokojnie się uśmiechał.

Krótko mówiąc, Gerard, który umiał pokierować każdym ze swych przyjaciół, okiełznał tego dzikiego rumaka. Przyjaciele malowali karty do gry, aby napęłnić rondle.

Uwinąwszy się z tą robotą, oburzony mistrz zabierał swój obraz i wychodził na codzienny obchód, poszukując klienta.

Gerard poprosił go pewnego razu, aby jednocześnie zabrał ze sobą karty i spróbował je sprzedać. Artysta spojrział jak grzechotnik, ale po chwili italskim obyczajem ucałował przyjaciela, który dosuszał ostatnie z wykonywanych kart na gorącym w tym szczęśliwym klimacie słońcu, i zabrał je do miasta.

Gerard, zostawszy sam w domu, przepisał jeden czy dwa greckie listy, po czym wziął się do cerowania niewielkiej dziury w pończosze. Przy tym zajęciu zastała go gospodyni i spytała chłopca z ironią, czy sądzi, że nie ma niewiast w domu.

- Skoro już skończyliście - powiedziała - chodźcie porozmawiać z moją przyjaciółką Teresą, która, jak wam mówiłam, ma niewiele wartego męża, który przechwala się znajomościami ze znamienitymi ludźmi.

Gerard zszedł na dół; Teresa okazała się znajomą mu rzymską matroną.

- Ach, madame! - wykrzyknął. - To wy? Zaczyna pani gospodyni nic mi nie powiedziała. Jak się czuje mały jasnowłosy chłopczyk? Czy nie stało mu się nic złego podczas tej podróży w dziwacznej łodzi?

- Ma się dobrze - odparła rzymianka.

- O czym wy właściwie mówicie? - spytała gospodyni, przenosząc wzrok z chłopca na niewiastę. - Czemuż drżysz, Teresa mia?

- Ocalił życie mego dziecka - odpowiedziała, starając się opanować.

- Kto, mój lokator? Nigdy nie wspomniał o tym. I nie wstydzisz się, chłopcze, spojrzeć mi w oczy?

- Nie mów do niego tak szorstko - powiedziała niewiasta. Odwróciła się do przyjaciółki i zasypała ją płomiennymi słowami, opisując zachowanie Gerarda na statku. Młodzieniec poczerwieniał jak dziewczyna; wdzięczność rzymianki w tak jasnych barwach odmalowała jego czyny, że z trudem mógł je rozpoznać.

- I pomyśleć, że musiałś mnie prosić o pomoc dla lokatora, o którym nie słyszałam nic prócz twego dobrego słowa, Fiammino! To wystarczyło, zaprawdę. Młodzieńcze drogi, służąc ci, służę sobie.

Obie niewiasty jęły z zapałem rozważać, co już zostało zrobione i co należy zrobić, aby przeniknąć gruby mur złota, odstępnego i szykan, który w wiecznym mieście dzieli mecenasów sztuki od nieznanych artystów.

Teresa uśmiechnęła się smutno, usłyszawszy o naiwności Gerarda, który zostawiał próbki swej sztuki pod drzwiami znamienitych osobistości.

- Jeśli służbie nie obiecasz procentu lub nawet nie wyznaczysz im stałego wynagrodzenia, nie spodziewaj się, że signori rzucą okiem na twe prace. Możesz z równym pożytkiem cisnąć je do Tybru.

- Biada mi! - westchnął Gerard. - W jaki więc sposób artysta może znaleźć mecenasa? Artyści są przecie biedni, nie bogaci.

- Udając się do jakiegoś szlachetniejszego miasta, w którym mieszkają nie tak chciwi ludzie - odparła Teresa. - La corte romana non vuol' pecora senza lana.

Zamyśliła się i powiedziała, że przyjdzie nazajutrz. Gospodyni powinszowała Gerardowi.

- Teresa wzięła sobie sprawę do serca - powiedziała. Prawie natychmiast po wyjściu niewiasty zjawił się Pietro z obrazem ponury jak chmura gradowa. Gerard zamienił porozumiewawcze spojrzenie z gospodynią i pospieszył za malarzem na górę, aby go pocieszyć.

- Więc pozwolili ci zabrać do domu twe arcydzieło?

- Jak zwykle.

- Jeszcze paru głupców.

- To nienajgorsze...

- Dlaczego? Co się stało?

- Kupili karty - jęknął Pietro i wściekły młócił powietrze na prawo i lewo pięścią.

- Tym lepiej - rzekł radośnie Gerard.

- Rzucili się na mnie przez te karty. Zachwycali się nimi. Próbowali ukryć pożądanie, ale nie potrafili. Spozregłem to, grałem swą rolę, obdzierałem ich ze skóry. Przekłęci durnie!

Rzucił na podłogę garść drobnych srebrnych monet, deptał je, skakał po nich i tańczył, oczy przybrały wyraz bazyliuszka, kopał tak zapalczywie, że pieniądze toczyły się po całej mansardzie. Gerard pełzał na kolanach w poszukiwaniu sponiewieranych niewiniątek i przenosił pieczołowicie do sakiewki.

- Powinieneś być raczej wyśmiać ich niewiedzę i ciągnąć z niej profit - zauważył.

- I tak uczynię - odparł Pietro z niesłabnącym oburzeniem. - Prostacy! Będziemy malować talię dziennie, niech całe miasto zacznie grać i popadnie w ruinę, a z ich występków i głupoty będziemy żyli jak książęta... Była w tej talii jedna królowa, którą chciałbym zatrzymać. Ty ją rysowałeś, bracie. Miała piękne rude włosy, szafirowe oczy i co najważniejsze: duszę.

- Pietro - powiedział miękko Gerard - malowałem ją sercem. Domyślny Italczyk skinął głową, oczy mu błysły.

- Tak bardzo kochasz? Więc czemu ją opuściłeś?

- Kocham ją tak bardzo, Pietro, że dla niej powędrowałem w tę długą i nużącą drogę.

Gospodyni przerwała rozmowę, wołając z dołu:

- Proszę, zejdźcie, przyszedł ktoś do was. Gerard zbiegł na dół, gdzie czekała Teresa.

- Chodźcie ze mną, panie Gerardzie.

ROZDZIAŁ LX

Gerard w milczeniu szedł przy boku Teresy i zwyczajem artysty zastanawiał się w duchu, co niewiasta dlań uczyni, zamiast zapytać ją o to. Powiedziała mu więc wreszcie sama. Przyjaciółka dała jej znać, że żona pewnego złotnika potrzebuje pisarza.

- Jej sklep jest tuż obok, będziecie, panie, mieli blisko. Rzeczywiście rychło przybyli na miejsce.

- Madama - rzekła Teresa - Leonora powiedziała mi, że potrzebujecie, pani, pisarza. Przyprawiam was kopistę, człowieka, który ocalił mi dziecko na morzu. Proszę, spojrzycie nań łaskawie.

Żona złotnika okazała przychylność, utkwiała wzrok w ładnej twarzy Gerarda i prawie nie mogła odwrócić odeń oczu. Odpowiedź jej jednak była niezadowolająca.

- Niestety, nie potrzebuję pisarza. Ach, przypominam sobie, to moja kumoszka Klelia, masarka, szuka pisarza. Powiedziała mi o tym, a ja z kolei Leonorze.

Teresa się wycofała, pożegnawszy panią złotnikową uprzejmymi słowy.

Klelia mieszkała nieco dalej i gdy przyszli, nie zastali jej w domu. Teresa rzekła ze spokojem:

- Poczekam, aż wróci.

Usiadła tak cicha, pełna godności i tak posągowo spokojna, że Gerard pospiesznie zabrał się do rysowania jej portretu. Klelia wróciła do domu.

- Madama, słyszałam od zacnej Olympii, żony złotnika, że potrzebujecie pisarza (ujęła rękę Gerarda i popchnęła go lekko do przodu). Przyprawiam was kopistę, człowieka, który ocalił mi dziecko wśród okrutnych fal. Przez miłość dla Matki Najświętszej spojrzcie nań łaskawie.

- Zaczna damo, piękny panie - odpowiada Klelia - nie potrzebuję skryby, ale przypomniał mi, że moja przyjaciółka, Appia Klaudia, prosiła mnie niegdyś o pisarza. Jest krawcową, mieszka na Via Lepida.

Teresa wycofała się spokojnie.

- Madama - rzekł Gerard - bardzo to pewnie dla was przykra sprawa.

Teresa szeroko otworzyła oczy.

- Cóż kiedykolwiek udało się załatwić bez odrobiny cierpliwości? Będziemy pukać do wszystkich drzwi w Rzymie - dodała łagodnie - tak długo, aż będziecie należycie ocenieni, panie.

- Wydaje mi się, madama, że nas śledzą. Zauważyłem, że jakiś mężczyzna cały czas idzie za nami. Czasem oddala się nieco, czasem przybliży.

- Zauważyłam - rzekła chłodno Teresa, a policzki jej pokrył lekki rumieniec. - To mój biedny Lodovico.

Przystanąła, odwróciła się i skinęła palcem. Mężczyzna podszedł niechętnie. Spojrzała mu prosto w oczy. Zmieszał się.

- Lodovico mio - powiedziała - poznaj młodego pana, o którym tak często ci opowiadałam. Poznaj go i pokochaj, albowiem to on ocalił twą żonę i dziecko.

Usłyszawszy to Lodovico, który poprzednio złożył ukłon i uśmiechał się sztucznie, zmienił się nagle w uosobienie serdecznej wdzięczności i gorąco ucałował Gerarda.

Gerard czuł się skrępowany, nie mogąc zrozumieć dziwnego postępowania mężczyzny i ukradkowego śledzenia przezeń żony. Mimo to zapytał:

- Będziecie, panie, nam towarzyszyć, ser Lodovico?
- Nie, signor - odparł Lodovico. - Nie przechodzę na tę stronę Tybru.
- Addio - powiedziała znacząco kobieta.
- Kiedy wrócisz do domu, Teresa mia?
- Gdy załatwię swe sprawy, Lodovico.

Szli dalej w milczeniu. Teresa była teraz smutna i ponura.

Mówiąc pokrótce: Appia Klaudia była litościwa, nie odesłała ich z powrotem za Tybr, lecz jedynie o sto jardów w dół ulicy, do Lukrecji, rękawiczniczki. Ona to właśnie szukała skryby, tyle że Appia nie mogła zgadnąć, w jakim celu. Lukrecja była niedużą wesołą niewiastą, która przyjęła ich dość serdecznie, lecz oświadczyła, że sama nie potrzebuje skryby, gdyż wszystkie rachunki prowadzi w pamięci.

- To dla mego spowiednika, ojca Colonna, który za tym szaleje.

- Słyszałam o jego ekscelencji - rzekła Teresa.

- Któż o nim nie słyszał?

- Ale, droga pani, toż to zakonnik, który ślubował ubóstwo. Nie mogę przecież pozwolić, aby młodzieniec pisał za darmo. Uratował moje dziecko na morzu.

- Naprawdę? - Lukrecja spojrzała z uznaniem na młodzieńca. - Nie macie się czego obawiać, ojcu Colonna nigdy nie brak pieniędzy. Wystarczy, aby rzekł jedno słowo, a krewni jego, książęta, sygnę mu sto koron na podolek. A cóż to za spowiednik, o pani! Najlepszy w całym Rzymie. Głowę buja daleko w obłokach przez cały czas; nigdy nie zważa, co mówisz. Nie przejmuję się, wyznając mu swe grzechy, bardziej, niż gdybym mówiła do ściany. Chciałam go raz wypróbować i opowiedziałam wśród innych grzechów, jak zabiłam córeczkę mego lokatora i upiekłam ją w cieście. Gdy zamilkłam, ocknął się z marzeń i, udając stroskanego, powiada:

- Siostró moja grzeszna, klęknij i zmów trzy razy Pater Noster i trzy Ave Maria, nie jedz masła ani jaj w najbliższą środę i pax vobiscum!

I poszedł sobie, założywszy ręce do tyłu z taką miną, jakby mnie na świecie nie było.

Teresa czekała cierpliwie, potem spokojnie przypomniała gadatliwej damie o sprawie, z jaką przyszła.

- Czy byłabyś, pani, tak łaskawa, by udać się z tym oto młodzieńcem do zakonnika i rzec za nim słowo?

- Niestety! jakżeż mogłabym zostawić sklep? I po co zresztą? Jego drzwi stoją otworem dla pismaków, malarzy, żaków i wszelkiej tego rodzaju gawiedzi. Nie chciał pewnego dnia przyjąć księcia d'Urbino, bo zamknął się z jakimś uczonym Grekiem i tak blisko siebie pochyłili głowy nad jakimś zakurzonym pergaminem, co dopiero z Grecji przywiezionym, że można by nakryć ich jednym kapturem. Opowiedziała mi o tym jego służebna, Onesta. Najczęściej tu zagłada na plotki, gdy idzie po zakupy.

- Oto człowiek dla ciebie, przyjacielu - orzekła Teresa.

- Idźcie jeno do jego mieszkania - mówiła dalej Lukrecja (mój chłopiec pokaże wam drogę) - i powiedzcie Oneście, że przychodzicie ode mnie; że młodzieniec pisarzem jest, a ona już zaprowadzi was do zakonnika. Jeśli wetkniecie dziewczuszcze sztukę srebra do ręki - nie zaszkodzi.

- Mam srebro - bez wahania powiedziała Teresa.

- Poczekajcie jeszcze - zatrzymała ich Lukrecja - pamiętajcie o jednym. Jeśli młody człowiek powie, że umie coś zrobić, musi to wykonać, inaczej niech unika zacnego mnicha jak trucizny. Jest wściekły jak dziki zwierz na wszelkich patałachów. Zdarzyło się, że pewnego dnia ktoś przyniósł mu źle wyrzeźbiony krucyfiks. On na to:

- To tak ma wyglądać Sahator mundi? Skonał za ciebie w śmiertelnej męce, a ty mu przyzwoitej roboty żałujesz? Ta niechlujna tandeta ma być krucyfiksem? Ale że to przecie jest kracyfiks, a ja jestem księdzem, wytrzępię nim twój kaftan! - powiedział. Onesta słyszała każde słowo przez dziurkę od klucza. Pomnijcie przeto jeszcze raz sprawę.

- Nie bójcie się, madama - rzekła wyniośle Teresa. - Odpowiadam za biegłość tego człowieka; uratował mi dziecko.

Gerard nie okazał się dostatecznie subtelny, by właściwie ocenić jej konkluzję; daleko mu było do pewności, jaką przejawiała Teresa, poprosił więc o zwłokę. Wolałby nie iść już dzisiaj do zakonnika. Czy nie wystarczyłoby zrobić to nazajutrz?

- Tchórz z niego wylazł - rzekła Lukrecja.

- Nie, on nie jest tchórzem - powiedziała z gniewem Teresa. - Jest tylko skromny.

- Boję się tego wysoko urodzonego, wybrednego zakonnika - rzekł Gerard. - Zważcie, zacna pani Tereso, że widział on prace wszystkich pisarzy w Italii. Pozwólcie mi przygotować staranniejszą próbkę mej sztuki niż te, a jutro stawię się z nią przed ojcem Colonną.

- Zgoda - rzekła Teresa. Poszli razem do domu.

Niedaleko mieszkania młodzieńca był sklep, w którym sprzedawano weliny. Na wystawie leżał kawał pięknej, białej skóry; Gerard patrzył nań pełen zadumy, wiedział jednak, że nie miałby czym zapłacić, toteż szybko odszedł od okna. Nagle przypomniał sobie, że ma przecież stary welin i, pożegnawszy Teresę pod drzwiami, pobiegł szybko na górę, wyciągnął zwój, który niósł ze sobą całą drogę od Sevenbergen, i położył go z westchnieniem na stole. Przygotował chemikalia do wywabiania starego pisma, skoro jednak była to ostatnia okazja do przeczytania dokumentu, przemógł odrazę do bazgrołów i zaczął odcyfrowywać treść. Wynikało z owej umowy, że Ghysbrecht van Swieten pożyczył Florisowi Brandtowi pewną kwotę pieniędzy pod zastaw ziemi, dług zaś miał odebrać z dochodów.

Gerard zrozumiał, że nie może zniszczyć dokumentu, byłoby to nieostrożne i niewłaściwe. Przeciwnie, przyrzekł sobie w wolnej chwili odcyfrować słowo po słowie. Zszedł na dół, postanowiwszy kupić mały kawałek welinu za połowę pieniędzy otrzymanych za karty.

Zszedłszy ze schodów, natknął się na gospodynię rozmawiającą z Teresą. Pani Fiammina zawołała na jego widok:

- Już tu jest! Oto cię złapano, donna mia! Popatrz, co ona ci przyniosła! - wyciągnęła spod fartucha tę właśnie welinową skórę, o której Gerard tak marzył.

- Jakże to, pani! Ach, donna Teresal - chłopak zaniemówił ze zdumienia i zachwytu. - Zaczna pani Tereso, w całym Rzymie nie ma drugiego takiego kawałka skóry. Jakże udało się wam trafić na ten właśnie? To cudowne!

- Chłopcze drogi, czyż nie widziałam, jak pożądliwie nań patrzyłeś i wzdychałeś odchodząc? I czyż godziło się Teresie pozwolić, byś dalej pragnął jej daremnie?

- Jaka mądrość i jaka dobroć, madama! O, pani, nie marzyłem nigdy, że będę to kiedyś posiadał! Jakaż jest jego cena?

- Już zapomniałam. - Addio, Fiammina, addio, panie Gerardzie. Bądźcie szczęśliwi i równie bogaty jak dobry.

Rzymska matrona wymknęła się, zanim Gerard zdołał obmyśleć, w jaki sposób tak pełnej godności istocie zaproponować zwrot pieniędzy za podarunek.

Nazajutrz po południu poszedł do Lukrecji, której syn zaprowadził go do mieszkania Fra Colony. Młodzieniec oznajmił, w jakiej sprawie przybywa, wsunął napiwek Oneście i dziewczyna powiodła go do zakonnika. Gerard wszedł z bijącym sercem. Wielką komnatę wypełniały dzieła sztuki, uczone księgi, zabytki starożytne leżące w obfitości i nieładzie. Manuskrypty, obrazy, rzeźby w drzewie i kości słoniowej, instrumenty muzyczne, a wśród tego chwalebego chaosu siedział zakonnik pochylony nad arabskim rękopisem.

Spojrzał niechętnie, zły trochę, że mu przeszkadzają. Onesta szepnęła coś do ucha swemu panu.

- Dobrze - powiedział - niech siądzie. Zaczekaj! Pokaż mi, jak piszesz, młodzieńcze. - Rzucił Gerardowi skrawek papieru i wskazał kałamarz.

- Wybaczcie, czcigodny ojciec - rzekł Gerard - w tej chwili zbyt mocno drży mi ręka, ale dziś w nocy przepisałem na welinie stronę greki, obok zaś wersję łacińską dla ukazania różnorodności liter.

- Pokaż!

Gerard wręczył mu swą pracę drżąc i pełen obawy i stał z zamartwionym sercem, oczekując werdyktu.

I zachwiał się, gdy zamiast werdyktu dominikanin rzucił się zdumionemu chłopcu na szyję.

ROZDZIAŁ LXI

Szczęśliwy człowiek, dla którego pracują Zasługa i Niewiasta. Gdybym to ja jak Gerard miał za sobą *chaine des dames* i byłbym już w mig laureatem nagrody za piękną prozę lub profesorem sporadycznych zrywów, lub czymś tam. En attendant naszkicuję portret Fra Colonna.

Dwaj pisarzeartyści tchnęli nowe życie w starożytną naukę i filozofię - byli to: Petrarca i Boccaccio.

Trud ich nie został nagrodzony wielkim, publicznym ani natychmiastowym uznaniem; ale posiali dobre ziarno, które nie zgniło, lecz dojrzewało w ziemi, czekając na promienie słońca.

Od owych czasów Italia zawsze szczyciła się co najmniej jednym lub dwoma własnymi scholarzami biegłymi w grece. Każdy zaś uczony Grek, gdy wylądował na ziemi włoskiej, był przyjmowany jak brat. Przed końcem wieku czternastego narodził się Poggio, Valla i Guarino starszy, na początku zaś piętnastego Florencja za Kosmy Medyceusza stała się stolicą platończyków. Oni to pod kierunkiem rodowitego Greka, Gemistusa Pletho, zaczęli około roku pańskiego 1440 zwalczać Arystotelesa. Niewiele jest bowiem umysłów tak wyniosłych, aby oddały sprawiedliwość wielkiemu „A”, nie skrzywdziwszy wspaniałego „B”.

Teodor Gaza bronił w umiarkowany sposób tego wielkiego człowieka, zaś Jerzy z Trebizondy zaciekle, atakując jednocześnie Platona. Kardynał Bessarion, również Grek, przeciwstawił się Jerzemu i jego bożyszczu w traktacie: *Achersus calwnniatorem Platords*.

Wojowniczość, rozsądna czy nierozsądna, jest pewną formą żywotności. Franciszek Colonna urodzony w tak pełnym entuzjazmu czasie, a pozbawiony zapалу do

kontrowersyjnych dysput, poświęcił się sztuce. W dwudziestym roku życia wstąpił do zakonu dominikanów. Oddał się cichym studiom. Porzucił towarzystwo leniuchów, walki stronnictw, gwar i żądła ludzkiego ulla dla świętego Dominika i dziewięciu muz.

Z zapałem studiował języki, malarstwo, rzeźbę, chronologię, numizmatykę oraz inskrypcje na pomnikach. Te ostatnie podcięły jego wiarę w popularne historyjki.

Podróżował wiele po krajach Wschodu i powrócił obładowany łupami; posiadał wiele znakomitych manuskryptów w języku greckim i łacińskim, hebrajskim i syryjskim. W ojczyźnie zastał wielkie zmiany. Prócz Kośmy pojawiło się wielu wykształconych władców. Alfons król Neapolu, Mikołaj d'Este, Lionel d'Este... A co najważniejsze, jego stary przyjaciel Tomasz z Sarzany został wybrany papieżem i wielce dodał bodźca pisarstwu: zebrał pięć tysięcy manuskryptów w Bibliotece Watykańskiej, polecił Poggiowi przetłumaczyć Diodora Sycylijczyka i Cyropaedię Ksenofonta, Wawrzyncowi Valli kazał wykonać przekład Herodota i Tukidydesa, Teodorowi Gazie - Teofrasta, Jerzemu z Trebizondy - Euzebiusza i pewnych traktatów Platona itd., itd.

Mnich zastał stan zawieszenia broni między Platonem i Arystotelesem, lecz Poggia i Vallę skłóconych z sobą o czasowniki i rzeczowniki, w ogniu walki z odium philologicum. Wszystko to wydało mu się niebem, osiadł na ziemi ojczystej, a życie słało mu róże pod stopy. Najszczęśliwsi są ludzie wszechstronni, jeżeli oczywiście nie muszą zarabiać swą wszechstronnością na chleb. A Fra Colonna był samą wszechstronnością. Znał siedem czy osiem języków, posiadał nieco wiedzy matematycznej, potrafił trochę pisać i malować, trochę rzeźbić i śpiewać, trochę brzdąkać i był w stanie rozkoszować się doskonałością we wszystkich tych dziedzinach. Za tę ostatnią zdolność zasługiwał na szczęście, które było jego udziałem. Sprawdźcie stan umysłów waszych znajomych, a stwierdzicie, jak rzadko znajduje się człowiek, który by nie był głuchy, ślepy lub śmiertelnie obojętny wobec wielkiej sztuki czy nauki.

A jedne z wrót mądrości całkiem zatrzaśnięte

Ci zaś, którzy są nie tylko głupi, ale także zrozumiiali, zamiast płonąć ze wstydu, szczyć się jeszcze brakami swego intelektu.

Fanatycznie rozmiłowany w sztuce zakonnik był sceptyczny wobec religii.

W każdej epoce żyje kilku ludzi, którzy wyznają poglądy minionego lub przyszłego wieku. U pełnego prostoty mnicha sceptycyzm był równie naiwny jak jego entuzjazm. Spoglądał na współczesne mu ceremonie religijne, tak jak filozofowie pogańscy, którzy byli mu wzorem, patrzyli na kult bogów i zmarłych herosów: uważał je za maskarady odpowiednie dla plebsu. Ale w tym umysł jego nieświadomie dokonywał zabawnych

rozdzielić. Jeśli wiedział, że jakiś obrzęd chrześcijański jest pogańskiego pochodzenia, szanował go, szanując całą starożytność. Gdyby zaś był po prostu współcześnie pogański, przy swoim usposobieniu gardziłby nim z wyżyn swej filozofii.

Fra Colonna był oczarowany swym nowym artystą, a bywając w połowie rzymskich pałaców, wychwalał Gerarda tak gorąco, że rychło musiał się z nim rozstać. Zawiadomił młodzieńca, że wzywają go wielcy książęta.

- Tak jestem z tobą szczęśliwy, ojczu - sprzeciwił się chłopak.

- Bzdury! Szczęśliwy ze mną... - rzekł Fra Colonna. - Nie chodzi o to, byś był szczęśliwy, lecz byś się stał światowym człowiekiem. Najważniejsza moja nauka dla młodych, by stali się światowcami. Montesini mogą ci płacić trzy razy tyle co ja - i, na Jowisza! zapłacą.

Zakonnik wyznaczył straszliwą cenę za dzieło Gerarda. Przyjęto ją bez sprzeciwu. Wynagrodzenie za kopiowanie znacznie przewyższyło honoraria autorskie, które udało się kiedykolwiek uzyskać pisarzowi od czasu istnienia pras drukarskich.

Gerard dostał trzysta koron za traktat Arystotelesa o wymowie.

Wielcy tego świata, póki trwa kaprys, kochają swych faworytów, greckie zaś manuskrypty rozbudziły takie namiętności, że uroczy pisarczyk stał się faworytem wielmożnych państwa, którzy rozpieszczali go jak ulubionego pokojowego pieska.

Zarozumialcowi mogłoby to łatwo przewrócić w głowie, ale roztropny Holender dostrzegł pod welwetową rękawicą żelazną dłoń i zachował skromność. Z dumą zasiadł jednak pewnego dnia wraz z Fra Colonna za stołem swego obecnego chlebowodawcy, kardynała Bessariona. Znajdowali się obaj prawie o milę od górnego końca stołu - mniejsza o to - lecz byli tam jednak; Gerard miał zaszczyt przyjrzeć się pieczonym bażantom ułożonym na półmiskach w pełnym upierzeniu, jak gdyby w tej chwili przyfrunęły z zagajnika, a nie z różna; kurczętom delikatnym jak brzoskwinie. Ze zdumieniem przyglądał się wykwintnym serwetkom, zwiniętym na podobieństwo ptasich skrzydeł, wachlarzy, kapeluszy z podniesionym rondem itp.; żadna nie leżała płasko na stole. Zdumiało to Gerarda, choć moi czytelnicy nie drgnęliby na krzesłach na widok tak wstrząsającego fenomenu.

Po obiedzie rozłupano stoły na części i wyniesiono je z sali, i proszę! pod każdym z nich stał niższy stół zastawiony słodyczami.

Signory i signoriny rzuciły się na przysmaki i lasowały z zapalem, panowie jednak patrzyli na to z uzasadnioną rezerwą.

- Drogi ojczu - zapytał Gerard. - Nie widzę owych rozdwojonych sztyletów, a słyszałem, że jego ekscelencja uzbroił nimi lewą rękę swych gości.

- Nie, to kardynał Orsini wymyślił ów nieznośny instrument, aby goście dłubali nim w mięsiwie. Słyszałem, że ktoś w pośpiechu przyszpilił sobie język do podniebienia. O tempom! O mores! Starożytni, leżąc jak bogowie przy ucztach, gardzili takimi błahostkami.

Gdy damy już nacieszyły się cukrami, usunięto wszystkie stoły, goście zasiedli rzędem pod ścianą. Szurając nogami w ukłonach i dygach, weszli teraz dwaj duchowni z lutniami, klękali u stóp kardynała, odśpiewali modlitwy przepisane na ów dzień, następnie wycofali się z głębokimi reweransami. Kardynał w odpowiedzi dotknął palcami piuski, podobnie jak nasz nieżyjący już Żelazny Książę kapelusza, a potem towarzystwo się rozeszło. Tak oto Gerard obiadał z kardynałem, który po trzykroć omal nie został papieżem.

Czekały go jednak większe jeszcze zaszczyty.

Pewnego dnia kardynał wezwał chłopca i, pochwaliwszy doskonałość jego pracy, zabrał go powozem do Watykanu i przez prywatne schody powiódł do niewielkiego, z przepychem urządzonego pokoiku o wielkim oknie w wykuszu. Stały tam pochyle pulpity do pisania, kałamarze i wszystkie potrzebne przyrządy. Kardynał szepnął coś dworzaninowi i za chwilę pojawił się osobisty sekretarz papieża ze sławnym, zniszczonym ze starości manuskryptem Żywotów Plutarcha. Gerard został sam i zabrał się do kopiowania, przerażony, ale szczęśliwy na myśl, że Jego Świątobliwość weźmie do ręki tę pracę i odczyta przepisany przez niego tekst.

Wszystkie papieskie kałamarze z zewnątrz wyglądały wspaniale, ale atrament zawierały podły. Gerard jednak miał zawsze przy sobie dobry, własnej roboty atrament w małym rożku. Pomodlił się na kolanach o pewność i zręczność ręki, a potem zasiadł do pracy.

Ciężka kotara rozsuwana w środku zakrywała prawie całą ścianę pokoju. Bogate fałdy zachodziły na siebie. Gerard miał ogromną ochotę zajrzeć po chwili za kotarę. Oparł się pokusie. Powróciła jednak i zwyciężyła opór chłopca. Odłożył Plutarcha, przebiegł na palcach wyłożony dywanem pokój, zgarnął fałdy zasłony, delikatnie rozsunął je palcami na boki i wtykając nos w szparę spotkał zimną stal halabardy. Dwaj żołnierze uzbrojeni de pied en cap trzymali przed sobą skrzyżowaną lśniącą broń. Gerard cofnął się szybko, ale przez krótką tę chwilę usłyszał szmer głosów i dostrzegł grupę ludzi kłaniających się unizienie komuś niewidocznemu.

Nie powtórzył już próby podglądania przez strzeżoną kotarę, często jednak rzucał okiem w tę stronę. Prawie co godzina zaglądał do niego jakiś duchowny, mroził chłopaka uważnym spojrzeniem i znikał. Atmosfera stawała się ponura i sztywna.

Następnego dnia wpadł do pokoju szlachcic w bogatej zbroi i spojrzał zdziwiony na Gerarda.

- Co się tu dzieje?- spytał.

Gerard odpowiedział, że z pomocą świętych pańskich kopiuje Plutarcha. Wesoły elegant rzekł, że nie zna signora, o którym mowa. Gerard objaśnił okoliczności czasu i przestrzeni, które pozbawiły signora Plutarcha zaszczytnej znajomości i milej rozmowy z wesołym elegantem.

- Ach, to jakiś z tych starych greckich nieboszczyków, o których robią teraz tyle hałasu.

- Tak, signor, jeden z tych, którzy choć umarli, żyją ciągle.

- Nie rozumiem twych słów, młody człowieku - rzekł szlachcic z pełną godności ignorancją. - Co napisał ten stary? Miłosne historyjki? - iskry zapłonęły mu w Oczach. - Czy tak wesołe powiastki jak Boccaccio?

- Nie, żywoty bohaterów i mędrców.

- Żołnierzy i papieży?

- Żołnierzy i książąt.

- Poczytasz mi o nich kiedyś?

- Bardzo chętnie, signor. Ale co rzekną na to moi chlebodawcy, jeżeli przerwę pracę?

- O to się nie troszcz. Nie wiesz, kim jestem? Jam Jakub Bonawentura, siostrzeniec Jego Świątobliwości Papieża, kapitan gwardii. Przyszedłem tu do moich towarzyszy. Widzę, że przez ciebie wygnano ich z pokoju.

Signor Bonawentura wyszedł spieszenie. Ten pełen życia kompan, przyzwyczajony do odwiedzania małej komnaty i uznawszy Gerarda za miłego towarzysza, zaglądał tam często, znosił aktualne nowinki, podczas gdy Gerard kopiował nieśmiertelne Żywoty.

Pewnego dnia przyszedł w zupełnie zmienionym nastroju, chmurny i ponury, rzucił się na krzesło, wołając:

- Achzdrajczyni! zdrajczyni! Gerard spytał, co go gnębi.

- Zdrajczyni! zdrajczyni! - padło w odpowiedzi. Wobec tego Gerard wrócił do kopiowania Plutarcha. Bonawentura na to:

- Melancholia mnie zżera, na miłość Panny Najświętszej przeczytaj jakąś opowieść pana Plutarcha, aby oczyścić mi wątrobę; czyż u tego Greka nic nie ma o zdradzonych kochankach?

Gerard przeczytał mu żywot Aleksandra. Słuchacz podniecony zaczął biegać po pokoju i całując Gerarda ślubował wyrzec się miłosnych rozkoszy, tego łoża wymoszczonego pokrzywami, i szukać sławy.

Któż był obecnie tak szczęśliwy jak Gerard? Jego sztuka znalazła uznanie, płacono mu bajeczne ceny; za rok lub dwa powinien móc wrócić przez morza do Holandii z porządnym zapasem pieniędzy, zamieszkać z ukochaną Małgorzatą w Brugii lub Antwerpii, może w miłym Augsburgu, i tam żyć do końca dni w pokoju, miłości, w zdrowym, szczęśliwym trudzie. Sercem był zawsze przy najdroższej dziewczynie.

W okresie powodzenia nie zapomniał o biednym Pietro. Przyprował Fra Colonnę, aby obejrzał jego obraz. Mnich przyjrzał się malowidłu skrupulatnie i surowo, potem rzucił się artyście na szyję, zaniósł obraz do jednego z Colonnów, który zapłacił zań godziwą cenę.

Pietro przeprowadził się na pierwsze piętro i żył jak szlachcic. Gerard jednak pozostał na swym stryszku. Każde zwiększenie wydatków musiałoby opóźnić powrót do Małgorzaty. Luksus, który był wrogiem jego miłości, nie mógł skusić chłopca o wiernym sercu.

Jakub Bonawentura zapoznał go z innymi wesołymi, młodymi koleżkami. Tamci polubili Gerarda i starali się wciągnąć go w swe grzeszki, przyuczyć do szastania groszem. Ten jednak wymawiał się pokornie i unikał pokus. Silniejsza czekała nań jeszcze.

ROZDZIAŁ LXII

Fra Colonna miał wolny wstęp do papieskiej biblioteki. Zdarzało się czasem, że kończył pracę o tej samej porze i razem z Gerardem wędrowali przez miasto; przy takiej okazji uszczęśliwiony artysta widział wszystko en beau, oczarowany wielkością Rzymu, kościołami, pałacami i ruinami.

Zakonnik cenił ruiny, ale gardził całą resztą.

- To ma być Rzym? To grób potężnego niegdyś Rzymu. Pokazał Gerardowi, że stare łuki triumfalne tkwiły w ziemi na dwadzieścia, nawet trzydzieści stóp głęboko, że nowoczesne ulice biegną ponad starożytnymi połaciami, nad szczytami kolumn. Porównał stosunkowo skromne granice nowoczesnego miasta z gigantycznymi zabytkami starożytności, wylaniającymi się tu i ówdzie z ziemi; dał także to znamienne porównanie:

- Powiadam ci, że to Rzymem nazwane miasteczko jest jako gniazdo jaskółcze zbudowane pod okapem ruin opactwa.

- Stary Rzym musiał być zaiste wspaniały - rzekł Gerard.

- Sam osądź, synu. Oto potężny kanał, dzieło Rzymian, które powstało w zalążku ich dziejów, a trwalsze będzie od Wezuwiusza. Oglądasz fragmenty Świątyni Pokoju. A gdybyś tak mógł obejrzeć Kapitol i jego dwadzieścia pięć świątyń? Podziwiasz Monte Savello: to, za pozwoleniem, jeno ruiny dawnego teatru Marcellusa! Testaccio zaś, jedno z najwyższych wzgórz nowoczesnego Rzymu, to tylko dawny śmietnik! Niewiasty starożytnego Rzymu wyrzucały tu potłuczone dzbany, garnki, i proszę - góra!

Ex pede Herodem; ex ungue leonem

Gerard słuchał z uszanowaniem, ale zaprotestował stanowczo, gdy świątobliwy zakonnik, snując swe analogie, uznał również moralną wyższość pogańskich Rzymian.

- Czyżby świat poniósł stratę wraz z pojawieniem się Chrystusa? - zapytał zaczerwieniony, ponieważ czuł, że czyni w ten sposób wyrzut swemu dobroczyńcy.

- Uchowaj Boże! - odparł zakonnik. - Takie twierdzenie byłoby herezją.

Uczyniwszy to wyraźne ustępstwo, zaczął je stopniowo uszczuplać subtelnymi okrężnymi zabiegami, by wreszcie dotrzeć do zakazanych wrót od strony krętych tylnych schodów. W trakcie tych rozważań zbliżyli się do kościoła. Spora grupka ludzi stała przed bramą świątyni. Wewnątrz egzorcyzmowano demona. Otóż Fra Colonna miał zwyczaj pojękiwać w szczególny sposób, gdy jako fakty przedstawiano mu rzeczy, których nie przełknąłby ani Zenon, ani Epikur. Tym dźwiękiem wyrażał nie tylko gwałtowny sprzeciw, lecz także litość dla łatwowierności, ignorancji i błędów, szczególnie wówczas, gdy zaślepieni ludzie nie dostrzegali zasług pogańskiej starożytności. Mnich jęknął więc z dezaprobatą i rzekł:

- Chodźmy stąd.

- Och nie, ojcze, proszę was, proszę! Nigdy jeszcze nie widziałem, jak się wypędza szatana.

Mnich wpierw wzruszył pogardliwie ramionami, ale wszedł z Gerardem do kościoła. Opętany klęczał przed ołtarzem, na szyi miał ciasno zawiązany sznur, na którym ksiądz egzorcysta trzymał tego człowieka jak psa na łańcuchu.

Ludzi było niewiele, rozniosła się bowiem wieść, że demon ostatnim razem wypędzony w tym kościele odszedł niedaleko, schronił się w ciele jednego z widzów: „jak królik wypędzony przez łasicę, który biegnie do sąsiedniej nory”.

Po wejściu Gerarda i zakonnika ksiądz uznał, że ma już dość widzów, i rozpoczął czynności.

Trzymając brewiarz w ręku, zwrócił się do opętanego i usiłował ustalić imię tego, z którym ma walczyć.

- Wychodź, Astarot. A, więc to nie ty. Wychodź, Beliału. Wychodź, Tatzi; wyjdź, Eza. Nie, nie zadrzał. Wychodź, Azymocie! Wyjdź, Ferianderze, wychodź, Foletto. Wychodź, Astymo. Wychodź, Nebulu. Ach, rozpoznałem cię, to ty, ty, gadzie. Twoje to stare sztuczki! Módlmy się.

- O Panie nasz, błagamy Cię, wygnaj plugawego szatana z ciała tego stworzonego przez Ciebie człowieka; wygnaj go z jego włosów, oczu, nosa, ust, uszu, dziąseł, z jego

zębów, barków, ramion, nóg, bioder, żołądka, trzewi, ud, kolan, łydek, stóp, kostek u nóg, palców i paznokci rąk i nóg, wygnaj go z duszy. Amen.

Ksiądz wstał z klęczek i zwrócił się do zebranych pogodnie i ze spokojem:

- Najmilsi, oto zetknęliśmy się z upartym rodzajem diabła, jak to zwykle przydarza się latem.

Następnie z całą surowością przemówił do opętanego, na przemian to do człowieka, to do szatana, ci zaś odpowiadali kolejno tymi samymi ustami, raz oznajmiając, że nienawidzą wszystkich wymienionych przez księdza świętych imion, to znowu skarżąc się na cierpienia i udręki duszy.

To ksiądz pierwszy pomieszał pojęcie ofiary i winowajcy, rzucając się gwałtownie na pacjenta, bijąc go, zdrowo kopiąc i plując mu kilka razy w twarz. Następnie zapalił świecę i odwrócił ją w dół płomieniem. Topniała, dopóki nie oparzyła mu palców, a wtedy rzucił ją z podwójnym pośpiechem. Podniósł wysoko monstrancję i ukazał opętanemu Corpus Christi. Zapalił inną świecę w podobny jak poprzednio sposób, tym razem jednak ostrożniej. Z kolei przemówił uprzejmie do ludzkiego wcielenia nawiedzonego, odprawił go i przyjmował wyrazy uznania od zgromadzonych.

- Dobry ojciec - powiedział Gerard - jak dobrze macie w pamięci ich szatańskie imiona! Nasi północni księża nie posiadają tak znakomitej znajomości piekielnych zastępów.

- Ach, młodzieńcze, rzeczywiście znamy wszystkie ich imiona jako też sposoby tych gadów. Nebul jest zaiste trudnym do wypędzenia.

Opowiedział zebranych o paru swych doświadczeniach w najbardziej powabny i ujmujący sposób; na zakończenie przytoczył historię walki stoczonej w dniu wczorajszym, gdy wyrwał z ust niewiasty ogromnego, ociężałego szatana. Diabeł zgubił paznokcie, szpilki i pęk włosów, krzyczał przy tym przeraźliwym głosem: „Nie ty mnie pokonałeś. Przyjrzyj się temu kamieniowi na parapecie okiennym. To anioł Gabriel schodząc niegdyś na ziemię trafił na ten kamień, to on mnie pobił.”

Mnich jęknął: - I uwierzyliście mu?

- Naturalnie! tylko bezbożnik mógłby podać w wątpliwość objawienie tak ściśle przedstawione.

- Jak można wierzyć ojcu kłamstwa? Nie godzi się taka łatwowierność dojrzałego człowieka.

- Nawet kłamca nie zawsze kłamie.

- Czyni to zwłaszcza wtedy, gdy opowiada nieprawdopodobną historię i pokazuje świętą relikwię. Uzbrój się przeciw szatańskiemu gościowi! Szatani (jeżeli istnieją) nie są naiwni. Winienesz mu być odrzec starożytnym cytatem:

Timeo Danaos et dona ferentes.

- Jakiś łajdaczyzna rozbił tym kamieniem głowę żonie, młody człowieku, rękę ci za to. Co rzekłszy, mnich spiesznie pociągnął za sobą Gerarda.

- Ach, ojczec, obawiam się, żeś do kontuzji przywiódł zacnego księdza.

- Tak, na Polluksa - zachichotał mnich - zmiażdżyłem go pierwszym „Sokratesowym argumentem”. Któż ze współczesnych potrafi odeprzeć cios starożytnej broni?

Pewnego popołudnia, gdy Gerard skończył właśnie dzienną pracę, zgłosił się do niego lokaj o wspaniałej prezencji i poprosił o przybycie do pałacu Cesarini. Młodzieniec poszedł; wprowadzono go do wytwornego apartamentu, w którym siedziała dziewczyna tkająca gobelin. Podniosła się, opuściła komnatę, mówiąc, że zawiadomi panią o przybyciu gościa.

Gerard dobrą godzinę wyczekiwał w wielkim pokoju i cierpliwość zaczęła go opuszczać.

„Wielcy panowie nie cenią zbyt czasu biedaka” - pomyślał. Gdy miał już ochotę wymknąć się i powrócić do swych zajęć, drzwi otwarto, olśniewająco piękna dama weszła do salonu, a za nią dwie służebne. Była to młoda księżniczka Cesarini. Kroczyła, mówiąc głośno i wyniośle do swych dworek. Na widok Gerarda spytała innym zupełnie, cichym, kobiecym głosem:

- Czy jesteś pisarzem, messer?

- Tak, signora.

- To dobrze - usiadła, a Gerard stał i stały panny służebne.

- Jak się zwiecie, młodzieńcze?

- Gerard, signora.

- Gerard? Na Bakchusa, czyż człowiek może nosić takie imię?

- To imię holenderskie, signora. Urodziłem się w Tergou w Holandii.

- Surowe to imię, dziewczęta, dla tak zacnej prezencji młodzieńca, nieprawdaż?

Służebne gorliwie przytaknęły.

- Czemuż to posłałam po niego? - zapytała wyniośle, ze znużeniem, młoda dama. - Ach, już przypominam sobie. Siadajcie, ser Gerardo, napiszecie mi list do Hektora Orsiniego. To mój wielbiciel, tak przynajmniej mówi.

Gerard usiadł, wziął papier, inkaust i spojrzał na księżniczkę, oczekując dyspozycji.

Pani z o wiele wyższego krzesła, prawie tronu, spoglądała w dół na młodzieńca również z pytającym wyrazem oczu.

- Proszę, Gerardo.

- Jestem gotów, wasza wysokość.

- Pisz więc.

- Czekam na słowa.

- A kto, twoim zdaniem, ma je wymyślić?

- Któż, jeśli nie wasza łaskawość, która chce wysłać ten list.

- Piękne dzięki! Pisarze zatem nie potrafią dobrać słów? Cóż warta wasza sztuka bez słów? Podejrzewam, żeście szalbierzem, mości Gerardo.

- Nie, signora, brzydzę się szalbierstwem. Mogę się postarać ułożyć słowa waszej wysokości wedle reguł gramatyki, utrwalić je w piśmie. Ale nie potrafię przetworzyć milczenia. Powiedzcie zatem, pani, co macie w sercu, a ja przeniosę to na papier w waszej obecności.

- A jeśli nic nie mam w sercu... A czasem myślę, że wcale nie mam serca.

- Jakie zatem są wasze myśli, pani?

- Tak samo żadne i niczego również nie mam w głowie.

- Po cóż zatem pisać?

- Po cóż, zaiste! Oto pierwsze sensowne słowo, które padło w naszej rozmowie. Niech go lichy porwie! Czemuż nie pisze pierwszy? Wtedy mogłabym rzec mu „nie” w jednej sprawie lub „tak” w innej, nie łamiąc sobie głowy. Zresztą, czy damie wypada pierwszej rzec słowo?

- Nie, signora, ostatnie.

- Dobrześ rzekł, Gerardo. Cha! cha! Należy ci się sztuka złota za dowcip. Podajcie sakiewkę!

Wyplącała natychmiast á la moyen age. Pieniądze wzmagają zapał. Gerard, zarobiwszy dukata tak łatwo, zapragnął wyciągnąć księżniczkę z opresji, jeżeli wystarczy mu jako mężczyźnie umiejętności i dowcipu.

- Signorina - rzekł - to dlatego trudne, że ludzie starają się wyrazić swe uczucia i myśli za pomocą sztucznych i wypracowanych zdań. Proszę sobie jeno wyobrazić, signora, tego, którego pani kochasz.

- Nie kocham go.

- A zatem signor, którego nie kochasz, siedzi przy tym stole... Dyktuj mi to właśnie, co chciałabyś mu rzec.

- Gdyby tu siedział, chciałabym mu rzec: odejź. Gerard, który wypróbował pióro, odłożył je z westchnieniem.

- A gdy odejdziesz - wtrąciła Floretta - wasza wysokość zechce powiedzieć: „Wracaj”.

- Zamilknij. Bądźcie wszyscy cicho, dajcie mi pomyśleć. Dręczył mnie o ten list, przyrzekłam mu: teraz to już rzecz honoru. Jakież kłamstwa mam powiedzieć Gerardowi, aby powtórzył je temu głupcowi? - Odwróciła głowę i zamyśliła się głęboko, opierając piękną twarz na białej, na pół zaciśniętej dłoni.

Siedziała przepojona kłamstwem, a tak śliczna i posągowa, jakby natchniona niebiańskimi myślami. Gerard zapomniał o wszystkim poza sztuką, z zapalem zaczął przenosić ów znakomity profil na papier.

Skończył już prawie, gdy piękny posąg odwrócił się nagle i spojrzał na chłopca.

- O nie, signora - rzekł nieśmiało. - Na miłość Boską, nie zmieniajcie postawy, była doskonała. Proszę popatrzeć, prawie ukończone!

Wszystkie spojrzenia padły na portret, a języczki natychmiast zaczęły pracować.

- Jaka podobna! i jak szybko! Nie, mnie się zdaje, że bródka jaśnie pani jest nieco inna.

- Och, jedno pociągnięcie poprawi.

- Szkoda, że nie kolorowe. Kocham barwy. Precz z czamobiałym! A jej wysokość ma taką śliczną skórę. Gdy nie oddać karnacji skóry, ginie połowa jej urody.

- Spokój. Czy możesz dać portretowi barwy, ser Gerarda?

- Tak, signorina. Słaby ze mnie malarz, gdy chodzi o farby olejne; celuje w nich mój przyjaciel Pietro; ale na mój skromny sposób mogę wymalować was, pani, jak żywą, jeżeli wasza wysokość znajdzie czas na taką próżnostkę.

- Nazywacie to próżnostką? Czas ciąży mi jak ołów. Posyłaj po farby, i to zaraz - szybko, natychmiast, na miłość Boską i wszystkich świętych.

- Nie, signorina, muszę je dopiero sporządzić. Mogę przyjść jutro o tej samej porze.

- Niech będzie. Floretto, dopilnuj, aby wpuszczono go o każdej godzinie. Zostaw rysunek mej głowy! Zostaw!

- Proszę o wybaczenie, signora; chciałem przygotować szkic w domu przed położeniem farb. Ale zostawię go tu. Teraz jednak wracajmy do listu.

- Jakiego listu?

- Do signora Orsiniego.

- Mam tracić c z a s na taką próżnostkę jak pisanie listów? I to do tego pustego kawalera, który mi jest obojętny jak książeczka?

Nawet nie obojętny, bo właśnie pojęłam me prawdziwe uczucia. Nienawidzę i pogardzam. Dziewczęta, zabraniam wam wymieniać przy mnie to imię. Wysmagam do krwi każdą, która o tym zapomni. Wiecie, jak potrafię przyłożyć, kiedym w gniewie. - Wiemy. Wiemy.

- Nie wyzywajcie więc mnie do tego - rzekła, a w oczach zamigotały sztylety; do Gerarda jednak odwróciła się odmieniona, słodka jak miód:

- Addio, il Gerarda!

Gerard skłonił się i wymknął z tej wybitej aksamitem tygrysię jaskini.

Przyszedł następnego dnia i zabarwił swój rysunek. Okazało się jednak, że pani życzy sobie mieć większy portret, potem zaś pragnie uwiecznienia całej postaci; musiał poświęcać teraz dwie godziny każdego popołudnia na rysowanie i malowanie księżniczki o równie zadziwiającej urodzie co i próżności oraz znamienitej liczbie amatorów na portrety. Chciwy na zarobek Gerard zyskał tu nowe, obfite źródło dochodów.

Małgorzata była coraz bliżej, coraz bliżej.

Przyszedł Wielki Czwartek, dzień wolny od pracy. Fra Colonna i Gerard siedzieli przy oknie oglądając procesję. Mnogość i porządek tych pobożnych tłumów wzbudziła w sercu Gerarda miłość Bożą, która zdawała się zresztą ożywiać dziś cały lud, poszukujący w ostatnich czasach raczej ziemskich uciech.

Niebawem papież, strojny w szkarłatny kapelusz, biały płaszcz z czerwonym aksamitnym kapturem, na ślicznej, białej neapolitańskiej klaczy, okrytej purpurowym aksamitnym czaprakiem, zdobnym złotymi frędzlami i chwastami, sunął majestatycznie na czele kardynałów. Stu konnych, uzbrojonych de pied en cap, kłusowało w asyście, z uniesionymi prostopadle włóczniami, grube końce tulej wsparłszy na biodrach. Z kardynałów tylko jeden Medici jechał w kapeluszu na głowie, trzymał się tuż obok papieża i rozmawiał z nim jak z równym. Co piętnaście kroków Ojciec Święty zatrzymywał na chwilę rumaka i udzielał błogosławieństwa ludowi.

Gerard i mnich zeszli teraz na dół i krocząc bocznymi uliczkami dotarli do portyku jednego z siedmiu kościołów. Wejście doń było zawieszane czarną tkaniną, na stopniach ukazali się papież i kardynałowie, którzy weszli do świątyni innymi drzwiami. Trzymali pochodnie w dłoniach, bariera dzieliła ich od tłumu. Kanonik odczytał bullę łacińską, ekskomunikując kilka osób, wymieniając imiennie takich szczególnie książąt, którzy wywłaszczyli Kościół z części ich dóbr doczesnych.

Gerard drżał tak jak wszyscy zebrani ludzie, słuchając tego strasznego obrzędu. Dwóch spośród kardynałów psuło ogólne wrażenie, chichocząc niepowściągliwie przez cały czas.

Po skończonej ceremonii zdjęto czarną zasłonę i ukazała się wesoła dekoracja. Papież znów pobłogosławił zebranych i na koniec rzucił w tłum swoją pochodnię, a za jego przykładem poszli dwaj kardynałowie. Ludzie skłębili się, walcząc o pochodnie, rozdarli je między siebie z takim pobożnym zapałem, że drobne okruchy zdobywano za cenę podbitych oczu, krwawiących nosów i poparzonych palców; Jego Świątobliwość wraz ze świtą wycofał się spokojnie w czasie tego zamieszania.

Buchnął krzyk i tłum rzucił się w stronę placu, na którym stał szeroki, otwarty podest: kilku księży odprawiało na nim modły. Powstali właśnie i bardzo uroczyście nakładali czerwone rękawice. Następnie jeden z nich ukląkł i z objawami największego szacunku wy dobył z relikwiarza kwadratową, podobną do zwierciadła ramę, okalającą jakby ślad odcisniętej twarzy.

Było to Verum Icon, czyli prawdziwe oblicze twarzy naszego Zbawiciela, odbite dla nas w najstraszliwym momencie Jego agonii. Przyjmowano tę relikwię bez cienia wątpliwości, możecie więc sobie wyobrazić, jak wzruszała każde chrześcijańskie serce.

Ludzie upadli na twarze, gdy kapłan podniósł świętość do góry; okrzyki litości były na wszystkich ustach, a łzy prawie we wszystkich oczach. Po chwili wierni wstali, księża obeszl platformę wokół, ukazując co chwila wizerunek stojącym najbliżej; zewsząd wznosiły się głośne okrzyki, dające wyraz uczuciom litości i pobożności.

Po małej chwili przyjaciele spotkali procesję biczowników smagających nagie barki, aż krew płynęła strumieniami: nie było najmniejszych oznak bólu na ich twarzach, wielu smagało swe ciała śmiejąc się i żartując. Przechodnie z litości częstowali ich winem; przyjmowali je, ale nieliczni tylko podnosili napój do ust, większość inna czyniła z trunku użytek: odświeżała dyscypliny stwardniałe od skrzepłej krwi, aby wzmocnić ciosy. Było wśród nich wielu niedorosłych chłopców. Młoda niewiasta ulitowała się nad pięknym urwisem.

- Ach, biedne dziecko - powiedziała - czemuż tak ranisz swą białą skórę?

- Basta, to za twoje grzechy - odrzekł ze śmiechem - przecie nie za moje.

- Słyszysz? - odezwał się mnich. - Czy istnieje bicz, który potrafi uderzeniami wygnać próżność z ludzkiego serca? Młody małpison, skąd taki pewny, że ta niewiasta jest bardziej grzeszna od niego?

- Ojciec - powiedział Gerard - to na pewno nie podoba się Panu naszemu. On był tak pełen litości.

- Pan nasz? - odparł mnich, przeżegnawszy się pobożnie. - Cóż On w ogóle ma z tym wspólnego? Rzymski to zwyczaj, istniejący od sześciuset lat przed narodzeniem Chrystusa. Podczas Luperkaliów chłopcy przebiegali ulicę miasta, biczując swe ciała. A zameżne niewiasty tłoczyły się dokoła nich, pragnąc przejąć uderzenia tych małych biczów, gdyż przynosiły jakoby płodność - za tamtych czasów. Głupia zabawa to biczowanie, pożyteczna jednak dla widza; przypomina mu o wielkim czasie pogaństwa. Nader bowiem skorzy jesteśmy zapominać, ile zawdzięczamy starożytnym.

Weszli teraz do jednego z siedmiu kościołów, w którym papież odprawiał właśnie mszę. Ceremonia była imponująca, znowu jednak zakłócona przez niepoważne zachowanie kardynałów i innych dostojników, którzy siedzieli przy ołtarzu w kapeluszach na głowie i gęgali w czasie nabożeństwa jak stado gęsi.

Eucharystia w obydwu postaciach została podana do skosztowania urzędnikowi, nim papież odważyłby się jej dotknąć. Niezmiernie to zdziwiło Gerarda.

- Któż jest ten człek nikczemnego stanu? I co czyni?

- To preguste - który dla ostrożności pierwszy spożywa hostię. To kraj trucizny, a biedni papieże najbardziej są na nią narażeni.

- Ach, niestety, i ja słyszałem już o tym, lecz po cudownej przemianie chleba i wina w Ciało i Krew Chrystusa trucizna nie może w nich pozostać. Nie ma już przecie chleba ani jego właściwości, nie ma już wina.

- Tak mówi wiara, doświadczenie jednak mówi co innego. Wielu pomarło w Rzymie od zatrucia hostią.

- A ja wam powiadam, ojciec, że tak chleb jak wino mogłyby mieć w sobie jad, zanim papież zdołał je poświęcić, po konsekracji przyjąłbym komunię bez cienia obawy.

- I ja tak bym postąpił, gdyby nie sztuki piękne.

- Co macie na myśli?

- To mianowicie, iż równie chętnie jak ty zdecydowałbym się opuścić ziemię, gdyby nie sztuka, której piękno kwitnie na tym oto świecie doczesnym, przez nie nabiera on wartości dla rozumnych i edukowanych ludzi. O, niej dopóki dziewięć muz ściele drogę życia różami uczoneści i sztuki, niech mnie Apollo darzy mądrością i ostrożnością, abym znając podstępny ziomków, nie zażył trucizny przy Bożym ołtarzu ani przyjacielskim stole. Wiemy bowiem, że gdybym przyjął ją w jadło lub napój, przecięłaby mię mego żywota, a ja oto piszę księgę, której oddałem serce i duszę, księgę o człeku w wielu sztukach znamienitym, pt.:

Marzenie Polifila. Nie wspominaj przeto przy mnie o truciznie, póki nie skończę i nie przepiszę dzieła.

A oto uderzono w wielkie dzwony kościoła Świętego Jana na Lateranie w krótkich odstępach czasu i ludzie pospieszyli tam, by ujrzeć głowy świętych Piotra i Pawła. Gerard i mnich zajęli dogodnie miejsca w kościele; ujrzeli tam ciężką zasłonę, którą po długim, pełnym podniecenia oczekiwaniu zgromadzonych rozsunięto szarpnięciami na boki i oto na wysokości trzydziestu stóp ukazały się dwie głowy. Twarze były brodate, wyglądały jak żywe. Widać je było przez czas wystarczający do odmówienia Zdrowaś Mario i zasłona zasunęła się znowu. W ten sam sposób odsłonięte je trzykrotnie. Twarz św. Piotra była blada, pociągła, broda siwa i rozdwojona, czoło uwieńczone papieską mitrą. Smągła twarz św. Pawła była obramowana gęstą kwadratową brodą; głowa odznaczała się masywniejszą budową, a twarz zdecydowanym, twardym wyrazem.

Gerard patrzył zdjęty pobożną grozą. Mnich przyznał mu potem rację następującym wywodem:

- Wystawienie imagines, czyli sporządzonych z wosku wizerunków bohaterów i półbogów, jest czcigodnym obyczajem i zachęca plebs do cnoty za pomocą wielkich i widocznych przykładów.

- Wizerunki z wosku? Więc to nie są prawdziwi apostołowie, zabalsamowani lub zachowani inaczej?

Mnich jęknął.

- Nie istnieli już w osiemsetnym roku. Wielkie, stare rody rzymskie zawsze przy pogrzebach zamawiały serie owych imagines dla powiązania terażniejszości z przeszłością, ukazując ludowi rysy sławnych i zasłużonych mężów. Przyznaję, że trudno o coś bardziej wzruszającego i pouczającego. Wtedy jednak owe wizerunki były portretami robionymi jeszcze za życia w godzinie zgonu. Te zaś twarze Pawła i Piotra są całkowicie wedle wyobraźni ukształtowane.

- Ach, nie mówcie tak, ojcze!

- Najgorszy jednak moim zdaniem jest sposób, w jaki ukazuje się je ludziom: na półce, w półmroku, na chwilę i przy pomocy nędznych oszukańczych sztuczek z odsuwaną zasłoną.

Quodcumque ostendis mihi sic incredulus odi

Dość; dzisiejsi ludzie to nie starożytni. Porzućmy te nowomodne maskarady i ukryjmy się wśród ksiąg papieskich; tam odnajdziemy mądrość, której na próżno szukalibyśmy na ulicach współczesnego Rzymu.

I gdy opanowała go ta myśl, zacny mnich ruszył przed siebie i rozpychał tłum, nie patrząc na prawo ani na lewo, póki nie udało mu się uciec od wspaniałości Wielkiego Tygodnia, które przyciągały do Rzymu pięćdziesiąt tysięcy cudzoziemców; miły spokój odnalazł wśród zmarłych, w Bibliotece Watykańskiej.

Wchodząc do pokoju Gerarda, trafił na gorącą dysputę pomiędzy Holendrem a Jakubem Bonawenturą. Ów lekkoduch i strojniś wpadł zakuty od stóp do głów w zbroję; zrzucił hełm, odsapnął i szydził w najbardziej pogardliwy sposób ze śmiesznej ceremonii, podczas której na czele swych żołnierzy musiał asystować papieżowi - chodziło o błogosławienie zwierząt pociągowych.

Gerard powiedział, że nic w tym śmiesznego; a zresztą to, co czyni Ojciec Święty, w ogóle nie może być śmieszne.

Spór stawał się coraz gorętszy; szydlerzo uśmiechnięty mnich zachowywał neutralność, czekając jak bocian, który pożera żabę i mysz, na zakończenie ich kłótni; wiedział, że zmiążdży obu młodzieńców argumentami starożytności. Nagle ktoś delikatnie odsunął zasłonę; wszedł czcigodny starzec o jedwabistej brodzie, w purpurowej piusce, spoglądając na nich z łagodnym bladym uśmiechem.

- Szczęśliwi młodzi, którzy potrafią dyskutować z takim zapalem.

Wszyscy uklękli. Był to papież.

- Wstańcie, dzieci - powiedział prawie nieśmiało. - Nie przychodzę do tego zakątka urzędowo. Jak tam Plutarch?

Gerard przyniósł rękopis i, przyklękawszy na jedno kolano, pokazał swą pracę Jego Świętobliwości. Papież usiadł, trzech mężczyzn stali.

Jego Świętobliwość z zainteresowaniem obejrzał dzieło Gerarda.

- Wyśmienicie przepisywane - orzekł.

Serce Gerarda zabiło radośnie.

- Ach, Plutarch to wielki artysta, Francesco. Każdy człowiek żyje na tych kartach: ileż charakteru mają postacie, a żadna niepodobna do drugiej!

Jakub Bonawentura: - Mnie tam dajcie pana Boccaccio.

Jego Świętobliwość: - Wyśmienity narrator, mój capitano, i znakomitym italskim pisze językiem. Ale duch i myśl monotonne. Wszyscy mnisi i wszystkie zakonnice nie mogą odznaczać się nieczystością: jedna lub dwie takie powiastki bywają miłe i zabawne, ale pięć tuzinów fałszywie maluje epokę i smuci serce człowieka ludzkość miłującego. Nadto autor nie ma zręczności w odtwarzaniu charakterów. W tej wielkiej sztuce ów Grek go przewyższa, on rzeźbi ludzi swym piórem. Zwróć uwagę, że obróciwszy stronice jego księgi, wchodzisz w

prawdziwy, wielki świat wojny i polityki, interesu i miłości we właściwym miejscu: u niego bowiem, tak jak w wielkim świecie, nie wszyscy mężczyźni biegają za dziewczętami. Nie porównuj z tym wielkim, szerokim polem wąskiego ogródka Boccaccia, zamkniętego w kółeczku nieprzystojnych uciech.

- Słyszałem, że i Wasza Świątobliwość nie gardził pisaniem powieści.

- Moja świątobliwość niejedno popełniła głupstwo, którego poniewczasie żałuje. Gdy pisałem powieści, nie sądziłem jeszcze, że będę głową Kościoła.

- Na próżno szukałem kopii, aby wzbogacić nią swój skromny księgozbiór - rzekł mnich.

- To dobrze. Przeto wydany przeze mnie przed czterema laty rozkaz zniszczenia każdej kopii w Italii aż do ostatniego egzemplarza został dokładnie wykonany. Mogę cię zresztą pocieszyć, że gdy zostałem papieżem, jakiś dureń przełożył rzecz ową na francuski. Możesz ją zatem za cenę wygnania przeczytać.

- W takiej opresji odwołujemy się do wielkodusznej decyzji Jego Świątobliwości. Raczcie wyjawić nam swój nieomylny pogląd na tę sprawę.

- Powoli, powoli, dobry kawalerze Francesco. Powieści papieża nie są przedmiotem wiary. Mogę jeno podzielić się z wami moimi szczerymi wrażeniami. Jeśli dobrze pamiętam, pocieszcie się, rzecz ma wszystkie niedostatki Boccaccia, jeno nie oznacza się równie wybornym językiem.

Fra Colonna: - Wszyscy wiedzą, że Wasza Świątobliwość jak nikt dotąd zlekceważył Eneasza Sylwiusza. Skrzywdziłem go prosząc Waszą Świątobliwość na sędziego. Może Wasza Świątobliwość bardziej sprawiedliwie raczy rozstrzygnąć między tymi chłopcami spór o błogosławieństwo zwierząt.

Papież spochmurniał. W czasie rozmowy o Plutarchu rozjaśnił się na chwilę, nawet oczy mu zabłysły; normalne jego zwyczaje daleko odbiegły od wyobrażenia, jakie mają o papieżu młode dziewczęta. Potrafię wyrazić to tylko po francusku: Le gentilhomme blasé. Wysoko urodzony i wysoce wykształcony gentleman, który wszystko już zrobił i powiedział, wszystko widział i zaznał wszystkiego, zniszczywszy prawie doszczętnie organizm i zużywszy siły witalne. Wydawało się, że propozycja mnicha podwoiła jego znużenie.

- Mój biedny Francesco - powiedział - zważ, że całe życie był pogrążony w sporach. Jestem nimi zmęczony, śmiertelnie zmęczony. Plutarch ściągnął mnie do tego cichego zakątka, nie zaś teologiczne rozważania.

- Ale gdyby można złagodzić tak ostrą różnicę zdań między dwoma młodymi zapaleńcami...

Μαχαριοι οί ειρηνοποιοί

- Tak mało znasz ludzką naturę, aby sądzić, że którykolwiek z tych ognistych młodzieńców będzie się liczył ze zdaniem nieszczęsnego starego papieża?

- Och, Wasza Świątobliwość! - z trudem chwytając oddech wybuchnął zarumieniony z przejścia Gerard. - Jeden z nas na pewno zachowa słowa Waszej Świątobliwości w pamięci na całe życie jako skarb najświętszy, zesłany przez Niebiosą.

- A zatem - rzeki papież - nie mogę odmówić. Tak jak nam to rzekłby Francesco -
οδ'α έδτιν δστις εστ'ανηρ ελεúθερος

Rozsmakowałem się w owym wymownym poganinie, drogim mi tak samo jak tobie, mnichu niewierny; a muszę rozprawiać o teologii lub o czymś nader tego bliskim. Ten młodzik ma wszakże zacne i ujmujące oblicze, a pisze po grecku jak anioł. Cóż, moje dzieci, aby zrozumieć drogi Kościoła, trzeba umieć wznieść się nieco ponad ziemię, gdyż Kościół przebywa między ziemią a niebem, pośrednicząc między nimi.

Nie chodzi mi o to, co czuje zwykły, pospolity człek, lecz co nasz wspólny Stwórca, który stworzył zarówno ludzi, jak zwierzęta, myśli o owych niższych istotach, bydlętach. Jeżeli zbyt dumni jesteśmy, aby odnaleźć odpowiednią lekcję w Kościele, możemy zaczerpnąć tę prawdę z najbardziej starożytnej historii ludzi i zwierząt.

Colonna: - Herodot.

- Nie, nie. Jeśli chodzi o tę rzecz, Herodot jest zbyt młody. Pokrzywdzilibyśmy dawną historię, opierając się jeno na twoich Grekach, którzy dopiero ostatnią kartę wielkiej księgi starożytności zapisali.

Mnich mruknął niechętnie. Oto papież wypowiadał herezje przeciwko jego bożyszczom.

- Mówię o Wulgacie, księdze, która rozstrząsa tę materię trzy tysiące lat przed autorem, zwanym przez uczonych „Ojcem Historii”.

Colonna: - Ach, Wulgata! Proszę o wybaczenie Waszą Świątobliwość. Jakżeście mnie przerazili! Prawie zapomniałem już o Wulgacie.

- Zapomnieć o niej? Czy aby pewny jesteś, żeś ją w ogóle czytał, Francesco mio?

- Nie w całości. Wasza Świątobliwość. Dawno sobie obiecuję tę przyjemność w pierwszej wolnej a sposobnej chwili. Lecz moi wielcy starzy poganie mało zostawiają czasu na wypoczynek.

Jego Świątobliwość: - A więc odnajdziesz już w Genezis, że Bóg stworzywszy zwierzęta i piękno ich podziwiając, odczuł boską rozkosz, której nawet określić nie potrafimy. Czyż to dziwne? Przyjrzyj się nieprzeliczonym kształtom zwierząt; przyjemnej ich sierści i

oczom, gracji, potędze i majestatowi u niektórych, barwie innych stworzeń, która żywsza jest od barwy róż czy rubinów. A gdy nie ze swej winy, lecz przez grzech człowieka zagładzie uległy, oszczędzono i zachowano po parze z każdego gatunku.

Kiedy zaś arka z drżącymi z przerażenia mieszkańcami kołysała się samotnie po bezmiarze wód, Słowo powiada: „Bóg pamiętał o Noem i «zwierzętach, które były wraz z nim wewnątrz arki»„.

Po czym Bóg zakreślił na niebie tęczę jako znak przymierza, że ziemia nie będzie już zatopiona. Między kim miało to być przymierze? Między Bogiem a człowiekiem? O nie, między Bogiem, człowiekiem «i każdym żywym stworzeniem cielesnym; chyba żebym z wiekiem tracił pamięć. Exodus podaje, że Bóg słodkim błogosławieństwem siódmego dnia wypoczynku objął również zwierzęta pociągowe.

To on wzbronił zakładać kaganiec na pysk wołu depcącego w kieracie ziarno. „Niechże biedne zwierzę utrudzone w mozolnym kręgu uszczknie szczyptę: większość ziarna zostanie jeszcze człowiekowi”. Powiesz może, że św. Paweł brutalnie rzecze w swym komentarzu: „Czyż Bóg troszczy się o woły?” Zaiste, gdybym był Piotrem, a nie najpokorniejszym z jego następców, odrzekłbym: „Rzuć swych dramatopisów, Pawle, czytaj Pismo, dowiesz się wtedy, czy Bóg dba li tylko o ludzi i wróbelki, czy też o wszystkie stworzenia. O Pawle! - rzekłbym, gdyby starczyło mi odwagi - nie potrafisz zrozumieć Boga czerpiąc o Nim wiedzę jeno z własnego serca lub nawet ze wszystkich serc człowieczych. Studiuj to, co sam Pan objawił w Piśmie o sobie”.

Po trzykroć zabronił Żydom gotować koźłeta w mleku matczynym, choć nie uważał takiego postępowania za okrucieństwo, lecz brak zrozumienia i delikatności uczuć, które mogą utorować drogę zwykłemu okrucieństwu. Prorok na ośle podróżujący spotkał anioła. I któż z nich dwu, iudice Paulo, ujrzał niebiańskiego ducha? Oczywiście prorok?... Jednak nie tak było. Człowiek z oczyma grzechem zamglonymi nie dojrzał niczego. Skromne, pogardzane stworzenie zobaczyło wszystko. I nawet nie podają tego za cud. To my, biedni zarozumialcy, przeceniamy siebie. Anioł zabił proroka i oszczędził zwierzę za to właśnie, że wyraźniej, jaśniej dojrzało istotę boskości. Tak rzekł, jak mi się wydaje. Ale zaiste czytałem o tym przed wielu laty. Czemuż Bóg oszczędził żałującą Niniwę? Ponieważ w mieście owym było sześćdziesiąt tysięcy dzieci i wiele bydła.

Świecka historia jak również doświadczenia ludowe dorzucają swe świadectwa. Okrutni dla zwierząt stają się okrutni wobec ludzi; a nagła i gwałtowna śmierć we wszystkich czasach uderza krwawym odwetem Niebios w tych, którzy świadomie krzywdzą niewinne zwierzęta. Sam byłem świadkiem podobnych wydarzeń. Rozważywszy wszystkie te racje,

wbrew opinii stoików, przyjaciół Francesca, którzy w swej próżności sądzą, że wszelkie stworzenia istnieją dla wygody człowieka, pamiętając o tym, iż żmije i skorpiony zabijają dominos terrae, moskity zjadają go po kawałku, a tygrysy i rekiny chrupią go niczym migdał - winniśmy zaprawdę wdzięczność tym czworonożnym przyjaciołom, wiernym i cierpliwym, którzy zamiast miażdżyć nas używają swej siły, by ulżyć ciężarom, i karmią ludzi jak matki ze swych delikatnych wymion.

Sądzę więc, iż Kościół nigdy nie jest bliższy boskości, niż błogosławiąc naszych czworonożnych przyjaciół, mimo iż to oburza wielki teologiczny autorytet kapłana gwardii papieskiej! Bo właśnie Kościół wdraża w pokorę i wdzięczność, wznosi się do poziomu boskiego umysłu, zbliża i objaśnia człowiekowi Boga, stwórcę, rodzica i przyjaciela ludzi i zwierząt.

Zważcie to jednak, młodzieńcy, nie jako mniemanie papieża ex cathedra, ale nieobowiązujące zdanie starego kapłana. I także przemyślcie je sobie w wolnej chwili. Starość bowiem zaiste musi coś człowiekowi dać, choćby w zamian za utracony (dum puerorum ilia, co, Francesco?) zdrowy żołądek.

Taka była treść wypowiedzi papieża; forma zaś wykwiłtna, łagodna, wolna od cienia dyktanda i autorytatywności. Zdawał się spokojnie rozpatrywać ten problem wspólnie ze swymi słuchaczami, nie udając Pani Wyroczni. Na dnie tego wszystkiego można było doszukać się odrobiny żartobliwego koloryzowania, ale taki żart upiększa życie, a subtelny italski wdzięk nadawał wszystkiemu właściwą i wytworną barwę.

- Wydaje mi się, że usłyszał delficką wyrocznię - rzekł z entuzjazmem Fra Colonna.

- Ja bym raczej nazwał to rozsądnym - wykrzyknął Jakub Bonawentura.

- Och, kapitanie, rozsądne! - powiedział Gerard z głębokim choć delikatnym wyrzutem.

Papież uśmiechnął się do Gerarda.

- Nie wybiedzaj w słowach, było to i tak niesłychane ustępstwo ze strony rywalizującego teologa.

Papież poprosił o resztę pracy Gerarda. Przed wyjściem dobrotliwie pociągnął za ucho Fra Colonnę i zapytał, czy pamięta czasy, kiedy jako koledzy ze szkolnej ławy kradli Najświętszej Dziewicy monety wrzucane do jej przydrożnej skarbonki.

- Wziąłeś cienki patyk, koniec wysmarowałeś lepem na ptaki i wyciągałeś pieniądze przez szparę, ty łobuzie - powiedział surowo Jego Świątobliwość.

- Oddajmy cesarzowi co cesarskie - odparł Fra Colonna. - Dzięki wybitnemu rozumowi Waszej Świątobliwości powstała metoda, ja byłem tylko skromnym narzędziem.

- To prawda. Sądę, iż zdajesz sobie sprawę, że to świętokradztwo.
- Nie ma cienia wątpliwości, popełniłem je jednak w tak dobrej kompanii, żem wolny od obaw.

- Hm! Ja nie mam nawet tak skromnej pociechy. Na cośmy je wydali, pamiętasz?

- Jak Wasza Świątobliwość może pytać o rzecz tak oczywistą? Na cukry.

- Jak to, wszystkie?

- Do ostatniego szeląga.

- Uroczę to wspomnienia, mój Francesco. Niestety. Starzeję się. Nie będę już z wami długo. Myślę o tym z przykrością także z twego powodu: zostaniesz spalony, gdy mnie nie stanie. Jesteś heretykiem gorszym od Husa, którego na własne oczy widziałem, jak płonął.

- Jakżeż, Wasza Świątobliwość? Przecież ja wierzę w papieża, a on nie wierzył.

- Lis z ciebie! Nie spalą ciebie; drzewo jest zbyt kosztowne. Żegnaj, stary towarzyszu; żegnajcie młodzieńcy, błogosławieństwo starego człowieka niech będzie z wami.

Po południu sekretarz papieża wręczył Gerardowi małą sakiewkę, a w niej kilka sztuk złota.

Chłopiec dołączył je do swego zapasu.

Małgorzata zdawała się być coraz bliżej.

Od dłuższego już czasu jakby dobre wróżki roztoczyły nad nim swoją opiekę. Przynoszono mu pod drzwi kosze z wykwinnym jadem i owocami, oddawcy zaś nie wiedzieli, kto je przysłał, lub udawali niewiedzę. Pewnego dnia otrzymał w liście klejnot bez słowa wyjaśnienia.

Ostatnie zdarzenie zmusiło gospodynię chłopca do głośnego wypowiedzenia swych podejrzeń.

- To żaden z twych opiekunów, głuptasie, lecz jakaś dama, która pokochała twoje słodkie liczko. Wcale się jej zresztą nie dziwię.

ROZDZIAŁ LXIII

Księżniczka Klelia zamówiła swój portret naturalnej wielkości. Gerard poradził, aby zwróciła się do jego przyjaciela, Pietro Vannucciego.

Odmówiła.

- Zdążę jeszcze zlekceważyć mego Gerardo, gdy będę niezadowolona z jego pracy.

Wobec tego Gerard, który był wyśmienitym rysownikiem, ale słabszym kolorystą, poprosił, aby mu pozowała jako posąg Rzymianki. Pokazał, jak dokładnie potrafi oddać marmur na papierze. Zgodziła się początkowo, ale straciła ochotę, gdy młody entuzjasta wyjaśnił, że musi wdziać tunikę, togę i sandały starożytne.

- Właściwie dlaczego, przecież będę wyglądała jak w koszuli - powiedziała ze szczerością właściwą średniowieczu.

- Niestety, signorina - odparł Gerard, - Nigdy zapewne wasza wysokość nie przyjrzała się starożytnemu strojowi, jak jest swobodny, bogaty, prosty, a przecież szlachetny. Wielce w nim będzie waszej wysokości do twarzy. Niebiosa obdarzyły waszą wysokość rzymskimi rysami, a także równie kształtnymi ramionami i dłońmi, zakrytymi w ubiorze nowoczesnym.

- Czyżbyś umiał schlebiać jak wszyscy inni, Gerardo? Daj mi czas do namysłu. Przyjdź w sobotę, powiem wtedy tak albo nie.

Zwłoka dobrze została wyzyskana: uszyto tunikę i togę, księżniczka przymierzała nowe stroje w swej komnacie sprawdzając, czy rzeczywiście aż tak uwydatniają jej urodę, by można było im przebaczyć opóźnienie mody o tysiące lat.

Gerard spiesząc na umówione spotkanie, stanął zdumiony przed wystawą sklepu.

Dojrzał swymi bystrymi oczami wyłożoną w oknie kopię Laktancjusza.

- Pięknie przepisane - pomyślał. Przyglądał się pilnie jeszcze chwilę. Tekst nie był pisany, lecz drukowany.

Chłopak jęknął: - Otom dognany; nieprzyjaciel u bram. Machina jest w Rzymie.

Wszedł do sklepu i udając obojętność zapytał, od jak dawna pracuje w Rzymie prasa drukarska. Księgarz odparł, iż sądzi, że nie ma jeszcze takiej maszyny w mieście.

- Ach, Laktancjusz, to druk pochodzący z górnych Apenin.

- A czy tam spadł z księżycyca?

- Nie, messer - odparł śmiejąc się kupiec. - Został tam wystrzelony z Niemiec. Proszę, zajrzyjcie na stronę tytułową!

Gerard chwycił książkę do ręki i ujrzał następujące słowa:

Opera et impensis Sweyriheim et Pannartz Alumnorum Joannis Fiist Impressum Subiaeis. A. D. 1465 r.

- Pragniecie kupić, messer? Przypatrzcie się, jakie piękne i równe litery. Niewielu już pozostało mistrzów, którzy potrafią tak pisać, a koszt czterokrotnie niższy.

- Pragnąłbym posiadać tę księgę - rzekł ze smutkiem Gerard - ale serce mi wzbrania. Wiedźcie, zem kaligrafem, a ci oto uczniowie Fusta biegną za mną po drogach świata i odbierają chleb. Nie życzę im zresztą niczego złego, Boże broń! - spiesźnie opuścił sklep.

Droga Małgorzato - pomyślał - nie wolno nam tracić czasu. Trzeba kuć żelazo, póki gorące. Jeszcze miesiąc i lawina pras drukarskich spłynie z Apenin na Rzym i zrujnuje doszczętnie kopistów.

Pobiegł prawie do księżniczki Klelii.

Wprowadzono go do nie znanej dotąd komnaty. Była niewielka, lecz luksusowo urządzona: fontanna biła na środku sali, posadzkę wysłano skórami panter, w puszystych futrach milkły kroki. Ten przedpokój prowadził do buduaru księżniczki, drzwi zastępowała bogata, tkana we wspaniałe wzory zasłona.

Gerard czekał samotny tak długo, aż poczuł niepokój, czy dziewczyna wskazała mu właściwe miejsce.

Jego wątpliwości zostały rozproszone w miły sposób.

Lekkie kroki dały się słyszeć za zasłoną - kotara się rozsunęła w środku, w drzwiach stanęła postać, która mogłaby wzbudzić zachwyt starożytnych. Niepodobna ani do Wenus, ani do Minerwy; była czymś pośrednim: szlachetniejsza, bardziej pełna godności od Wenus, bardziej kobieca od córki Jowiszowej. Toga, tunika, sandały; ani jednego nowoczesnego szczegółu. Co do piękności to ta jest wieczna.

Gerard zerwał się z miejsca i, będąc artystą, zapłonął się z zachwytu.

- Och!zawołał i patrzył przepełniony niewinnym uniesieniem. Jego zapal dodał jeszcze uroku modelce: policzki zarumieniły się leciutko, oczy zabłysły, usta odpowiedziały czarującym pobłażaniem na ów szczerzy hołd dla jej wdzięków.

Gdy tak spojierali na siebie przez chwilę, księżniczka widząc, że wymowa Gerarda ustąpiła miejsca spojrzeniom i okrzykom zachwytu, odezwała się pierwsza:

- Cóż, Gerardo, zrobiłam ze siebie antyczne monstrum na twoje życzenie.

- Monstrum? Sądzę, że Fra Colonna upadłby na kolana i wielbił waszą wysokość widząc ją w tym stroju.

- Nie dbam o uwielbienie starca. Wolałabym, aby pokochał mnie młodzian, którego wybrałabym sama.

Gerard chwycił ołówek, przygotował karton i zabrał się do dzieła. Z takim zapalem pracował, że nie okazał litości modelce. Księżniczka stała prawie godzinę nie zmieniając pozycji, odezwała się mdlejącym głosem:

- Gerardo, nie mogę tak stać dłużej, nawet dla ciebie.

- Proszę usiąść i odpocząć chwilę, signora.

- Dzięki - odparła, padając na krzesło. Zbladła i westchnęła ciężko.

Gerard przeraził się; spostrzegł, jak był bezwzględny. Zaczepnął wody z fontanny i chciał zwilżyć jej twarz, ale podniosła białą dłoń:

- Nie, proszę, nie pryskaj na mnie wodą, połóż mi rękę na czole. Gerard nieśmiało i z wahaniem dotknął mokrą ręką jej skroni.

- Ach! - westchnęła - życie mi wraca. Jeszcze.

Raz jeszcze zwilżył jej czoło. Podziękowała i poleciła mu zadzwonić - mały dzwonek stał na stole. Weszła służebna, kazała jej sprowadzić Florettę z wielkim wachlarzem.

Floretta przybiegła spiesźnie.

Nie zdążyła jeszcze podejść do księżniczki, gdy delikatne nozdrza damy zadrgały jak u rasowego konia.

- Nędzniczo - krzyknęła, wstała zapomniawszy o niedawnej słabości, zapuściła lewą dłoń we włosy Floretty, a prawą trzy razy szarpnęła ją boleśnie za uszy.

Floretta piszczała i szlochała, nie zdołała jednak wzruszyć swej pani.

Antyczna toga odkryła nagie ramię, równie silne jak piękne: podnosiło się i opadało jak tłok w nowoczesnej maszynie parowej, ciężkie uderzenia spadały jedno po drugim na ramiona Floretty; ostatni cios wyrzucił ją łkającą i narzekającą za zasłonę, a stamtąd słychać było jeszcze przez czas jakiś jej gorzki płacz.

- Święci pańscy! - zawołał Gerard. - Cóż się stało? Co złego zrobiła?

- Już ona dobrze wie. To nie pierwszy raz. Paskudna dziewczucha.

Nauczę ją, by nie przychodziła tu do mnie cuchnąc piżmem na miłe!

- To chyba błahostka, signora, jak sądzę?

- Błahostka? O nie, to wstrętna przewina. Czy gniewasz się na mnie, że ją uderzyłam, Gerardo? - Zapytała słodko i pokornie ze zdumiewającą szybkością zmieniając ton i nastrój.

- Signora, trudno mi was, pani, pouczać, ale jeśli Nieba dały komuś panowanie nad innymi ludźmi, to powinien umieć panować nad sobą. Tak myślę przynajmniej.

- To prawda, Gerardo. Jakiś ty mądry, mimo iż tak młody. - Przywołała inną służebną i podała jej małą sakiewkę.

- Daj to Florecie i powiedz, że pan Gerardo wstawił się za nią, a więc muszę przebaczyć. Już dobrze, Gerardo?

Poczerwieniał słysząc komplement, a nie wiedząc, jak godnie odpowiedzieć, zapytał, czy mógłby już dalej rysować.

- Nie; zmęczyłam się trochę bijąc tę łobuzicę. Posiedzę jeszcze chwilę, a ty porozmawiaj ze mną. Wiem, że umiesz mówić i że mówienie sprawia ci przyjemność taką samą jak rysowanie.

- Bez trudu spełnię to życzenie.

- Proszę więc zaczynać, Gerardo. Teraz młodzieniec próbował się wycofać.

- Nie wiem, co powiedzieć, signora. To tak nagle...

- Mów, co myślisz. Powiedz, że chciałbyś teraz być wszędzie byle nie tu.

- Nie, signora, to byłaby nieprawda. Miałbym zaiste pewne życzenie.

- Jakie życzenie? - spytała łagodnie.

- Chciałbym narysować cię, pani, taką jak wówczas, gdy byłaś to biedne dziewczę. Byłaś straszna wówczas, lecz piękna. Jakież to model do Pytonissy!

- Niestety! ten ciągle myśli tylko o swej sztuce! I czemuż tak się zachwycasz mą urodą, Gerardo? Jesteś piękniejszy ode mnie, bardziej podobny do Apollina niż ja do Wenus. Piękne masz włosy, piękne oczy - i wiesz, do czego ci służą?

- Wiem pani, abym mógł cię rysować.

- O tak, dostrzegasz moje rysy, ale nie widzisz tego, co spostrzegłby każdy rzymski kawaler na twoim miejscu. Musiałeś chyba zauważyć, jak miły mi jesteś, Gerardo?

- Zauważyłem, że jej wysokość zawsze jest niezwykle życzliwa dla biednego cudzoziemca.

- O nie, Gerardo. Byłam często dla ciebie zimna, czasem szorstka, a ty jesteś tak naiwny, że nie rozumiesz przyczyny. Niestety, bałam się własnego serca. Nie chciałam zostać twą niewolnicą. Sama dotąd brałam w niewolę. Ach, Gerardo, jakżem nieszczęsna. Od czasu, gdy tu przybyłeś, żyłam tylko twymi odwiedzinami. W dniu, gdy cię widzę, jestem wesoła. W inne dni wszystko mi obojętnie, chciałabym, aby co prędzej minęły. Jesteś inny niż rzymscy kawalerowie. Odkąd cię znam, nienawidzę ich. Jesteś dziesięćkroć od nich dzielniejszy, mądry i wykształcony, nigdy nie kłamiesz i nie schlebiasz. Gardzę mężczyzną, który kłamie. Gerardo, naucz mnie twych czarów, naucz, co mam czynić, abyś był tak szczęśliwy przy mnie, jak ja jestem przy tobie.

W miarę jak płynęły te dziwne słowa, słodki głos księżniczki ścichł prawie do szeptu i drżał hamowaną namiętnością, biała rączka nieśmiało, lecz zdecydowanie wsunęła się pod ramię Gerarda i pozostała tam wsparta o jego kiść jak delikatne ptaszę, spłoszone jednym słowem, gotowe do odlotu.

Niedoświadczony Gerard, nie znający próżności, pogrążony w swym uczuciu do Małgorzaty i oddany sztuce, nie dostrzegł wydarzeń, choć wiele systematycznych jaskrawych objawów je zapowiadało.

Poczerwieniał aż po korzenie włosów. Niewinna admiracja królewskiej piękności nie zatarła w nim ani na chwilę obrazu nieobecnej Małgorzaty. Była to zaiste królewska piękność, więc nawet nigdy nie śmiał sobie wyobrazić zalotów i czułości. Jak ją powstrzymać, nie raniąc?

Poczerwieniał i zadrżał.

Syrena dostrzegła to i starała się dodać mu odwagi.

- Biedny Gerardo - szepnęła - nie obawiaj się, nikt jeszcze nie doznał krzywdy pod moją opieką, czy nie chcesz mi czegoś powiedzieć, Gerardo mio?

- Signora - wybąknął młodzieniec z wyrzutem.

Spuścił zmieszany oczy, ujrzał delikatną dłoń i kształtne białe ramię oplecione jak wąty krzew wokół jego ręki i wydało mu się, że widzi jeszcze tę czarownicą rączkę na twarzy Floretty.

Zadrżał i poczerwieniał.

- Niestety - powiedziała księżniczka - ja go napawam przerażeniem. Czy jestem tak straszna? Może cię onieśmiela moja rzymska szata? Zrzucę ją, ubiorę się jak w dniu, gdyś przyszedł po raz pierwszy. Czy pamiętasz? Miałam napisać list do tego nudnego kawalera Hektora d'Orsini. Wyznać ci prawdę? To twój widok, twoje miłe obyczaje, rozumne słowa sprawiły, że go wnet znienawidziła. Przedtem dość lubiłam tego głuptasa; lub myślałam, że lubię. Powiedz, ileś razy był tu od owego czasu? Nie wiesz nawet, nie kochasz mnie tak jak ja ciebie. Osiemnaście razy, Gerardo. Za każdym zaś razem byłeś mi droższy. Dzień, w którym nie przychodzisz, jest nocą dla Klelii. Niestety, oto mówię za dwoje! Okrutny chłopcze, czym niewarta słowa? Czy co dzień widzisz księżniczkę u swych stóp? Błagam cię, błagam, przemów do mnie, Gerardo.

- Signora - wyjąkał Gerard. - Cokolwiek rzeknę, lepiej, aby nie było to powiedziane. O nieszczęsny dzień, w którym tu przyszedłem!

- Ach, nie mów tak! Był to dla mnie dzień najbardziej promienny, szczęsny, zwłaszcza zaś dla ciebie. Zmuszę cię, byś wyznał to równie wymownie, niewdzięczniku!

- Wasza wysokość - rozpoczął Gerard cichym, błagalnym głosem.

- Nazywaj mnie Klelią, Gerardo.

- Signora, zbyt młody jestem i nieroztropny, aby wiedzieć, jak wolno mi mówić, abym nie wydał się ślepym, a zwłaszcza niewdzięcznym. Jedno jeno wiem, iż byłbym zarazem podły i niewdzięczny, stałbym się wrogiem waszym, pani, najgorszym na świecie, gdybym usiłował wykorzystać ten szaleńczy kaprys. Z całą pewnością zły duch jakowys ważył się natchnąć waszą wysokość. Rzecz to bowiem przeciwna naturze, by księżniczka wszelakimi obdarzona wdziękami obróciła swe afekty ku hołyszowi.

Księżniczka z wolna zdjęła dłoń z kiści Gerarda. Rączka damy przesuwając się leciutko po ramieniu chłopca drgnęła nagle, zawahała się jakby chwileczkę przed rozstaniem.

- Obawiasz się sztyletów moich krewnych? - powiedziała, a w głosie jej zabrzmiał jednocześnie smutek i pogarda.

- Nie bardziej niż szpilek od włosów waszych kobiet - odparł wyniośle Gerard. - Boję się Boga, świętych Jego i własnego sumienia.

- Mów prawdę, Gerardo, prawdę! Niezgrabna jest twa hipokryzja. Księżniczkami, zwłaszcza młodymi, nie gardzi się dla miłości Boga, jeno dla innej kobiety. Powiedz, kim jest twa ukochana. Jeśli ciebie godna, przebaczę!

- Żadna z dziewcząt Italii, klnę się na duszę.

- Ach, więc jest jednak jakaś! Gdzie? Gdzie?

- W Holandii, mym kraju ojczystym.

- Ach, Maria Burgundzka jest, jak powiadają, urodziwa, ale to jeszcze dziecko!

- Księżniczko, ta którą kocham nie jest szlachetnie urodzona, tak jak i ja. Nie jest taka piękna jak wy, pani. Podoba mi się jednak, oddałem jej swe serce, czcząc liczne jej cnoty, a wiążą nas na zawsze niebezpieczeństwa i troski, które przeżyliśmy razem i jedno dla drugiego. Wybaczcie mi, pani, nie chciałbym skrzywdzić mej Małgorzaty nawet dla wszystkich najświetniejszych dam Italii!

Wzgardzona piękność zerwała się z krzesła i stanęła naprzeciw młodzieńca równie piękna, ale o wiele groźniejsza niż wówczas, gdy była Florette. Wówczas policzki płonęły jej rumieńcem, teraz były blade, oczy zaś lśniły gniewem.

- Śmiesz mi powiedzieć to w oczy, ty łajdaku bez poloni i ogłady - krzyknęła. - Czy na tom została urodzona, aby tacy jak ty mną gardzili i obrażali mą godność? Strzeż się! My wielcy nie znosimy rywali. Zastanów się, co lepsze - miłość czy nienawiść córy rodu Cesarinich. Po tym, com ci rzekła, zostało jeno miejsce na miłość lub nienawiść między nami i to aż do śmierci. Wybieraj!

Patrzył na nią ze zdumieniem i grozą - stała wyniosła w rzymskiej todze, żądając od niego dziwnego wyboru.

Poczuł się jak śmiertelny człowiek, biedny i słaby, przed obliczem antycznej bogini.

Westchnął głęboko - milczał.

Może to głębokie, spokojne westchnienie poruszyło jakąś czułą strunę w nieopanowanej istocie, a może zgasła już jedna pasja, aby dać początek następnej - księżniczka opadła znużona na siedzenie, strumienie łez potoczyły się po jej policzkach.

- Biada mi, biada! - powiedział Gerard. - Nie płaczcie, słodka pani, te łzy mnie oskarżają, mam ochotę zapłakać wraz z wami. Spokoju, łaskawa ma patronko, życie pokaże, żem był wam o wiele lepszym przyjacielem, niż się to wydawało.

- Masz rację, Gerardo - odparła księżniczka. - Przyjaciel oto właściwe słowo, jedyne słowo, które powinno było istnieć między nami. Byłam szalona. Każdy inny mężczyzna

umiałby wykorzystać me szaleństwo. Musisz nauczyć mnie sztuki przyjaźni, spraw, abym była ci przyjacielem i niczym więcej.

Gerard z radością przyjął tę propozycję, wyjaśnił jej według Cycerona, jak boskim uczuciem jest przyjaźń, o ile cenniejszym, rzadszym i trwalszym niż miłość; aby zaś dowieść, że zdolny jest do przyjaźni, opowiedział nawet o sobie i Dionizym.

Słuchała z przymkniętymi oczami, starając się poznać charakter chłopaka i wyczuć jego słabe strony. Wreszcie rzekła doń spokojnie:

- Odejdź teraz, Gerardo, i przyjdź jutro o zwykłej porze. Ujrzysz, że dobrze pojęto twą naukę.

Wyciągnęła do niego dłoń, którą ucałował, i wyszedł, rozważając tę dziwną rozmowę, zastanawiając się, czy postąpił rozsądnie.

Nazajutrz przyjęła go z wyraźnym dystansem, pozowała dosłownie jak posąg i po bardzo krótkim seansie przeprosiła i odprawiła. Gerard wyczuł mrozącą różnicę, ale powiedział sobie w duchu: „Mądra niewiasta”. Była nią na swój sposób.

Następnego dnia zastał księżniczkę czekającą na niego w gronie młodych arystokratów, którzy wysławiali jej zalety pod niebiosami. Wszyscy, wraz z Klelią, traktowali Gerarda jak psa, który potrafi wykonać błahą, choć im niedostępną sztuczkę. Kawalerowie krytykowali pracę malarza z wielką ignorancją, połączoną z taką bezczelnością, że policzki młodzieńca poczerwieniały z gniewu.

Księżniczka spod przymkniętych powiek obserwowała poważnie jego twarz przy każdym ukłuciu zadany mu przez owe dokuczliwe insekty, gdy zaś wreszcie wyszli, w nagrodę za ich trud rozkazała zamknąć drzwi dla nich wszystkich.

Następnego dnia Gerard zastał ją samą - chłodną i milczącą. Pozując mu jakiś czas, rzekła:

- Nie okazywałeś memu towarzystwu należytego respektu, zapominając, co przystoi twojemu stanowi.

- Czy naprawdę, signora!

- Czy naprawdę? Unosiłeś się gniewem, słysząc uwagi, którymi zaszczyli ci twą pracę.

- Nie rzekłem ani słowa - zaprotestował Gerard.

- Och, wyniosłe spojrzenia znaczą tyleż co wyniosłe słowa. Policzki twe czerwone były jak krew.

- Przyznaję, iżem był przez chwilę podrażniony, widząc tak niezwykłą mieszaninę nieuctwa i złośliwości.

- Teraz obrażasz mnie, panią tego domu.

- Wybaczcie mi, signora, nie miałem zamiaru. Nie chciałbym niczym uchybić najłaskawszej patronce i jedynej, jaką mam w Rzymie, przyjaciółce.

- Cóż za nagła pokora! Zaiste genialnym jesteś hipokrytą, ser Gerardo. Umiesz obrażać i schlebiać wedle woli.

- Schlebiać? Komu?

- Mnie, mnie, którą wzgardziłeś dla dziewczyny z nizin, nie lepiej od ciebie urodzonej. Jednak o opiekę której mimo to zabiegasz.

Gerard wsta! i położył rękę na sercu.

- Ranią mnie te słowa, signora. Czym na nie rzeczywiście zasłużył?

- Cóż znaczą słowa dla takiego jak ty awanturnika? Boisz się jeno zimnej stali.

- Nie jestem zawadiaką, ale krzyżowałem już stal ze stalą i wolałbym raczej stanąć przeciw mieczom twych rodaków, pani, niż cierpieć od okrutnego języka. Czemu mnie tak traktujesz?

- Bez żadnej rzetelnej przyczyny, ale dlatego, że kapryśna i złośnica lub dlatego, że wszyscy prócz ciebie mnie wielbią.

- I ja cię wielbię, signora. Twoi przyjaciele może ci bardziej schlebiają, ale wierzaj, że nie potrafią docenić połowy twych wdzięków, pani. Dowodem ich wczorajsza paplanina. Nikt nie uwielbia cię prawdziwiej, nikt ci lepiej nie życzy od biednego artysty, który nie mógł być kochankiem, ale pragnął zostać przyjacielem. Widzę jednak, że nie może być przyjaźni między kimś tak wysoko urodzonym jak wy, pani, i tak lichym jak ja.

- Ale będzie, Gerardo - odparła z zapałem księżniczka. - Nie będę taka dokuczliwa. Powiedz mi, gdzie mieszka twoja Małgorzata, dam dla niej upominek i wtedy zostaniemy przyjaciółmi.

- Jest córką lekarza imieniem Piotr, mieszkają w Sevenbergen. Czy też ujrzę ją jeszcze w życiu?

- Dziękuję, odejdz teraz. - Księżniczka odprawiła go nagle. Biedny. Gerard. Na głębokie zabrął wody, zawarłszy znajomość z tą włoską księżniczką: callida et calida solis filia. Zdecydował, że gdy skończy pracę nad jej podobizną, nie pójdzie tam więcej. Żałował już, że podjął się tak trudnego i długotrwałego zadania.

Następne serdeczne i łaskawe przyjęcie zachwiało na chwilę tym postanowieniem.

Pozując mu pewien czas w tozde na stojąco, powiedziała, że jest zmęczona i prosi o pomoc w innej sprawie: czy nie chciałby jej choć trochę nauczyć rysunku? Usiadł obok niej i uczył, jak rysować najprostsze kreski. Zauważył, że jest niezwykle uzdolniona. Powiedział o tym.

- Miałam już nauczyciela przed tobą, Gerardo. Był równie jak ty przystojny.

Wysunęła szufladę i wyjęła z niej kilka szkiców głowy, rysowanych z całkowitą nieznajomością sztuki, ale z wielką wytrwałością i wrodzonym talentem. Były to wszystko portrety Gerarda, pełne wyrazu i nawet podobne. Jeden zaś szczególnie udany.

- Teraz już widzisz - powiedziała - kto był moim nauczycielem.

- Nie ja, signora.

- Nie wiesz więc, kto uczy nas niewiasty wszystkiego na świecie? Miłość, Gerardo. Miłość skłoniła mnie do rysowania, ponieważ ty rysujesz, Gerardo. Miłość wyryła twój obraz w mym sercu. Palce chwytają ołówek, miłość uzupełnia nieznajomość sztuki i prosi! Oto twe ukochane rysy na papierze.

Gerard otworzył szeroko oczy zdumiony powrotem do zakazanego tematu.

- O signora, obiecałaś, że będziemy wyłącznie przyjaciółmi. Roześmiała mu się w twarz.

- Jakim prostaczkiem jesteś. Któż wierzy niewieście, gdy przyrzeka rzeczy, których dotrzymać nie może. Przyjaźń, głuptasie! Któż kiedykolwiek zbudował tę świątynię na rozżarzonych popiołach! Nie, Gerardo - rzekła ponuro - jeno miłość lub nienawiść między tobą a mną.

- Wedle waszego życzenia, signora - rzekł stanowczo Gerard. - Go do mnie, nie będę cię pani ani kochał, ani nienawidził, natomiast za waszym, księżniczko, pozwoleniem opuszczę to miejsce - zerwał się z krzesła.

Klelia wstała również, blada jak śmierć, i rzekła:

- Jeżeli masz zamiar opuścić mnie w ten sposób, wiedz, co cię czeka: za drzwiami stoją zbrojni strażnicy, wystarczy jedno me słowo, byś poniósł śmierć.

- Ale nie powiesz tego słowa, signora.

- Powiem. Więcej jeszcze, krzyknę je ta!; głośno, że będzie usłyszane za granicą. Zostaniesz zamordowany za to, żeś narzucił mi brutalnie swą miłość! Wyślę specjalnego posłańca do Sevenbergen, posła zręcznego, który wyśmienicie nauczy się swej lekcji. Twoja Małgorzata dowie się o śmierci kochanka i pojmie, żeś ją zdradził. Idź zatem do grobu, psie. Bo mężczyzną nie jesteś na pewno.

Gerard zbladł, stał oniemiały.

- Boże, zmiłuj się nad nami obojgiem!

- Nie, ty zlituj się nad nią i nad sobą. Nigdy nie dowie się w Holandii, co czynisz w Rzymie, jeżeli ja jej nie powiem mej bajeczki. Chodź, bądź mi powolny, Gerardo mio; cóż za strata dla ciebie, jeśli wyznasz, że mnie kochasz? Pragnę jeno, byś dobrze udawał. Jesteś

młody, przecież nie umrzesz dla marnej przyjemności odmówienia damie - czgóż to? Cienia serca. Kto choć łzę jedną uroni nad tobą? Powiadam: ludzie się roześmieją, a nie zapłaczą nad twym grobem, ach!

Krzyknęła zaskoczona, ponieważ Gerard, padłszy do jej stóp w tejże chwili, rozpoczął jednym tchem opowieść o swojej i Małgorzaty miłości. Mówił o tym, jak był uwięziony, ścigany przez ogary, wygnany dla niej z ojczyzny; jak ona rozlała dlań krew, a teraz usycha z tęsknoty w domu; jak przewędrował Europę pośród niebezpieczeństw szarpany przez dzikie zwierzęta, atakowany przez podłych ludzi mieczem, toporem i z zasadzki, obrabowany, tonący w morzu, zawsze dla niej.

Księżniczka drżała, próbowała mu się wyrwać, ale trzymał ją za suknię, przyłgnął do niej, zmusił do wysłuchania żalostnej swojej i Małgorzaty historii. Zamknął jej rączkę w swych zaciśniętych dłoniach i jego łzy padały na jej dłoń szybko, gdy błagał, aby pomyślała o wszystkich niedolach wiernych kochanków, których chciała rozdzielić. Tylko wyrzuty sumienia gwałtowne i wieczne zrodzą się ze zdrady tak głębokiej miłości, z fałszywego, udawanego uczucia, kryjącego na dnie nienawiść.

Nikt jeszcze w takich chwilach nie oparł się wymowie Gerarda.

Księżniczka, czując władzę chłopca nad sobą, na próżno próbowała uciec. Zaczęła się wahać, drzeć, wzdychać, pierś jej falowała gwałtownie wzruszeniem, płomienne oczy zaszyły łzami.

- Zwyciężyłeś mnie - załkała. - Ty czy też mój dobry anioł. Opuść Rzym.

- Odjadę, odjadę!

- Jeśli szepniesz choć słowo o mym szaleństwie, będzie to twe ostatnie słowo.

- Nie myśl, pani, tak źle o mnie. Jeszcze raz stajesz się mą dobrodziejką. Czyż za to miałbym cię, pani, oczerniać?

- Idź. Przyślę ci wynagrodzenie. Znam swą naturę. Jeśli raz jeszcze nawiniesz mi się na oczy, zabiję. Addio; serce mam złamane.

Dotknęła dzwonka.

- Floretta - powiedziała zduszonym głosem - wyprowadź go stąd bezpiecznie przez moją izbę sekretnym wyjściem.

Skierował się ku drzwiom. Księżniczka oparta dłonią o krzesło płakała, odwróciwszy głowę. Pamiętał już tylko o jej dobroci, podbiegł z powrotem i ucałował jej szatę. Nie drgnęła.

Wyrwawszy się z pałacu, pobiegł do domu, dziękując Niebiosom za to, że uszedł z duszą i ciałem.

- Pani gospodyni - powiedział - ktoś zagiął na mnie parol i dąży do kłótni. Co robić?
- Uderz pierwszy i z dobrej pozycji! Zajdź go z tyłu i ciach go! pałaszem.
- Niestety, brak mi waszej włoskiej odwagi! Mówiąc poważnie, to szlachcic.
- O święci pańscy! To co innego. Zmień na jakiś czas mieszkanie i siedź cicho. Zmień również krój odzienia.

Zaprowadziła go do siostrzenicy, która odnajmowała pokoje na sąsiedniej ulicy, i tam umieściła młodzieńca.

Niewiele miał teraz do roboty, nie rysował żadnej księżniczki, toteż postanowił wreszcie odczytać dokument Florisa Brandta. Nie zabrał się dotąd do tego, ponieważ odstraszało go okropnie nieudolne, niewyraźne pismo. Pokonał wreszcie trudności i od razu pojął, że pożyczka zaciągnięta na ziemię została już dawno spłacona ratami dzierżawnymi i że Ghysbrecht bezprawnie wyzuł Piotra Brandta z jego własności.

- Jakież ze mnie głupiec, że tego dotąd nie przeczytał - krzyknął. - Wynajął konia i pokłusował do najbliższego portu. Statek do Amsterdamu odpływał za cztery dni.

Zapewnił sobie miejsce, wpłacił dla pewności niewielką sumę pieniędzy.

- Zbyt wielu w tym kraju morderców - powiedział - a piękna pogoda sprzyja morskiej podróży. Nasi holenderscy szyprowie to nie włoscy partacze.

W domu zastał swoją dawną gospodynię. Czekala na niego z błyszczącymi radośnie oczami.

- Szczęśliwy dzień, mój młody panie - rzekła. - Wszystkie ryby płynęły do twej sieci. Przypatrzcie się jeno, co pokojowiec przyniósł nam do domu! Oto list i sakiewka.

Gerard złamał pieczęcie, trzos pełen był srebra. W kopercie znalazł skrawek papieru z wierszem wyjętym z jakiegoś manuskryptu: La lingua rum ha osso, mafa rompere il dosso.

- Nie obawiaj się! - rzekł głośno Gerard. - Będę go trzymał za zębami.

- Co to znaczy?

- Och, nic. Czyż nie jestem szczęśliwy, pani? Wracam do ukochanej z pieniędzmi w jednej kieszeni i tytułem własności na ziemię w drugiej. - I zaczął tańczyć dokoła niewiasty.

- Dobrze - powiedziała - mniemam, że nic nie może już uszczęśliwić was bardziej.

- Nie, chyba przyjazd tam.

- A to szkoda, myślałam bowiem, że dorzucę jeszcze ziarnko do waszej radości, oddając list z Holandii.

- List? Do mnie? Gdzie? Jak? Kto go przyniósł? O, pani!

- Cudzoziemiec; malarz o czerwonej twarzy i zagranicznym imieniu; Anzelmin, zdaje się.

- Hans Memling! to mój przyjaciel. Niech go Bóg błogosławi!

- Tak, tak, to on, Anzelmin. Nie umiał wykrztusić ani słowa, ale miał na tyle rozumu, by nazwać twe imię, i położył list, ukłonił się, uśmiechnął, ja też oddałam ukłon i uśmiech oraz poczęstowałam półkwaterkiem wina, które połkną! jednym haustem.

- To Hans, zacny Hans. O pani, jestem dziś szczęśliwy, ale zasługuję na to. Mogę wam wyznać, że oto pokonałem silną pokusę dla mojej drogiej Małgorzaty.

- Kim jest ona?

- Prędzej uciałbym sobie język, niż zdradził jej imię, ale to była pokusa. Wdzięczność popychała mnie do złego, piękność prawie boska popychała mnie do złego: przekleństwa, wyrzuty i - czemu oprzeć się najtrudniej - słodkie łzy z oczu do rozkazów nawykłych. Z całą pewnością pomógł mi jakiś święty, chyba Antoni. Ale oto nadeszła nagroda.

- Tak, tak, chłopcze, leży nie dalej jak w mej kieszeni. Ano, wychodź, nagroda Gerarda - wyciągnęła list z przepaścistej szaty.

Gerard objął ją ramionami za szyję i uściskał.

- Najlepsza przyjaciółko - powiedział - druga moja matko. Zaraz ci go przeczytam.

- Bardzo proszę.

- Niestety! To nie od Małgorzaty. To nie jej ręką - odwrócił kopertę.

- Może jej pismo jest wewnątrz. Dziewczęta lubią wsuwać liściki do kopert, gdzie pisano inną ręką.

- Czyje to pismo? Na pewno już je widziałem. Sądzę, że mej drogiej przyjaciółki, demoiselle van Eyck. O, to liścik Małgorzaty będzie w środku.

Rozerwał opakowanie.

- Nie! Wszystko jednym pismem.

„Gerardzie, mój ukochany synu (nigdy przedtem mnie tak nie nazywała), list ten przynosi smutną wiadomość o tej, która chciałaby przesyłać ci tylko radosne słowa. Małgorzata Brandt zgasła w mych ramionach w czwartek ostatniego tygodnia. (Co ta czcigodna stara dama przez to rozumie?). Ostatnim jej słowem było «Gerard». Powiedziała: «Powiedz mu, że modliłam się za niego w mej ostatniej godzinie, i poproś, aby i on nie zapomniał o mnie w swych modlitwach». Miała lekką śmierć, dopilnowałam pogrzebu, bo ojciec jej już do niczego się nie przydał. To na razie wszystko od tej, która z sercem pełnym bólu pozostaje twą kochającą przyjaciółką i służką.

Małgorzata von Eyck”

- Tak, to jej podpis na pewno. Co myślicie o tym, pani? - Gerard roześmiał się ochryple. - Piękny list do biedaka tak oddalonego od domu. Na pewno Reicht Heynes

zgniewała starą niewiastę i namówiła ją do tego czynu; stara dama musiała oszaleć, zdziecinniała, ma osiemdziesiątkę. Ach, moje serce, duszę się. Powinna siedzieć pod kluczem, ze związanymi rękami. Pomyślmy, że gdyby list trafił na głupiego, że gdybym był głupcem i uwierzył, czy wiecie, co musiałbym uczynić? Wspiąć się na szczyt najwyższej w Rzymie wieży i skoczyć w dół, bluźniąc Niebiosom. Niewiasto, co z wami? - chwycił ją gwałtownie za ramię. - Dlaczego płaczecie? - krzyczał obcym, nieswoim głosem głośno i chrapliwie jak kruk - chcecie mnie swymi łzami zabić? Ona w to wierzy... Ona w to wierzy! Ach, ach, ach, ach, ach, ach! Nie ma Boga!

Biedna kobieta wzdychała.

- I to ja musiałam ci przynieść list w chwili, gdyś śmiał się i cieszył! Zabiłabym sama siebie za ten czyn. Śmierć nie szczędzi nikogo - szlochała - śmierć nie szczędzi nikogo...

Gerard zatoczył się na parapet okienny.

- Ależ On panuje nad śmiercią - jęknął. - Albo nauczyli mnie kłamstw. Zaczynamy obawiać się, że nie ma Boga, a święci to jeno martwe kości, zaś piekło jest panem świata. Moja cudna Małgorzata, moja słodka, kochająca Małgorzata. Najlepsza córka, najwierniejsza kochanka! Chłuba Holandii! Słodycz świata! To kłamstwo. Gdzież, ten nikczemnik Hans? Znajdę go, choćbym przebiec miał całe miasto. Wepchnę mu jego mordercze kłamstwo do gardła.

Chwycił kapelusz i rozwścieczony godzinami biegał po ulicach.

O zachodzie słońca wrócił błąd jak widmo. Nie znalazł Memlinga, ale jego nieszczęsny umysł miał czas pojąć proste słowa kobiety, że Bóg nie oszczędza nikogo.

Przywłókł się do domu zgarbiony i słaby jak starzec, nie chciał przełknąć niczego. Nie mógł mówić, siedział błąd z błyszczącymi oczyma i szeptał:

- Nie ma Boga.

Zaniepokojona o niego i o siebie (wyglądał bowiem jak szaleniec) gospodyni pobiegła po ciotkę.

Zacna niewiasta przybyła jej na pomoc i kobiety, czując się we dwie odważniejsze, próbowały pocieszać go serdecznymi, delikatnymi słowami. Nie zwracał na nie większej uwagi niż na krzesła, na których siedziały. Wtedy młodsza uniosła krucyfiks, szukając w nim ratunku.

- Mario, królowo niebieska, pociesz go! - wzdychały. Chłopiec jednak siedział i patrzył bezmyślnie przed siebie, głuchy na wszystko, co dochodziło go z zewnątrz.

Nagle bez żadnego ostrzeżenia skoczył z przekleństwem na ustach, brutalnie odtrącił przed sobą krzyż i runął ku drzwiom. Biedna kobieta krzyknęła ostrym głosem. Zanim jednak

dotarła do drzwi, wydawało się, że jakaś ręka chwyciła go za włosy, zawirował dokoła osi. Obrócił się wyciągnawszy ręce i runął jak martwy na podłogę, a krew trysnęła mu z uszu i z nozdrzy.

ROZDZIAŁ LXIV

Wraz z przytomnością powróciła rozpacz.

Drugiego dnia majaczył w gorączce wywołanej zapaleniem mózgu. Włosy wypadały, leżały na stoliku obok łóżka bujne, koloru kasztanów, długie jak u niewiasty.

Śmiertelne objawy pojawiały się gwałtownie jedno po drugim.

Piątego dnia lekarz, straciwszy nadzieję, odstąpił od łoża chorego.

O zmierzchu tego samego dnia chłopiec zapadł w głęboki sen.

Niektórzy orzekli, że obudzi się tylko po to, by umrzeć.

Ale stara kumoszka, z której opinią się liczone (była bowiem z zawodu pielęgniarką), orzekła, że młodość jeszcze może ocalić chorego, jeżeli będzie spał przez dwanaście godzin.

Wobec tego dawna gospodyni Gerarda kazała wszystkim opuścić pokój i sama czuwała nad chłopcem. Ofiarowała woskową świeczkę Najświętszej Dziewicy za każdą godzinę jego snu.

Spał dwanaście godzin.

Zacna dusza ucieszyła się i dziękowała Najświętszej Dziewicy na kolanach.

Spał dwadzieścia cztery godziny.

Dobra gospodyni zaczęła się niepokoić. W trzydziestej godzinie posłała po kumę pielęgniarkę.

- Trzydzieści godzin! Czy mamy go obudzić? Niewiasta dłuższy czas przyglądała mu się pilnie.

- Oddech ma równy, dłonie wilgotne. Wiesz, iż uczeni lekarze obudziliby go, spojrzeli na język i nie staliby się przez to mądrzejsi; my zaś niewiasty powinnyśmy być rozsądne i pozwolić działać dobrej Naturze. Czy sen może kiedykolwiek zaszkodzić udręczonemu mózgowi i rozdartemu sercu?

Gdy spał już czterdzieści osiem godzin, rzecz się rozniosła i trudno było odpędzić wszystkich ciekawych. Wpuściły jednak tylko Fra Colonnę i jego przyjaciela, olbrzymiego Fra Hieronima.

Ci dwaj zakonnicy zastąpili kobiety i siedzieli w milczeniu. Colonna patrzył na młodego przyjaciela ze łzami w oczach, Hieronim z różańcem w ręku przyglądał mu się równie spokojnie jak niegdyś na morzu, gdy wspólnie, ramię przy ramieniu, walczyli z żywiołem.

Na koniec, sędzę, że zdarzyło się to w sześćdziesiątej godzinie dziwnego snu, gospodyni trąciła łokciem Fra Colonnę. Spojrzał. Gerard otworzył oczy tak delikatnie, jakby po prostu drzemał.

Popatrzał.

Uniósł się z lekka na łóżku.

Dotknął ręką głowy i spostrzegł, że nie ma już włosów.

Ujrzał swego przyjaciela Colonnę i uśmiechnął się z zadowoleniem. W połowie tego uśmiechu twarz mu zamarała szarpnięta skurczem niewypowiedzianej grozy. Krzyknął głośno i odwrócił się do ściany.

Zacna gospodyni zapłakała. Rozumiała, co to znaczy obudzić się w żałobie i samotności.

Fra Hieronim odmawiał godzinki i pacierze ze swego brewiarza.

Gerard zwinął się na pościeli.

Fra Colonna podszedł do chłopca i łkając przypomniał mu, że nie wszystko stracone. Boskie muzy są nieśmiertelne. Powinien teraz na nie przenieść swe uczucia, nigdy go nie zdradzą ani nie zawiodą, tak jak istoty stworzone z gliny. Powiedziawszy to, dobry, prostoduszny ojciec wyszedł spiesźnie, nie mógł bowiem opanować wzruszenia.

Fra Hieronim pozostał na miejscu.

- Młodzieńcze - powiedział - muzy żyją tylko w umysłach pogan i marzycieli. Jedynie Kościół daje spokój sercu na ziemi i szczęście duszy w zaświatach. Gdy zawiodło cię życie ziemskie, a namiętność zmiażdżyła i złamała serce, Kościół otwiera ramiona: ofiaruj mu swe talenta! Kościół jest pokojem ducha.

Wypowiadał uroczyście swe słowa stojąc w drzwiach, a skończywszy natychmiast wyszedł.

- Kościół! - krzyknął Gerard podnosząc się i z wściekłością wygrażając pięścią mnichowi.

- Przekleństwo Kościołowi! Gdyby nie Kościół, nie leżałbym tu złamany, a ona zimna, zimna, zimna w Holandii! O, moja Małgorzato! O ukochana! ukochana! Że też musiałem cię porzucić na owe parę miesięcy życia, które ci pozostało! Okrutny! okrutny! Potwory pozwoliły jej umrzeć! Śmierć nie przychodzi bez znaków, bez objawów. Ślepi, samolubni, podli ludzie niczego nie widzieli lub nie zależało im na tym, a ja bym spostrzegł, ja ją kochałem. Och, gdybym tam był, uratowałbym ją, na pewno uratował. Głupiec! Głupiec! Opuściłem ją na krótki czas.

Płakał długo i gorzko.

Znów wpadł w pasję i krzyczał gwałtownie:

- Kościół! Za sprawą Kościoła mnie od niej oderwano; przekleństwo Kościołowi! Hipokryci, którzy mówią o nim memu złamanemu sercu! Przekleństwo całemu światu! Ghysbrecht żyje, a Małgorzata umiera. Złodzieje, mordercy, ladacznice żyją wiecznie, tylko anioły umierają. Przekłete życie, przekłeta śmierć i ktokolwiek by je takimi uczynił!

Zakonnik nie słyszał tych szalonych i niegodziwych słów, dobiegł go tylko jęk wściekłości, z którymi wykrzyczano je za nim.

I dobrze się stało. Gdyby je bowiem usłyszał, kazałby na pewno spalić na forum dawnego towarzysza morskiej podróży. Nie wahałby się ani chwili dłużej niż piekąc koźlę.

Stara gospodyni, która zeszła wraz z bratem Colonną ze schodów, usłyszała podniesiony głos i wróciła zaniepokojona na górę.

Zastała Gerarda nakładającego ubranie i płaczącego. Zaprotestowała.

- Co mi przyjdzie z leżenia tutaj? - powiedział ponuro. - Czy znajdę to, czego szukam?

- Ratujcie, święci pańscy! Czy znowu stracił przytomność? Czego szukasz?

- Zapomnienia.

- Zapomnienia, serduszko moje! Jesteś za młody na takie słowa.

- Młody czy stary, jakież inny mam cel w życiu? Wdziewał najlepsze szaty.

Zacna dama się sprzeciwiła.

- Mój śliczny Gerardzie, toć dzisiaj wtorek, nie niedziela.

- Wtorek? Myślałem, że wczoraj była sobota.

- Tak, ale spałeś długo. Nigdy nie nosisz swych pięknych szatek w powszedni dzień.

Zastanów się.

- Tak czyniłem, gdy ona żyła. Teraz będę czynił jak nigdy przedtem. Co przeszło - minęło. Leżą tu moje włosy, a wraz z nimi moje dawne obyczaje. Służyłem jednemu tylko panu najlepiej, jak umiałem. Widzicie, pani, mą nagrodę. Teraz oddam się w służbę innemu i jemu też będę uczciwie służył.

- Biada! - westchnęła niewiasta blednąc. - Co znaczą te niejasne słowa? Jakiemu to nowemu panu chcesz ofiarować swe służby?

- Szatanowi.

Z tą straszną decyzją na ustach nieszczęsny młodzieniec opuścił dom w czapce z pióropuszem założonej zawadiacko na bakier, wyczerpany, ze znużeniem w ciele, z ponurą twarzą o barwie popiołu, zgarbiony jak pod ciężarem wieku.

ROZDZIAŁ LXV

Ciemna chmura przyćmiła szlachetny charakter.

Czysta i jedyna miłość do Małgorzaty była mu gwiazdą przewodnią. Zgasła i oto żeglował przez ponure morze bez nadziei.

Nie tylko stał się pastwą rozpacz, ale i goryczy, że całe poświęcenie, odwaga w niebezpieczeństwach oraz cnoty poszły na marne, na nic się nie zdały, gdyby bowiem kierowa! się lenistwem i egoizmem, pozostałby w domu i mógłby może ocalić życie Małgorzaty.

Obie trucizny burzyły się w młodej krwi młodzieńca, doprowadzając go do szaleństwa i demoralizując. Rzucił się nieprzytomnie w wir zabaw. W owych czasach, bardziej nawet niż dzisiaj, zabawy i rozkosze oznaczały występki.

Wino, kobiety, karty, wszystko, co mogło zapewnić mu godzinę podniety i chwilę zapomnienia, było cenne. Ruszył w ten świat, jak człowiek zmęczony życiem rusza na kule nieprzyjacielskie.

Poważne sumy, które odłożył dla Małgorzaty, dały mu bogate środki na hulanki, i rychło stał się przywódcą tych rozpustnych kawalerów, których dotąd unikał.

Charakter pogarszał mu się wraz z obyczajami.

Burczał na swą starą gospodynię w odpowiedzi na jej łagodne rady i ostrzeżenia i wreszcie przeprowadził się do innej dzielnicy, aby uwolnić się od wyrzutów i wypomnień. Prowadząc przez dłuższy czas ten tryb życia, utracił pewność ręki i nie mógł już pisać tak, aby zadowolić siebie. W miarę jak coraz więcej pogrążał się w zabawie, brakło mu cierpliwości koniecznej przy pracy kopisty, rzucił ją więc, nabrał zamiłowania do barw, ale i malowanie zaniedbywał, gdyż przychodzili po niego leniwi hultaje, jego obecni towarzysze.

I tak pogrążył się w mętnych falach, szukając smutnej perły - zapomnienia.

Nie mam obowiązku opisywać dokładnie ponurych scen występków, w których nieszczęsny młodzieniec brał czynny udział. Muszę jednak wyrzec tę niezbitą prawdę, że stał się łotrem, hulaką i pijakiem, jednym z najbardziej rozpustnych i zepsutych, jednym z najdzikszych młodych ludzi w Rzymie.

Nie są przyjaciółmi prawdy ani ludzkości ci, którzy ukrywają lub tuszują niegodziwe czyny ludzi dobrych i przez swój brak szczerości obrabowują z nadziei zgnębionych grzeszników.

Jednym słowem, nasz bohater nie urodził się, by przeżywać cokolwiek połowicznie. I nie był także połowicznym grzesznikiem.

Jego skromne przyjaciółki często o nim gwarzyły. Stara gospodyni opowiedziała Teresie, że chłopak stacza się coraz niżej, i prosiła ją, aby spróbowała spenetrować, gdzie się obraca.

Teresa opowiedziała swemu mężowi Ludwikowi tę smutną historię i poleciła, aby rozejrzał się i wykrył miejsce pobytu młodzieńca.

- Czy przypomniałbyś sobie jego twarz, Lodovico mio!

- Tereso, człowiek, który żyje z tego co ja, nigdy nie zapomina twarzy, zwłaszcza swych dobrodziei. Wiesz jednak, że rzadko wychodzę przy dziennym świetle.

Teresa westchnęła.

- Ach, kiedy nadejdzie ten czas, Lodovico?

- Przestanę się lękać światła, gdy jakiś kawaler przebiję mnie szpadą. Takiemu jak ja biedakowi nie pozwolą jąć się ucziwego zajęcia.

Pietro Vannucci należał do ludzi, którzy lepiej znoszą przeciwności losu niż powodzenie. Sromotnie dopiero co przepędzony z mieszkania przez dawną gospodynię, ucieszył się spotkawszy Gerarda na ulicy, pozdrowił go serdecznie i natychmiast zajął kwatery w tym samym domu.

Przyprowadził z sobą młodzieniaszka imieniem Andrea, który rozcierał dlań farby, był uczniem i modelem. Chłopak odznaczał się niezwykłą urodą i błyskotliwą inteligencją.

Pietro nie zapomniał dawnych czasów i żywił serdeczną przyjaźń dla Gerarda.

Gerard, w którym zagasło wszelkie ciepło uczucia, poddawał się obojętnie przyjaźni włoskiego artysty.

A była to nie lada jaka znajomość. Pietro był bowiem nie tylko libertynem, ale prawie mizantropem i jawnym niedowiarkiem.

I tak, bardzo niewiele mając ze sobą wspólnego, stali się nierozłączni. Rzadki to fenomen!

Pewnego dnia, gdy Gerard nadszarpnął zdrowie, roztrwonil większość pieniędzy i stracił swą młodzieńczą urodę, Vannucci zebrał wesołe towarzystwo, które miało popłynąć w górę Tybru na łodzi zaprzężonej w bawoły. Przed trzema laty Wawrzyniec de Medici sprowadził te zwierzęta do Floreny. W Rzymie były jeszcze nowością i nic już nie mogło ucieszyć parweniusza Vannucciego prócz zaprzęgu ciągniętego przez te bestie w górę Tybru.

Każdy hulaka miał przyprowadzić ze sobą damę; winna być urodziwa, gdyż inaczej kawaler płaci karę. Ten zaś, który przywiedzie najpiękniejszą, zostanie uwieczony laurem i ogłoszony dobroczyńcą narodu. Taka była ich wykładnia pytania: Vir bonus est quis? Wynajęli wspaniałą galerię i dwanaście bawołów. Wszyscy hulacy wraz z godnymi ich bogdankami zgromadzili się nad rzeką, skąd mieli wypłynąć. Brakowało tylko Gerarda.

Czekali na niego jakiś czas, początkowo” cierpliwie, potem coraz bardziej niecierpliwie.

Vannucci usprawiedliwiał przyjaciela.

- Słyszałem, jak mówił, że zapomniał postarać się o spódniczkę. Szanowna kompanio! Zaczny chłopak po prostu poluje na ślicznotkę, która by była godna zająć miejsce wśród tych niezrównanych dam. Zważcie trudności, moje panie, i miejcie cierpliwość.

Nareszcie Gerard się zjawił na horyzoncie z partnerką przy boku.

- Przydługa - powiedziała któraś z obecnych, krytykując ją już z daleka.

- Przebóg! Jakimi krokami sady - rzekła inna.

- To bardzo mądrze spieszyć się do zacnej kompanii - znalazł wymówkę Pietro.

Gdy jednak nowa para stanęła wśród zgromadzonych, skończyły się kpiny.

Towarzyszka Gerarda niezwykłą pięknnością zaćmiła załogę łodzi, jak wschodzące słońce gasi gwiazdy. Wysoka, lecz niezbyt duża, prosta jak strzała, giętka niby młoda pantera. Klasyczny owal twarzy, białe czoło, policzki o silnie oliwkowym odcieniu, z krwią mocno pulsującą pod skórą; olśniewające oczy obramowane długimi rzęsami, gęstymi i jedwabistymi, które zapewne tuzinami mogły pogrążyć wrażliwe serca. Figlarne czerwone wargi i zęby jak najbielsza kość słoniowa.

Kobiety okazały wyraźne przygnębienie na ten przykry widok; mężczyźni wpadli w ekstazę; powitali damę głośnymi okrzykami, powiewaniem czapek, a jeden z entuzjastów padł nawet na kolana obok łodzi, czcząc boskie pochodzenie przybyłej. Chère amie szarpnęła go natychmiast za włosy, a bogini jednocześnie poczęstowała lekkim kopniakiem, tak że przewrócił się na plecy; wtedy niezrównana piękność przeskoczyła nad leżącym, nie zaszczycając go nawet spojrzeniem, i zajęła miejsce na dziobie galery. Pietro Vannucci siadł, gapiąc się na nią. Miał usta otwarte jak śnięty wąż i był zupełnie oszołomiony.

Woźnica przemówił do bawołów, liny drgnęły, ruszyli w górę pod prąd.

- Co sądzicie o owych nowych wołach, mesdames!

- Nigdy nie widziałyśmy tak straszliwych potworów o ohydnych rogach, którymi muszą każdego przerazić, i o paskudnych, rozdętych nozdrzach. To nie nozdrza, lecz dziury.

- Signorina, te woły są upominkiem pięknej Florencji. Czyżby nosy przesłaniały zalety owych darowanych bestii?

- Są tak tępe - droczyła się śliczna pani - dwa razy szybciej pojechałabym w górę Tybru w łodzi zaprzęzonej w pięć mułów i osła.

- O nie, zaraz to naprawimy - krzyknął kawaler; wyskoczył na brzeg, wyciągnął miecz i mimo protestów woźniców podszedł do bawołów, poganiając je i drażniąc.

Bestie parskały, machały ogonami i nie przyspieszały kroku. Towarzystwo z łodzi śmiało się głośno i długo i wreszcie podrażniło to bykapatriarchę, który odwrócił się nagle na

błysk ostrza, wymierzył swe długie rogi w dowcipnisia i groźnym skrętem potężnego karku rzucił go ponad swą głowę w powietrze.

Zatoczywszy piękną parabolę, kawaler opadł i wodował w żółtym Tybrze, nie przestając nieświadomie wymachiwać lśniącą klingą. Roześmiane damy piszczały i załamywały ręce, poruszenie ogarnęło je wszystkie prócz bogdanki Gerarda. Zdawało się, że zakłęła z cicha, i chwyciwszy ster tak pokierowała łodzią, że nasz szarmant wynurzył się paskając, wdrapał się na burtę i został wciągnięty do łodzi ociekając wodą.

Popatrzał wkoło nieco zmieszany.

- Nie rozumiem - powiedział z gniewem, podrażniony i niezadowolony. Towarzysze wycieczki, stwierdziwszy, że dziwnym przypadkiem się nie zabił, że rogi przedziurawiły kurtę a nie ciało, zaczęli znowu śmiać się, jeszcze głośniej niż przedtem.

- Z czego tak rechoczenie? rzekł oburzony kawaler. - Chciałbym zrozumieć, jak to się dzieje, że w jednej chwili kawaler kłuje swym mieczem afrykańskiego wołu, a w następnej...

Dama Gerarda:

- Igra w ojczyściej rzece.

- Nie mów mu, moja duszko - krzyknął Vannucci - pozwól, by sam rozwiązał własną zagadkę.

- Niech was licho! Mógłbym sobie łamać głowę do dnia Sądu Ostatecznego, nigdy nie dojdę prawdy. A gdzie moja broń?

Dama Gerarda:

- Pytaj Tybru! Najlepszym wyjściem, signor, byłoby powtórzyć doświadczenia; zaczniacie znowu kłuć mieczem afrykańskiego wołu, a doznacie objawienia prawdy. Wtedy stopniowo zrozumiecie rzecz, tak jak prawnicy stopniowo dostają się do nieba, a bawoły idą w górę Tybru.

Na to kawaler zauważył, że piękna pani przewyższa dowcipem synów Adama w tym samym stopniu co córę Ewy urodą.

Dziwne było zachowanie Pietra Vannucciego słuchającego tych komplementów. Minęło już oszołomienie i zainteresowanie, lecz siedział przylepiony do ławy jak wąż, usta miał zaciśnięte, utkwiał w damie swe lśniące oczy, które mrugały i migotały wielce zabawnie.

Dama zdawała się nie okazywać mu w zamian żadnego zainteresowania; Pietro jej nie bawił. Wspaniałe, ocienione pysznymi rzęsami oczy od czasu do czasu przesuwaly się obojętnie, nie odróżniając go prawie od ławek i innych przedmiotów.

Towarzystwo rozbiło się teraz wyraźnie.

Damy, udręczone powodzeniem towarzyszką Gerarda u wszystkich kawalerów, zaczęły ją obgadywać sotto voce, lecz tak, że było słycać.

Śliczna dziewczyna tak bogata w urodę okazała się skąpo wyposażona w takt niewieści. Zamiast jak prawdziwa niewiasta dokonać zemsty pośrednio przez mężczyzn, przyznała się do podsłuchiwania i otwarcie wzięła odwet na swych przeciwniczkach.

- Nie ma wśród was ani jednej ozdobionej naturalnymi barwami - rzekła. - Popatrzcie jeno - wskazała brutalnie twarz jednej z obecnych - tę piękność można kupić w każdym sklepie. Oto cerrussa, tu stibium, a tam purpurissum. Ja znam się na tym towarze! Używam go codziennie, ale chwała Bogu nie na własnym obliczu. Co to, to nie... piękne dzięki...

Oczy Vannucciego mrugnęły prawie niewidocznie.

- Wasze wargi są barwione, każda żyłka na czole malowana; żaden z tych wdzięków nie ostałby się po użyciu mokrego ręcznika. A jeno patrzeć, jak te czarne, końskim ogonom podobne kosy, natłuszczone, barwione będą wyglądały jak paździoły. I wasze ciała są równie fałszowane jak głowy, policzki i serca. Patrzcie na te wasze wypchane łona, na te ciżmy o wysokich drewnianych obcasach, które mają przedłużyć wasze drobne, karłowate członki i oszukać świat. Chytre jesteście karliczki, wypchane i ustawione na szczydach jako wysokie i pełne olbrzymki. A, mesdames, dobrze o was powiedziano: grandi - di legni; grosse - di stracci; rosse - di bietola; bianche - di calcina.

Nastąpiła replika:

- Precz, grubiańska ropucho! Jak możesz mówić to wszystko przy mężczyzną. Pewnie, że masz własne te wulgarne, czerwone policzki i tę przygarść afrykańskich włosów. Ale kto bardziej wypchany - twoje kształty istna łopata.

- Łżecie, bezwstydné dziewczuchy.

- Och, to grzecznie wychowana młoda osoba! Gdzieście ją znaleźli, ser Gerard?

- Uspokój się, Marcjo - rzekł Gerard zbudzony z ponurych marzeń wzrastającym jazgotem. - Nie bądź tak zuchwała! Grób przykryje twą piękność, tak jak pochłonał piękniejszą od ciebie.

- One zaczęły - powiedziała rozdrażniona Marcja.

- Skończ zatem pierwsza.

- Jak sobie życzysz, przyjacielu. Chciałam cię jeno rozśmieszyć - szepnęła do Gerarda - roztargniony jesteś i smutny. Sam wiesz, że nie dbam o przycinki tych małych głuptasek ani o uwielbienie tych wielkich głupców. Drogi signor Gerardzie, gdybym była tą, za którą oni mnie biorą! Nie byłbyś tak smutny!

Gerard westchnął głęboko i potrząsnął głową. Wzruszony jednak szczerością i młodością pogłaskał fałę czarnych loków, tak jak gładzi się po głowie oddanego psa.

W tej chwili inna galera sunąca powoli w dół rzeki zaplątała się w ich liny. Oni skręcili na prąd, a ta okazała łódź przecisnęła się między nimi a brzegiem. Wielkiej piękności dama siedziała w niej pod baldachimem z rycerzami i służącymi, którzy stali za nią.

Gerard podniósł w tym momencie oczy. Była to księżniczka Klelia.

Poczerwieniał i zdjął rękę z głowy Marcji.

Marcja nie mogła ukryć zachwytu.

- Ach, drogie damy - powiedziała. - Oto macie rywalkę. Te policzki upiękoczyła Natura tak jak moje.

- Spokój, dziecino, spokój! - rzekł Gerard. - Nie bądź taka poufała z możnymi tego świata.

- Przecie ona mnie nie słyszy. O, ser Gerard, jakie to śliczne stworzenie.

Dwie z obecnych na wycieczce dziewczyn od pewnego czasu szeptały sekretnie między sobą, zerkając co chwila na Marcję. Jedna z nich zagadnęła.

- Czy lubisz, signorina, migdały? Miała ich pełno na kolanach.

- Bardzo lubię. Zwłaszcza wtedy, gdy mogę je dostać - odparła gniewnie Marcja, patrząc na przysmak ze źle maskowanym pożądaniem. - Nie sądzę jednak, abym z waszej ręki mogła się czegoś spodziewać.

- Bardzo się mylisz. Łap, nuże!

I nagle rzuciła przygarść migdałów na podolek Marcji. Marcja pchnięta nieodpartym instynktem złączyła gwałtownie kolana.

- A, złapałyśmy cię, mój chłopcze - krzyknęła właścicielka migdałów. - To mężczyzna albo chłopak. Niewiasta zawsze rozsunie kolana, aby schwytać owoce w fartuszek, mężczyzna łączy nogi, aby migdały nie spadły między nogawki spodni. Przyznaj, że aż do dziś nigdy nie nosiłeś spódniczki.

- Daj mi jeszcze garść, kochanie, to ci powiem.

- Masz! Powiedziałam, że jest za ładny na kobietę.

- Ser Gerard, przejrzały mnie - zauważył Epicenus, spokojnie chrupiąc migdały.

Libertyni wlepili wzrok w boginię i przysięgali, że to niemożliwe. Tu wtrącił się Vannucci, przypominając zapatrzonym zalotnikom niedawną sprzeczkę, w której z rzadko spotykaną wśród głuptasów jednomyślnością wyśmiewali Gerarda i jego, ponieważ twierdzili, że dla prawdziwego artysty piękność mężczyzny nie ustępuje niewieściej.

- Jak teraz wyglądacie? To mój chłopiec, Andrea. A wyście padli przed nim wszyscy na kolana. Cha! Cha! Ach, niewiasty moje, kiedy wam tu prawil kazanie i zdierał z waszych lic węgiel, róż i kredę, o małym śmiechem nie wybuchnął; chłopak farby mi rozciera. Cha! Cha! Cha! Cha!

- A to szalbierz! Utopić go!

- Za co, panowie? - krzyknął przestraszony Andrea, przybladł i stracił swe piękne rumieńce.

Ale kobiety otoczyły go wkoło i przysięgły, że włos mu z głowy nie spadnie.

- Drogie dziecię! Jak mu do twarzy z tą odrobiną zuchwałości.

- Jakie oczy! A zęby!

- Jakie brwi i włosy!

- A rzęsy!

- I nos!

- Najśłodsze uszko na świecie!

- A jakie zdrowie! Dotknij szpilką policzka, krew tryśnie.

- Któż byłby taki okrutny?

- Pączek róży w rosie skąpany.

Mściły się teraz na swych kawalerach za ich uwielbienie dla Marcji, zasypując chłopca swoją czułością.

Był ktoś ciałem jeszcze obecny wśród tych motyli, ale już nie duchem.

Widok księżniczki Klelii rozdarł na nowo rany Gerarda.

Ledwie trzy miesiące temu odrzucił był miłość tej niezrównanej istoty; miłość nieprawą i nieczystą, lecz w każdym razie subtelną. o ile niżej upadł teraz.

Jakże był wówczas szczęśliwy, że oczy Klelii, które potrafiłyby skusić anachoretę, nie sprowadziły go z drogi wierności! A kim był teraz? Poczzerwieniał na myśl, że ujrzała go w takim towarzystwie. Była to wszakże jego codzienna kompania.

Wyglądał przez burtę łodzi pogrążony w ponurym milczeniu.

Od tej chwili rozpoczęła się nowa faza jego męki.

Niektórzy szaleńcy próbują utopić troskę w alkoholu.

Opary odurzenia rozpraszają się, troska wraca i zmusza do stawienia jej czoła z rozbolalą głową, nadszarpniętym żołądkiem i w stanie sztucznie spowodowanego upadku ducha.

Zachowanie Gerarda było takie jak owych szaleńców. Potrzebował zużycia wszystkich sił, aby przeżyć straszny cios; cnoty, zdrowia, pracy, spokojnego snu, który trudom towarzyszy; nade wszystko zaś pobożności.

Odrzucił wszystkie owe balsamy kojące serce i zawierzył moralnej truciznie.

Opary odurzenia rozwiały się, zranione serce drga w jego piersi ciężkie jak ołów, rozdierane teraz ponadto przez czarnego sępa: Wyrzut Sumienia.

Złamane serce, strwonione pieniądze, utracona niewinność, Małgorzata za przepaścią większą niż grób!

Minął gorący atak rozpacz, a nadeszła lodowata depresja.

Nieszczęsny młodzieniec porzucił swych wesołych towarzyszy i świat cały.

Błąkał się samotny. Pił wino aż do otępienia i wstrzymywał na moment ciemne siły, które czyhały na jego duszę. Z kamiennymi oczyma błąkał się samotny wśród świątyń starożytnego Rzymu, nieszczęsny wśród ruin i bardziej od nich rozbity.

W końcu nadszedł moment kryzysu, do którego samotność - ponury, lecz fascynujący wróg umysłu i ducha - popycha człowieka pozbawionego nadziei, zatruwając mu duszę.

Błądził samotny nocą nad ciemnymi nurtami i wpatrywał się w wodę z coraz mniejszą odrazą. Tam oto płynie pokój, a może unicestwienie.

Cóż pozostało mu innego?

Ciemne te myśli mogły być odegnane przez czułe słowa, przez kochające i pogodne głosy.

Najskromniejsi przyjaciele nieszczęśliwego człowieka mogą słowem, spojrzeniem lub uśmiechem rzucić promień słońca, który oddzieliłby zrozpaczonego od najstraszniejszego szaleństwa, w którym pogrąża! się teraz Gerard.

Gdzie Teresa? Gdzie stara gospodyni, dobra i serdeczna?

Zrozumiałyby i odczuły stan Gerarda swym prostym, lecz żywym umysłem; zrozumiałyby i ocaliły młodzieńca.

Nie; nie wiedziały, gdzie jest, a raczej dokąd się stacza.

Czyż żadne śmiertelne oko nie spogląda na biednego rozbitka i ciemną drogę, którą podąża?

Tak, są oczy, które śledzą każdy jego ruch, w domu czy na ulicach.

Lecz są to oczy wroga, śmiertelnego wroga.

ROZDZIAŁ LXVI

W komnacie zastawionej bogatymi sprzętami, której podłogę pokrywały skóry dzikich zwierząt w pręgi i cętki, siedziała dama, załamując dłonie i wyciągając przed siebie ręce.

Takie samo wzburzenie malowało się również na jej twarzy; bladła i czerwieniała na przemian, stopy drgały niespokojnie.

Panna służebna rozsunęła nagle kotarę.

Dama uniosła brwi.

Dziewczyna szepnęła z trwogą:

- Altezza - już przyszedł.

Dama kazała wpuścić zapowiedzianego człowieka, wyjęła czarną maseczkę i założyła ją na twarz pobladłą nagle, dziwną i straszną w kontraście czerni tej maski i marmurowej bieli policzków.

Wszedł z niskim ukłonem szurając nogami człowiek, który wyglądał jak anonimowa cząstka tłumu; krótkie włosy, okrągła głowa, pospolita, lecz przyzwoita odzież, ani urodziwy, ani odrażający. Uwagę zwracały jedynie rozbiegane, niespokojne oczy.

Zrobiwszy mnóstwo ukłonów, stanął wreszcie przed damą oczekując rozkazów.

- Czy powiedziano mu, w jakim celu został wezwany?

- Tak, signora.

- Czy ci, którzy z nim mówili, uzgodnili, ile ma otrzymać?

- Tak, signora. To całkowita cena za vendettę większą, teraz od waszej łaskawości zależy, czy zechcecie, pani, zadowolić się mniejszą.

- Nie rozumiem - powiedziała dama.

Vendetta mniejsza, o pani, to jeno śmierć ciała. Czekamy na naszego człeka przed bramą kościoła lub chwytamy go w godzinie nienawiści i wtedy załatwiamy sprawę. Vendetta większa wymaga baczenia: chwytamy klienta na gorącym uczynku po nie odpokutowanym grzechu i mordujemy wówczas duszę wraz z ciałem. Taka vendetta nie jest dziś tak pożądana jak parę lat temu.

- Człowiecze, niech zamilknie język tamtego i przestanie bić zdradzieckie serce. Nie wiodę sporu z jego duszą.

- Tak będzie, signora. Ten, kto mówił ze mną, nie znał człowieka ani imienia, ani miejsca, gdzie mieszka. Od kogóż się dowiem?

- Ode mnie.

Człowiek, okazując pierwsze oznaki zaniepokojenia, prosił o szczególną ostrożność w tej części polecenia.

- Niech się mnie nie lęka - powiedziała. - Niech słucha. To młody człowiek, wysoki, o włosach koloru złocistych kasztanów, błękitnych oczach i uczciwej twarzy, zdolnej oszukać świętego. Mieszka na Via Claudia w narożnym domu, u rękawicznika. Mieszka w tym domu

trzech mężczyzn: prócz niego malarz krępej postaci o ciemnej twarzy i młody, wysmukły chłopiec. Ten, który mnie zdradził, jest cudzoziemcem; piękny, wyższy od ciebie.

Zbir słuchał uważnie.

- Wystarczy - powiedział. - Jeszcze jedno, signora, czy bywa może w jakimś ustronnym miejscu, gdzie mógłbym się z nim rozprawić?

- Mój zaufany doniósł, że ma zwyczaj po zmierzchu spacerować nad brzegiem Tybru; zapewne spotyka tam swą bogdanę, która mnie śmie nazywać swą rywalką. Tam niech go zabije! Niechaj nadejdzie moja rywalka i znajdzie trupa! Gładkiego, bezczelnego zdrajcę bez serca.

- Uspokójcie się, signora. Żadnej już damy nie zdradzi.

- Nie jestem tego pewna. Ma miecz przy boku i umie nim władać. Jest młody i odważny.

- Nic go nie uratuje.

- Czy jesteś taki pewny swej ręki? Jaką posługujesz się bronią? Morderca pokazał stalową rękawicę.

- Uderzamy z taką siłą, że musimy chronić ręce. Oto nasz młot. Następnie uchylił kurty, ukazując kolczugę, na koniec położył lśniący sztylet na stole ozdobionym bogatym ornamentem.

Dama wzdrygnęła się, ale po chwili ujęła broń białą dłonią i wypróbowała ostrze na palcu.

- Ostrożnie, pani - powiedział zbir.

- Zatruty?

- Boże broń! My nie kradniemy życia. Zabieramy je stałą, nie jadem. Ale jest świeżo wyostrzony i obawiałem się o białą skórę signory.

- Jego skóra tak biała jak moja - powiedziała z nagłym drgnieniem litości. Trwało to jednak tylko chwilę. - Ale serce ma czarne jak sadza. Czyż źle postępuję usuwając zdrajcę, który mnie spotwarza?

- Sprawa to między signorą a jej spowiednikiem. Jestem jeno narzędziem w możliwych rękach; tak jak mój stiletto. Księżniczka zdawała się nie słyszeć swego rozmówcy.

- Och, jakżebym go kochała aż do śmierci; tak jak go teraz nienawidzę. Głupiec! Pozna, co znaczy dworować sobie z książąt; odtrącać ich i łasić się, przekładać nade mnie miejską hołotę, na pośmiewisko wystawiać... Czemu zwlekasz? Spiesz i mścij!

- Wedle zwyczaju należy mi się połowa zapłaty z góry, signora.

- Ach, zapomniałam, ten odwet jest kupny. Masz tu więcej niż połowę - rzuciła mu sakiewkę przez stół. - Gdy padnie cios, niech przyjdzie po resztę.

- Szybko mnie znowu zobaczycie, signora. - Wszedł, kłaniając się nisko i szurając nogami.

Księżniczka, szalejąc z zazdrości, udęrczonej dumy i strachu przed niesławą (aż do poznania Gerarda żaden cień nie skaził jej opinii, siedziała po wyjściu zbira w masce na twarzy, wyciągnąwszy przed siebie ramiona, wbijając paznokcie kurczowo zaciśniętych rąk w blat stołu.

Tak siedział legendarny sfinks; tak siedzi tygryska.

Teraz, gdy morderca się oddalił, nagły chłód przejął ją dreszczem. Zaciążyło ponure przeczucie, przedsmak daremnych wyrzutów sumienia. Gerard i Małgorzata wyprzedzali swą epokę, Klelia była prawdziwą córą wieków średnich. Wieków dumnych, żądnych miłości, mściwych, szlachetnych, szalonych, przebiegłych, impulsywnych, pozbawionych zasad, a także ciemnych jak brud.

Władza jest przekleństwem takich istot.

Gdyby sama musiała popełniać czyny zbrodnicze, słabość nerwów byłaby przeciwwagą dla gwałtownej, nieopanowanej namiętności i szczekanie byłoby gorsze niż ugryzienie zębami. Ale rozwścieczonej, słabej kobiecie władza daje mężczyzn jako narzędzia. Skutki są tak straszliwe jak nienaturalna to sytuacja.

W tym wypadku wymierzono sztylet mordercy w serce zagubionego nieszczęśnika, właśnie szukającego ucieczki w samobójstwie.

ROZDZIAŁ LXVII

Dwa dni po scenie, którą usiłowałem opisać, zdarzyło się, że burza chwyciła Gerarda błądzącego po jednej z najpodlejszych rzymskich uliczek. Wszedł więc do lichej gospody. Zażądał wina i ponieważ deszcz nie ustawał, upił się i drzemał półprzytomny, wsparłszy głowę o złożone na stole ręce.

W miarę upływu czasu izba zaczęła się napełniać prostackimi gośćmi i hałas obudził młodzieńca. Zwrócił uwagę na siedzących obok dwóch osobników, rozmawiających zniżonymi głosami.

Jednym z nich był zakonnik - sprzedawca odpustów. Drugi, sądząc po schludnym, lecz skromnym odzieniu, mógł uchodzić za przyzwoitego kupca, ale sposób, w jaki wcisnął kapelusz na brwi, kryjąc twarz po brodę, wskazywał, że człek ten ma powody do unikania oczu uczciwych ludzi i wymiaru sprawiedliwości. Para targowała się o cenę grzechu. Wedle

umowy nie będącej niczym niezwykłym w owych czasach, zbrodnia, która szukała wybaczenia, miała dopiero zostać popełniona pod osłoną niebiańskiego kontraktu.

Człowiek w zsuniętym na czoło kapeluszu żalił się na wysokie ceny odpustów:

- Jeśli jeszcze podrożeją, nas biedaków w ogóle przepędzą z nieba.

Sprzedawca odrzucił zdecydowanie to oskarżenie:

- Dla dobrych gospodarzy odpusty nigdy nie były tańsze. Jego towarzysz spytał:

- Jacyż to dobrzy gospodarze?

- Tacy, którzy grzeszą wedle cennika jak ludzie rozsądni. Jeżeliś tak przewrotny, że wybierasz grzech, przeciw któremu wypowiedział się sam papież, miej żal do siebie, nie do mnie.

Następnie, aby mu udowodnić, że zbrodnia tego czy też innego gatunku zawsze ma cenę dostępną dla każdego - poza oczywiście szumowinami społeczności - odczytał listę spisana na pergaminie.

Ciekawa to lista; nie nadawałaby się jednak do opublikowania w niniejszej książce, zaś okaleczyć ją to niewłaściwie ją przedstawić. Można ją odnaleźć w każdej wielkiej bibliotece. Wystarczy powiedzieć, że zamordowanie człowieka świeckiego miało znacznie niższą cenę niż wiele zbrodni, które moi świeccy czytelnicy mogliby uważać za stosunkowo dużo lżejsze.

Rzekliśmy. Po niewielkich ustępstwach obydwu stron dobito targu, pieniądze wypłacono i aspirant do łaski Niebios uzyskał z góry przebaczenie za unicestwienie świeckiego człowieka. Cena za usunięcie duchownego była nieproporcjonalnie wyższa.

Słowo morderstwo nie padło ni razu z ust żadnego z kupczących.

Wszystko to trafiło do uszu Gerarda. Nie podniósł jednak głowy ze stołu, słuchał otępiały.

Dopiero gdy zacni partnerzy wstali i każdy poszedł w swoją stronę, uniósł z lekka głowę i popatrzył z pogardą na oddalającą się postać nabywcy odpustu.

- Gdyby Małgorzata żyła - mamrotał - chwyciłbym cię za gardło i zadusił, ty tchórzliwy morderco. Ale ona umarła! umarła! umarła! Niech zginie świat cały; niczym to dla mnie, niech pierwszy przepadnę.

Gdy wrócił do domu, spostrzegł człowieka w nasuniętym na czoło kapeluszu, który przechadzał się zwawo tam i z powrotem po drugiej stronie ulicy.

- Znowu ten łotr tutaj - pomyślał Gerard.

Był jednak w takim stanie ducha, że ten zbieg okoliczności nie zrobił na nim żadnego wrażenia.

ROZDZIAŁ LXVIII

W dalsze dwa dni później Pietro Vannucci i Andrea czekali z kolacją na Gerarda.

Pietro zaczynał się niecierpliwić. Minęła już dziewiąta. Posłał na koniec chłopca do pokoju Gerarda licząc, że może tamten przemknął się nie postrzeżony do domu. Andrea wzruszył ramionami, ale poszedł.

Wrócił bez Gerarda, za to z kawałkiem papieru w ręku. Andrea nie umiał czytać w tym sensie, w jakim scholarze w jego czasach, a wychowankowie sierocińców w naszych, pojmują tę sztukę. Był jednak bystry, nauczył się rozpoznawać na papierze słowa: Pietro Vannucci.

- Sądzę, że to do was, panie - powiedział dumny ze swej bystrości.

Pietro chwycił list i odczytał jego treść chłopcu, nie szczędząc satyrycznych komentarzy:

„Drogi Pietro, drogi Andrea, życie jest zbyt ciężkim brzemieniem”.

- To prawda, mój mały, ale niedostateczna to racja, aby nie przychodzić do domu w porze wieczery. Wieczera nie jest brzemieniem.

„Noś moje ubrania”.

- Powiedziała topola do krzaku jałowca.

„A ty, Andrea, mój pierścień z ametystem; zatrzymajcie mnie w waszych sercach przez miesiąc lub dwa”.

- Dlaczego?

„Bo ciało moje, gdy to czytać będziecie, spocznie w Tybrze. Nie róbcie sobie kłopotu poszukiwaniem. Niewarte to fatygi. Och, nieszczęsny dzień, w którym się urodziłem; szczęśliwa noc, która mnie uwalnia! Żegnajcie, żegnajcie!

Gerard nieszczęsny z sercem złamanym”

- Co za głupi dowcip przewrotnego łobuza - rzekł Pietro, ale twarz mu pobladła i dreszcz przerywał jego słowa. Andrea krzyczał na cały dom:

- O dniu nieszczęsny! O klęsko nad klęskami! Gerard, mój przyjaciel, mój słodki pan! Ratunku, ratunku! Zabił się! O dobrzy ludzie, pomóżcie mi go ocalić.

Zaalarmowawszy cały dom, chłopak wybiegł na ulicę z odkrytą głową, błagając wszystkich dobrych chrześcijan o ratunek dla przyjaciela.

Szybko zebrała się gromadka ludzi.

Biedny Andrea nie potrafił jednak przełamać ich lenistwa i obojętności. Biec nad brzeg rzeki? Nie, to nie ich sprawa. Gdzie? w którą stronę? Szukanie szpilki w stogu siana.

Niebezpiecznie zresztą schodzić nad rzekę po zachodzie słońca.

Zbyt wielu duchów włóczy się nocami po brzegach Tybru.

Jakiś lokaj, który stał od pewnego czasu naprzeciwko domu, zgodził się pójść z Andrea i to zachęciło jeszcze trzech czy czterech młodszych.

Mała gromadka skierowała się ku rzece.

Lokaj wypytywał chłopca.

Andrea łkając opowiedział mu o liście i o ponurych obyczajach Gerarda w ostatnich czasach.

Lokaj był szpiegiem księżniczki Klelii.

Szli ku Tybrowi, a ich italskie języki obracały się bez wytchnienia.

Gdy poczuli wilgotne powietrze rzeki, jej zapach podczas tej cichej wiosennej nocy, zamilkli i zapadła śmiertelna cisza.

Księżyc świecił cichy i jasny na bezchmurnym niebie. Odgłos stóp rozbrzmiewał głośno i złowieszczo. Usta milczały.

Przyspieszając, spotkali na zakręcie człowieka, który na ich widok zatrzymał się niepewnie. Był bez nakrycia głowy, rozsypane włosy połyskiwały w świetle księżyca; zbliżywszy się o krok ujrzeli, że odzienie miał przemoczone.

- To on - krzyknął jeden z młodych ludzi. Nie znał Gerarda, nie wiedział, jak wygląda.

Nieznajomy odwrócił się nagle i począł uciekać.

Biegli za nim kupą, Andrea na przodzie, a tuż za nim lokaj księżniczki.

Andrea doganiał go już, ale zbieg skręcił nagle w boczną alejkę. Zaskoczony chłopiec nie zdążył przyhamować i pościg znalazł się w labiryncie, w którym dalsza gonitwa straciła sens. Szybkonogi uciekinier znał tu dokładnie każdy kąt i tylko już na słuch mogli ścigać go dalej.

Powrócili do reszty towarzystwa i znaleźli ich w tym samym miejscu, w którym stał tajemniczy człowiek. Pietro zapewniał, że uciekinier ani z rysów twarzy, ani z postaci nie był podobny do Gerarda.

Wypytywali go zmieszani:

- Czy naprawdę jesteście tego pewni? Przecie był w rzece. Dlaczegoż by na Boga i wszystkich świętych uciekał na nasz widok?

Vannucci odparł:

- Przyjaciele, zda mi się, iż tamten nie ma nic wspólnego z tym, którego szukamy. Co teraz poczniemy, Andrea?

- Jeszcze pójdziemy jego tropem do brzegu rzeki, żeby się upewnić - wtrącił lokaj. - Ociekał wodą cały czas.

Posłuchali tej rady i bez większego trudu odnaleźli ślad człowieka.

Rychło jednak stanęli przed nową zagadką.

Nie uszli jeszcze pięćdziesięciu kroków, gdy trop kropel skręcił od rzeki i zaprowadził ich do bramy wielkiego, ponurego budynku, który był klasztorem.

Stali niezdecydowani przed furtą i spoglądali na mocną budowlę. Zdało się im, że skrywa okropną tajemnicę.

Nagle Andrea zakrzyknął:

- Tu znowu są krople i wiodą do rzeki.

Ruszyli śladem i szybko zrozumieli, że tym razem dobrze trafili. Trop stawał się coraz wyraźniejszy, coraz bardziej wilgotny i doprowadził ich na brzeg Tybru. Wybrzeże tak wyglądało, jakby pełne wiadro wyciągnięto z rzeki.

Najpierw krzyknęli, ale po namyśle stwierdzili, że niczego to nie dowodzi. Z pewnością jakiś człowiek był w wodzie i wyratował się z niej; człowiek ten to jednak Gerard. Ktoś powiedział, że zna rybaka, który tu niedaleko ma sieci i bosaki. Odnaleźli go, zapłacili hojnie, aby zarzucił sieci we wskazanym miejscu i przeszukał rzekę do dna od powierzchni; obiecali mu złoto, jeśli odnajdzie ciało. Sami biegali na próżno to w górę, to w dół rzeki, która płynęła spokojnie i cicho, ukrywając tę i tysiące innych dziwnych tajemnic. Nagle Andrea z okrzykiem nadziei pobiegł do domu. Nie zabawił nawet pół godziny.

- Nie wrócił - jęknął, załamując ręce.

- Która godzina? - spytał lokaj.

- Czwarta po północy.

- Mój gładki chłopcze - powiedział uroczyście lokaj. - Zamów mszę za duszę twego przyjaciela, nie ma go już między żywymi.

Świtało. Andrea i Pietro z ciężkim sercem powlekli się do domu. Potoczyły, się dni, które nie przyniosły żadnych wieści o losie Gerarda. Dni, które milczały jak Tyber.

ROZDZIAŁ LXIX

Bardzo byłoby dziwne zaiste, gdyby ludziom poszukującym młodzieńca udało się z tak skąpych danych odczytać ślady na brzegu rzeki.

Zdarzenie, które stało się tej nocy na tym miejscu, tak było niezwykle, że być może nie znaleźć nam podobnego w dziejach ludzkości i zapewne nie powtórzyć mu się do końca świata.

Zdarzenie zostanie opisane na tych stronicach w bardzo niewielu słowach po części przeze mnie, po części zaś przez aktora tej sceny.

Gerard napisawszy krótki pożegnalny list do Pietra i Andrei, wymknął się o pierwszym zmroku nad rzekę.

Decyzję powziął niezłomną, jak to często bywa u ludzi, którzy się uprą zniszczyć własne życie. Kieszenie nappełnił całym swym zapasem srebra i miedzi, żeby tym pewniej się utopić, i tak przygotowany pobiegł w tę stronę rzeki, o której wiedział, że jest mało uczęszczana.

Zdarza się niektórym osobom, szczególnie kobietom, że spoglądają wokół, aby sprawdzić, czy ktoś jest w pobliżu.

Nasz zdecydowany na wszystko nieszczęśliwiec rozglądnął się, aby stwierdzić, czy nie ma w pobliżu nikogo.

Strapiony zauważył samotną postać znikającą za rogiem uliczki. Udał więc, że wędruje beztrudnie dalej, ale powrócił w to samo miejsce.

Patrzcie! Ten sam człowiek wyłonił się z zaułka i marudził tam.

- Czyżby mnie śledził? Czy wie, po co tu przyszedłem? - pomyślał Gerard. - Niemożliwe.

Odszedł szybko, przeciął jedną lub dwie ulice, obszedł dokoła i wrócił.

Człowiek zniknął. Ale patrzcie tylko! Gdy Gerard chcąc być pewnym, rozejrzał się dokoła, dostrzegł go parę jardów z tyłu, jak szedł wyraźnie przyspieszonym krokiem.

Gerard zrozumiał, że jest śledzony, i w tym samym momencie zauważył w świetle księżyca stalową rękawicę na ręku swego prześladowcy.

Wiedział już, że stoi przed nim morderca.

Dziwne to zaiste, ale nie przyszło mu nawet do głowy, że mogło chodzić o jego życie. Z całą pewnością nie zdawał sobie sprawy, że ma jakiegoś wroga na świecie.

Odwrócił się i ruszył wprost na zbira.

- Przyjacielu dobry - zawołał żarliwie. - Sprzedaj mi twe ramię! Jedno uderzenie! Bierz wszystko, co posiadam - wciskał pieniądze w ręce mordercy. - Och, błagam cię, błagam! Uderz raz mocno i wyzwól mnie od zniechęconego żywota! - mówiąc, rozpiął kubrak i obnażał pierś.

Mężczyzna spojrział mu w twarz.

- Czemu się wahasz? - krzyczał chrapliwie Gerard. - Czy nie masz pięści? Czy tak trudno podnieść ramię i opuścić je? Dlatego, że jestem biedak i nie mogę zapłacić ci złotem? Łajdaku, do niczegoś niezdolny, umiesz jeno z tyłu uderzać, nie potrafisz spojrzeć w twarz. Dobrze, dobrze, odwróć jeno głowę i trzymaj język za zębami!

Wydał jeszcze pogardliwy okrzyk, pobiegł przed siebie i skoczył do wody.

„Małgorzato!”

Słyszając ciężki plusk ciała w rzece, zbiorczy zdawał się ocknąć z osłupienia. Pobiegł na brzeg i krzyknawszy dziko, rzucił się w wodę w ślad za samobójcą.

Co się stało dalej, niech opowie morderca.

ROZDZIAŁ LXX

Niewiasta ma swoje kłopoty, tak jak mężczyzna swoje.

My pisarze potrafimy zwykle tylko wymienić, wskazać troski niewieście. Inteligencja czytelniczek musi nam przyjść z pomocą i wypełnić treścią oschłe notatki. Ja również raczej wymieniałem, niż opisałem przypadki życia i losy Małgorzaty Brandt aż do tego brzemiennego w wydarzenia dnia, gdy weszła do domu Eliasza jako wróg, przeczytała list ukochanego i stała się przyjacielem.

Teraz oto zbliżał się dzień największej dla niewiasty próby, a Gerard był daleko.

Niewiele korzystała z nagłej łaski Eliasza. Znajdowała sobie zawsze jakiś godziwy powód wstrzeźliwości, nigdy nie ujawniając prawdziwej przyczyny: było w tym domu dwóch mężczyzn, których widok przyprawiał ją o dreszcz instynktownej antypatii i grozy. Czuła nienawiść i nikczemność w ich twarzach, a także tajemnicze znamiona skrytego porozumienia. Wołała przyjmować Katarzynę i jej córkę u siebie w domu. Katarzyna starsza przychodziła do niej codziennie, przejęta do głębi serca oczekiwanym wydarzeniem.

Katarzyna była jedną z tych niewiast, których zadaniem jest rodzenie i wychowywanie zrodzonych. Taka niewiasta, gdy już wreszcie zgodzi się, że nie może wypełniać niemowlętami każdego zakątka swego domu, zaczyna krążyć wokół pięknych następczyń, które są w pełni sił żywotnych, i tak gdakać koło nich, że zdaje się rozmnażać per procura. W tym właśnie nastroju poprosiła Eliasza, by pozwolił jej zostać w Rotterdamie i sam powrócił do Tergou.

- Biedne dziewczę nie ma przy sobie żywej duszy, która by wiedziała cokolwiek o czymkolwiek. Co za pożytek z dwóch żołnierzy? Tego rodzaju zwierzyna nadaje się jeno do wyrzucenia za drzwi, to jedyne, co można zrobić w takich okolicznościach.

Nie muszę oczywiście dodawać, iż była wielką pociechą dla Małgorzaty.

Biedactwo bała się coraz bardziej, w miarę jak nadchodził jej czas.

Mogła umrzeć, a Gerard był tak daleko.

Lecz wszystko się równoważy. Ubóstwo dziewczyny, niedołętność ojca, które kosztowały ją tyle ciężkiej walki, teraz okazały się wielką pomocą.

Żelazna konieczność kazała jej pokonywać zmęczenie, które obezwładnia bogate przedstawicielki płci pięknej, musiała zawsze być na nogach, pracować. Zachowywała się tak za radą Katarzyny do ostatniej chwili.

Pewnego pięknego wieczora o zachodzie słońca Małgorzata leżała słaba, z malutką buzią przy boku, poznając słodycz macierzyństwa, niebezpieczeństwo było już poza nią.

- Dlaczego płaczesz, serduszko? Co ci się stało tak nagle?

- Nie ma go przy mnie...

- Ach, dziewczę, będzie przy tobie, zanim odłączysz dziecko od piersi. Tymczasem Pan Bóg okazał ci więcej dobroci niż wszystkim innym urodzonym na tej ziemi niewiastom, pomyśl tylko, że mogła to być dziewczyna. Moja własna Kasia ciągle mi tym groziła. A tu oto mamy najpyszniejszego chłopaka w Holandii, wyjątkowo dobrej wagi, chwała niech będzie świętym Pańskim.

- Tak matko, jestem podła niewdzięcznica. Nie powinnam płakać. Gdybyż Gerard mógł go zobaczyć! To dziwne: znosiłam dość dobrze samotność w moim smutku, ale jakże twarde wydaje mi się to, że on nie może cieszyć się wraz ze mną. Proszę cię, proszę cię, wróć do mnie, Gerardzie! Drogi! drogi Gerardzie!

Wyciągnęła przed siebie słabe ramiona.

Katarzyna krzątała się po izbie, ale unikała oczu Małgorzaty, nie mogła bowiem powstrzymać łez, słuchając tych czułych słów skierowanych do jej nieobecnego dziecka.

Odwróciwszy się ujrzała, że Małgorzata znowu patrzy na nią z dziwnym wyrazem twarzy:

- Nic nie słyszałaś, matko?

- Nie, moje jagniątko. A co takiego?

- Wołałam Gerarda przed chwilą.

- A tak, tak, przecie słyszałam.

- On mi odpowiedział.

- Cicho, drogie dziewczę, nie mów takich rzeczy.

- Matko, to tak pewne jak to, że leżę z moim chłopaczkiem przy boku. Słyszałam jego głos: „Małgorzato!” Tak, ale, zdaje mi się, że był to jego szczęśliwy głos. Może zawiniła odległość. Wszystkie głosy z daleka wydają się smutne. Czemu jesteś nieszczęśliwy, ukochany? A ja takam szczęśliwa tej nocy! Matko, wydaje mi się, że nigdy nie czułam bólu ani nie zaznałam troski.

Jej słodkie oczy spoczęły w milczeniu na małej twarzyczce.

Tej nocy Gerard rzucił się do Tybru. Gdy usłyszała swe imię, on krzychał w godzinie rozpacz i śmierci: „Małgorzato!” Wytłumaczcicie, kto z was potrafi. Ja nie.

ROZDZIAŁ LXXI

W gościnnej komnacie klasztoru dominikanów leżał samotny cudzoziemiec wyczerpany wielogodzinnym gwałtownym atakiem wymiotów, które ustąpiły wreszcie, lecz pozostawiły takie osłabienie, że można by je porównać ze słabością Małgorzaty cierpiącej tej samej nocy w dalekiej Holandii.

Drewniane polana płonęły wysokim płomieniem na kominku, obok rozwieszono ubranie chorego.

Potężny mnich siedział przy łożu, głośno czytając pobożne kolekty ze swego brewiarza.

Chory spoglądał co pewien czas na niego i wydawał się słuchać, czasem przymykał oczy i jęczał.

Zakonnik ukląkł dotykając czołem ziemi i modlił się za niego; potem się podniósł i pożegnał chorego.

- Dzień wstaje - rzekł - muszę gotować się do jutrzni.

- Dobry ojcie Hieronimie, powiedz jeszcze, nim odejdiesz, jak się tutaj znalazłem.

- Z woli Niebios. Odrzuciłeś dar Boży, a Bóg przywrócił ci go raz wtóry. Pomyśl o tym! Próbowałeś życia w świecie i świat napełnił cię żółcią. Spróbuj, co wart Kościół. Kościół to pokój. Pax vobiscum.

Odszedł. Gerard legł na pościeli i rozmyślał zdumiony, póki słabość i znużenie nie skłoniły go do drzemki.

Gdy się ocknął, inny już pielęgniarz siedział przy jego łożu. Był to człek świecki, o oczach tak małych i niespokojnych, jak spokojne i pełne godności były źrenice ojca Hieronima.

Mężczyzna z przejęciem zapytał go, jak się czuje.

- Bardzo, bardzo jestem słaby. Gdzie ja was przedtem widziałem, messer?

- Czy nie zrobiłem jakiej krzywdy moją rękawicą? - zapytał gość z wyraźnym niepokojem. - Musiałem uderzyć, gdyż inaczej obydwaj poszlibyśmy na dno Tybru.

Gerard wlepił w niego oczy.

- Jakże, to wyście mnie ocalili? Jakimże sposobem?

- A więc było to tak, signor, znalazłem się nad brzegiem Tybru w pewnej... w pewnej sprawie, mniejsza o to jakiej. Podszedłeś do mnie, panie, i błagałeś o cios sztyletem. Lecz

zanim mogłem spełnić tę prośbę, tak, jeszcze wówczas, gdy przemawiałeś do mnie, poznałem, żeś to ty, signor, ocalił mą żonę i dziecko na morzu.

- Toż mąż Teresy. I morderca!!!?

- Do usług. A więc, ser Gerard, skoczyliście zaraz potem do Tybru i kazaliście mi się wynosić.

- Pamiętam.

- Gdyby to był ktokolwiek inny, nie wy, wierzcie mi, posłuchałbym i nie ruszyłbym palcem. Ludzie to moi wrogowie. Jeśli o mnie chodzi, to mogą się wszyscy powiesić na jednym sznurze lub potopić w rzece. Ale kiedyście tonąc w Tybrze krzyknęli: „Małgorzato!”...

- Ach!

-...Moje serce krzyknęło: „Teresa”. Jakże mógłbym wrócić do domu i spojrzeć jej w twarz, gdybym pozwolił wam, panie, umrzeć tą samą śmiercią, od której, ją ocaliliście? Ruszyłem przeto za tobą; a szczęściem dla nas obu pływam jak ryba. Gdyście ujrzeli mnie blisko, chwyciliście i próbowaliście skończyć z nami obydwoma, tak bardzo pragnęliście śmierci. Ale opłynąłem dokoła i (za przeproszeniem zacności pana) rąbnąłem was w kark moją stalową rękawicą, tak że straciliście zmysły. Wtenczas ja z dużym trudem, bo prąd był silny, przyciągnąłem ciało do brzegu, ale bez zmysłów i pełne wody. Wziąłem was, panie, na plecy i skierowałem się do mego domu. - „Teresa go będzie pielęgnować - myślałem. Rada ze mnie będzie...” Ale obok tego klasztoru natknąłem się na świętego zakonnika, największego, jakiego widziałem w moim życiu. Ojciec duchowny zapytał, co się stało. Powiedziałem mu. Przyjrzał ci się pilnie.

- „Znam tę twarz - rzekł - to niejaki Gerard, zacny młodzieniec z Holandii”. „Ten sam” - powiadam. Wtedy jego wielebność: „Ma przyjaciół między naszymi braćmi. Zostaw go tu. Miłosierdzie jest naszym obowiązkiem”.

Powiedział mi również, że mają w klasztorze lepsze niż ja środki, by was pielęgnować. I to prawda, zaiste. Wytargowałem jeno, by mi wolno było odwiedzać was co dzień. Tak oto znaleźliście się tutaj.

Łajdaczyna spoglądał z dziwnym zainteresowaniem i czułością na Gerarda.

Gerard nie odpowiedział na to. Zdawało mu się, że wąż pełza po izbie. Zamknął oczy.

- Ach, chcecie spać - rzekł zbir żarliwie. - Już wychodzę. Oddalił się na palcach, obiecując odwiedzać go codziennie. Gerard leżał z zamkniętymi oczami; nie spał, lecz był głęboko zadumany.

Ocalony od śmierci przez mordercę. Czy to nie palec Boży?

Palec tego Boga, którego obrażał, przeklinał i znieważał. Drżał, wspominając swe bluźnierstwa. Próbował się modlić.

Mógł odmawiać pacierze, ale nie mógł modlitw zanosić.

- Jestem potępiony na wieki - krzyknął - potępiony, potępiony...

Organy w kościele klasztornym odezwały się bogatą i uroczystą harmonią dźwięków.

Potem usłyszał głosy chóru śpiewającego całe nabożeństwo.

Słodki, pełny i czysty anielski głos chłopięcy górował nad innymi, wznosił się ku niebu.

Zamknął oczy i słuchał. Wspomnienia jego własnych chłopięcych dni przypląły do niego wraz z dźwiękami tej słodkiej pobożnej melodii.

Tu nie było ziemskiego brudu, plugastwa, dzikich namiętności, upadku i duchowego zepsucia.

Spokój, spokój; słodki i balsamiczny pokój.

- Ach - westchnął - Kościół niesie pokój duszy. Nie znałem smutku ani grzechu, dopóki nie opuściłem jego świętego łona.

I oto biedny, rozdarty i zrozpaczony, zapłakał gorzko.

Plakał jeszcze, gdy pochyliło się nad nim słodkie i czcigodne oblicze. Była to twarz ojca Anzelma, którego już nigdy w życiu nie spodziewał się ujrzeć.

Dobry ojciec właśnie poprzedniej nocy przybył do klasztoru. Gerard poznał go natychmiast i krzyknął:

- Ojcze Anzelmie! Wyleczyliście w Juliers moje pokaleczone ciało, wyleczcie mą zranioną duszę w Rzymie. Niestety, temu nie podolicie.

Anzelm usiadł przy łożu chłopca, położył mu swą delikatną dłoń na głowie i powiedział kilka uspokajających słów.

Potem (ponieważ wiedział, w jaki sposób Gerard znalazł się w klasztorze) mówił do niego łagodnie, lecz poważnie, ukazał mu dobitnie jego zbrodniczy czyn, wezwał do pokuty i wdzięczności wobec Boskiej Potęgi, która pokrzyżowała jego grzeszne plany, aby ocalić duszę.

- A zatem, mój synu - rzekł na koniec - uwolnij twą duszę od ciężaru.

- Ach, ojcze - rzekł Gerard - w Juliers mogłem to uczynić, byłem niewinnym chłopcem, teraz jestem bezbożnym potworem i nie śmiem spowiadać się przed tobą.

- Czemuż by nie, mój synu? Czy sądzisz, że niegdyś nie grzeszyłem przeciw Niebiosom? Wielce, ach, jakże wielce! Pójdź, biedna obarczona grzechem duszo, zrzuć z

siebie troski, zrzuć winy, żadnej nie ukrywaj! Nie leż tu udręczony i zmiażdżony skrytymi grzechami.

Za chwilę Gerard był już u kolan ojca Anzelma, wyznając wszystkie swe grzechy, wzdychając i jęcząc ze skruchy.

- Wielkie są twe przewiny - rzekł Anzelm - ale i pokusy były równie wielkie, okrutnie wielkie. Muszę zasięgnąć rady naszego zacnego przeora.

Dobry Anzelm ucałował go w czoło i odszedł ustalić z ojcem superiorem należą pokutę.

Patrzcie! Oto Gerard już może się modlić.

I modlił się z całego serca.

Następny rozdział dziejów tego wybitnego umysłu da się scharakteryzować jednym słowem: pokuta.

Odwrócił się ze zgrozą i obrzydzeniem od świata i błagał namiętnie o pozostawienie go w klasztorze. Dla chłopca wychowanego wśród mnichów był to powrót zranionego, zmęczonego ptaka do miłego gniazda.

W nowicjacie cały swój czas poświęcił modłom, umartwieniu, pobożnej kulturze i medytacjom.

Szpieg księżniczki Klelii wrócił do domu i powiedział swej pani, że Gerard z całą pewnością nie żyje, choć nie znany jest dotąd rodzaj jego śmierci.

Wydawała się dosłownie oszołomiona.

Gdy po długiej chwili pani odzyskała oddech i mowę, zaczęła biadać nad swym losem, przeklinać usłużność i sprawność morderców. „Tak rychło - wzdychała. - Patrzcie oto, jak szybko działają takie potwory! Przychodzą do nas w godzinie rozpaczy, kuszą swymi zatrutymi sztyletami, a potem dokonują krwawych czynów, o których nigdy byśmy bez nich nie pomyśleli”.

Nie minęło parę godzin, a litość dla Gerarda i nienawiść do mordercy spowodowała gorączkę, w której szalona dama zaczęła pożądać krwi. „Biedaku! Nie mogę zwrócić ci życia. Ale nędznie zginie twój zdradziecki morderca”.

Postawiła w zasadzce zbrojnych, kazała im czuwać cały dzień, aby gdy Lodovico przyjdzie po pieniądze, napadli go w antyszambrach i roznieśli na strzępy. „Bijcie w głowę - rzekła - nosi on bowiem kolczugę pod odzieniem. Jeżeli wyjdzie stąd żywy, odpowiecie własnymi głowami”.

Siedziała oplakując ofiarę i szarpiąc za sznurki maszyny do rozlania krwi następnej ofiary za to, iż była jej narzędziem do unicestwienia pierwszej.

ROZDZIAŁ LXXII

Częścią pokuty, którą nowicjusz Gerard sam sobie nałożył, było uprzejme przyjmowanie wizyt Lodovica, choć zbrodniarz wydawał mu się oślizgłym wężem.

Nie mogło być pożyteczniejszego sposobu dla przewyciężenia własnej natury i podobnie większości rozsądnych sposobów pokuty, wkrótce ten także przestał być pokutą. Duma i zadowolenie, z jakim morderca spoglądał na jedyne ocalonego przezeń człowieka, była jednocześnie śmieszna i patetyczna. Wielką jest zaiste sprawą zapukać do furtki uczciwości w sercu, sprawić, by się otwarła. Dobre uczynki następują jeden po drugim, przenikając przez ten wyłom. Zrozumiawszy, jak słodko uratować komuś życie, złoczyńca nabiera wstrętu do odbierania go komukolwiek. Następnym krokiem to wyrzuty sumienia, a od nich prosta droga wiedzie do swego rodzaju pokuty. Teresa pomagała przemianie grożąc, nie pierwszy już raz, porzuceniem męża aż do chwili, w której zdecyduje się wieść uczciwy żywot. Dobrzy ojcowie klasztoru zaoferowali pomoc i Lodovico z Teresą zostali wysłani przez morze do Leghorn, gdzie Teresa miała przyjaciół, a morderca znalazł miejsce furtiana.

Uznał na początku swe nowe życie za nędzne nudziarstwo i nie krył tej opinii.

Wydaje mi się jednak, że to monotonne i pełne ciężkiego trudu życie było dla niego zdrowsze niż krótka chwila napięcia, która czekała nań, gdyby najemni siepacze księżniczki porąbali go na sztuki. Wygnanie uratowało nieświadomego penitenta od tego losu; księżniczka zaś, nie mogąc dopełnić zemsty, pogrzyżyła się w ponurych rozmyślaniach i wpadła w głęboką melancholię. Odprawiła swego spowiednika i przyjęła nowego, wielce słynnego z pobożności, któremu zwierzyła swe troski (tak je nazywała). Nowym spowiednikiem był właśnie Fra Hieronim. Nie mogła trafić w lepsze ręce.

Wysłuchał jej w ponurym milczeniu. Zdarł z niej potem złudzenia tak brutalnie, jak gdyby była dziewczką kuchenną. Należy bowiem oddać sprawiedliwość twardemu mnichowi, że gdy szedł drogą powinności, nie znał trwogi, obawiał się książąt tyle co groźnego morza. W kilku gwałtownych jak burza i błyskawice słowach rzekł, iż uważa ją za zbrodniarkę nad zbrodniarkami.

- Diabłem jesteś, który swym złotem skusił człowieka do mordu bliźniego, a potem w zaślepieniu miłości własnej, zamiast wstydzić się i pokutować, pożąda krwi człowieka winnego, lecz nie tak bardzo jak ty sama.

Oparła mu się w pierwszej chwili, mówiąc, że nie ma zwyczaju wysłuchiwać reprimend spowiedników. Ale mnich złamał ją, grożąc przekleństwem Kościoła na tym i tamtym świecie, zdarł bielmo z jej oczu, piorunował i miażdżył ją tak gwałtownie, że padła do nóg olbrzyma i czołgała się przejęta grozą i wyrzutami sumienia.

- Och, święty ojcze, miej litość dla. biednej słabej niewiasty, pomóż mi w zbawieniu grzesznej duszy. Żyłam w mroku bez takiego duchowego doradcy jak ty, dobry ojcze. Teraz obudziłam się jak ze snu.

- Zrzuć klejnoty - rzekł surowo Fra Hieronim.

- Tak uczynię, ojcze.

- Zrzuć jedwab i aksamity. W odzieniu skromniejszym od tego, które nosi najuboższa twa sługa, udasz się natychmiast do Loreto.

- Tak uczynię - szepnęła omdlewającym głosem księżniczka.

- Bez dżem; najprostsze jeno na nogach sandały.

- Tak, ojcze.

- Myj stopy pielgrzymom idąc tam i w drodze powrotnej, świętym mnichom wyznawaj grzech swój i znoś pokornie pouczenia.

- Święty ojcze, pozwól mi okryć twarz maską.

- Ejże!

- Litości! Błagam! Cała Italia zna mą twarz!

- Tak. Piękność dla większości niewiast jest przekleństwem. Dobrze. Zamaskuj oczy; nic więcej.

Wzruszona tym ustępstwem chwyciła dłoń zakonnika, chcąc ją całować; wyrwał brutalnie rękę.

- Co chcesz uczynić? Ta ręka przed godziną podawała eucharystię, czy jesteś godna jej dotknąć?

- Ach, nie. Ale nie odmawiaj błogosławieństwa swej pokutującej córce, nie odchodź bez tego.

- Będzie czas, gdy powrócisz z Loreto.

Tak więc dziwne wydarzenie na brzegu Tybru odcisnęło swe znamię na wszystkich aktorach sceny, tak jak to się dzieje ponoć w wypadku cudu. Morderca ratuje życie, które za złoto miał zniweczyć. Skruszony zamienia sztylet na sznur furtiana. Księżniczka pielgrzymuje boso do Loreto, oplakując zbrodnię i myjąc stopy biedakom.

Gerard zaś przyniesiony z Tybru do klasztoru jako samobójca przekształcał się w młodego świętego za murami konwentu.

Czuwały nad nim kochające, lecz i doświadczone oczy.

Po krótszym niż normalnie nowicjacie został dopuszczony do święceń kapłańskich.

Rychło potem złożył śluby zakonne i został mnichem świętego Dominika.

Umierając dla świata, zakonnik żegna imię, którym się dotąd posługiwał, i w ten sposób zrywa ostatnie więzy łączące go z ziemskimi uczuciami.

Tu umiera Gerard, rodzi się brat Klemens.

ROZDZIAŁ LXXIII

„Spadają liście z drzew, przemijają ludzie”. Tego roku w domu krawca w Rotterdamie urodził się wielki człowiek, nie zwracając niczyjej uwagi, a potężnych rozmiarów człek poszedł do ziemi z wielkim eclat.

Filip, diuk Burgundii, książę Holandii, eta, eta, leżał złożony chorobą w Brugii. W tych czasach biedacy chorowali lub cieszyli się zdrowiem wedle rozkazów Natury; lecz biada możliwym w owym wieku, kiedy na jednego zabitego przez panią Chorobę ginęło trzech z ręki doktora Leku.

Dolegliwość diuka, wówczas nie mająca nazwy, zwie się dziś dyfterią. Jest to obecnie, tak jak i wówczas, wielce wyczerpująca choroba, a diuk był starcem; dr Lek zarządził zatem puszczenie krwi.

Diuk zeszywniał z zimna: przedziwnie!

Dr Lek odwołał się wtedy do arkanów wiedzy.

- Ho! To poważne. Obedrzeć ze skóry małpę i natychmiast przyłożyć ją do piersi diuka.

Urzednicy rozbiegli się na wszystkie strony świata, szukając małpy, która miała przeciwdziałać żądnej krwi głupocie rodzaju ludzkiego.

Przekleństwo! Diuk nie posiadał małp. Były na jego dworze bizony, jaszczurki, Turczynowie, lamparty, wszelakie nierozumne bestie, brakowało właściwego zwierza.

- Jakże, zawsze bywała tu jakaś małpa - powiedział któryś z dworzan. - Widziałem którąś niedawno.

Bywały rzeczywiście; ale brytan zagryzł właśnie dowcipne stworzenie, które ukradło mu kolacyjkę, stosując się do ludzkiej zasady Soyez de votre siècle!

W tak trudnej sytuacji marszałek dworu rozejrzał się zrozpaczony wokół siebie; i nie na próżno. Nadzieja zabłysła mu w oczach.

- Spójrz na t o t o - rzekł sotto voce.- Na pewno się nada. Zupełnie podobne do małpizona, jak się ściągnie portki i kubrak,

- Raczej nie - zaprotestował nieśmiało kanclerz - księżniczka Maria każe nas powiesić. Okrutnie jest w tym zaślepiona.

T o t o oznaczało naszego przyjaciela Idziego, który niczego nie podejrzewając, poruszał się strojny w złotogłów.

Doktor Lek stracił wtedy cierpliwość i rozkazał obedrzeć ze skóry psa.

- Pies jest najlepszym po małpie, należy jeno dobrać zwierza jednakiej maści.

Obdarli tedy ze skóry psa koloru wątroby i jeszcze drgającego przyłożyli do piersi monarchy. Tak oto umarł ich pan.

Filip Dobry w tak naukowy sposób wyprawiony na tamten świat pozostawił trzydzieścioro i jedno dziecko, któreś tam z nich było tak czy inaczej prawowite i objęło po nim rządy.

Dobry diuk zaopatrzył dziewiętnascioro, reszta musiała sobie sama poradzić.

Wedle kroniki flamandzkiej zmarły książę poprzez dawnych królów Frankonii: Thierry'ego z Akwitanii, Szilperyka Faramonda, etc...pochodził od królów Troi.

Nie było to w istocie wyróżnieniem. Nie udało mi się odnaleźć ani jednego księcia owych czasów, który by nie wywodził się z Troi. „Priam” w średniowieczu znaczyło tyle, co „Adam”.

Ciało dobrego księcia przewieziono do Burgundii i złożono w Dijon w pięknym, godnym wielkiego pana mauzoleum z czarnego marmuru.

Holandia rozbrzmiewała wieścią o owej śmierci i nie przypuszczała nawet, że oto na tej samej ziemi ktoś inny, równie sławny, przyszedł w tym samym roku na świat. A byłaby to naprawdę zbyt skromna ocena. Do dziś ludzie mają oczy zwrócone na dom krawca, który był miejscem wielkich narodzin piętnastego stulecia. W którym domu zmarł dobry diuk, „nie wie nikt i nie dba oń nikt”, jak mówi piosenka.

A dlaczego?

Książęta podobni Filipowi Dobremu przychodzą i odchodzą, pozostawiając ludzkość ani nie mądrzejszą, ani nie lepszą, ani nawet nie inną od tej, którą zastali. Lecz kiedy raz na trzysta lat zrodzi się na świecie takie dziecko jak syn Małgorzaty, ludzka pochodnia ogniem niebiańskim zapalona, fiat lux rozbrzmiewa od bieguna do bieguna!

ROZDZIAŁ LXXIV

KLASZTOR

Zakon dominikanów, zwanych też braćmi kaznodziejami, niegdyś najpotężniejszy w Europie, chylił się w wieku piętnastym ku upadkowi. Ich rywale i najzaciętsi wrogowie, franciszkanie, wypierali ich na całym świecie, nawet w Anglii, kraju bogatym i pobożnym, gdzie znani jako czarni mnisi mieli niegdyś przewagę.

Mądrzy więc mężowie, którzy i strzegli zakonu, i kierowali jego interesami, nigdy nie okazywali większej troski o zdobycie zdolnych i żarliwych synów, by ich wysłać na ponowny podbój świata.

Zapał i uzdolnienia Klemensa, szczególnie zaś jego rzadkie mistrzostwo we władaniu językami (władał bowiem łaciną, włoskim, francuskim, górnol dolnoholenderskim), szybko zwróciły nań uwagę. Został wyznaczony na wyjazd do Anglii, by głosił tam słowo Boże zgodnie z zasadami rzymskiego ośrodka.

Ale Hieronim, z którego zdaniem liczył się sam superior, wystąpił przeciw temu planowi.

- Klemens - powiedział - nie wygnał jeszcze słabości i uroków świata ze swych uczuć; mleko świeckiego życia płynie w jego żyłach; nie zezwólmy, aby jego świeża gorliwość i niedawno zdobyta pokora przesłoniła starą naszą mądrość. Poddajmy go próbie, utemperujmy charakter, abyśmy nie musieli stwierdzić pewnego dnia, że oto oparliśmy się na trzcinie zamiast na lasce.

- Słuszna to rada - rzekł przeor. - Weź go w swoje ręce.

Hieronim, słuchając starej mądrości, zaczął wypróbować Klemensa.

Pewnego razu powiódł go na plac, gdzie młodzi ludzie uprawiali modne gry i zabawy; wiedział, że to miejsce jest uczęszczane przez dawnych przyjaciół Klemensa.

Po niedługiej chwili minęli ich Piętro Vannucci i Andrea, spoglądając obojętnym wzrokiem na dwóch zakonników. Nie poznali zmarłego przyjaciela w mnichu z ogoloną głową.

Klemens drgnął lekko, lecz natychmiast spuścił oczy, odmawiając patemoster.

- Czy nie chcesz porozmawiać z nimi, bracie? - zapytał Hieronim, wypróbując młodego człowieka.

- Nie, bracie, dobrze się stało, że ich ujrzałem. Przywiedli mi na pamięć grzechy, których nigdy nie zdołałem należycie odpokutować.

- W porządku - rzekł Hieronim i złożył chłodne sprawozdanie na korzyść Klemensa.

Następnie zabrał go ze sobą do łoża wielu umierających. Do cuchnących więzień, w których panowała przerażająca ciemność i dusił mdlący fetor zarazy, a ludzie dzikim bestiom podobni konali w łachmanach, brudzie i rozpacz. Ciało Klemensa ciężko znosiło te próby, ale duch zbierał wszystkie siły, aby zanieść pociechę takim nieszczęsnym nędznikom, których można było przecież pocieszyć. Klemens promieniał w czasie tych prób, Hieronim doniósł przełożonemu, że duch młodego brata jest ochoczy, lecz ciało mdłe.

- W porządku! - rzekł Anzelm. - Ciało mdłe, lecz duch ochoczy. - Czekala młodzieńca jeszcze cięższa próba.

Opiszę ją tak, jak była widziana przez świadków.

Pewnego dnia tłum zalał główną ulicę Rzymu, nawet boczne drogi były gęsto utkane głowami. Oczekiwano egzekucji. Nie zwyczajnej to zbrodni dokonano i nie na pospolitej ofierze.

O świcie znaleziono gubernatora Rzymu okrutnie zamordowanego we własnym łozu. Ręka, którą wznosił zapewne w obronie życia, leżała przy jego boku odcięta w przegubie, zabójca poderzwał mu gardło i zmiażdżył tępym narzędziem skronie. Ślady mordu doprowadziły do służącego, który właśnie tego ranka miał za swój czyn zapłacić.

Egzekucje w Italii na ogół nie odznaczały się okrucieństwem. Sądzone jednak, że ta zbrodnia domagała się kary surowej i krwawej.

Przywiedziono mordercę do domu zabitego i przymocowano na pół godziny do ściany siedziby gubernatora. Po tym wstępie do legalnej zemsty odrąbano mu lewą rękę, tak jak uczynił to swej ofierze.

Rozcięto świeża ubitą sztukę drobiu i obłożono nią krwawiący kikut; nie wiem zaiste, w jakim czyniono to celu, ale widok przypominał nieco błazeństwa biednych zacnych doktorów; mordercę okaleczonego i opatrzzonego w ten sposób popędzono na szafot; tam młody zakonnik gorąco i żarliwie modlił się z nim i za niego, trzymając krucyfiks tuż przed oczami skazańca.

Nagle kat brutalnie odepchnął mnicha na bok, uderzył łotra ciężkim, drewnianym młotem i runąwszy na niego, poderzwał mu gardło od ucha do ucha.

Krzyk grozy buchnął z tłumu.

Młody zakonnik osunął się na ziemię.

Olbrzymi mnich przedarł się naprzód i uniósł zakonnika jak dziecko na rękę.

Brat Klemens wrócił do klasztoru smutny i zniechęcony.

Wyspowiadał się przeorowi z oczami pełnymi łez żalu.

- Odwagi, synu. Dominikanin nie rodzi się w ciągu jednego dnia. Przejdziesz inną jeszcze próbę. I zabraniam ci pościć przed nią.

Klemens skłonił głowę na znak posłuszeństwa. Niedługo przyszło mu czekać. Prowadzono na szafot zbója, potwora zdziczenia i okrucieństwa, który po obrabowaniu zabijał ludzi dla samej przyjemności mordu. Klemens spędził z mordercą ostatnią noc w więzieniu, towarzyszył na szafot i tam modlił się z nim i za niego tak żarliwie, że ów twardy brutal zapłakał gorzko i ucałował mnicha. Klemens oddał pocałunek, choć drżał całym ciałem z obrzydzenia, i trzymał krucyfiks przed oczami zbrodniarza. Skazańca uduszono. Klemens nie widział już tłumu, modlił się głośno i gorąco, podczas gdy mroczny duch opuszczał ziemię. Zaledwie skonał, kat uniósł topór i porąbał ciało na ćwierci. Dziwne jest serce

człowieka! Ci sami ludzie, którzy obojętnie, a nawet z satysfakcją patrzyli na śmierć skazańca, teraz litosnymi okrzykami towarzyszyli każdemu ciosowi siekiery, choć trup więcej już nie czuł. Klemens także wzdrygał się, ale stał niewzruszenie jak skała, która wibruje od wstrząsu, mimo to nie da się wyważyć z posad. Usłyszał nagle dźwięk głosu Hieronima.

- Bracie Klemensie, wejdź na wózek i głoś kazanie ludowi. Zaraz, szybko! Uderz z całą mocą w żelazo, póki jest gorące, i można pomóc duszom do zbawienia.

Klemens czerwieniał i bladł, pierś wznosiła mu się szybkim oddechem. Posłuchał, niepewną stopą wszedł na wózek i wygłosił swe pierwsze kazanie do tłumu. Ach, to morze głów! Zdało mu się, że gardło ma ściśnięte, serce waliło jak młot, głos drżał.

Stopniowo jednak niezwykłość sytuacji, widok podnieconych, uniesionych do góry twarzy i własne pełne zapału serce rozgrzały bladego mnicha. Opowiedział ludowi dzieje zbójcy, które poznał z własnych ust więźnia, na tym przykładzie ukazał słuchaczom narastanie szaleństwa i zbrodni, ostrzegł uroczyście przed pierwszym fatalnym krokiem po drabinie grzechu. Gdy zaś następnie zagrzemiał przeciw rozlewowi krwi i wezwał tłum do litości i miłosierdzia, zapomniał o swym lęku, głos jak napięte struny lutni z niezwykłą siłą zapanował nad owym zaszuchanym audytorium; czuł bicie pulsu ludzkiej gromady, mógł wygrywać święte melodie na ich duszach jak niegdyś na swym psalterionie. Szlochy i jęki dawały świadectwo władzy mówcy nad tłumem podnieconym już odegraną przed nimi tragedią. Hieronim patrzył jak człowiek, który pragnął zaświecić pochodnię, a podpalił rakietę. Klemens napotkał jego zdumione spojrzenie i czując w nim dezaprobatę przerwał nagle i podszedł do towarzysza.

- To moja pierwsza próba - usprawiedliwił się nieśmiało. - Polecenie spadło na mnie jak piorun z jasnego nieba. Byłem... Zrobiłem coś? Proszę, poucz mnie i pomóż swym doświadczeniem, bracie Hieronimie.

- Hm! - rzekł z powątpiewaniem Hieronim i dodał raczej niechętnie po dłuższym namyśle: - podziękuj Bogu, bracie Klemensie, moim zdaniem urodziłeś się oratorem.

To samo, choć równie niechętnie, rzekł swemu przełożonemu. Był to bowiem mnich uczciwy, choć raczej niezyczliwy.

Niejaki Juliusz Antonelli został oskarżony o świętokradztwo i trzech świadków zeznało, że widzieli, jak wychodził z kościoła w tym samym czasie, gdy w świątyni skradziono świece. Inni świadkowie z równą pewnością potwierdzali jego alibi. Nie można było zachwiać żadnego ze świadectw. Wobec takich wątpliwości pozwolono Antonellemu przejść przez próbę wody gorącej lub zimnej. Podczas próby w gorącej musiał włożyć nagie ramię do wrzącej wody na głębokość czternastu cali i wyjąć kamyk; przy próbie zimnej

miano zanurzyć ciało oskarżonego na osiem stóp głębokości. Duchowni, wierząc w jego niewinność, doradzali próbę gorącej wody, która dla faworyzowanych przez nich nie była taka straszna, jak się wydawało. Ale biedak, załamany nerwowo, wybrał pławienie w zimnej. Hieronim miał znowu okazję do hartowania Klemensa. Antonelli przyjął sakramenty, został rozdzielony z szat na brzegu Tybru. Związano mu ręce i nogi, aby uniknąć szarpaniny, w czasie której człowiek wyciągając ramiona, zatapia ciało.

Spuszczono go ostrożnie do rzeki. Unosił się przez chwilę, widać było nad powierzchnią jego włosy. Równoczesny ryk z obydwu stron rzeki ogłosił jego winę. Ale już za chwilę sznury, przypadkiem zupełnie nowe, zamokły i nieszczęsny zanurzył się głębiej. Teraz ryk poświadczał niewinność. Opuścili go na dno rzeki na określony czas, nieco dłużej niż pół minuty, następnie wyciągnęli duszącego się, dyszącego i błagającego o litość, po przepisanych zaś modłach zwolnili oczyszczonego z podejrzania..

Podczas całej próby Klemens modlił się żarliwie na brzegu. Po zakończeniu ceremonii złożył dzięki Panu Bogu głośnym, choć nieco drżącym głosem.

Przy pierwszej okazji zapytał Hieronima, czy nie należy się temu człowiekowi jakaś rekompensata.

- Za co?

- Za ból, grozę, za prawie całkowite uduszenie. Biedaczyna żyje co prawda, ale poznał całą gorycz śmierci. A przecież nie uczynił nic złego.

- Został dostatecznie wynagrodzony oczyszczeniem od winy.

- Ależ był niewinny, a musiał wypić śmiertelną czarę, choć bez fusów z dna, czemuż oskarżyciele, nie tak niewinni jak on, nie odcierpieli niczego?

Hieronim odpowiedział oschle:

- Nie na tym świecie ludzie ponoszą właściwą karę, bracie Klemensie. Nieszczęśni ci, którzy grzeszą, a nie cierpią. Szczęśliwi, którzy znoszą wszelkie możliwe na tej ziemi cierpienia, będą im one policzone, i to stokrotnie.

Klemens skłonił pokornie głowę.

- Oby twe dobre słowa nie uleciały z wiatrem, lecz zapuściły korzenie w moim sercu, bracie Hieronimie.

Najcieńsza jednak, choć nie zaplanowana przez brata Hieronima, próba czekała jeszcze na Klemensa. A stało się tak, że Hieronim w momencie pobłażliwości zabrał chłopca do Fra Colonna, tam zaś na stole leżał pięknie skopiowany rękopis pt. Marzenie Polifila. Biedny autor, dumny ze swego dzieła, wskazał im swą główną, mistrzowską jego zdaniem, ideę.

- Przez całe wieki - mówił - różni głupcy trwonili poetyckie pochwały i komplementy miłosne na kobiety śmiertelne, na zwykłe ziemskie stworzenia, wiedząc dokładnie o ich pochodzeniu. Syreny w oknach, gdzie, zwłaszcza nasze rzymskie niewiasty, ucząc się przez życie, posiadały nikczemną sztukę ukazywania zalotnikom przez żaluzje maleńkiego pięknego szczegółu: uszka lub rzęs, skrywając. chytrze całą resztę, sroczki w drzwiach, capre nei giardini, angeli in strada, sante in chiesa, diavoli in casa. Teraz moja kolej: przychodzę i przetrząsam miłosne strofy minstreli, nie pomijając tych, które Petrarca zmarnował dla sławy francuskiej kobietki Laury, najprzebieglejszej z nich wszystkich; przetrząsam i składam cały bukiet swawolnych, korzennych woni u stóp jedynek dam godnych miłosnych kadełek: Dziewięciu Muz.

- Tym oto zacnym fortelem - powiedział Hieronim, który przez cały czas przewracał karty - udało się dominikaninowi stworzyć wszeteczną księgę. - Cisnął Polifila na stół.

- Wszeteczną! Mnichu bez oglądy i dworności! - autor obiegł stół dookoła, chwycił rękopis, schował pod klucz i drżąc z oburzenia, powiedział:

- Mój Gerard, ba, ba! obecnie brat Jakgotamzwą, nie uważał Polifila za rzecz wszeteczną. Puris omnia pura.

- Ci, co przeczytają waszego Polifila - daj Panie Boże, aby ich było niewielu - znajdą w nim to, co ja znalazłem.

Biedny Colonna przełknął tę gorzką pigułkę; gdyby nie to, że był we własnym mieszkaniu, że był nie tylko wysoko urodzonym panem, lecz i uczonym, doszłoby zapewne do wulgarnej kłótni. Opanował się z trudem i zmienił temat rozmowy, pokazując piękny chryzolit, który mu podarował kardynał Colonna. Podczas gdy Klemens oglądał kamień, gospodarz opowiadał o walorach moralnych klejnotu, podzielał bowiem w zupełności poglądy swej epoki, uwielbiając klejnoty. Hieronim innego był zdania i skrytykował Fra Colonnę za jego wiarę, jakby martwy kamień mógł wpływać na charakter swego właściciela: jeden gwarantować czystość, drugi zabezpieczać przed trucizną, jeszcze inny przynosić umiarkowanie.

- Doświadczenia całych stuleci są najlepszym dowodem - rzekł Colonna. - Jeśli zaś chodzi o ostatnią wymienioną przez was cechę - siedzi tu dowód żyjący. Oto Gerard - przepraszam, brat Jakiśtam - pochodzi z Północy, gdzie ludzie piją jak smoki; a on był zawsze wstrzemięźliwy. A czemuż to? Nosił ametyst najczystszej wody i najszlachetniejszej barwy, jaki kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć na palcu szlachetnie urodzonego człeka. Gdzież, na Boga, jest twój ametyst? Pokaż go temu niedowiarkowi.

- I to ten ametyst uczynił chłopca umiarkowanym? - zapytał ironicznie Hieronim.

- Oczywiście. Jakież jest pochodzenie i znaczenie słowa ametyst? „a” - zaprzeczenie, zaś □ξ□u□ dać się upić. Imiona są przecie znakami rzeczy. Kamień nie może wszak nazywać się przez dwa tysiąc lat dla samej zabawy i nadużycia języka.

Omówił następnie najważniejsze klejnoty, objaśniając ich moralne właściwości, zwłaszcza zaś rubinów, szafirów, szmaragdów i opali. Opowiadanie ilustrował anegdotami zaczerpniętymi u poważnych historyków.

- Są to bajdy starych kumoszek - powiedział z pogardą Hieronim. - Nie wiem czy żył kiedy człek o równej łatwowierności.

Sceptycy często narażają się na zarzut łatwowierności, ale tym bardziej czują się tym urażeni.

Nasz sceptyk wierzący we wpływ kamieni aż skurczył się z przykrości i zrezygnował z tematu. Hieronim, źle zrozumiałwszy jego milczenie, zachęcił go, aby zrobił następny krok - porzucił od dzisiaj swą bezużyteczną pogańską wiedzę i studiował Żywoty Świętych.

- Wyżeń pogańskie przesady ze swego umysłu, bracie, jak chrześcijaństwo wymiotło je z powierzchni ziemi.

Mówił dalej w tym duchu, nieostrożnie powtarzając obiegowe, lecz nie umotywowane twierdzenia teologiczne. Teraz zraniony Polifilo zrewanżował się. Wybuchnął i zarzucił brata Hieronima stosem surowych, chaotycznych wiadomości, spośród których z braku czasu, jak również i niedostatku wykształcenia, mogę przytoczyć tu tylko parę fragmentów.

- Pogaństwo wymazane? Mają w ręku cztery piąte świata. A cóż to my chrześcijanie wymyśliliśmy bez ich pomocy? Malarstwo? Rzeźbę? Są to sztuki pogańskie, jesteście w ich zakresie pigmejami. Któryż współczesny umysł potrafi stworzyć i wyrycić takie boskie kształty jak najślynniejsi rzeźbiarze ateńscy, jak: Likas Libijski, Dinokrates z Macedonii, Skopas, Tymoteusz, Leochares i Bryaxis; Chares, Lizyp i trzech nieśmiertelnych z Rodos, którzy wykuli Laokoona z litego bloku? Który książę dość ma geniuszu, aby góry przemieniać w posągi, jak to uczyniono w Bagistanie i zaprojektowano w Athos? Jakież miasto ma dość polotu, aby umieścić nad morzem mosiężnego kolosa” tak że najwyższe statki przepływały między nogami olbrzyma? Czy może wynaleźliśmy architekturę? I tu jesteście jeszcze jeno dziećmi. Czy możemy porównać cokolwiek z czystością rysunku Partenonu, ze skupieniami jego podwójnych i pojedynczych kolumn doryckich? (Uwielbiam dorycki styl, jeżeli jest odpowiednio wielka perspektywa). Z okazałością i wykończeniem teatrów Grecji i Rzymu lub cudownych świątyń Egiptu, do których bram ludzie szli w świętej grozie przez milowe aleje sfinksów tak wielkich jak pałac Wenecki? A wszystkie te arcydzieła z porfiru są cięte i polerowane jak kryształ, a nie ordynarnie ciosane jak nasze nędzne budowle. Nawet teraz ich

wygładzone kolumny i pilastry przewracane i połamane, oplecione i porośnięte akantem i mirtem, lśnią jeszcze i szydzą z niechlujnej sztuki nowoczesnych rzemieślników. Czy może kanały, akwedukty, wiadukty?

Przeciwnie, zatraciliśmy sztukę budowania dróg - zatraciliśmy, mając najlepsze wzory świata przed oczyma. A może grobowce dla umarłych? Żadna nacja chrześcijańska nie wybudowała dotąd grobu, który nie rozśmieszyłby do łez uczonego męża. Tylko pomyśl o mauzoleum, piramidach, potężnych grobowcach Indii i Gangesu, otoczonych z zewnątrz górami, zawierających wewnątrz kopalnie drogich kamieni. Nie widziałeś nigdy Wschodu, Hieronimie, nie mógłbyś wtedy zniesławiać pogaństwa.

Hieronim zauważył, że to wszystko sprawy materii. Prawdziwa wielkość jest z ducha.

- Dobrze, dobrze - odparł Colonna. - Cóżeśmy to więc wymyślili w dziedzinie umysłu? Geometrię czy może logikę? Nie, Ζός εστίν ουρανός Ζεϋς τε γη Ζεϋς τοι πάντα powiedział Grek, a Lukan powtarza za nim:

Jupiter est quodcunque vides quocitnque moveris

Ich prostaczkowie byli politeistami; a jak jest u nas? Czyż nie wymyśliliśmy „inwokacji świętych”. Nasi sancti to ich daernones i divi, poganie modlili się do swych divi, czyli ubóstwionych śmiertelnych, aby pośredniczyli, wstawiali się za nimi do bóstw wyższych; wulgarniejsze jednak umysły, niezdolne do subtelnych rozróżnień, ubóstwiały te pomniejsze bogi, których powinni byli tylko wzywać. Motłoch chrześcijański podobnie postępuje w naszych czasach, naśladując motłoch pogański w tej nieprzerwanej tradycji. W Piśmie Świętym nie ma wszak politeizmu pod żadną postacią. Nie wymyśliliśmy nawet formy czy odmiany politeizmu. Prostacy poganie wielbili wszelkiego rodzaju ubóstwianych śmiertelników i każdy miał swego ulubieńca, do którego się zwracał dziesięć razy, podczas gdy jedną modlitwę słał do Wszechmocnego. Nasza hołota ubóstwia kanonizowanych śmiertelników i modli się do nich dziesięć razy częściej niż do Boga. Czy nazwiesz to odkryciem? Odkrycie ogranicza się do Wschodu. Wśród starożytnego prostego ludu tylko żeglarze byli monoteistami; wielbili Wenus; zwali ją Stella maris i Regina caelorum. Wśród naszego ludu również tylko żeglarze są monoteistami, czczą Dziewicę Maryję, zwąc ją: „Gwiazdą mór”, „Królową Niebios”. Czy nazwiesz to nową religią? Stary kubrak z nowym guzikiem. Nasi prostaczkowie sporządzają podobizny, adorują, co jest absurdem, ponieważ adoracja jest hołdem należnym Stwórcy od stworzonych przez niego istot; w tym wypadku człowiek jest stwórcą; zatem posągi powinny czcić go i czyniłyby to, gdyby miały dość rozumu, aby usprawiedliwić nędzników, którzy czcią je otaczają. Ale i to nawet nadużycie, wystarczająco dziecinne, aby pochodzić z naszych czasów, jest starożytne. Motłoch pogański

w tych okolicach sporządzał wizerunki, klękał przed nimi, zapalał świece, nosił posągi w procesji i odbywał do nich pielgrzymki przy najbliższej okazji, tak jak i my to czynimy jako naśladowcy.

Hieronim przerwał mu niecierpliwie i przypomniał, że najbardziej czczone w chrześcijaństwie wizerunki nie zostały stworzone ręką człowieka, lecz spadły z niebios.

- Tak, tak - krzyknął Colonna. - Tak samo opiekuńcze posągi większości wielkich miast Italii. Przebadałem dziewiętnaście spośród nich i porobiłem szkice. Jeżeli rzeczywiście spadły z nieba, to naszymi aniołami zostali nasi najgorsi rzeźbiarze. Ale umysł mój jest spokojny w tej materii. Niezdarna figurka czy ohydny bohomas nigdy nie spadły z nieba, aby odejmować kawałek chleba od ust zdolnemu rzemieślnikowi. To wszystko pogańskie i w ten sposób powstało. Trojanie mieli orientalną wyobraźnię i wymyślili, że ich Palladium, drewniana statua trzyłokciowej długości, spadła z nieba. Grecy przynieśli to kłamstwo do domu wraz z łupem trojańskim i w niedługim czasie spadł deszcz figur na wszystkie greckie miasta i na małpujące je grody łacińskie. Jedna z tych Palladiów przysporzyła sporo kłopotu św. Pawłowi w Efezie; był to posązek Diany, która spadła od Jowisza: *credat aui credere possit*.

- Może jeszcze podajesz w bluźnierczą wątpliwość obraz naszej świętej Pani, który prawie sto lat temu zawisł świecąc w powietrzu nad tymże właśnie miastem, został zdjęty przez papieża i umieszczony w kościele Św. Piotra.

- Nie mam żadnych bluźnierczych wątpliwości w tej materii, Hieronimie, lecz to historia puklerza Numy odnowiona przez teologów o zacięciu do bajek, jednak bez talentu w tym kierunku, jako iż nie byli to ludzie Wschodu. Ancile, czyli święty puklerz Numy, wisiał świecąc nad tym właśnie miastem, dopóki nie zdjął go ów pobożny książę i nie powiesił w świątyni Jowisza. Bądź sprawiedliwy, przełknij obie historie lub żadnej. *Bocca delia Veritd* uchodzi za posąg Najświętszej Dziewicy i dowiodła niedawno krzywoprzysięstwa pewnej niewieście; w rzeczywistości jest to wizerunek bogini Rei, a nowożytny wymysł jest jedną z jej starożytnych tradycji: przełknij obie lub żadnej.

Oui Bavium non odit amet tua carmina, Mavi

Wszystkie nasze palladiuncula - wszystkie nasze mówiące, kiwające głowami, mrugające, krwawiące i zlewające się potem figury zawdzięczamy biednym, zelżonym poganom; krople potu pojawiały się na wszystkich ateńskich figurach przed bitwą pod Cheroneą, to samo przydarzyło się rzymskim posągom za konsulatu Tuliusza, a mianowicie posągowi Zwycięstwa w Kapui, Marsa w Rzymie i Apollina Za Murami. Sam posąg Palladium został przyniesiony do Italii przez Eneasza i po trzech wiekach spokoju odezwał się

w świątyni Westy. Obawiam się, że jakąś błahą uwagę wypowiedział, albowiem tekst nie zachował się do naszych dni. Figura Junony w Vei skinieniem głowy wyraziła zgodę na przeprowadzkę do Rzymu. Posąg Antoniusza na górze Alban krwawił z każdej marmurowej żyły przed bitwą pod Akcjum. Inne figury uzdrawiały chorych, jak np. Pelichus wyszydzony przez Lukiana, bowiem mądrzejsi wśród pogan tak samo wierzyli w pocące się marmury, płaczące drewno i krwawiący mosiądz, jak ja to czynię. Z pogaństwa pochodzą również wszystkie ślady i wgłębienia odcisnięte w kamieniu przez miękkie substancje: tu kolano świętego, tam palec innego świętego czy głowa - oryginał jest pogański. Już przecie ślad stopy Herkulesa pokazywano na skale scytyjskiej. Kastor i Polluks walczący na białych rumakach przeciw Latyncm pozostawili odciski podków na skale w Regillum. Zbudowano na tym miejscu świątynię i ślady można było oglądać aż do czasów Cyncerona. Możecie oglądać niedaleko Wenecji wielki głaz przecięty równiutko na pół mieczem świętego Jerzego. Nie dokonałby tego, gdyby nie pewien stary Rzymianin, który brzytwą rozciął na dwoje swoją oselkę.

Qui Bavinum non odit amet tua carmina, Mavi.

Całowanie wizerunków i palca u nogi papieża to również pogaństwo Wschodu. Egipcjanie odziedziczyli ten zwyczaj po Asyryjczykach. Grecy po Egipcjanach, Rzymianie po Grekach, my po Rzymianach, u których za czasów imperium pontifex maximus podawał palec u nogi do pocałunku. Druidzi całowali palec stopy swego głównego kapłana tysiąc lat przed narodzeniem Chrystusa. Muzułmanie, którzy tak jak wy głoszą ohydę pogaństwa, całują kamień z Kaaby - pogańska to praktyka.

Kapłani Baala w ten sposób całowali swe bożki.

Tuliusz opowiada o pięknym posągu Herkulesa w Agrigentum, któremu wytarto pocałunkami podbródek. Dolna część posągu zwanego przez nas Piotrem należy do Jowisza. Wielki palec stopy jest mocno zniszczony, ale nie tylko ustami chrześcijan. Prostaczkowie pogańscy przez wiele lat przytulali wargi, nasi tylko ich naśladowali jak małpiszony swych panów. I dlatego precz z biednym pogaństwem! Pereant qui ante nos nostra facerint.

Chrzest naszych niemowląt pochodzi z Persji wraz ze źródłem i znakiem krzyża na czole dziecka. Rzucamy trzy garście ziemi na trumnę, mówiąc „proch do prochu” w ślad za Egipcjanami.

Nasze kadzidła są orientalne, rzymskie, pogańskie; wcześni Ojcowie Kościoła traktowali je z przesadną grozą i umierali za odmowę ich używania. Nasza woda święcona jest równie pogańska jak i wszelkie sposoby jej użycia. Popatrz, oto pogańskie aspersionum. Czy nie mógłbyś sądzić, że to któreś z naszych? Stało w tej samej części ich świątyni,

używane było w ten sam sposób podczas zwykłych nabożeństw oraz podczas niezwykłych ceremonii oczyszczania. Zwano je aqua lustralis. Gmin starożytny wierzył, jak i nasi prostacy, że kropla święconej wody zmywa grzechy; rozsądni zaś ludzie owych czasów uśmiechali się i wzdychali, widząc taką łatwowierność. Cóż rzekł Owidiusz o tym szaleństwie, które go jednak przeżyło?

Ah, nimiumfaciles, qui tristia crimina caedis Fluminea tolli posse putetis aqua

Jak widzisz nie wszyscy poganie byli głupcami. I my również. Nie wszyscy.

Fra Colonna wygłosił swe przemówienie z taką swadą, że słuchacze nie mogli wypowiedzieć ani słowa sprzeciwu. Sławiąc bez przeszkód swych ulubieńców odzyskał dobry humor, mówił dalej nie tracąc werwy.

- Obchodzimy cudowne poczęcie Najśw. Dziewicy 2 lutego. Starzy Rzymianie również 2 lutego celebrowali cudowne poczęcie Junony. Nasze święto Wszystkich Świętych przypada 2 listopada. Festum Dei Mortis obchodzono także 2 listopada. Nasza Gromniczna jest jednocześnie starorzymskim świętem: ani data, ani ceremonia nie zostały w niczym zmienione. Patrycjuszki tej nocy obchodziły miasto ze świecami w dłoniach, tak jak to czynią obecnie nasze signory. Przy bramie Santa Croce dworzanie urządzają uroczystość 20 sierpnia. Zapytaj ich dlaczego? Głuptasy nie potrafią ci odpowiedzieć. Na tym samym miejscu była świątynia Wenus. Nie ma już budynku, pozostał rytuał. Czy to my wymyśliliśmy czyściec? Wszystko, co wiemy na ten temat, zaczerpnęliśmy z dwu traktatów Platona: Gorgiasza i Fedona oraz z szóstej księgi Eneidy Wergiliusza.

- Jam się o tym dowiedział z bardziej świątobliwego źródła: od świętego Grzegorza - powiedział surowo Hieronim.

- Bardzo, słusznie - odpalił Colonna. - Święty Grzegorz nie był równie uprzejmy i zaczerpnął po prostu swą wiedzę z Wergilego. Pewne dusze, powiada Grzegorz, będą oczyszczone ogniem, inne wodą, inne powietrzem.

Rzecz Wergiliusz:

Aliae panduntur inanes, Suspensae ad uentos, aliis sub gurgite vasto

Infecuan ehdtur scelus, aut exuritur igni.

A może przypadkiem sądzicie, że papież Grzegorz I żył przed Wergiliuszem i poeta oddał jego myśli wierszem?

Ale doktryna jest wschodnia i o tyle starsza od Platona, o ile Platon od Grzegorza. Nasze modlitwy za umarłych przyszły z Azji z Eneaszem. Owidiusz opowiada, że gdy modlił się za duszę Anchizesa, zwyczaj ów obcy był w Italii.

Hunc moretn Aeneas, pietatis idoneus auctor Attulit in terras, histe Latine, tuas.

Biblicae sortes, które rozważa się przy ołtarzu, są parodią księgi Sortes Virgilianae. Nasze liczne ołtarze w jednym kościele są pogańskie: Żydzi monoteiści mają jeno jeden ołtarz w kościele. Paganie mieli ich wiele jako politeiści. W świątyni Wenus z Pafos było sto ołtarzy. Centum quae Sabaeo thure calent arae. Nasze ołtarze i setka świateł dokoła grobu świętego Piotra są pogańskie. Centum arasposuit vigilemque sacra verat ignem. Niczego nie wynajdujemy, nawet liczebnie. Nasz diabeł to Pan, bożek z rogami i kopytami, tylko przyczerniony. Jako że nie umiemy rysować, potrafiliśmy jeno zasmarowywać postacie starożytności odrobiną nędznej farby lub sadzy. Nasz Mojżesz ukradł rogi Ammonowi; nasza Wolfganga sierp Saturnowi, Janus zaś przed świętym Piotrem nosił niebiańskie klucze. Wszystkie nasze naprawdę stare brązy przedstawiające Najświętszą Dziewicę z Dzieciątkiem są wizerunkami Wenus i Kupidynów. O drewnianej, ustawionej tuż koło tego domu figurze papieżycy Joanny z dzieciątkiem powiadają, że przyniesiono ją tu w procesji.

Idioci! Czyż noworodki mają po trzysta lat? A chłopiec nie jest ani o dzień młodszy. Kupidyn! Kupidyn! Kupidyn! Skoro zaś oskarżacie mnie o łatwowierność, dowiedzcie się, że moim zdaniem ta papieżyca jest równie postacią całkowicie mitologiczną, zrodzoną z piany i zupełnie nierzeczywistą, jak również bogini, której posąg uchodzi za figurę Joanny na sąsiedniej ulicy, lub święci, których zwiecie św. Baccho i św. Quirina lub św. Oracte, którego imię jest po prostu głupio zepsutą nazwą góry Soracte, lub św. Amfibolus, angielski święty, co pochodzi od zniekształconego przez durniów wyrazu, oznaczającego płaszcz noszony przez ich świętego Albana, lub też świętych hiszpańskich: św. Viar, którego imię na nagrobku napisane „S. Viar” oznacza, iż nie był to żaden święty, lecz stary bezimienny poganin praefectus Viarum, czyli nadzorca dróg (ożył powrócił na ziemię i doprowadził do stanu pogaństwa nasze chrześcijańskie drogi!); lub też jak nasza św. Weronika z Benasco, gdzie Weronika jest głupim zniekształceniem słów verum icon, który święta ofiarowała Kościołowi. Mam nadzieję, iż nie jest to przedmiot równie zmyślony jak ofiarodawczyni lub jedenaście tysięcy dziewic z Kolonii, których było nie więcej niż dwie.

Klemens przerwał mu zapytaniem, co przez to rozumie? - Rozmawiałem z ludźmi, którzy widzieli ich kości.

- Kości jedenastu tysięcy dziewic zebranych na jednym miejscu i w tym samym czasie? Pomyśl chwilę, Klemensie! Żadne z wielkich starożytnych miast Wschodu nie potrafiłoby zebrać w tym samym czasie jedenastu tysięcy dziewic, tym bardziej zaś nędzne, ciasne miasto Zachodu. Jedenaście tysięcy chrześcijańskich dziewic w małym, malusieńkim pogańskim miasteczku!

Quod cunq̄ue ostendis mihi sic incredulus odi

Oto prawda. Były dwie męczennice: bretońska księżniczka, niesłusznie zwana brytyjską, i jej służebnica o greckim imieniu Onesimilla, zdrobniale od Onesima. Z tego jakiś dureń zrobił przy złej wymowie undecim mitte - jedenaście tysięcy; niedbały język znalazł drogę do łatwowiernych uszu i tak oto jeden głupiec zrodził ich jedenaście tysięcy, jeśli wola. I wy oskarżacie mnie o łatwowierność, bracie Hieronimie? Radzicie mi czytać Żywoty Świętych? Czytałem je, znalazłem tam wielu drogich mi pogańskich znajomych. Najlepsze bajki w tej książce pochodzą ze Wschodu, były powszechnie znane w Persji i Arabii osiemset i więcej jeszcze lat przed datami, które im Kościół przypisuje. A co do wątków zachodnich - to brak im prawdopodobieństwa wschodnich. Sądysz, że jestem dość naiwny, aby uwierzyć, że święta Ida złączyła swą odciętą głowę z ciałem? Że trup Gumberta dawał niosącym go ludziom polecenia, dokąd iść i gdzie się zatrzymać? Że szczury zjadły całe miasto, aby ukarać pewnego Hattona za to, że porównał nędzarza do myszy; że anioły miały maleńki róg na czole, co dostrzegła i o czym opowiedziała w owym czasie św. Weronika z Benasco, która nigdy nie istniała, a pozostawiła nam tę wiadomość i cudowną chustę? Moim zaś zdaniem najświętsza niewiasta świata musi najpierw istnieć, aby posiadać chustę lub oczy, którymi ogląda anioły podobne jednorożcom. Sądysz, iż uwierzę, że para lwów zastąpiła zakrystian i pomogła Antoniemu pochować Pawła z Teb; że Patryk, święty szkocki, przyczepił kozie bródki wszystkim potomkom pewnego człowieka, który go obraził? Że św. Pol de Leon jako świadectwo przeciw złodziejom, którzy ukradli tryka w klasztorze i zaparli się swego czynu, wezwał ukradzionego barana i oto baranina beknęła w brzuchu złodzieja? Czy potraficie w zręcznych zmyśleniach starożytnych znaleźć podobne bajdy starych kumoszek? Starożytni również kłamią na temat zwierząt, ale logicznie, a my bezsensownie. Porównajcie tylko przygodę Ephisa z lwem lub jeszcze lepiej Androklesa i lwa z przygodą Antoniego z jego dwoma lwami. Oba pogańskie lwy dokonują rzeczy, których nigdy lwy nie robiły, ale w każdym razie działają wedle pewnych zasad. Lew z kością w gardle lub cierniem w stopie ma podstawę, by być uprzejmy dla człowieka. Ale lwy Antoniego to osły w lwiej skórze. Jakież mógłby mieć lew powód, by mienić się kościelnym sługą? Rzeczą lwów robienie trupów, a nie grzebanie ich w ziemi.

I dodał z westchnieniem:

- Nasze bajki są o tyle gorsze od starożytnych co nasze posągi, i z tego samego powodu: nie studiujemy natury, tak jak to ongiś było zwyczajem. Jesteśmy jeno naśladowcami, *servum pecus*. Czy uwierzysz Żywotom Świętych, że Paweł Tebańczyk był pierwszym eremita, a Antoni pierwszym zakonnikiem? Przecie Pitagoras był pustelnikiem, żył w jaskini siedem lat, a jego córka była przeoryszą. Mnisi i pustelnicy pojawili się na

Wschodzie długo przed Mojżeszem, istnieli w starożytnej Grecji i Rzymie. Zaś święty Franciszek ze swoimi kulami ze śniegu naśladował jeno Diogenesa, który nagi obejmował posąg śniegiem pokryte. Szaleństwo bez poezji. Małpowanie małpy, bo już Diogenes naśladował tylko braminów i hinduskich gimnosofistów. Mimo to dzieci owego Franciszka gotowe wypędzić nas z Kościoła śnieżkami. Powiedz mi, Klemensie, czyż znasz piękniejszy strój od szat naszych księży? Zawdzięczamy je Numie Pompiliuszowi oprócz sznura i stuły, które są pochodzenia judejskiego. Amicehumeł i alba zatrzymały nawet nazwy, które nosiły za czasów Numy. „Skóra” noszona przez kanoników jest śladem początków pogaństwa. Jest to pozostałość tych twardych czasów, gdy kapłan, składając ofiary, zarzucał na siebie skórę zwierzęcia włosom na zewnątrz. Ściągnij czarną suknię, Hieronimie, sznur i kaptur, ponieważ wszystkie te trzy składniki stroju przysły do nas od pogańskich dam. Zapuść długie włosy jak Absalom, bracie Hieronimie, tonsura bowiem równie jest pogańska jak muzy.

- Uważaj, co mówisz - rzekł surowo Hieronim. - Znamy dokładnie rok, w którym Kościół po raz pierwszy nakazał ją nosić.

- Ale nie wynalazł tonsury, Hieronimie. Bramini nosili ją parę tysięcy lat wcześniej. Od nich przyszła poprzez Asyryjczyków do kapłanów Izydy w Egipcie, następnie Serapisa w Atenach. Zmarły papież (niech spoczywa w pokoju) powiedział mi kiedyś, że Bóg Pięcioksięgu Mojżesza zakazał lewitom noszenia tonsury. Jeśli to prawda, uczynił tak, ponieważ nosili ją kapłani egipscy. Wierzę Jego Świątobliwości. Nie jestem uczonym w Biblii. Łacina twego imiennika Hieronima jest dla mnie barierą nie do przebycia. Dixit od me Dominus Deus. Dixi ad Dominum Deum. Nie, dziękuję pięknie, święty Hieronimie, dużo mogę znieść, ale nie zniosę twej łaciny. Nie! Dajcie mi Nowy Testament. Nie jest to greka Ksenofonta, ale to jednak greka. Można tam znaleźć również pogańskie wypowiedzi. Święty Paweł nie gardził bowiem nimi tak jak ty. Gdy pogaństwo rzekło coś pożytecznego, co nadawało się do jego tematu, brał to, na Jowisza, i utrwalił na wieczność natchnionymi słowy.

- Chodź stąd, Klemensie, chodź stąd! - powiedział Hieronim wstając. A ty, błuźnierczy mnichu, wiedz, że tylko z przyczyny opieki twego potężnego rodu nie mogę zrobić użytku z tej przeklętej herezji, spaliłbym cię bowiem chętnie na stosie. - I wybiegł błdy z oburzenia.

Colonna przyjął z entuzjazmem tę groźbę. Gonił i wołał radośnie za Hieronimem:

- I to jest pogańskie. Palenie ciał ludzkich za opinie ich duszy jest czysto pogańskim obyczajem... Tak jak pogańskie są kadzidła, woda święcona, sto ołtarzy w jednym kościele, tonsura, kardynalskie czy kapłańskie kapelusze, słowo papież...

Tu Hieronim trzasnął drzwiami.

Zanim zdolali wyjść z domu, frunęły podciągnięte żaluzje, pogański mnich wychylił głowę i ramiona i zawisł nad ulicą, krzyząc:

Affecti suppliciiis Christiani, genus hominum Novae superstitionis ac maleficae.

Zadawszy ten pożegnalny cios odczuł triumf i wielką radość, kroczył podniecony po swej komnacie tam i z powrotem i nie patrząc uważnie pod nogi jak zwykle (ponieważ w jego pokoju można było się poruszać tylko wąskimi ścieżkami wymijając starożytności), potknął się o dziób egipskiego bociana i regiment ormiańskich bogów, których uważał za mocnych w argumentacji, choć niewielkich staturą.

- Nie pójdiesz więcej do tego heretyckiego mnicha - powiedział Hieronim do Klemensa.

Klemens westchnął.

- Mamy go tak zostawić - rzekł - i nie próbować naprowadzić na właściwą drogę? Weźmy pod uwagę zapal dyskusji! Był podrażniony. Jego słowa są gorsze niż czyny. To czysta i miłosierna dusza.

- Tacy są wszyscy heretycy. Szatan nie kusi odstępców w ten sam sposób co innych ludzi. Czyni ich raczej bardziej obyczajnymi, aby przydać znaczenia głoszonej przez nich nauce. Nie potrafimy poprawić Fra Colonna; jego rodzina jest w Rzymie wszechpotężna. Błagajmy świętych, którym bluźni, aby zesłali nań światło. Nie po raz pierwszy zapłaciliby dobrem za zło. Tymczasem nie wolno ci go widywać. Od dziś będziesz już sam wychodził na miasto! Spowiadaj i odpuszczaj grzechy! Egzorcyzmuj demony! Pocieszaj chorych! Grom zatwardziałych! Głoś kazania wszędzie, gdzie zbierają się ludzie, a znajdziesz okazję po temu! I nie rozmawiaj z Fra Colonną!

Klemens skłonił głowę.

Przeor na życzenie brata Hieronima polecił śledzić młodego zakonnika. Pewnego dnia szpieg powrócił z wiadomością, że brat Klemens przechodził obok mieszkania Fra Colonna, przystanął na krótką chwilę i potem poszedł dalej, lecz z wolna i zakrywając dłonią oczy.

Hieronim zaniósł ten raport przeorowi. Przełożony zapytał o opinię mnicha, jak również Anzelma, który żegnał go, właśnie wracając do Juliers.

Hieronim: - Hm! Usłuchał, ale z żalem, tak, z dzieciennym żalem.

Anzelm: - Uronił szczerą łzę, odwracając się od przyjaciela i dobroczyńcy. Ale posłuchał.

Anzelm był człowiekiem łagodnym, lecz stanowczym. Potrafił czasami w uprzejmy sposób pokonywać nawet brata Hieronima.

- Czcigodny bracie Anzelmie - rzekł Hieronim - Klemens jest miękki do szpiku kości. Rozczaruje was. Niczego prawdziwie wielkiego nie zdziała ani dla Kościoła, ani dla naszego świętego zakonu. Ale jest mówcą i zacerpnął nieco ducha świętego Dominika. Wyślijcie go tedy, ale na smyczy.

Tego samego dnia oznajmiono Klemensowi, że udaje się natychmiast do Anglii w towarzystwie brata Hieronima.

Klemens złożył dłonie na piersi i skłonił głowę ze spokojnym posłuszeństwem.

ROZDZIAŁ LXXV

OGNISKO DOMOWE

Matka taka jak Katarzyna nie jest w domu samym jeno dobrem. Wielka w niej żądza władzy. Zaledwie przekroczy czyjś próg, zaczynają lśnić naczynia, buzuje ogień na kominku, okna przepuszczają więcej światła; geniusz wielkiego świerszcza wydaje się ożywiać dom mieszkalny. Ale ów świerszcz jest Wścibskim Wiercipiętą. Groźna to cecha charakteru. Nie uznaje rozróżnień. Zaprowadza porządek we wszystkim i wśród wszystkich. Dla bardzo wielu rzeczy ów porządek jest korzystny. Ale nie dla wszystkich. „Wszystko” może nie. znieść zaprowadzenia innego ładu, przydatnego jedynie w spokojnym i chłodnym azylu grobu.

Katarzyna przesunęła każde krzesło i każdy stół w domu Małgorzaty; prawdopodobnie słusznie.

Ale chciała posunąć się dalej, poprzestawiała żywe sprzęty.

Gdy zbliżał się czas Małgorzaty, Katarzyna podstępnie poprosiła o pomoc Dionizego i Marcina, gdy zaś biedni prostoduszni wojacy zapytali gorliwie, czym mogliby się przysłużyć, odparła, że stosunkowo najbardziej użyteczny byłby mały spacer. Dotąd wszystko dobrze; wyjaśniła im następnie, że lepiej byłoby, gdyby przedłużyli swą promenadę do połowy następnego tygodnia. To nie było zachęcające.

Dalsze życie silnych mężów pod jarzmem słabej niewiasty przypominało współistnienie niedźwiedzicy z trojgiem szczeniąt (w tym jedno słabowite). Mężczyźni wmykali się z domu o świcie i wracali nocą, stąpając cicho jak złodzieje, jeśli zaś przypadkiem zostali w domu, czuli się jak koty na murze przysypanym tłuczonym szkłem. Na twarzach ich malowała się trwoga, mina wyrażała ujarzmienie i przygnębienie.

Wszystko to nie pomogło. Samą swą obecnością zawadzali, działali Katarzynie na nerwy.

Czy instynkt jej podszeptował, że w domu dwóch rodziolek nie było miejsca dla mężczyzn nie związanych z pomnażaniem ludzkości? Pancierz nie jest wystarczającą zbroją przeciw niewieściemu językowi, a przemówienia Katarzyny jeżyły się od licznych repliczek i

igiełek wycelowanych w naszych wojaków. Jednym słowem, gdy Małgorzata zeszła na dół, zastała kuchnię wymiecioną z bohaterów.

Marcin, stary i sztywny, wycofał się niedaleko i z honorami wojskowymi, zabrał bowiem ze sobą swój bagaż, krzesło i zasiadł na powietrzu przed domem.

Małgorzata dojrzała go w słońcu, nie zdawała sobie tylko sprawy, że urządził się na stałe pod niebem. Zapytała o Dionizego.

- Dobry, kochany Dionizy, uciesz się, gdy mnie zobaczy. Katarzyna, szorując miskę z nieco przesadnym wigorem, odparła, że Dionizy odszedł do przyjaciół w Burgundii.

- Najwyższy czas. Ostatecznie chyba dość się tu wysiedział przez tyle tygodni.

- Jak to? Odszedł i nie pożegnał się ze mną? - zapytała Małgorzata, otwierając szeroko swe słodkie oczy, podobne rozkwitłym fiołkom.

Katarzyna poczerwieniała. Taki bowiem pogląd na sprawę poruszył nieco jej sumienie. Odkasznęła i rzekła:

- Spałaś akurat, nie chciałam, żeby cię obudził.

- Biedny Dionizy - szepnęła Małgorzata i rosa zwilżyła w widoczny sposób fiołki żrenic.

Katarzyna dojrzała to kącikiem oka i nie dając poznać po sobie, jakie to na niej wywarło wrażenie, wymknęła się i załała potokiem gościnności i czułości pozostałego na placu wiarusa.

Zmiana była nagła, a Marcin stary i sztywny pod wieloma względami.

- Dziękuję jejmości. Przyzwyczailem się do powietrza. Nie lubię takich zmian. Nie zawadzam tu nikomu i nikt mnie nie zawadza.

- Ach, ty obmierzły, kłótniwy staruchu! - wrzasnęła Katarzyna, przed chwilą słodka jak syrop, teraz kwaśna jak najzjadliwszy ocet, i wpadła z impetem do domu.

Zastanowiwszy się spokojnie, popłakała trochę. Potem na pół udzieliła sobie rozgrzeszenia ze swego postępowania i postanowiła dobrocią wynagrodzić Małgorzacie rozstanie z przyjaciółmi tak, by nigdy nie odczuła braku żołnierskiej plagi. Czując się jeszcze odrobinę nieswojo, rozproszyła wszystkie żale funkcją prostą, a zarazem ważniejszą od wszystkiego.

Wzięła dziecko do kąpieli.

Myła je od główki do stopek w letniej wodzie; teraz problem bohaterów wojennych i ich wad stał się kroplą w oceanie mydła i wody.

Małgorzata nie mogła zachować się spokojnie, gdy odbywała się owa niebiańska ceremonia. Krążyła wokół szczęśliwej wychowawczynie. Starła się przyłożyć rękę choć

symbolicznie. Włożyła palec do wody, aby utorować drogę swemu chłopcu - tak przynajmniej sędzę - nie mogła bowiem żywić złudzeń, aby przypuścić, że Katarzyna pozwoli jej nadać ciepłotę. W czasie ablucji uklękła naprzeciw maleńkiego Gerarda i szczebiotała do niego z zadziwiającą elokwencją, uważając pilnie, aby ani słowa nie powiedzieć tak, jak to czynią dorośli; jakże by wtedy cherubinek zrozumiał tak dziwną wymowę.

- Chciałabym, żebyście jeszcze mu to umyli - powiedziała nagle, wskazując oczami rączkę chłopca.

- Co?

- Nie widzicie? Na małym paluszku.

Babcia przyjrzała się i dostrzegła niewielkie brązowe znamię.

- Ach, to cudowne! - krzyknęła. - Mocny masz charakter dziewczuszko, wścibską w dodatku. Widziałś już taki znak u kogoś jeszcze. Przyznaj się, dziewczyno.

- U niego? Nie, matko, nie zauważyłam.

- A ma taki sam pieprzyk; i na tym samym miejscu. Nie spostrzegłaś tego... Tak, serdeńko, zapomniałam, nie znałaś go od dziecka tak jak ja. Setki razy trzymałam go na kolanach i myłam od stóp do głów w letniej wodzie.

Promieniała swą wyższością, a Małgorzata patrzyła nieśmiało jak na kobietę, z którą nie może się równać.

Katarzyna filozofowała, spoglądając w dół ze swoich oszłamiających wyżyn. Różniła się od innych Wścibskich Wiercipięt tym, że rozmyślała od czasu do czasu - co prawda nie głęboko, ale w innym wypadku nie starałbym się tego opisywać.

- Dziwne - gwarzyła. - Jak się to wszystko w kółko plecie. Całe życie obraca się w koło jak bąk. Zresztą nasze życie, życie biednych niewiast na jedną modłę jest skrojone. Czy nie starałam się zmyć memu Gerardowi tego znamienia za jego dziecięcych lat? - „O, fe, jaka brzydka plama” - rzekłam - i szorowałam palec tak długo, aż malec zaczął płakać. Wtedy zrozumiałam, że dość tego. A teraz ty znów powiadasz: „Matko, starajcie się to zmyć z paluszka mego Gerarda”. - Tak powiadasz. Pomyśl jeno!

- Zmyć to? - krzyknęła Małgorzata. - Nie chcę za skarby świata. Będę je całowała dzień i noc, dopóki ten, który pierwszy nosił takie znamię, nie powróci do nas trojga. Niech cię Pan Bóg błogosławi, mój złocisty i srebrny klejnocie, żeś ku memu pocieszeniu tak samoznaczony jak twój tatuś.

Ucałowała paluszek małego Gerarda. Nie mogła na tym poprzestać, rozkładał się już na jej kolanach, całowała ciągle, zdając się zamęczać go jak wilk jagnię. Katarzyna patrzyła

na nich z uśmiechem. Widziała już wiele takich dzikich wybuchów miłości w swym długim życiu.

Ta scenka maluje treść życia Małgorzaty w ciągu kilku miesięcy. Przez cały ten czas zdarzyło się jej parę drobiazgów, o których warto by wspomnieć, wstrzymuję się jednak od tego, ponieważ jedna nić wystarczy, aby nawlec wiele szklanych paciorków. Podczas gdy ojciec jej chłopaczka przeżywał groźne burze i zmagania duchowe, które zakończyły się w śmiertelnym spokoju klasztornym, los Małgorzaty da się określić jednym wielkim, promiennym słowem: macierzyństwo.

Czytelnicy, którzy wiecie, co kryje się w tym słowie, rozbudujcie mój mały szkic, a ujrzycie młodą matkę karmiącą i kąpiącą, gdy ubiera i rozbiera maleństwo, gaworzy i igra ze swym pierworodnym; teraz zaś szybciej od błyskawicy przenieście wzrok do Italii, patrzcie na zimny klasztor, po którym mnisi przesuwają się jak duchy ze spuszczonej oczami, z rękami pokornie skrzyżowanymi na swej piersi, umarłej dla ziemskich uczuć.

Jednym z tych przysłoniętych kapturem duchów jest ten, którego powrotu, pełnego miłości, młodości i szczęścia oczekuje młoda, promienna matka.

W dolinie Grindelwaldu podróżny mija po jednej stronie prostopadłe ściany Alp, skały pokryte lodem i wiecznym śniegiem, sterczące nad chmurami i rozdzierające niebo - po drugiej zaś stronie widać niewielkie pospolite wzniesienie, zielone jednak jak szmaragdy, urozmaicone stadami krów, ślicznymi chatkami, tętniące życiem; natomiast potężne góry obok są bez jednego listka, wznoszą się nieludzkie, wyniosłe, bez życia. Wszędzie gdzie indziej zwykłe chaty góralskie nie zwróciłyby niczyjej uwagi; ale w obliczu ponurych Alp przynoszą ukojenie i nawet łagodnie wzruszają umysł przez kontrast z groźnym przeciwieństwem. Tak samo różnią się co do swego rodzaju dwie połowy tej opowieści, jeżeli oceniać je sprawiedliwie: po włoskiej stronie szalone przygody, silne namiętności, bluźnierstwa, występki, pokuta, czysty lód, święty śnieg - zwrócone prosto ku niebu.

Po stronie holenderskiej życie skromne, niewieście, zawsze trwałe. I jak wąska ścieżyna dzieli wznoszące się ku niebu lodowe wieże Grindelwaldu od łagodnych słonecznych stoków, tak tu tylko stroniczka między klasztorem a ogniskiem domowym.

ROZDZIAŁ LXXVI

KLASZTOR

Nowy papież faworyzował zakon dominikanów. Klasztor otrzymał polecenie z Watykanu przysłania uzdolnionego zakonnika, który by wykładał na uniwersytecie w Bazylei. Klemens nadawał się wyśmienicie: władał biegle językami obcymi, słuchał był poza tym w życiu świeckim wykładów Guariniego młodszego. Wyjazd do Anglii trzeba było

odłożyć, choć go nie zaniechano; tymczasem młody brat został skierowany do Bazylei, ponieważ zaś był tam potrzebny dopiero za trzy miesiące, polecono mu głosić kazania po drodze.

Wyszedł z miasta północną bramą ze spuszczoneymi oczami, pogrążony w pobożnej kontemplacji.

Och, gdybyśmy umieli odmalować umysł i jego dzieje, jakimże wędrującym freskiem byłby ten bosonogi zakonnik.

Nadzieja, szczęśliwa miłość, zgon ukochanej, rozpacz, bezbożność, występki, samobójstwo, wyrzuty sumienia, zwątpienie w Boga, pokuta i śmierć dla świata, rezygnacja.

Wszystko to w ciągu krótkich dwunastu miesięcy.

Znowu podróżny wyrusza w drogę. Wszystko się zmieniło, nie ma już niebezpiecznych przygód. Ci sami złodzieje i zbójcy zmiatają teraz przed jego stopami pył, zamiast rabować upraszają świętobliwego zakonnika, by brał kradzione pieniądze, błagają o modlitwę.

I ta jednak wędrówka obfitowała w malownicze zdarzenia. Mam jednak niektórych czytelników, którzy mało dbają o melodramat i oczekują spokojnego wglądu w to, co zachodzi we wnętrzu człowieka. Przemawiają do takich wnikliwych często sprawy niedramatyczne, malujące rozwój duchowy.

Oto pierwsza niedziela podczas wędrówki Klemensa. Pomodlił się za duszę Małgorzaty. Nigdy dotąd tego nie robił. Nie dlatego, aby ponad wszystkie dobra świata nie cenił spokoju wiecznego ukochanej. Była to pokora. Straszna bezbożność opanowała młodzieńca na wieść o śmierci narzeczonej, napełniając grozą moich zacnych czytelników; tym bardziej jeszcze przeraziła grzesznika, gdy nadeszła godzina refleksu. Długi czas w okresie nowicjatu był przygnębiony pobożną rozpaczą. Sądził, że zgrzeszył przeciw Duchowi Świętemu i pogrążył duszę na zawsze. Stopniowo ta ciemna chmura się rozpraszała Anselmo iuvante, pozostało jednak głębokie przygnębienie. Nie był pewny własnego zbawienia i ponadto sądził, że modły człowieka tak splamionego, wznoszone za czystą duszę Małgorzaty, mogłyby być poczytane za szyderstwo z Niebios. Zamęczał dobrego Anzelma i innego zacnego mnicha, aby modlili się za duszę dziewczyny. Nie odmawiali ani nie zbywali byle czym jego próśb. Dobrzy, skromni mnisi (a są dobrzy, źli i nijacy w każdym zakonie) darzyli czystym i czułym afektem swego młodego braciszka.

W ów niedzielny ranek Klemens wygłosił kazanie w małym italskim miasteczku. Odniósłszy wielki sukces, czuł się bardzo podniesiony na duchu. Tego właśnie dnia spłynął na niego balsam Boskiej miłości i wybaczenia. Pomodlił się za zbawienie duszy Małgorzaty.

Od owej godziny stało się to codziennym jego zwyczajem i jedynym oczyszczonym ogniwem, które łączyło pamięcią życie młodego człowieka ze światem.

Rodzina bowiem nie istniała dla niego, tak jak gdyby jej nigdy nie było.

Kościół nie chce się dzielić z życiem ziemskim. Nie mógłby bowiem uleczyć z wielkiej miłości, nie unicestwiając mniejszych.

Prawie przez cały czas podróży Klemens rzadko odczuwał radosne poruszenie w duszy z wyjątkiem chwili, gdy kazał do ludzi lub gdy udało mu się pomóc bliźniemu.

Młody człowiek został ugryziony przez tarantulę czy też, jak często się zdarzało, wyobrażał sobie, że go to spotkało. Urojenie czy rzeczywistość sprawiły, że nie spał dwie noce i w najstraszniejszych konwulsjach prężył się, skręcał i tłukł o ściany. Sprowadzeni z miasteczka muzykanci podniecili go jeszcze bardziej swym graniem. Taka choroba opanowawszy w ten sposób człowieka, niosła nieuchronnie wyczerpanie i śmierć.

Klemens przechodził właśnie tamtędy i dowiedział się, co zaszło. Posłał po psalterion i starał się uspokoić chorego łagodnymi tony; podczas gdy inne melodie wzmagaly szaleństwo, dźwięki muzyki Klemensa zdawały się je przytłaczać, miażdżyć. Chory jęczał, skomlał, wreszcie osunął się na ziemię] Zakonnik zauważył, że porusza wargami. Zbliżył ucho do ust chorego i odróżnił cichutką melodię, dziwną, nie istniejącą, której nigdy dotąd nie słyszał. Pochwycił dźwięki i zagrał. Twarz chorego zajaśniała zdumiewająco. Chodził pływając po izbie i zachwycając się tą melodią. Klemensa palce już prawie bolały od przegrywania melodii; ujrzał z zadowoleniem, że młodzieniec zasypia przy tej kołysance, dziwnym tworze jego własnego umysłu. Albowiem wydaje się, iż nigdy muzykiem nie był, nie skomponował melodii ani przedtem, ani potem. Sen ocalił mu życie. Klemens nauczył melodii kogoś innego, w razie gdyby chory jeszcze jej potrzebował, i powędrował dalej z nieco lżejszym sercem.

Innym razem zetknął się z tłumem ludzi ciągnących przyzwoicie odzianego człowieka, który bronił się i krzyczał, lecz w dziwnym języku. Podróżny ten wszedł do ich miasta wyprostowany i pewny siebie, powiewając nad głową gałęzią drzewa morwowego. Tubylcy przyglądali się temu, wpierw zdumieni, nie wierząc własnym oczom, następnie chwycili go i wlekli przed oblicze podesty.

Klemens przyłączył się do nich. Po drodze podszedł spokojnie do więźnia, przemówił doń po italsku - człowiek nie odpowiedział. Po francusku, niemiecku, holenderska - bezskutecznie. Wtedy podróżny odezwał się po łacinie, poprawnie, lecz z twardym akcentem. Powiedział, że jest Anglikiem i zmęczony upałem Italii ułamał konar najbliższego drzewa, aby ochronić głowę.

- W moim kraju wolno łamać gałęzie ze wszystkiego, co rośnie po drodze. Uspokój tych durniów - chętnie zapłacę. A tu cała Italia pod bronią z powodu gałązki i garści liści.

Uparty podesta chciał upartego wyspiarza posłać do więzienia; Klemens podjął się jednakże mediacji i z dużym trudem wytłumaczył więźniowi, że jedwabniki, a w konsekwencji liście morwy, są tu święte, nietykalne, pod ochroną monarchy i stanowią źródło dochodu władcy; przekonał podestę, że nieznanomość praw chroniących morwę jest naturalna w tak odległym kraju, gdzie prawdopodobnie nie znają nawet takiego drzewa.

Nieustępliwy wyspiarz przechylił ciągle jeszcze chwiejną szalę, gdy wyciągnął długą sakiewkę i powtórzył swą początkową teorię, że cała sprawa ma charakter merkantylny.

- Quid damni?- rzekł. - Dic; et cito solvam.

Podesta zwąchał złoto: wyznaczył grzywnę należną księciu wysokości dukata - mniej więcej wartość całego drzewa - i wsunął monetę do kieszeni.

Anglik ochłonął ze złości natychmiast po uwolnieniu i śmiał się serdecznie z całej sprawy; tym niemniej niezmiernie był wdzięczny Klemensowi.

- Jesteście zbyt dobrzy, by mieszkać w tym nędznym kraju, ojcze - powiedział. Przybywajcie do Anglii! Jest to jedyne miejsce na świecie. Musiałem stracić rozum, aby opuścić mą wyspę i podróżować wśród morw i idiotów. Jestem szlachecciem z Kentu, wychowankiem uniwersytetu w Cambridge. Zwę się Rolf, a moja posiadłość - Betshanger. Zarówno człowiek, jak i dom ofiarowują wam swe usługi. Możecie tam zostać do dnia sądu. U mnie w Betshanger siada co dzień czterdzieści osób do obiadu. Nie widzi się nawet, czy o jednego mniej czy więcej przy stole. Możecie pozostać do końca swych dni przy mnie i przy moich potomkach. Przyjeżdżajcie od razu! Co u Anglika na języku to i w sercu.

Serdecznie uścisnął mu rękę na potwierdzenie zaproszenia.

- Odwiedzę cię kiedyś, mój synu - rzekł Klemens. - Nie nadużyję jednak twej gościnności.

Anglik poprosił następnie Klemensa o spowiedź.

- Obawiam się o mą duszę - powiedział. - Od czasu jak opuściłem Anglię, żyję jak poganin.

Klemens zgodził się chętnie i wyspiarz ukląkł przy brzegu drogi, wyznając grzechy ostatniego miesiąca.

Widząc, że trafił na tak pobożnego syna Kościoła, Klemens pouczył podróżnego, że rzeczywiście wybiera się do Anglii, i zapytał, ile jest prawdy w wieściach, że lollardowie i uczniowie Wiklefa zyskali wpływy w całym kraju.

Anglik poczerwieniał.

- Wszędzie znajdują się parszywe owce - odparł. Po namyśle dodał poważnie: - Posłuchaj, świętobliwy ojcze, prawdy o tych heretykach. Nie ma narodu bardziej od nas Anglików szanującego Kościół święty. Ale jesteśmy sobą i nic o nas bez nas. Kochamy własne obyczaje, a nade wszystko naszą mowę. Normanie mogli pokonać nasze ogrodnicze noże, ale nie nasze języki. Próbowali tego z całych sił przez wiele długich lat przez ustawy i proklamacje. Nasi zacni cudzoziemscy księża głoszą prostemu ludowi w Anglii słowo Boże po łacinie lub w jakimś francuskim czy italskim szwargocie, podobnym do beczenia owiec. Na to przychodzi chytry lis Wiklef ze swą czeladką i czyta z własnej księgi w prostym angielskim języku, którego pragnie serce każdego człowieka. Kto temu się oprze? Boże przebacz, ale sądzę, iż Anglicy głusi byłiby na słowa samego świętego Piotra, jeżeli nie przemówiłby do nich językiem, który zapadł w ich uszy i serca wraz z pieśczętą matek. - Tu dodał spieszenie: - Nie mówię tego od siebie; jestem wychowankiem Cambridge; trafiają we mnie dobre słowa łacińskie; chodzi o ludzi w ogóle. Clavis ad corda Anglorum est lingua materna.

- Synu - rzekł Klemens - błogosławię godzinę, w której cię spotkałem, bowiem uczciwe i mądre są twoje słowa. Ale niestety! Jak mam nauczyć się po angielsku? Nie posiadam żadnej książki.

- Mogę wam ofiarować mój modlitewnik, w którym są godzinki. Słowa w nim angielskie i łacińskie, jedno obok drugich. Nie wiem jeno, co będzie z moją biedną duszą, która potrzebuje tych godzinek w obcym kraju. Poczekajcie, wyście człek święty, a i jam uczciwy, zróbmy zamianę: pomódlcie się za mnie raz dziennie przez dwa miesiące, a ja подарuję wam moją książkę do nabożeństwa. Oto ona. Co wy na to?

Oczy mu zabłyśły, płonął handlowym zapalem.

Klemens uśmiechnął się pobłażliwie; spokojnie odczepił manuskrypt od sznura, którym był przepasany, i pokazał, że był po łacinie i po włosku.

- Popatrz, synu - powiedział - niebo przewidziało, co będzie nam przydatne, i dało możliwość zaspokojenia potrzeb - zamieńmy się na książki, moje zaś skromne pacierze i dobre życzenia ofiaruję ci, a nie sprzedam. Nie lubię handlu w religii.

Wyspiarz był zachwycony.

- Nauczę się mowy italskiej, nie narażając zbawienia wiecznego. Droga mi moja kiesa, ale dusza bliższa.

Wmusił w Klemensa pieniądze. Na próżno zakonnik tłumaczył, że śluby nie pozwalają mu nosić przy sobie więcej, niż potrzebuje na pierwsze potrzeby.

- Spożytkuj to dla dobra Kościoła i mojej duszy, ojcie - rzekł wyspiarz. - Nie proszę cię, byś je zatrzymał, ale przyjąć musisz i przyjmiesz.

Jeszcze raz uściśnął serdecznie dłoń Klemensa, mnich zaś ucałował go w czoło, obdarzył błogosławieństwem i udali się każdy w swoją drogę.

Miłą dalej Klemens napotkał dwóch znużonych wędrowców, którzy odpoczywali w głębokim cieniu potężnego kasztanowca, rosnącego w gęstym lasku przydrożnym. Obok nich stał niewielki wózek, na nim maszyna drukarska prymitywna i niezgrabna jak prasa do wina. Zmordowany muł zaprzężony był do wózka.

I oto Klemens stanął twarzą w twarz ze swym dawnym wrogiem.

Przyglądał się maszynie i zmęczonym niebieskookim, uczciwym rzemieślnikom, a dawna gorycz wydawała mu się dziś snem. Spojrzał na nich łagodnie i powiedział cicho:

- Sweynheim!

Obaj nagle zerwali się na równe nogi.

- Pannartz!

Skoczyli do lasu i skryli się. Klemens stał zdumiony. Jedna twarz wyjrzała spoza drzew. Klemens rzekł:

- Czego się boicie? Drżący głos odpowiedział:

- To ty powiedz, cudzoziemcze, dzięki jakiej magii możesz znać nasze imiona? Nigdy cię dotąd na oczy nie widziałem!

- Co za przesady! Znam was, jak znani są wszyscy dobrzy rzemieślnicy - z waszych prac. Podejdźcie, a powiem wam.

Zbliżyli się niepewnie z różnych stron; każdy z nich dostosowywał swe kroki do kroków towarzysza.

- Moje dzieci - rzekł Klemens - widziałem w Rzymie Laktancjusza, którego drukowali Sweynheim i Pannartz, uczniowie Fusta.

- Słyszysz jeno, Pannartz? Nasza robota dotarła już do Rzymu.

- Po waszych niebieskich oczach i włosach barwy lnu poznałem, żeście Niemcy; maszyna zaś drukarska przedstawiła się sama.

Kimże moglibyście więc być, jeśli nie uczniami Fusta - Pannartzem i Sweynheimem?

Uczniwi Niemcy zdziwili się teraz, jak mogli dopatrywać się magii w tak prostej rzeczy.

- Dobry ojciec ma po prostu dowcip, i to wszystko - rzekł Pannartz.

- Ano - potwierdził Sweynheim - przy pomocy tego dowcipu mógłby może doradzić nam, jak doprowadzić to zmęczone bydło do najbliższego miasta?

- To, to - rzekł Parnartz. - I skąd wziąć pieniądze na wikt jego i nasz, gdy już się tam znajdziemy.

- Spróbuję - powiedział Klemens. - Uwolnijcie muła od wózka i całej uprzęży prócz kantara.

Posłuchali; zwierzę zaś natychmiast położyło się i tarzało na plecach w piasku jak kodak. Klemens zapewnił drukarzy, że wstanie niczym odrodzone.

- Stwórca nauczył muła tej sztuki, aby mógł się odświeżyć. Nie potrafi tego szlachetniejszy koń. Zaś co do pieniędzy, wiedzcie, że oto zacny Anglik powierzył mi pewną sumę na miłosierne uczynki. A komuż trafniej mógłbym dać pieniądze cudzoziemca, jeżeli nie cudzoziemcom? Weźcie je przeto i okażcie swą dobroć jakiemuś Anglikowi lub innemu cudzoziemcowi w potrzebie i oby wszystkie narody nauczyły się pewnego dnia wzajemnego miłowania.

Łzy stanęły w oczach prawych rzemieślników. Przyjęli pieniądze z gorącymi podziękowaniami.

- To waszą naq'ę winniśmy, ojczy, błogosławić, gdybyśmy wiedzieli, komu należą się dzięki.

- Moją ojczyzną jest Kościół.

Klemens chciał już ich pożegnać, ale zacni ludzie prosili, by poczekał chwilę; nie mieli srebra ani złota, ale posiadali coś, czym mogliby obdarować swego dobroczyńcę. Zdjęli prasę z wózka i podczas gdy Klemens karmił muła, zakrzętnęli się dokoła maszyny; na białej rozpalonej drodze, to znowu w głębokim, chłodnym cieniu, chwilę tu, chwilę tam i oto wydrukowali ośmiostronicowy arkusz in quarto, już zupełnie złożony. Nie mieli dość czcionek, aby drukować jednocześnie dwa arkusze, gdy po powolnych przygotowaniach drukowany arkusz został cały odbity w jednej chwili, tym razem Klemens nie mógł opanować zdziwienia.

- Jakże? Czy wszystkie te słowa są rzeczywiście odbite na papierze? - zapytał. - Czy to pewne, że nie zejda z niego tak prędko, jak przyszły? A wyście uważali, że to ja jestem magikiem!

To Augustyna De civitate Dei. Synowie moi, wozicie ze sobą prawdziwe skrzydła wiedzy. Ach, nie nadużyjcie nigdy tej wielkiej sztuki! Nie drukujcie złych ksiąg! Nieprzeliczone jak szarańcza pofrunęłyby przez granice i mogłyby pustoszyć dusze ludzkie.

Rzemieślnicy odparli, że woleliby włożyć ręce pod prasę niż tak podłe użyć swego uczciwego rzemiosła.

I tak się rozstali.

Spotkania i rozstania - oto życie człowieka.

W pewnym miasteczku w Toskanii w nagły i dziwny sposób świątobliwy mnich spotkał się z przeszłością. Natrafił tam na jedno z owych malowniczych zgromadzeń patrycjusza i plebejuszy, stopu pobożności i zepsucia, „kompanię pielgrzymów” - temat aż nadto świetnie odmalowany przez innych, tak że nie uchodzi, abym i ja próbował o nim nieudolnie bazgrać.

Pielgrzymi rozgościli się w ogromnej stodole należącej do gospody. Klemens zakurzony i zmęczony, nie lubiący próżnego mielenia językiem, usiadł w kącie, studiując „godzinki” Anglika, starając się zrozumieć je przy pomocy ojczystej mowy holenderskiej i wersji łacińskiej.

Niebawem służący wniósł wiadro napelnione do połowy wodą i ustawił je przy nogach zakonnika. Dziewczyna służebna szła za nim z dwoma ręcznikami. Teraz wystąpiła do przodu niewiasta i przeżegnawszy się, uklękła bez słowa przy wiaderku... Zawinęła rękawy „i gestem poprosiła Klemensa o zamoczenie nóg. Była to wielka dama odbywająca pokutę. Nosiła wążutką na cal maskę, która jednak zmieniła ją do niepoznania. Nadto myślała stopy zakonnika o wiele delikatniej niż dziewczęta urodzone do takich posług.

Pokuty tego rodzaju nie były rzadkością, więc Klemens, choć nie bardzo wierzył w tę formę skruchy, przyjął usługi damy incognito w sposób naturalny. Ona zaś westchnęła głęboko. To z serca płynące westchnienie i nisko pochylona głowa nad tą ponizającą posługą świadczyły o takiej szczerej, pokornej skrusze, że Klemens poczuł litość. Powiedział spokojnie, lecz łagodnie:

- Czy mogę czymś pomóc zbawieniu twojej duszy, córko? Potrząsnęła głową, cicho łkając.

- Nie, świątobliwy, ojcze, niczym, niczym. Wysłuchaj tylko grzechów niewiasty niegodnej dotknięcia twych świętych stóp. Do mej pokuty należy opowiadanie czystym, bezgrzesznym ludziom, jak jestem nikczemna.

- Mów, córko.

- Ojcze - zaczęła dama, pochylając się coraz niżej - moje ręce wydają się białe, ale są krwią splamione, krwią człowieka, którego miłowałam. Ach, cofasz, ojcze, nogę. Cóż mam uczynić, nieszczęsna, wszelka świętość wzdraga się przede mną.

- Culpa mea! adpa mea! - powiedział żarliwie Klemens. - Córko, był to tylko niegodny odruch ziemskiej słabości, za który powinienem odpokutować. Nie sądź Kościoła po jego słabszych sługach. Kościół cię przytuli do łona, jeśli skrucha będzie szczerą. Odwagi więc, staraj się oczyścić sumienie z tego ciężaru.

- Był cudzoziemcem niskiego urodzenia, mądrym ponad swój wiek, a pięknym jak wiosna. Kochałam go. Nie byłam dość roztropna, aby ukryć swą miłość. Adorowali mnie szlachetni dworzanie. Nigdy nie przypuszczałam, że może mną wzgardzić ktoś z gminu! Otworzyłam mu serce. Jaki wstyd dla mej płci! Odrzucił me uczucia, a jednak uwielbiał mnie - niewinnie. Kochał inną i był stały w swym afekcie. Użyłam sztuczek niewieścich. Bez skutku. Użyłam męskich pogroźek, rzekłam mu, iż zginie z mej ręki, a jego wierna kochanka dowie się, że umarł, wyrzekłszy się jej dla mnie. Drzysz, ojcze pobożny, czyż nie jestem potworem? Płakał i prosił o litość. Mój anioł opiekuńczy pomógł mi: kazałam mu opuścić Rzym. Gerardzie, Gerardzie, czemuś mnie nie posłuchał! Myślałam, że odszedł. Ale po dwóch miesiącach spotkałam go. Nigdy tego nie zapomnę. Płynęłam w dół Tybru galerą, on w górę w wesołej kompanii, przy jego boku piękna jak anioł kobieta, zła i zuchwała. Głośno wołała, żem jej rywalką. Zdrajca i hipokryta zdradził mnie przed nią, rzucił na pastwę rozwiązłych języków Rzymu. Ze strachu i chęci zemsty wynajęłam... mordercę. Gdy poszedł dokonać krwawego czynu, zawahałam się - za późno! Wynajęty przeze mnie sztylet - uderzył. Młodzieniec nie wrócił już do swego mieszkania. Nie żył już! Niestety!”może nie był tak bardzo winien, nikt nie rzucił mi w twarz jego imienia. Nie znaleziono biednego ciała, całowałabym rany i zabiłabym się przy trupie. Nawet wokół jego imienia zaległa cisza. Milczenie grobu, do którego pchnęła go mordercza ręka.

(Ruch jej zwrócił uwagę Klemensa - poznał kształtne ramię i miękką, białą dłoń).

- Ach, umarł tak młodo. Biedny, lekkomyślny chłopiec, który padł ofiarą sztuczek tej złej kobiety, zmusiła go, że wyznał jej wszystko. Jak mam pokutować, ja, potwór tak okrutny? Co mam czynić, ojcze świątobliwy?

Klemens modlił się w milczeniu. Poruszał wargami, nie widząc jeszcze jasno drogi swego obowiązku.

Kobieta zaczęła osuszać mu stopy. Oparła nogę o swe miękkie ramię i tak delikatnie przykładła ręcznik, że wydawała się istotą niezdolną skrzywdzić muchy. A jednak jej własne usta opowiedziały przed chwilą historię, i to prawdziwą.

Klemens modlił się jeszcze o mądrość, gdy poczuł łzę padającą mu na stopę. To wpłynęło na decyzję.

- Córko - powiedział - i ja byłem wielkim grzesznikiem.

- Ty, ojcze?

- Tak, takim samym jak ty, choć w inny sposób. Diabeł ma swoje sieci, sidła, a także pułapki. Skrucha jednak zmiękczyła me bezbożne serce i wdzięczność stworzyła je w nowym

kształcie. Widząc twoją skruchę, wiem, że potrafisz być wdzięczna Temu, który okazał ci więcej litości, niż ty jej miałaś dla bliźniego twego. Córko, Kościół zsyła tobie pociechę.

- Pociechę? Dla mnie? Ach, nigdy! Nie może wszak wskrzesić z grobu mej ofiary.

- Weź krucyfiks do ręki i słuchaj mnie, patrząc na krzyż - brzmiała odpowiedź.

- Tak, ojcze. Pozwól mi najpierw wytrzeć ci stopy, niezdrowo bowiem siedzieć z mokrymi nogami, a jesteś najświętobliwszym z ludzi, którym myłam stopy w czasie pokuty. Głos wasz przekonuje mnie o tym.

- Nie jestem, niewiasto. Nogi moje mogą poczekać. Bądź posłuszna.

- Tak, ojcze - odrzekła pani z pokorą. Z niewieścim wykrętnym uporem owinęła szybko stopę jednym ręcznikiem, którym ją wycierała, pod drugą podłożyła suchą serwetę; po czym słuchała rozkazów zakonnika.

Gdy pochylała się nad krucyfiksem, niski uroczysty głos mnicha zabrzmiał nad jej głową, a słowa te wnet, silnie wzruszając, przyprawiły o drżenie całe ciało penitentki.

- Moje dziecko, tym którego zamordowałaś - w intencji - był niejaki Gerard, Holender. Kochał on istotę ludzką jak człowiek powinien miłować tylko Odkupiciela i jego Kościół. Niebo go oczyściło. Do Rzymu nadszedł list. Ona umarła.

- Biedny Gerard! - Biedna Małgorzata! - jęknęła penitentka. Głos Klemensa załamał się w tej chwili. Z dużym wysiłkiem niebawem odzyskał spokój.

- Słabe jego ciało i słaba dusza nie wytrzymały. Powaliła go gorączka. Przeżył jedynie po to, by zbuntować się przeciw Niebu. Rzekł: „Nie ma Boga”.

- Biedny, biedny Gerard!

- Biedny Gerard? Słaba, głupia niewiasto! Nie, podły, bezbożny Gerard. Pograżył się w występki i splamił swój wieczny klejnot: spotkałaś go w jego codziennej kompanii, wiedz jednak, gwałtownie, że kobieta, którą wzięłaś za jego kochankę, była chłopcem przebrany dla żartu w strój niewieści - ślicznym chłopcem imieniem Andrea. Nie wiem, co ten Andrea ci rzekł, bądź jednak pewna, że ani on, ani żaden człek na świecie nie wie o tym szaleństwie. Ów Gerard, buntownik przeciw Niebu, ciebie niegodnej nie zdradził.

Dama jęknęła jak człowiek w śmiertelnej agonii, krucyfiks zaczął chybotać w jej drżących rękach.

- Odwagi! - rzekł Klemens. - Pociecha blisko... Od zbrodni przeszedł do rozpacz i dążąc do zatraty duszy stanął pewnej nocy nad Tybrem, zdecydowany samobójstwo popełnić. Dostrzegł, że ktoś go śledzi. To był najemny zbir.

- Święci pańscy!

- Błagał mordercę, by z nim skończył: ofiarował mu wszystkie swe pieniądze, aby zabił ciało i duszę. Zbir nie chciał. Wtedy ten zrozpaczony grzesznik, nie zmiękczony nawet odmową, sam skoczył do Tybru.

- Ach!

- Morderca ocalił mu życie. Dałaś swe polecenie niejakiemu Lodovico, mężowi Teresy, którą Gerard ocalił niegdyś na morzu, ją oraz jej maleńkie dziecko.

- On żyje! Żyje! Żyje! Mdleję.

Zakonnik wziął krucyfiks z jej ręki, obawiając się, by nie upadł na ziemię. Deszcz łez przyniósł kobiecie ulgę. Zakonnik pozwolił jej płakać czas pewien, potem ciągnął spokojnie dalej:

- Tak, żyje, dzięki tobie i twej nikczemności doprowadzony do wiecznego dobra przez wszechmogącą i najmiłosierniejszą dłoń. Jesteś jego największą ziemską dobrodziejką.

- Gdzie on? Gdzie? Gdzie?

- Po co ci to?

- Tylko go ujrzyć żywego. Błagać na kolanach o przebaczenie. Przysięgam ci, że nigdy nie zacznę znowu... Jakżeby mogła!... On wie o wszystkim. O, hańbo! Ojczy, czy on wie?

- Wie wszystko.

- Nie chcę więc spojrzeć mu w oczy, zapadłabym się pod ziemię. Ale wynagrodzę mu zbrodnię. Będę z ukrycia czuwać nad nim. Zrobi karierę w świecie, której omal biedaka nie pozbawiłam. Mój ród, Cesarini, jest wszechpotężny w Rzymie; a jam prawie ich głową.

- Córkó - powiedział chłodno Klemens. - Ten, którego zwiesz Gerardem, nie potrzebuje już niczego, co mógłby mu dać człowiek. Cudem wyrwany podwójnej śmierci porzucił świat, znalazł ucieczkę przed grzechem i szaleństwem na łonie Kościoła.

- Ksiądz?

- Ksiądz i zakonnik.

- Zakonnik? A więc wy, ojczy, nie jesteście jego spowiednikiem? A wiecie wszystko. Ten słodki głos!

Podniosła powoli głowę i popatrzyła nań badawczo przez maskę. Za chwilę krzyknęła omdlewając i padła czołem na jego bosa nogi.

Rozdział LXXVII

Klemens westchnął. Zaczynał wątpić, czy wybrał najmądrzejszy sposób postępowania z tak namiętą naturą. Ale choć bardzo młody, wiele już nauczył się duchowej mądrości.

Czekać w pewnych trudnych sytuacjach, nic nie mówić i nie działać, dopóki sprawa sama się choć częściowo nie wyjaśni.

Milczał więc i modlił się o mądrość.

Delikatnie wysunął nogę.

Ale penitentka otoczyła ją ramionami z żalnym jękiem, trzymała stopę konwulsyjnie, płacząc gorzko.

Wstyd i skrucha pokryły jaskrawą czerwienią jej twarz i szyję, leżała drżąc u jego nóg.

- Cóрко - powiedział łagodnie Klemens - odwagi. Nie dręcz się już myślami o Gerardzie, który nie istnieje. Jam jest brat Klemens, którego Niebo zesłało tu dziś z pociechą dla ciebie. Chcę ci pomóc w zbawieniu duszy. Uczyniłaś mnie swym spowiednikiem. Żądam, posłuszeństwa.

- O tak - łkała penitentka.

- Porzuć tę pielgrzymkę, natychmiast wracaj do Rzymu. Niewiele warta pokuta poza własnym miastem. Tam, gdzie mieszkamy, czyhają pokusy, które musimy zwyciężyć lub zginąć. Nie szukaj innych, bardziej widocznych, a nie tak groźnych. Łatwo w masce na twarzy myć stopy cudzoziemcom. Trudniej być tylko łagodną i miłosierną dla najbliższych.

- Nigdy, już nigdy nie tknę je) palcem.

- Nie, nie mówię tylko o służbie, ale o ludziach zależnych, krewnych, przyjaciółach. To twoja pokuta. Ostatnią myślą wieczorem i pierwszą po jutrzni wspominaj twój grzech i dobroć Boga. Bądź pokorna i wyrozumiała dla błędów ludzkich. Świat głaszcze bogatych, szukaj więc biedaków: nie żebraków, ci bowiem najczęściej nie są uczciwi ani naprawdę biedni. Szukaj tych, którzy wstydzą się prosić, a bardzo potrzebują pomocy. Dając im, ofiarowujesz Niebu. Wyjdź za mąż za dobrego syna Kościoła.

- Ja? Nigdy nie wyjdę za mąż.

- Wyjdiesz za mąż w ciągu roku. Proszę cię i rozkazuję poślubić człowieka żyjącego w bojaźni Bożej. Tyś bowiem miękka jak glina. W złym małżeństwie do niczego nie dojdiesz. Poślubiając godnego człowieka, mogłabyś, Dei gratia, żyć jako pobożna księżna i umrzeć jako święta.

- Ja? - Ty.

Potem rozkazał jej wstać i odejść, by czyniła dobro. Podniosła się na kolana i, ściągając maskę, spojrzała nań wymownie, a potem łagodnie opuściła oczy.

- Posłucham was, ojczy, jakbym słuchała anioła. Jakżem szczęśliwa w nieszczęściu, serce mi bowiem mówi, że nie będę patrzeć na was więcej w życiu. Chcę jeszcze osuszyć wam nogi.

- Nie trzeba. Darowałem już tę bezcelową pokutę.

- To nie pokuta dla mnie. Nie przebaczyliście mi widać, jeżeli nie chcecie pozwolić osuszyć waszych utrudzonych stóp.

- Niechże więc będzie. - Zrezygnował Klemens i pomyślał: *Levius quid femina.*

Ale te słabe istoty, grawitujące ku rzeczom małym jak ciała niebieskie ku wielkości, mają przebłycki anielskiego rozumienia.

Księżniczka osuszyła nogi zakonnika, spojrzała na niego ze łzami w pięknych oczach i szepnęła z niezwykłą delikatnością i dobrocią:

- Chcę zamawiać msze za jej duszę. Czy mogę? - spytała nieśmiało.

Błady rumieniec okrył policzki mnicha, zimne niebieskie oczy zaszyły wilgocią. Tak nagle usłyszał owe słowa z ust tej, którą właśnie tak niewysoko cenił.

- Piękna to myśl - rzekł. - Uczyń wedle woli; często takie ofiary wracają do człowieka jako błogosławiona rosa. Jestem twoim, nie jej spowiednikiem, dla zbawienia twojej duszy muszę zrobić wszystko, co w mej mocy, inaczej biada mnie samemu. Górko, droga moja córko, widzę, jak walczą teży chwili o twą duszę dobrzy i źli anieli, stań po dobrej stronie. Czy pamiętasz wszystko, com ci nakazał?

- Pamiętam - rzekła księżniczka. - Drogi święty, każda sylaba twoich zdań wyryta jest w mym sercu.

- Jeszcze jedno słowo. Módl się dużo do Chrystusa, mało zaś do jego świętych.

- Tak uczynię.

- To najważniejsze, co mam do powiedzenia. Teraz rozstańmy się. Ty idź do domu twego ojca, w którym najbardziej wypada ci żyć, ja do pracy dla mej świętej Matki.

- Żegnaj - szepnęła księżniczka. - Żegnaj, któregom za bardzo kochała, za bardzo nienawidziła, poznała i nauczyła się szanować za późno; aniele przebaczenia, żegnaj - na zawsze.

Mnich pojął jej słowa, choć głos jej załamał się westchnieniem.

- Na zawsze? - krzyknął głośno z nagłym zapalem. - Chrześcijanie żyją „na zawsze”, kochają „na zawsze”, lecz nigdy nie rozstają się „na zawsze”. Rozstają się jak ziemia i słońce, aby spotkać się za chwilę w większej jasności. Ty i ja rozstajemy się na czas życia. Czymże jest nasze życie? Jednym wierszem w wielkiej księdze historii Kościoła, którego jesteśmy synem i córką, garsteczką piasku w klepsydrze, kroplą w oceanie „na zawsze”. Żegnaj na chwilę zwaną życiem! Rozstajemy się w trosce, spotkamy w pokoju, rozstajemy jako stworzenia z gliny, spotkamy jako duchy nieśmiertelne, rozstajemy się w świecie grzechu i smutku, spotkamy w czystości i Bożej miłości, gdzie nie ma już złych namiętności; jest

Chrystus otoczony swymi świętymi w białych szatach. Tam po obrocie klepsydry, gdy pęknie bańka mydlana, przepłynie chmura - ona, ty i ja spotkamy się znowu. Zasiądziemy u stóp aniołów i archaniołów, apostołów i świętych, oddychając wraz z nimi niewysłowioną radością w światłości cienia Boga na tronie, na zawsze - na zawsze - na zawsze...

Tak się rozstali. Mnich wyprostowany, z oczami zwróconymi ku niebu, promieniejący świętym płomieniem zapалу, księżniczka odchodząca wolnym krokiem, odwracając się raz po raz, aby rzucić jeszcze tęskne, pełne szacunku i czulego żalu spojrzenie na natchnionego zakonnika.

Wróciła do domu pokorna i oczyszczona.

Klemens w odpowiednim czasie dotarł do Bazylei, rozpoczął wykłady w uniwersytecie i jednocześnie głosił kazania w sąsiednim mieście. Wiódł życie, które można określić trzema słowami - pilne studia i umartwienia. Czytelnik mógł już zajrzeć do jego duszy. W Bazylei wzrósł jeszcze święty zapal i wiedza.

Jego bracia z zakonu poczęli go uważać za potomka świętych i męczenników.

Rozdział LXXVIII Ognisko domowe

Gdy mały Gerard miał już prawie trzy miesiące, po Katarzynę przybył posłaniec z Tergou.

- Idź z powrotem i powiedz im, że nie mogę i nie chcę wracać; mają tam Kasię - brzmiała odpowiedź.

Odjechał więc, a Katarzyna tak kończyła zdanie:

- a więc moje dziecko, muszę iść; wszystko przewrócone do góry nogami; trzeci już raz mnie wzywają: Jutro zjawi się tu mój mąż we własnej osobie i zaciągnie mnie do domu za ucho, a nasłucham się przy tym wyrzutów do woli.

Wyłożyła raz jeszcze swe doświadczenia z niemowlętami, pouczyła Małgorzatę, co należy czynić w każdej potrzebie, i wcisnęła jej garść pieniędzy. Małgorzata podziękowała i nie przyjęła. Katarzyna nalegała i rozgniewała się. Argumenty Małgorzaty były tak rozsądne, że Katarzyna odrzuciła je ze spokojną pogardą; według niej brak im było kobiecości.

- Nie serce twe przemawia - rzekła - a oto rozstajemy się i może nie zobaczymy więcej w życiu twarzą w twarz.

- Och, matko! nie mówcie takich rzeczy!

- Niestety, dziewczyno; często to widziałam. Przy każdym rozstaniu myśl owa przychodzi mi do głowy. Kiedym była w twoich latach, nigdy tak nie myślałam. Nie, dość tego, przecie mamy żyć wiecznie!

- Widzicie, matko, wolałabym wam raczej nie mówić o tym, wasz Korneliusz mi powie: „Przyszłaś dzielić się z nami, co, moja pani?” - tak mi kiedyś powiedział. Rzekłam mu, iż byłoby mi bardzo przykro...

- Do licha z jego podłym językiem! Nie ma to znaczenia. Nie będzie o niczym wiedział.

- Dowie się raczej wcześniej czy później. Tak czy owak nie chcę żadnych żalowanych dobrodziejstw od żadnej) rodziny; może, gdyby moje dziecko głodowało, Bóg jeden wie, do czego byłabym zdolna. Nie, matko, obdarzcie mnie jeno miłością - cenię ją więcej od srebra, a gdy nie wezmę szeląga z waszego domu, tego mi nie pozazdroszą.

- Jesteś niemądrą dziewczyną. Ja wziąłabym choćby po to, żeby mu na złość zrobić.

- Nie uczynilibyście tego. Jesteśmy podobne do siebie jak krople wody.

Katarzyna ustąpiła wreszcie dość chętnie, a przy rozstaniu pełno było uścisków i łez obu kobiet.

Po odejściu babki dziecko długo płakało. Daremne były wszelkie wysiłki, by je uspokoić; zaczęła je wreszcie przewijać, podejrzewając, że szpilka mu przeszkadza, szukała pod koszulką małego i znalazła złotego dukata, który uwierał małeństwo w. kręgosłup.

- Popatrz, Gerardzie - rzekła do bobasa. - Zdaje się, że babunia wrzuciła to raczej w ostatniej chwili.

Zawinęła monetę w kawałek płótna i położyła na dnie szkatułki, pozwalając niemowlęciu zauważyć, że potrafi być czasem równie zdecydowana jak babcia.

Katarzyna opowiedziała Eliaszowi o niemądrej dumie Małgorzaty i jakiego użyła fortelu. Eliasz orzekł, że Małgorzata miała rację. Katarzyna potrząsnęła z powątpiewaniem głową. Eliasz się zamyślił.

Małgorzata miała pewne domowe kłopoty. Utrzymywać musiała jeszcze dwie osoby, a nie mogła teraz pracować tak ciężko jak dawniej. Dziecko, sprzątanie mieszkania i gotowanie wypełniały cały dzień. Miała trochę odłożonych pieniędzy i opowiadała dziecku, że ojciec wróci i pomoże im, zanim oszczędności się wyczerpią. Podtrzymywała ją ta nadzieja i tak przy ukochanym skarbie - maleńkim synu - spędziła parę szczęśliwych miesięcy.

Czas płynął, Gerard nie wracał; co dziwniejsze, nie było żadnej od niego wiadomości.

Zaczęła się znowu niepokoić i na przekór swej praktycznej naturze coraz częściej zamyślała się smutno; wzdychała w milczeniu. A gdy niepokój dręczył jej serce, pieniądze topniały. Pewnego dnia stanęła przed pustą spiżarnią i spojrzała na twarze starców oczekujących od niej pomocy. Serce jej wezbrało litością; zapytała syneczka, czy można pozwolić głodować dziadkowi i biednemu staremu Marcinowi, i wyjęła dukata Katarzyny.

Gdy rozwijała go z płótna, uroniła łzę smutku, która upadła na złoto. Posłała Marcina, aby zmienił dukata. Zaraz po jego wyjściu odwiedził ją Francuz wraz z pewnym handlarzem iluminowanymi rękopisami, który niegdyś ofiarował jej tak nędzną zapłatę. Cudzoziemiec powiedział, że jego monarchini poleciła mu zebrać arcydzieła zdobnictwa do jej modlitewnika. Małgorzata pokazała mu dwie swoje najlepsze prace, zachwycił się jedną z nich - kwiatami, malinami i pełzającymi robaczkami, które wycieniowała niegdyś Małgorzata van Eyck. Zaproponował jej niesłychanie wysoką cenę.

- Nie żartuj z moich potrzeb, dobry cudzoziemcze - powiedziała zdumiona. - Troje mam do żywienia w domu, nikt ich nie nakarmi prócz mnie.

Ciekawa arytmetyka.

- Nie mam zamiaru szydzić, piękna pani. Księżna poleciła mi wyraźnie: „Szukaj najlepszych rzemieślników, nie życzę sobie targów; mają być zadowoleni ze mnie, a ja z nich”.

Po chwili Małgorzata klęczała obsypując pocałunkami małego Gerarda w kołysce, pokazując mu wciąż na nowo cztery sztuki złota i opowiadając całe wydarzenie łamaną holenderszczyzną.

- Jaka dobra jest księżna pani, prawda synku? Będziemy się za nią modlić, jagniątko moje, gdy tylko trochę podrośniemy.

Marcin wrócił rozwścieczony.

- Nie chcę mi zmienić. Pewnie myślą, że ukradł.

- Bardzo ci jestem wdzięczna - powiedziała szybko Małgorzata, prawie wyrwała monetę Marciniowi, zawinęła ją znowu i schowała na dawne miejsce.

Zanim wydała niespodziewane zasoby, zabrała się znowu do prasowania i krochmalenia. W tym czasie Marcin zachorował i umarł po dziewięciu dniach.

Prawie wszystkie pieniądze poszły na ucziwy pochówek.

Odszedł, zostało puste miejsce przy kominku. Wolał jakoś ogień od słońca od czasu odejścia Wścibskiej Wiercipięty.

Małgorzata nie pozwalała nikomu siadać na jego krzesło. Gdy patrzyła zbyt długo na opustoszałe miejsce, z pewnością nie obywało się to bez łez.

Nie miał już kto odnosić bielizny do domów. Wychodząc z koszem, musiała zostawiać małego Gerarda pod opieką sąsiadki. Nie miała jednak odwagi powierzać takiego skarbu ludziom śmiertelnym, nie mogła znieść braku synka całymi godzinami. Zaczęła szukać chłopca do odnoszenia koszyka w sobotę i poniedziałek.

Łukasz Peterson, młody chłopak o czerwonych, pyzatyh policzkach, który wyglądał na lat piętnaście, lecz miał już osiemnaście, zgłosił się i zarumieniony, miętosząc czapkę w rękach, zapytał, czy mężczyzna nie mógłby się równie przydać jak i chłopak.

Jeszcze nim przemówił, powiedziała do siebie:

- Ten chłopiec świetnie się nada. Ale odpowiedziała chytrze:

- Mężczyzna zażądałby może więcej, niż mogę zapłacić.

- O nie - rzekł żarliwie Łukasz. - Jestem, pani Małgorzato, waszym sąsiadem i mogę bez trudu dopomóc. Mogę zaność pani koszyk przed wyjściem do pracy lub wracając. W ogóle nie musicie mi płacić. Nie jesteśmy przecie obcy dla siebie.

- Panie Łukaszu, znam co prawda waszą twarz, ale nie przypominam sobie, czyśmy kiedy zamienili choć słowo.

- O tak, pani Małgorzato. Zapomnieliście? Nieśliście, pani, kiedyś dziecko i wiadro pełne wody i ja powiadam: „dajcie mi dziecko, to poniosę”. A wy na to: „Nie, lepiej dam wam wiadro, a dziecko sama zaniiosę”. No i zaniiosłem wiadro do domu, a wyście, pani, wzięli je ode mnie pod drzwiami i rzekliście: „Bardzo wam dziękuję, młody człowieku”, bardzo miłym głosem, nie tak jak na ulicy mówią do człowieka.

- Pamiętam już, panie Łukaszu. Chyba nie mogłam być mniej uprzejma.

- Jeżeli tak mi pani powie za każdym razem, gdy odniosę koszyk, mniejsza o to, jak będzie to często, a droga nie wyda się za daleka.

- Nie, nie - rzekła Małgorzata zarumieniona lekko - nie chcę wykorzystywać waszej dobroci. Jesteście młody, panie Łukaszu, i dobry. Może dawać wam będę w sobotę wieczór, gdy przyniesiecie bieliznę, i śniadanie w poniedziałek; czy będziemy tak kwita?

- Wedle waszej woli. Nie mówcie jeno, żem żądał dwóch posiłków za taką błahostkę...

Niebiosa zsyłały zdrowie i siły biednej młodej niewieście, by wynagrodzić liczne nieszczęścia, a więc przy dorywczej pomocy pyzatego Łukasza dawała sobie nieźle radę w domu. Coraz dłuższe, a teraz nader niezrozumiałe milczenie Gerarda dręczyło ją co dzień dokuczliwiej.

Najgorsza męczarnia ducha - niepewność - torturowała rozpalonym żelazem jej zbolące serce - płakała często i gwałtownie, myśląc: „Wolałabym znać choćby najgorszą prawdę”.

Pewnego dnia usłyszała ciężkie stąpanie na schodach. Zadrzała i zbladła. „Nie znam tych kroków. Czy to zła wiadomość?” - pomyślała.

W otwartych drzwiach stanął nieoczekiwany gość - przyszedł Eliasza poważny i życzliwy.

Małgorzata patrzyła nań w milczeniu, z rosnącym niepokojem.

- Szyper powrócił, dziewczyno - powiedział.

- Tylko słowo - szepnęła Małgorzata. - Czy żyje?

- Na pewno. Mam nadzieję. Nikt nie słyszał o jego śmierci.

- Ktoś go musiał widzieć przeto żywego.

- Nie, dziewczyno, od paru miesięcy żywego ani umarłego nie widział go nikt w Rzymie. Moja córka Kasia mówi, że musiał powędrować do jakiegoś innego miasta. Kazała mi powtórzyć ci to przypuszczenie.

- Tak, to możebne - powiedziała ponuro Małgorzata. - Możebne. Biedne moje dziecko!

Stary człowiek słabym głosem poprosił o posiłek, gdyż nie jadł nic po drodze.

Biedna niewiasta, wzburzona, pożałowała go, zakrzętnęła się półprzytomnie; gotowała drżąc i nie bardzo wiedząc, co robi.

Zanim odszedł, położył rękę na jej głowie i powiedział: - Żywy czy umarły, uważam cię za córkę. Czy mogę coś zrobić dla ciebie? Zastanów się teraz.

- Tak, drogi ojcze. Módl się za niego. I za mnie!

Eliasz westchnął, zszedł ciężkim, smutnym krokiem ze schodów.

Słuchała na pół osłupiała oddalających się kroków, póki nie ucichły. Osunęła się z jękiem obok kołyski i przycisnęła małego Gerarda do piersi.

- Och, mój biedny, osierocony chłopcze, o synu bez ojca!

Rozdział LXXIX

Niedługo później, gdy nieliczna już rodzina zasiadała do obiadu, do domu Eliasza w Tergou wpadł zakurzony w dalekiej drodze Łukasz Peterson.

- Ludzie dobrzy, pani Katarzyna musi natychmiast udać się do Rotterdamu.

- Ja jestem Katarzyna, młody człowieku. Kasiu, to od Małgorzaty.

- Tak, pani, rzekła mi: „Łukaszu, dobry chłopcze, biegnij do Tergou, odszukaj sukiennika Eliasza i proś jego małżonkę Katarzynę, aby na miłość Boską przybyła do mnie do Rotterdamu”. Nie czekałem więc dnia.

- Święci pańscy! Przyszedł tu do nas. Na pewno tak mu rzekła. Cóż mogło się stać? - tonęła w domysłach.

- Może młody pan nam powie? - zaryzykowała nieśmiało Kasia.

- Powiem - odparł Łukasz. - Dziecko jej umiera. A ona tak za nim przepada.

Katarzyna skoczyła:

- Co się stało dziecku?

- Nie wiem. Z każdym dniem bardziej marnieje i chudnie.

Korneliusz i Sybrandt wymienili szybkie porozumiewawcze spojrzenia. Mieli szczęście, że Katarzyna nie dostrzegła satysfakcji w ich oczach. Patrzyła na męża.

- Eliasz! - krzyknęła w furii - jeśli teraz powiesz choć słowo przeciwko temu, pokłócimy się po tylu latach.

- Kto ci się chce sprzeciwić, głupia niewiasto! Walcz ze swoim cieniem, ja tymczasem idę pożyczyć dla ciebie muła od Petersa.

- Niech ci Bóg da zdrowie, mój dobry mężu! Niech ci da zdrowie! Nigdy mnie ni trochę nie zawiodłeś. Jedzcie obiad, kto może, a ja pójdę przygotować się do drogi.

Zabrała Łukasza na wózek i wypytywała go całą drogę to surowo, to czule, tak że chłopak pod koniec zupełnie stracił głowę.

Małgorzata czekała na nią w drzwiach, blada i poruszona, zarzuciła jej ręce na szyję, patrząc błagalnie w twarz matki.

- Więc żyje, dzięki Bogu! - powiedziała Katarzyna, wpytawszy ją gorliwie.

Spojrzała na gasnące dziecko, potem na biedną matkę o zapadniętych głęboko oczach.

- Szczęście, żeś po mnie posłała - rzekła. - Dziecko otrute.

- Otrute? Przez kogo?

- Przez ciebie. Ty się gryziesz.

- Doprawdy, matko; jakże mam się nie martwić?

- Tylko mi tu nie opowiadaj, Małgorzato. Karmiąca matka nie ma prawa się martwić. Musi odwracać twarz od swych trosk i myśleć tylko o tym, że pociecha leży na jej kolanach. Nie wiesz, że dziecko usycha, gdy matka się trapi? Wszystko z twojego czytania i pisanania. Są to próżne sztuki, dobre dla mężczyzn; jednak jeno przeszkadzają pozytywnej wiedzy niewieściej. Dziecko trzeba odłączyć od piersi.

- Ach, wy okrutna kobieto! - zawołała gwałtownie Małgorzata. - Żałuję, że po was posłałam. Chcecie obrabować mnie z jedynej pociechy, którą mam na tym świecie? Gdy karmię mego Gerarda, zapominam, że jestem najniezwyklejszym stworzeniem pod słońcem.

- Nie będziesz więcej karmiła - brzmiała odpowiedź - albo on przestanie być twą pociechą.

- Matko! - szepnęła błagalnie Małgorzata.

- Wiem, że to przykre - łagodniejąc odparła Katarzyna. - Ale zastanów się, czy nie przykrzej będzie patrzeć na to maleńkie liczko w trumience?

- O Jezu!

- Jak poradzisz sobie z dalszymi troskami, mając serce pełne, a łono puste?

- Och matko, zgadzam się na wszystko. Uratujcie jeno chłopca.

- A toś dobra dziewczyna. Zaufaj mi. Pomogę ci; i ja trzeźwiej widzę niż ty.

Niestety, trzeba było jeszcze z jednej strony zgody, ze strony malca, który był bardziej niezlomny od matki.

- Widzicie, on zbyt mnie kocha - mówiła Małgorzata, udając żal z powodu zachowania się malca.

Ale Katarzyna umiała dać sobie radę z obojgiem. Przechodząc, zauważyła w niedalekim sąsiedztwie młodą, zdrową niewiastę, siedzącą z niemowlęciem przed domem. Podeszła, wyjaśniła jej, w czym rzeczy i zapytała, czy mogłaby karmić przez jakiś czas ginące dziecko, nim uda się przygotować małego do odłączenia od piersi.

Niewiasta zgodziła się z uśmiechem, ułożyła w kołysce dziecko i weszła do domu Małgorzaty. Dygnęła, a Katarzyna oddała w jej ręce dziecko. Obejrzała je, ulitowała się i obiecała karmić tak jak własne.

Małgorzata zdruzgotana tym zapewnieniem, spojrzała z wyrzutem na Katarzynę i wybuchnęła płaczem.

Sąsiadka spojrzała na nią.

- Co takiego? Nie mówiliście mi, niewiasto, że matka się nie zgadza.

- Zgadza się, jeno głupia jest. Nie zważajcie na nią. Małgorzato, wstyd mi za ciebie.

- Jesteście, matko, okrutna i bez serca! - szlochała Małgorzata.

- Ci, co zabierają się do kierowania słabymi, muszą być twardzi. Wybacz, Małgorzato, ale twój chłopak jest moim wnukiem z krwi i kości, a tyś jeno synową.

Zaledwie ucichły te szorstkie słowa, dodała:

- Obca niewiasta obrabowuje własne dziecko, by ratować twoje, a ty masz jeno tyle rozumu, aby przy niej beczeć. Fe, wstyd mi za ciebie.

- Nie, sąsiadko - odpowiedziała karmiąca matka. - Dzięki Bogu, starczy mi pokarmu dla mego dziecka i jej w dodatku. Nie krzyczcie na nią, proszę! Może to troski zatruiły jej mleko.

- I jej własne serce na dodatek... - odparła Katarzyna nieskłonna do wyrzutów sumienia.

Małgorzata spojrzała jej prosto w twarz; matka spuściła oczy.

- Wiem, że powinnam być wam bardzo wdzięczna - szlochała Małgorzata, ale odwróciła głowę i wtuliła ją w oparcie krzesła, aby nie oglądać nieznośnego widoku innej niewiasty karmiącej Gerarda, który nie odróżniał swej nowej matki od prawdziwej, wygnanej.

Mamka odparła:

- Doskonale was rozumiem, biedna niewiasto. I kłaniam się pięknie pani Katarzynie, pochodzimy bowiem z jednego miasta, choć o tym nie wiecie.

- Jesteście z Tergou? Jak to dobrze! Nie mogę sobie jakoś przypomnieć waszej twarzy.

- Nie znacie mnie, bośmy wraz z mężem bardzo skromnymi ludźmi. Ale całe miasto zna zanego Eliasza i jego małżonkę, wszyscy was szanują. Jestem przeto na wasze zawołanie, pani, i waszej rodziny, niewiasto, i twojej, moja śliczna laleczko; w noc i we dnie.

- To porządna kobieta dawnych obyczajów - powiedziała Katarzyna, gdy zamknęły się drzwi za sąsiadką.

- Nienawidzę jej. Nienawidzę. Nienawidzę! - zawołała Małgorzata z pasją.

Katarzyna roześmiała się.

- Słusznie - rzekła - lepiej wszystko wykrzyczeć, niż dusić w sobie i przemyśliwać. To zresztą bardzo naturalne. Chodź, masz tu swoją pociechę. Weź dziecko i 'dalej mów o nienawiści, jeśli potrafisz - położyła jej synka na łonie.

- Nie, nie - protestowała Małgorzata, odwracając na poły od dziecka głowę, jednak nie mogła za nic w świecie odwrócić głowy całkiem. - To już nie moje dziecko, to jej. Nie wiem, czemu je tu zostawiła. Bardzo ładnie z jej strony, że go nie zabrała do domu, nie ukołysała... och, och! och! och! och! och! och!

Jedna w tym co prawda pociecha, jest żywy. Tyle mojego. Inna kobieta zabrała mi go. Jak ojca, tak i syna! och! och! och! och! och!

Katarzyna żałowała synowej i pozwoliła jej płakać do woli. Od tego czasu, gdy potrzebowała pomocy, Joanna zabierała Gerarda na spacer, na świeże powietrze. Małgorzata się nie sprzeciwiała, nie zdradzała podejrzliwości, ale wracając, zawsze zastawali ją we łzach.

Niedługo trwała ta milcząca umowa. Małgorzata również bardzo już pragnęła odłączyć małego Gerarda. Po odstawieniu od piersi dziecko odzyskało zdrowie i siły. Wówczas zaraz przyszedł nowy z nim kłopot - chłopiec zaczął ząbkować. I tu doświadczenie Katarzyny okazało się bezcenne. Małgorzata, pogrążona wciąż w trosce i niepokoju o ojca, odnajdywała chwilę radości, oglądając wyrzynające się maleńkie ząbki syna.

- Ząbki, matko, to nie ząbki, lecz najładniejsze perełki. Każda z tych pereł, wyłaniająca się z różowego dziąsła, zdawała się jej największym cudem natury.

Jej towarzyszka dzieliła te złudzenia. Gdybyśmy im rzekli, że pole wschodzącego zboża jest równie cudowne, Małgorzata spojrzalaby jak gazela oczami pełnymi wyrzutu, a Katarzyna wyrzuciłaby nas za drzwi. Zjawienie się każdej nowej perełki witano okrzykiem triumfu, a obie obserwatoria uważały się za równie szczęśliwe.

Katarzyna lubiła poplotkować z Joanną i dowiedziała się, że sąsiadka była żoną Joriana Ketla, parobka, który służył u Ghysbrechta van Swieten, ale utracił łaskę burmistrza i wrócił do rodzinnego miasta, do Rotterdamu. Tu przyjaciele znaleźli mu miejsce kościelnego w parafii i żył wcale przyzwoicie, dorabiając ciesiołką.

Katarzyna w zamian opowiedziała Joannie, czyje karmi dziecko, oraz wszystko o Małgorzacie i Gerardzie, o strasznym niepokoju, w jakim pogrążyło je jego milczenie.

- Tak - rzekła Joanna - świat jest pełen trosk. Pewnego dnia zwróciła się do Katarzyny:

- Wydaje mi się, że mój mąż wie coś o waszym Gerardzie, więcej niż inni tutaj, ale stał się bardziej w sobie zamknięty jak nigdy dotychczas. Wstąpcie kiedyś zaraz po zachodzie słońca i spróbujcie z nim pogadać. Jeno na miłość Boską nie wspominajcie, zem wam coś powiedziała. Jedyne raz podniósł na mnie rękę właśnie za paplanie o jego sprawach; nie mam ochoty na drugie lanie. Piękne dzięki! Wysłałam za mąż dla uciechy i wygody, a nie, by mi skórę łoił.

Katarzyna wstąpiła więc do ich domu. Jorian dość chętnie opowiedział, jak pomógł jej synowi i być może ocalił mu życie. Nie było w tym niczego nowego dla Katarzyny; gdy jednak zaczęła go wypytywać, dlaczego jej utracony chłopiec nie wraca ani nie pisze, rzucił ponure spojrzenie na żonę, która jednak patrzyła mu w oczy ze spokojem, obojętną absolutną szczerością i nieświadomością rzeczy. Odpowiedzi Joriana były coraz krótsze i mniej uprzejme.

- Czemuż to ja mam wiedzieć więcej od innych? - rzekł i potem dodał po pauzie: - Myślicie, że burmistrz takich jak ja przypuszcza do swoich sekretów?

- O, to znaczy burmistrz wie coś o tym? - zapytała ostro Katarzyna.

- Być może. Któż inny?

- Zapytam go.

- Też bym tak zrobił.

- Powiedzieć mu, że od was wiem?

- Bardzo słusznie, moja pani. Zróbcie z niego mojego wroga. Tak to zawsze bywa z biedakiem, gdy jenó zada się z kobietami i szepnie im choć słowo.

Jorian od tej chwili zamilkł, nastroszył się jak jeź, równie nieprzenikniony i prawie tak samo kolczasty.

Jego zachowanie wprowadziło obie biedne kobiety w stan niepokoju, irytacji, podniecenia i ciekawości. Ghysbrecht był z niewiadomego powodu śmiertelnym wrogiem Gerarda; przeszkodził małżeństwu, uwięził chłopaka, ścigał. Tu oto były sługa burmistrza,

który w chwili szczerości zdradził, że nieprzyjaciel miał klucz do sekretu, znał przyczynę milczenia Gerarda. Po przeanalizowaniu każdego słowa i spojrzeń Joriana sprawa okryta była dalej mrokiem i tajemnicą. Katarzyna doradziła przeto Małgorzacie, aby poszła do niego sama.

- Jesteś młoda i ładna. Może więcej z niego wydobędziesz niż ja. Przypuszczenie było rozsądne.

Małgorzata z dzieckiem na ręku zapukała nieśmiało do drzwi Joriana tuż przed zachodem słońca.

- Wejść - usłyszała silny głos.

Gdy weszła do izby, Jorian siedział przy kominku. Na jej widok zerwał się, odchrząknął i wybiegł z domu.

- Czy to z mego powodu, sąsiadko? - zapytała poczerwieniawszy Małgorzata.

- Musicie mu przebaczyć - odpowiedziała Joanna raczej chłodno. - Wam to przypisuje, że nie stał się bogatym człowiekiem. Chodzi o jakiś pergamin. Jeden brakował i on nic nie dostał od burmistrza dla braku tego jednego kawałka.

- Niestety! Gerard go zabrał.

- Możliwe. Ale mąż powiada, że nie powinniście mu byli pozwolić, że obiecaliście tego dopilnować. Muszę rzec prawdę, że pojmuję jego gniew. Ciężko biedakom być tak blisko fortuny i stracić ją za przyczyną tych, którym się przysłużyli. Opowiedziałam mu co prawda inną historyjkę: ludzie, którzy nie mają zmartwień jak ja i ty, nie powinni być zbyt twardzi dla tych, co żyją w zgryzocie, a ona ma jej dość. Idziecie już? Czemu tak się spieszycie, moja pani?

- Nie chcę wypędzać pocziwego człeka z własnego domu.

- Pozwólcie mi ucałować dzieciaka. To biedne niewiniątko na pewno nic nie zawiniło.

Po tej okrutnej odprawie Małgorzata powzięła decyzję, o której nie wspomniała nawet Katarzynie.

Po sześciu tygodniach zacna niewiasta wróciła do domu męża.

Niedługo później, w dzień urodzin dziecka, Małgorzata nie pracowała, ubrała się odświętnie, wzięła chłopca na rękę, poszła do kościoła, długo i gorąco modliła się o powrót Gerarda.

Tego samego dnia o tej samej godzinie ojciec Klemens odprawiał mszę i modlił się za duszę zmarłej Małgorzaty w klasztornej kościele w Bazylei.

Rozdział LXXX

Któryś łajdaczyna, zdaje się Sybrandt, powiedział: „Kłamstwo to nie cios toporem”.

To prawda: Możemy bowiem w pewnym stopniu przewidzieć konsekwencje uderzenia każdą bronią, a kłamstwo nie zna granic. Z natury swej wykracza poza ludzkie rachuby.

Zdarza się na świecie, że kłamstwo zabija jednego człowieka, a czasem rujnuje dwie lub trzy egzystencje.

I w naszej opowieści jakże straszne konsekwencje miało jedno bezlitosne szachrajstwo.

Kłamcy jednakże niewiele zyskali.

Bracia, którzy wpadli na pomysł, aby się pozbyć jednego spadkobiercy, ujrzeni, jak mały Gerard zajął miejsce brata w sercu ich matki. Co więcej, pewnego dnia Eliasz otwarcie oświadczył, że wobec zaginięcia Gerarda i prawdopodobnej jego śmierci umieścił w swej ostatniej woli małego Gerarda oraz Małgorzatę, wdowę po swym biednym synu.

Spojrzenie, które wymieniły te dwie parszywe owce słysząc ojcowskie słowa, powinno być ostrzeżeniem dla zdrajców. Korneliusz o mało nie powiedział, że Gerard najprawdopodobniej żyje. Dostrzegł jednak skierowany ku sobie wzrok matki i powstrzymał się w ostatniej chwili.

Ghysbrecht van Swieten, partner kłamliwej spółki, zbliżał się do kresu życia. Czuł, że zbliża się czas, gdy bogactwo opuści jego ciało, a podle uczynki przylgną do jego duszy.

Zbyt inteligentny, by oszukiwać siebie, zawsze w mniejszym lub większym stopniu odczuwał wyrzuty sumienia. Przejmując list Gerarda do Małgorzaty, zastanawiał się:

„Nie mogę oddać ziemi ani pieniędzy” - mówił mu olbrzym zwany Skąpstwem.

„Nie sprawię jej niepotrzebnego bólu” - szeptało skarłate Sumienie.

Tak więc podważył wpierw dyskretnie pieczęcie i stwierdziwszy, że nie było ani słowa o dokumencie, własnoręcznie zaniósł jej list, poczytując to sobie za poważną zasługę; jest to rekompensata częsta, gdy sam oskarżyciel jest zarazem sędzią.

Przyjście na świat dziecka Małgorzaty zdumiało go, zaskoczyło i postawiło zdradziecki czyn w nowym świetle. Jeżeli list poskutkował, zhańbił nim córkę przyjaciela, wnuczkę druha, którego ziemię także jej zrabował.

Te myśli dręczyły go u schyłku życia, gdy ciało traci siły, a ożywa pamięć o starych przyjaciółach, napełniając ponurymi majakami. Ale bał się wypowiedzieć. Proboszcz był uczciwym człowiekiem i na pewno kazałby mu zwrócić to, co zabrał. Skąpstwo miało w nim dawno głębokie korzenie, skrucza była ledwie sentymentem.

Tak tedy stały sprawy, gdy pewnego dnia, wracając z ratusza do domu, zastał w przedsionku czekającą nań kobietę z dzieckiem na ręku. Twarz jej była zasłonięta, sądził tedy,

że ma powody do wstydu, i odezwał się do niej wyniośle i urzędowo. Kobieta podniosła woal i spojrzała mu w twarz.

Była to Małgorzata Brandt.

Jej nagle przybycie i sposób, w jaki ukazała twarz, tak bardzo zaskoczyły starca, że nie zdołał ukryć pomieszania.

- Gdzie mój Gerard?- krzyknęła, a pierś jej falowała mocnym oddechem. - Czy żyje?

- O ile wiem... - wymamrotał Ghysbrecht. - Mam nadzieję ze względu na was... Proszę wejść do izby. Tu służba słucha.

- Ani kroku - powiedziała Małgorzata, chwyciła go za ramię i zatrzymała z całą siłą podnieconej kobiety. - Znacie tajemnicę, która łamie mi serce. Czemu Gerard nie wraca ani nie pisze ni słowa przez tyle miesięcy? Odpowiadajcie, nie kłopotcie się o służbę, albo usłyszycie mnie całe miasto.. Moje nieszczęście jest zbyt wielkie, aby stroić sobie żarty.

Na próżno utrzymywał, że niczego nie wie o Gerardzie. Odparła, że ci, co ją tu przysłali, mówią co innego.

- Wiecie, czemu nie wraca ani nie pisze - rzekła stanowczo. Ghysbrecht był coraz bledszy, opanował się wreszcie i powiedział z godnością:

- Uwierzyliście zatem tym dwu łajdakom oskarżającym takiego znacznego człowieka jak ja?

- Jakim dwu łajdakom? - podchwyciła żywo.

- Nie powiedzieli - szepnął. - Jestem biednym starym człowiekiem, pamięć mnie zawodzi. A wy nachodzicie mnie i mieszacie mi w głowie. Sam nie wiem, co mówię.

- Tak, panie, pamięć was zawodzi, inaczej nie moglibyście być mi wrogiem. Gdy nikt inny nie chciał was znać, mój ojciec niósł ratunek w nieszczęściu i zawsze był waszym przyjacielem. Mój dziad Floris pomógł, gdy byliście młodzi i ubodzy, i miłował was od dziecka. Widzieliście trzy pokolenia naszej rodziny, oto czwarte: wnuk waszego starego przyjaciela Piotra i prawnuk starego przyjaciela Florisa. Popatrzcie na to niewinne liczko i pomyślcie o zmarłych.

- Torturujesz mnie, niewiasto - szepnął Ghysbrecht i opadł na ławę.

Małgorzata czuła swą przewagę, uklękła przed starcem i położyła mu chłopca na kolanach.

- To dziecko bez ojca jest synem biednej Małgorzaty Brandt, która nigdy nie zrobiła wam nic złego i pochodzi z rodziny waszych przyjaciół. Od widoku tego liczka serce zmięknie bardziej niż od moich słów. Święci pańscy! Cóż nieszczęsna, zrozpaczona dziewczyna i jej maleństwo mogli zrobić złego, by zatrzeć w waszej pamięci wszystkie

wspomnienia młodości, gdy byliście dzieckiem niewinnym jako i ono, które patrzy teraz w oczy i błaga cię, panie, byś oddał mu ojca?

Unosiła w ramionach uśmiechnięte dziecko coraz wyżej i wyżej przed oczy starego człowieka.

Rzucił dzikie i rozpaczliwe spojrzenie na dziecko, potem na klęczącą matkę, a wreszcie krzyknął:

- Precz, zmije!

Zraniona dusza przywróciła staremu ciału na chwilę siły, ruszył gwałtownie przed siebie, załamując dłonie i szarpiąc siwe włosy.

- Zapomnieć dni młodości? Wszystko inne raczej mógłbym zapomnieć. O niewiasto, niewiasto, śpiąc czy czuwając widzę tylko twarze umarłych, słyszę głosy umarłych, sam umrę niedługo. Co się stało, nie odstanie. Jestem w piekle, w piekle...

Po gwałtownym wybuchu nastąpiło załamanie.

Zachwiał się i upadłby, gdyby nie pomoc Małgorzaty. Podtrzymując go, jak mogła, wolnym ramieniem, wołała ratunku.

Nadbiegło dwoje ze służby i zabrali go prawie omdlałego. Małgorzata ujrzała jeszcze twarz starca pokrytą siwym zarostem, bladą i bezsilną. Białe włosy zwisały przez ramię sługi.

- Boże, przebacz mi - szepnęła. - Obawiam się, że zabiłam biednego starego człowieka.

Zawiodła więc i ta próba odkrycia dręczącej tajemnicy, ciemność stała się głębsza niż przedtem. Gdy potem zaczęła rozważać spokojnie każde słowo, potwierdziło się jej podejrzenie, że Ghysbrecht coś wie o Gerardzie. Cóż to za dwaj łajdacy, o których myśli, że spełnili dobry uczynek i powiedzieli mi prawdę? O mój Gerardzie, moje biedne opuszczone maleństwo, w gęstej błędzimy mgle.

Odwiedziny w Tergou kosztowały ją więcej niż to, na co mogła sobie pozwolić; zawiódł klient nie zapłaciwszy należności. Znowu musiała odwinąć dukata Katarzyny. Choć to nieprawdopodobne, kiedy zeszła na dół, znalazła na stole garść srebra i skrawek pergaminu z napisem: Dla żony Gerarda.

Chwyciła zdumiona list, krzyknęła z radości.

- Żyje! Posyła mi to przez jakiegoś życzliwego człowieka. Całowała wciąż na nowo tych parę słów, wsunęła je uszczęśliwiona za stanik.

Czas płynął. Od Gerarda nie było znów wieści.

Od tego czasu co dwa miesiące niewielka kwota w srebrze trafiała do domu Małgorzaty. Czasem znajdowała garść monet na stole. Raz sakiewka wpadła przez okno do

alkowy. Kiedyś znalazła ją na dnie koszyka u Łukasza, który wstąpił na chwilę do szynku, aby zamienić parę słów z przyjacielem. Nie zdołała wyśledzić ofiarodawcy. Katarzyna zaprzeczyła. Małgorzata van Eyck przysięgła, że nie ma z rym nic wspólnego. Tak samo Elias. A Małgorzata, otrzymując przesyłkę, za każdym razem mówiła do małego Gerarda: „O moje biedne, opuszczone dziecko, w gęstej błędzimy mgle”.

Połowę tej skromnej, lecz bardzo przydatnej kwoty obracała na odzienie małego Gerarda, ubierając go właściwie ponad stan.

- Jeżeli to są pieniądze od Gerarda, zobaczy swego chłopca wystrojonego.

Wszystkie matki z tej samej ulicy sarkały nieco, zwłaszcza te, których smyki świeciły dziurami na łokciach.

Mijały miesiące, męka serdeczna przekształciła się w tępą śmiertelną rozpacz. Wróciła poprzednia myśl:

- Gerard nie żyje. Nigdy już nie ujrzę ojca swego chłopca ani kontraktu ślubnego.

Ostatnie zmartwienie, złagodzone nieco uznaniem zaręczyn przez Eliasza i Katarzynę, ożyło z całą siłą znowu: inni ludzie nie potraktują tej sprawy tak pobłażliwie. Coraz częściej płakała nad nielegalnym pochodzeniem synka.

- Czy nie dość, żeśmy opuszczeni? Musimy znosić jeszcze hańbę? Och, lepiej nam było się nie rodzić.

Stan zdrowia Piotra Brandta uległ zmianie. Nieprzytomny od dwu prawie lat, miewał teraz chwile przejaśnień, rozmawiał z Małgorzatą o Gerardzie, potem znowu zaczynał majaczyć. Pewnego dnia Małgorzata, wróciwszy do domu po parogodzinnej nieobecności, zastała ojca tak rozmawiającego z Katarzyną, jak to już nie zdarzyło się od dnia paralitycznego ataku.

- Ach, dziewczyno, czemu cię w domu nie było? - zawołała Katarzyna. - Ale i tak powiedziałam mu wszystko i razem płakaliśmy nad twymi troskami.

Małgorzata milczała, spoglądając na nich z radością. Piotr uśmiechnął się do córki i rzekł:

- Podejź, chcę cię pobłogosławić.

Klękła u jego stóp, a on wielce wymownie ją pobłogosławił. Powiedział, że była przez całe życie najbardziej kochającą, oddaną i posłuszną córką, jaką kiedykolwiek zesłały Niebiosa biednemu wdowcowi. „Oby twój syn był ci taką samą pociechą, jaką ty byłaś dla mnie!”

Potem zdrzemnął się. Kobiety szeptały między sobą; Katarzyna opowiadała:

- Cały czas właśnie rozmawialiśmy o Gerardzie. Myśli o nim bez przerwy. Sądziłyśmy, że był całkiem nieprzytomny, a biedak zapewne często rozumiał nasze rozmowy. Małgorzato, to bardzo mądry człowiek, myślał o wielu rzeczach... „Może jest uwięziony - powiada - albo go siłą zaciągnęli pod sztandary jakiego króla, może go wysłali do Konstantynopola, by tam kopiował księgi, może zresztą został księdzem; miał do tego skłonności”.

- Ach, matko - szepnęła Małgorzata złudzenia tak jak my. Jeszcze nie dokończyła zdania, gdy wydarzyło się coś dziwnego. Odezwał się donośny głos:

- Widzę go. Widzę go.

Starzec szeroko rozwartymi oczami wydawał się patrzeć poprzez ściany domu. - W łodzi - na wielkiej rzece - tędy płynie, tędy. Wielce zmieniony; ale go poznałem. Odszedł! odszedł! Ciemność.

Opadł wyczerpany na łóżko i zapytał słabym głosem, gdzie Małgorzata.

- Przy tobie, drogi ojciec. O matko, matko, co to znaczy?

- Nie widzę cię, a przed chwilą widziałem daleki świat. Tak, jam gotów. Czy to twoja ręka? Błogosławię cię, dziecko moje, błogosławię! Nie płacz! Drzewo dojrzało.

Stary lekarz słusznie oceniał oznaki. Te spokojne słowa były ostatnimi w jego życiu. Za chwilę opuścił głowę i łagodnie, cicho odszedł z tego świata jak dziecko, które kładzie się na spoczynek. Pochodnia zapłonęła raz jeszcze, nim zgasła.

Rozdział LXXXI

Ta, która oplakiwała biednego starego Marcina, nie potrafiła obecnie znieść nowego ciosu ze stoicyzmem należnym wobec śmierci starych ludzi. Na próżno Katarzyna próbowała pocieszać, wygłaszając znane prawdy; na próżno przypominała, że było to dla chorego szczęśliwe wyzwolenie; że sam przecie rzekł, że drzewo dojrzało. Najbardziej nieudany był argument, że oto ubył jedna osoba do karmienia, że ma teraz tylko ich dwoje na utrzymaniu.

- Takie kłopoty są mymi jedynymi radościami - powiedziała Małgorzata. - Wypełniają zrozpaczone serce, które teraz wydaje mi się nie tylko zdruzgotane, ale i puste. O puste krzesło! Nie mogę patrzeć na ciebie! Biedny staruszek, jakżebyś mogła mniej go już kochać, siadywałam przecie tu, patrzyłam na niego i myślałam, gdyby nie ja, umarłbyś z głodu. Taki mądry, taki uczony wpiers, stał się teraz bezbronny jak słodkie dzieciątko i kochałam go, jakby naprawdę był mi drugim dzieckiem, a nie ojcem. O, puste krzesło! puste krzesło! biada mi, biada!

Nie mogła wstrzymać pełnych pietyzmu łez. Katarzyna zostawiła ją w spokoju i spuściła głowę. Pewnego dnia wyznała:

- Pocięszałam cię wedle rozumu, nie zaś wedle serca i słusznieś sobie nic z tego nie robiła. Na twoim miejscu oplakiwałabym starego ojca tak samo jak ty.

Małgorzata ucałowała ją i ten odruch szczerej sympatii dopomógł trochę, choć banalne słowa współczucia nie potrafiły jej pocieszyć. Katarzyna wzruszyła się i rzekła:

- Moja biedna dziewczeczko, nie jesteś stworzona do samotnego życia. Uważam cię już za córkę. Nie marnuj młodości dla mego syna Gerarda. Albo nie żyje, albo cię zdradził. Serce mi się kraje, gdy o tym mówię, ale nie sposób się łudzić. Ojciec umarł, ja nie mogę być przy tobie tu stale. Masz uczciwego chłopca, który kocha cię już tyle czasu. Pojęłabym go i pocieszyłabym się. Niebo zesłało nam chłopców na udręczenie, ale i na pociechę; kobieta nie bez nich nie znaczy. Widząc pomieszenie i zdumienie Małgorzaty, zapytała:

- Chyba nie jesteś tak ślepa, aby tego nie widzieć?

- Czego? Kogo?

- Kogóż, jeśli nie Łukasza Petersona.

- Jak to, naszego Łukasza? Chłopca, który nosi mój koszyk?

- No, nie tylko. Ma ponad dziewiętnaście lat, jest dobrym, zdolnym chłopakiem: przepytalam już ludzi o niego; wszyscy powiadają, że to zdolny rzemieślnik, wódki nie pije, a tu w Rotterdamie ciągną jak gąbki..

Małgorzata uśmiechnęła się po raz pierwszy od wielu dni.

- Łukasz wielce lubi kruche puddingi - powiedziała - a ja przyrzadzam mu je wedle gustu. Dlatego tu przychodzi się zalecać.

Nagle poczerwieniała:

- Gdybym pomyślała, że przychodzi tu dla żony twego syna, którą jestem, czy też być powinnam, wnet wyrzuciłabym go za drzwi.

- Nie, nie, na litość Boską, nie rób mu przeze mnie krzywdy. Biedny chłopiec! Serce nie sługa, dziewczyno. Wyciągnęłam z niego ten sekret już prawie rok temu.

- O matko, i wpuściłaś go tu?

- Tak, myślałam bowiem o tobie. Powiedziałam do siebie: jeżeli jest tak głupi, żeby bez żadnej nagrody być jej niewolnikiem, tym lepiej. Samotna kobieta zginie bez mężczyzny, który powinien załatwiać jej drobne sprawy. Ale teraz zmieniłam zdanie, uważam, że najlepiej byłoby, gdybyś poszła za niego za mąż.

- Zatem rodzona matka jest przeciw swemu synowi i chce mnie wydać za pierwszego chętnego. Ach, Gerardzie, tylko na mnie możesz liczyć. Nie uwierzę, żeś umarły dopóki nie ujrzę twego grobu, nie uwierzę, żeś zdradził, póki nie zobaczę cię z kochanką przy boku. Niemądry chłopak, już nigdy nie będę dla niego miła.

Łukasz Peterson, zniszczony przez protekcję Wścibskiej Wiercipięty, został chłodno przyjęty w domu, w którym dotąd zaznał tylko uprzejmości i dobroci. I gdy spostrzegł, że gospodyni prawie się doń nie odzywa, jeżeli zaś musi odpowiedzieć, to szorstko i niegrzecznie - wielki, łagodny chłopak zaczął się skarżyć i wreszcie wprost zapytał Małgorzatę, czy ją czymś obraził.

- Niczym. To ja jestem winna. Jestem w złym humorze. Jeśli pragniecie mej rady, to lepiej trzymajcie się z dala.

- To przeze mnie, Łukasz - rzekła Wścibska Wiercipięta.

- Przez was, pani Katarzyno? A cóż wam uczyniłem, żeście ją przeciw mnie zbuntowali?

- Nic; chciałam jak najlepiej. Powiedziałam, że patrzycie ku niej przez małżeńską obrączkę. Ale nie chce o tym słyszeć.

- Nie trzeba było tego mówić. Wie przecie, że się do niej zalecam od dwunastu miesięcy.

- Nie wiem - rzekła Małgorzata. - Gdybym wiedziała, kazałabym wam zamknąć drzwi od strony ulicy.

- Jakżeż? Przychodzę tu przecie w każdy sobotni wieczór. Rotterdamskie chłopaki tak się zalecają. Kiedy jadamy wieczerzę z dziewczyną co sobota, to znaczy, że mamy poważne zamiary.

- Takie to ma znaczenie w Rotterdamie? Zatem następnym razem przyjdziecie w czwartek lub w piątek. A ja myślałam, że przychodzicie na pudding, mój chłopcze.

- Wasz pudding również bardzo lubię. Robicie go lepiej od mojej mamy. Ale was lubię znacznie bardziej od puddingu - powiedział czule.

- Widzicie mnie już ostatni raz w życiu. Jak śmiecie przemawiać w ten sposób do żony innego, i to kiedy on jest daleko? - zakończyła, dodając uprzejmie, lecz stanowczo. - Nie musicie się więcej trudzić, Łukasz. Mogę już sama odnosić swój koszyk.

- Bardzo dobrze - rzekł Łukasz, posiedział chwilę w milczeniu, wstał i rzekł ze smutkiem do Katarzyny: - Zdaje się, pani, że dostał kosza - i odszedł.

Następnej soboty Katarzyna spotkała go na progu, gdzie siedział zapłakany. Powiedział, że przyzwyczał się tu przychodzić i że nie może sobie znaleźć miejsca gdzie indziej. Weszła do domu i zawiadomiła Małgorzatę, która westchnęła:

- Biedny Łukasz, mógłby tu przychodzić, żeby jeno znał swe miejsce i traktował mnie jak kobietę zamężną.

Łukasz zawahał się, usłyszawszy tę odpowiedź.

- Głupstwa - rzekła Katarzyna. - Obietnice na wodzie pisane. Możesz przyrzec świat cały, lepsze to niż głupie siedzenie na progu, gdy jedno słowo pozwoli ci wejść do środka. Teraz ją gniewasz, ale przyjdzie pora, jeżeli biedny Gerard nie wróci do domu i nie zabierze, że będziesz miał ją na pewno - w swoim czasie. Samotna niewiasta zawsze się w końcu zmęczy, głupi chłopaku.

Rozdział LXXXII Klasztor

Brat Klemens nauczał i głosił kazania w Bazylei ponad dwanaście miesięcy. Pewnego dnia stanął przed nim Hieronim, zakurzony, z lśnącymi triumfalnie oczami.

- Chwała Panu Bogu, bracie Klemensie. Możesz już wraz ze mną udać się do Anglii.

- Jestem gotów, bracie Hieronimie. Oczekuję cię od kilku miesięcy. W czasie wolnym od nauczania i modlitwy posiadm nieco dokładniej język angielski.

- Dobrze, żeś o tym pomyślał - rzekł Hieronim i opowiedział następnie, że odłożył wyjazd do czasu otrzymania nadzwyczajnych uprawnień. Papież właśnie zezwolił na zbiórkę funduszy na Kościół i spowiadanie we wszystkich klasztorach na terenie całej Anglii.

- Tak więc przepasz biodra i ruszajmy do walki przeciw franciszkanom i dla dobra Kościoła, matki naszej.

Obaj zakonnicy dążyli w dół Renu, głosząc kazania. Wędrowali tak w stronę Anglii. W większych osadach kazali obydwaj. W mniejszych każdy szedł na inny brzeg rzeki i następnie spotykali się w umówionych miejscach. Obaj byli wybitnymi mówcami, lecz każdy w innym rodzaju.

Pełen godności Hieronim wywierał duże wrażenie, był jednak nieco dogmatyczny w sprawach religii i trochę monotony w wyborze tematów w porównaniu z Klemensem, choć po prawdzie nie w porównaniu z większością kaznodziejów.

Kazania Klemensa odznaczały się różnorodnością, a często mówił potocznym językiem. Zwykle łagodne i ujmujące subtelnością chwytały za serce i przemawiały do rozumu. Czasem jednak równoległe z tematem pięły się w górę myśli kaznodziei; wtedy Klemens wlatywał o tyle wyżej ponad brata Hieronima, o ile niżej zwykł znajdować się na początku. Zaiste, w tych szlachetnych porywach podobny był natchnionym prorokom lub pogańskim oratorom: *vehemens ut procella, excitatus ut torrens, incensus ut fulmen - tonabat, fulgurabat et rapidis eloquentiae fluctibus, cuncta proleuebat et proturbabat.*

Mógłbym zacytować liczne przykłady, ale nie zrobię tego z pięciu przyczyn: raz, że trudna to sprawa, dwa - mało czasu, trzy - uczyniłem to już poprzednio; zdolni naśladowcy zrobili to lepiej przede mną; i wreszcie - podobieństwo jest zaletą ziaren grochu, w książce natomiast staje się wadą.

Żeby jednak nie zlekceważyć całkowicie zagadnienia, wspomnę, że Klemens starał się skrycie poznać sprawy bieżące i najczęściej spotykany grzech w każdym mieście, w którym miał wygłosić kazanie.

Ale nieugięty Hieronim gardził dostosowywaniem sposobu przemawiania do występków ludzkich. W pewnym dużym mieście parę mil od Renu stawali kolejno na tej samej ambonie. Hieronim gromił próżność w stroju, gdyż był to jego ulubiony temat. Eloquentny, umiejący patrzeć satyrycznie, podobał się słuchaczom; przyjmowali go życzliwie, albowiem niewielu oddawało się temu grzechowi.

Klemens walczył z pijaństwem. Był to najpospolitszy grzech w tamtych okolicach, omijany przez kaznodziejów. Księża również nie stronili od kielicha, a ludowe przesady otaczały pijaków pobbłaznieniem. Klemens bezlitośnie miazdzył groźny nałóg, uderzając argumentami z Pisma Świętego i doświadczeniami z życia świeckiego. Grzech ów był ojcem wielu innych zbrodni: złodziejstwa i zabójstwa. Wypominał ojcobójstwo popełnione niedawno w tym mieście po pijanemu przez uczciwego człowieka oraz straszne zdarzenie w sąsiednim miasteczku, w którym banda opojów upiekła żywcem jednego z kamratów.

„Wasz ostatni książęmówił - zmarł, jak mówią, od apopleksji, ale sami doskonale wiecie, że zapił się na śmierć, że jeden z waszych rajców zginął marnie miesiąc temu, gdyż pijany jak bela utonął w kałuży. Wasze potomstwo chodzi obdarte, abyście mogli napełniać brzuchy trucizną, która czyni was gorszymi od zwierząt, głupszymi niż cielęta, równie dzikimi jak odyńce, spycha wasze rodziny na dno nędzy, zaś dusze wasze na dno piekieł. Powiadam wam, całe to miasto, tak, nawet cały naród stoczyłby się na dno, gdyby zaczęły pić także wasze niewiasty. A jak długo pozostaną trzeźwe i wbrew naturze potrafią oprzeć się przykładowi swych małżonków i ojców? Występek nie lubi osamotnienia. Poprawcie się lub ujrzyście wasze niewiasty poniżone jako i wy. W Bohemii piją już wraz z mężczyznami. Jak wygląda pijana niewiasta? Chcecie zobaczyć pijane małżonki i matki?”

Krzyki grozy zagłuszyły mówcę, ponieważ w średniowieczu ludzie nie umieli milczeć w czasie wzruszającego kazania.

„Ten dzień jest bliski - krzyczał zakonnik. - Szaleńcy! Sądzicie, że Pan Bóg, który jest czystością, nie oburza się bardziej widząc mężczyznę, swe najszlachetniejsze dzieło, przemienionego w pijaną bestię, niż wy grzeszni i nierozumni oburzacie się na widok niewiasty, nie lepszej po pijanemu ani nie gorszej od was samych?”

Zakończył dwoma obrazami: opisał dom i rodzinę pijaka oraz człowieka trzeźwego, a oba te malowidła były tak dramatyczne i prawdziwe we wszystkich szczegółach, że niewiasty wołały: „Ach, ach”, a także: „To dopiero szczerza prawda”.

Kazanie prawie spowodowało tumult. Słuchacze zbierali się grupami, mężczyźni nie kryli oburzenia, kobiety schlebiały mężom i otwarcie stawały po ich stronie przeciw kaznodziei. Żonaty mężczyzna ma prawo do kieliszka, ciężko pracuje na całą rodzinę, ma prawo do rozrywki. Nie zmieniałyby swych mężów na maminsynków.

Falszywe stworzenia! Tego samego wieczora grupa mężczyzn przychwyciła prawie setkę żon, które napełniały worek brata Klemensa najlepszymi smakołykami i chętnie dałyby gwiazdkę z nieba, całując brzeg habitu, błogosławiąc go za to, że chciał „poprawić ich głupców”.

Hieronim uznał kazanie za zbyt ziemskie.

- Pijaństwo nie jest herezją, Klemensie, żeby mogło stanowić wyłączny temat całego kazania.

W czasie całej drogi spostrzegł ze zdziwieniem, że kazania Klemensa skuteczniej docierają do słuchaczy od jego własnych: zmuszały ich do słuchania, myślenia, płaczu, czasami nawet do poprawy. Potrafi się do nich zniżyć - pomyślał Hieronim. - Umie także czasem wznieść się dość wysoko.

Na ogół trochę to jednak niepokoiło brata Hieronima, który w duszy mniemał, że przewyższa swego bardziej wrażliwego brata. Po dwustu milach drogi Klemens zaczął go nie tylko niepokoić, ale przestał mu się podobać. Próbował zdławić to tyleż niegodne co małosłowne uczucie. Dusze różnią się od siebie jak zamki, a kaznodzieje muszą być różni jak klucze, inaczej Kościół nie mógłby tak wielu serc otworzyć dla Boga. Ten nowicjusz znajdzie klucze do dusz ludzi Północy, sam bowiem z Północy pochodzi.

I tak z wolna dotarli w dół Renu, czasami płynąc kilka mil rzeką, najczęściej jednak wędrując brzegiem, nauczając i głosząc kazania, spowiadając grzeszników w miastach i wioskach. Tak oto dotarli do Düsseldorfu.

Stanęli na niewielkim molo, gdzie Gerard i Dionizy niegdyś wynajmowali łódź, by płynąć w górę Renu. Mnisi tu właśnie wylądowali. Te same ulice, gospoda „Pod Srebrnym Lwem”. Nic się nie zmieniło prócz Gerarda, który stąpał teraz tędy bosymi nogami, ze spokojnym i wygasłym sercem, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, z oczami pokornie opuszczonymi ku ziemi, prawdziwy syn Dominika i świętego Kościoła.

Rozdział LXXXIII Ognisko domowe

- Eliaszu - rzekła Katarzyna - odpowiedz mi jak mężczyzna na jedno tylko pytanie, a nie zapytam dzisiaj już o nic. Co to jest piołun?

Eliasz był nieco zaskoczony tym nagłym odwołaniem do jego wiedzy; pozbiierał wreszcie myśli i odparł, że to coś o bardzo gorzkim smaku.

- Jest to odpowiedź prawdziwa, mój drogi, ale nie ta jedyna, której szukam.

- Dopowiedz sobie resztę sama.

- Tak uczynię. Hodować piołun - to znaczy trzymać w domu dwóch nierobów czekających na spadek po tobie i po mnie.

Eliasz jęknął. Strzała trafiła w cel.

- Tak mi się wydaje, że wyczekiwanie na złożenie do trumny najlepszego przyjaciela i próżnowanie wystarczy, aby stali się gorsi, niż są z natury. Czemu ich gdzieś nie wysłać i nie dać im sposobności?

Eliasz odparł, że chciałby, ale obawia się, że przepiją i przegrają w karty samych siebie.

- Nie - zaprzeczyła Katarzyna. - Czy sądzisz, że jestem naiwna? Mam oczywiście zamiar pilnować ich na początku i kierować, jak to się mówi, długimi lejcami.

- Gdzie myślisz im coś urządzić? Nie tutaj, nie w naszym sklepie.

- Raczej nie. Może w Rotterdamie. Tam mogłabym dopilnować początków.

Mydlenie oczu samej sobie! Prawdziwym powodem tych zamiarów była chęć mieszkania bliżej małego Gerarda.

Po wielu dyskusjach i gorliwych obietnicach Korneliusza i Sybrandta, że się poprawią w nowych warunkach, Katarzyna pojechała do Rotterdamu szukać odpowiedniego sklepu i zabrała ze sobą dla odmiany Kasię. Szybko znalazły pomieszczenie, i to przy dogodnej ulicy; bardzo było jednak zaniedbane. Udało im się za to odnajdąć je taniej i natychmiast przystąpiły do szorowania. Dobrały następnie odpowiednie dla sklepu półki i zaczęły urządzać dom mieszkalny.

Łukasz Peterson zawsze wypytywał Małgorzatę, co mógłby dla niej zrobić. Odpowiadała zwykle ze smutkiem:

- Nic, Łukaszu, nic.

- Taka mądra jak wy niewiasta i nie potraficie czegoś wymyślić?

- Niczego, Łukaszu, niczego. Ostatnio odpowiadała inaczej:

- Jeżeli chcecie coś zrobić, pomóżcie trochę mej miłej siostrze, Kasi.

Niewolnik miłości chętnie wyraził zgodę, szybko sporządził wózek dla Kasi, wypościł go wygodnie, zaprzęgał się doń i od czasu do czasu woził kalekę do miasta wzdłuż ładnego bulwaru, a Małgorzata i Katarzyna szły spacerkiem obok wózka. Wyglądali razem na szczęśliwsze towarzystwo niż to, którym byli w rzeczywistości.

Kasia początkowo cieszyła się niezmiernie; brała małego Gerarda na kolana, ubóstwiała dziecko. Wyglądał jak cherubinek pod opieką aniołka lub pączek róży w kielichu lilii.

Ale ulicznicy wyśmiewali poczciwego Łukasza, pytali, jak smakuje oset, czy jego panią nie stać na czworonoga, itp.

Łukasz nie dbał o to, ale Kasia przejmowała się za niego.

- Zrobiłeś dla mnie wózek, zacy Łukaszu - powiedziała. - Bardzo to wiele. Źle jednak uczyniłam, że pozwoliłam ci go ciągnąć - stać nas, by zapłacić za usługę jakiemuś biedakowi. Lubię te jazdy, lubię wozić małego Gerarda, ale wolę się wyrzec przyjemności, niż słuchać, jak drwią z ciebie.

- Nie dbam wiele o ich języki - rzekł Łukasz. - Gdyby o to chodziło, dałbym im po łbie. Będę woził, póki moja pani nie każe mi przestać.

- Jeśli chcesz mi zrobić przyjemność, Łukaszu, usłuchaj Kasi.

- Ano, to posłucham Kasi.

Jedynym sprawiedliwym wyjątkiem wśród owych ludowych dowcipnisiów była żona Joriana Ketla.

- Pięknie to, gdy siła służy słabości. Modlitwy kaleki będą ci nagrodą. Niewiele już jej życia pozostało. Uśmiecha się przez łzy - takie były słowa Joanny.

Prostolinijny Łukasz odparł, że nie zależy mu na modlitwie biednej dziewczeczki; pomaga jej, aby przypodobać się swej pani, Małgorzacie.

I znowu Łukasz nudził Małgorzatę prosząc, by powierzyła mu jakieś zadanie - na próżno.

Wreszcie pewnego dnia zmęczona naleganiem poczciwca powiedziała mu ze spojrzeniem i tonem, którego nie podjąłbym się opisać:

- Znajdź ojca mego syna!

Rozdział LXXXIV

- O pani moja, wszyscy mówią, że on nie żyje.

- Nie wszyscy. Mnie raczej pocieszają.

- Tak, w oczy, ale za plecami powiadają, że umarł. Małgorzata zapłakała, usłyszawszy to wyznanie.

Łukasz przyłączył się dla towarzystwa. Dziewczęce serce miał w ciele mężczyzny.

- Błagam, nie płaczcie tak, miła pani - powiedział. - Wskrzesiłbym go, gdybym mógł, żeby nie widzieć waszych łez.

Małgorzata rzekła, że płacze z powodu ludzkiej nieszczerości. Opanowała wzruszenie i kładąc dłoń na ramieniu chłopaka, rzekła poważnie.

- Łukaszu, Gerard żyje. Słuchaj jeno, Łukaszu! Wiadomo, że umierający ludzie widzą więcej od innych. Mój biedny ojciec, gdy umierał (ja głupia byłam wówczas tak szczęśliwa myśląc, że teraz wyzdrowieje...), powiedział do matki i do mnie - siedział na tym samym krześle, na którym ty dziś siedzisz, matka była tuż, a ja tam na boku, przyrządzając rybę - i ojciec powiada: „Widzę go! Widzę go!” - Dokładnie tak. Nie jak słaby człowiek, lecz głośno. - „Bardzo zmieniony - na wielkiej rzece płynie w naszą stronę”.

- Ach, Łukaszu, gdybyś był kobietą i rzeczywiście czuł do mnie to, co ci się wydaje, że czujesz, zlitowałbyś się nade mną i odnalazłbyś go. Pomyśl jeno! Ojciec mego dziecka!

- Niestety, gdybym wiedział, jak to zrobić - odparł Łukasz. - Chciałbym, naprawdę, jeno jak?

- Naturalnie, niczego nie możesz uczynić. To ja oszalałam, żeby o tym pomyśleć. Ale jeśli komuś rzeczywiście na mnie zależało, dokonałby tego, wiem na pewno.

Łukasz w milczeniu rozmyślał jakiś czas.

- Starzy ludzie powiadają, że umierający potrafią zobaczyć więcej niż inni. Niech no pomyślę; nie jestem taki prędko jak wy. Na wielkiej rzece... Moza jest wielką rzeką - rozważał.

Idzie w naszą stronę? Gdyby był nad Mozą, przyszedłby już tutaj od owego czasu, a więc to nie Moza. Ren jest wielką rzeką, większą niż Moza i bardzo długą. Myślę, że to będzie Ren...

- I ja tak myślę, Łukaszu, bo Dionizy kazał mu jechać w dół Renu. Ale nawet w tym wypadku mógłby gdzieś skręcić, zanim przybył w rodzinne okolice. On tak za mną nie tęskni, jak ja za nim, to jasne. Łukaszu, jak myślisz, czy mnie porzucił?

Chciała, aby zaprzeczył, ale chłopak rzekł:

- Na to wygląda. Tęgi dureń z niego być musi,

- Cóż zresztą wiemy? - zaprotestowała błagalnie Małgorzata.

- Pozwólcie mi pomyśleć - rzekł Łukasz. - Nie jestem taki prędko.

I oto, co wymyślił. Około sześćdziesięciu mil w górę Renu znał przystań, do której przybijały wszystkie łodzie przewożące podróżnych. Chciał dotrzeć do tego miejsca i popробować odnaleźć włóczęgę. Nie znał go co prawda nawet z widzenia, ale miał zamiar na każdej przyjeżdżającej łodzi przepytac pasażerów, czy nie widzieli niejakiego Gerarda.

- Ach, pani, gdybyście mi dali list do niego. Nie znamy się przecie i może nie uwierzyć moim słowom.

- Uczynię to, mój dobry, miły i mądry Łukaszu (jak bardzo cię nie doceniałam). Daj mi czas do wieczery, to napiszę.

Przy wieczerzy, rumieniąc się, wsunęła mu list do ręki; obszerny, obwiązany jedwabnym sznurem, jak było wtedy w zwyczaju, z pieczęcią nad węzłem.

Łukasz zważył go w rękę, niezbyt zadowolony, i rzekł poważnie:

- Powiedzmy, że wasz ojciec nie majaczył i będę miał szczęście spotkać tego człowieka; powiedzmy, że będzie nieco porządniejszy, niż przypuszczam, i wróci do was; co stanie się ze mną?

Małgorzata poczerwieniała po korzonki włosów.

- Och, Łukaszu, Pan Bóg cię nagrodzi. Będę cię błogosławiła na kolanach, będę cię kochała do śmierci, miły mój Łukaszu, jak matka kocha syna. Jestem za stara dla ciebie, zmartwienia dodają sercu lat. Nie powinienes iść, to nieładnie z mej strony, lecz miłość pcha wszystkich do samolubstwa.

- Ano - rzekł Łukasz - jeżeli - mówił dalej z taką samą powagą - jeżeli wasz urwipoleć przeczyta wasz list, wysłucha mej opowieści o tym, jak tu usychacie dla niego, i jeśli, będąc zdrajcą lub durnieniem nie wróci do was - co wtedy będzie ze mną? Czy mam umierać jako kawaler, a wy będziecie samotnie wędrować do grobu ni to panna, ni mężatka, ni wdowa?

Małgorzata oddychała coraz szybciej ze strachu i wzruszenia, słuchając strasznych dla niej, lecz sensownych przewidywań, zakończonych prostym, uczciwym pytaniem. Wreszcie odrzekła:

- Jeżeli - broń mnie Matko Boska, nie dopuść...

- No jak, pani?

- Jeżeli przeczyta list, wysłucha twoich słów - i, miły Łukaszu, bądź sprawiedliwy i powiedz mu, jakie ma śliczne dzieciątko, które rośnie bez ojca, bez ojca. O Łukaszu, czy mógłby być tak okrutny?

- Myślę, że nie. Ale jeżeli?

- Wtedy niech odda ci mój kontrakt ślubny, stanę się uczciwą niewiastą - i nieszczęsną, a mój chłopiec nie będzie bękartem; i naturalnie oboje będziemy mogli pójść do domu jakiegoś uczciwego mężczyzny, który chciałby się o nas zatroszczyć; i choćby za twą dzisiejszą dobroć - nigdy, nigdy nie mogłabym być tak niewdzięczną, aby minąć twe drzwi i wejść do domu innego człowieka.

- Tak, ale czy przyjdziecie do mnie? Odpowiedzcie!

- Ach, nie pytaj! Może kiedyś, gdy przestaną krwawić rany. Będę się starała. Jeżeli nie skoczę wraz z dzieckiem do Mozy. Nie chodź, Łukaszu! Nie myśl o tej wyprawie. To szaleństwo od początku do końca.

Ale Łukasz z trudem decydował się na coś nowego i równie niełatwo porzucał swe pomysły.

Miłość zrobiła z niego mężczyznę, czego świadectwem były słowa:

- Szaleństwo to już w każdym razie coś - mam dość tego, że nic dla ciebie nie mogę zrobić; nie lubię dużo gadać. Wychodzę jutro o świcie. Ale nie mam pieniędzy; matka dba o wszystkie moje potrzeby, nigdy nie oddaje mi ani szeląga.

Małgorzata wyjęła złotego dukata od Katarzyny, który tyle razy zdołał się uratować, i wręczyła go Łukaszowi; chłopak wyruszył na szaloną wędrówkę.

Nie uważał, jej zresztą za takie szaleństwo, jakim nam by się dziś wydawała. Żył w wieku przesądów; a Łukasz działał na podstawie snu umierającego człowieka, snu, a może wizji lub złudzenia, opierał się na niej z równym zaufaniem, jak my dziś na wiarygodnej informacji.

Katarzyna okrutnie się rozgniewała na wieść o decyzji Łukasza. Żeby też wysłać biednego chłopca na poszukiwanie wiatru w polu.

- Jesteś podobna do wielu innych dziewczyn! Zapamiętaj sobie moje słowa: kiedy zmęczysz tego Łukasza tak, że znudzony będzie cię miał dość, wtedy tobie się odmieni, pogonisz za nim jak krowa za cielęciem płacząc, że „za późno!”

Klasztor

Dwaj zakonnicy dotarli do Holandii od południowej granicy w dwanaście godzin po wymarszu Łukasza w górę Renu.

A więc, chociaż byłoby to nawet poszukiwanie wiatru w polu, odległość między trzema mężczyznami zmniejszała się w szybkim tempie, zwłaszcza iż Hieronim, nie mogąc ‘wygłaszać kazań w nie znanym mu dolnoholenderskim języku, przyspieszał, pragnąc jak najszybciej znaleźć się w Anglii.

Lecz płynąc z prądem, mnisi mogli rzeczywiście nie spotkać Łukasza i posuwając się szybko naprzód, minąć go poniżej przystani. Przypadek, o którym zaraz opowiem, zrządził inaczej.

Brat Klemens wylądował około dwudziestu mil powyżej przystani będącej celem wyprawy Łukasza. Głosił słowo Boże w dużej osadzie i pod koniec kazania zauważył płaczącą franciszkankę.

Przemówił do niej serdecznie i zapytał, co ją gnębi.

- Nie moje własne troski są powodem tylu łez, oplakuję utraconą przyjaciółkę - wyznała. - Słowa twe wymowne przypomniały mi, kim była, i kim jest teraz, nieszczęsna. Ale wyście dominikanin, a jam siostra od św. Franciszka.

- Nie w tym rzecz, siostrze, oboje jesteśmy chrześcijanami i, jeżeli tylko zdołam, postaram ci się dopomóc.

Mniszka spojrzała mu w twarz i rzekła:

- Dziwne to słowa, ale zdają mi się brzmieć uczciwie; a usta masz, ojczy, bardzo wymowne. Powierzę ci mą troskę.

Opowiedziała, że młodą zakonnice, pupMkę zakonu, a jej najbliższą przyjaciółkę skuszono, by złamała śluby; spadając coraz niżej, mieszka obecnie w małej oberży jako dziewczka służebna. Pod pokrywką tej służby sprzedaje swe wdzięki co bogatszym podróżnym. Dodała:

- Mogłybyśmy, używszy szlachetnej przemocy, zawrócić ją z drogi zguby. Ale oberżysta jest poddany okrutnego barona z tego wzgórza, więc milczy, a on spali nasz klasztor, jeżeli użyjemy siły.

- Ponadto nie należy zbawiać dusz za pomocą brutalnej siły - rzekł Klemens.

W czasie tej rozmowy nadszedł brat Hieronim; Klemens nakłonił go do przenocowania w klasztorze. Rankiem zawiadomił towarzysza, że odbył długą rozmowę z przeoryszą i poruszony jej Smutkiem obiecał pomóc w uratowaniu grzesznej mniszki, spróbować przyprowadzić ją z powrotem do klasztoru.

Hieronim był przeciwny temu projektowi.

- Nie nasza to sprawa i strata czasu.

Klemens nie był już jednak tylko uczniem, nie ustąpił. Postanowili ostatecznie, że Hieronim pójdzie naprzód i zapewni dwa miejsca na najbliższym statku do Anglii, a Klemens w tym czasie postara się doprowadzić do celu swój szlachetny, choć próżny zamysł.

Tego samego dnia około dziesiątej godziny przed karczmą, w której mieszkała mniszka Maria, która złamała śluby, stał jak posąg człowiek w szerokim płaszczu jeźdźca, wysokich butach i kapeluszu o wielkim, opadającym rondzie. Tak przebrany zakonnik był w tej chwili prawdziwie nieszczęśliwy. Ludzie o gwałtownym usposobieniu łatwo podejmują rzeczy niezwykle, lecz załamują się, stając twarzą w twarz z poważnymi trudnościami. Serca ich jednak są ze stali, choć nerwy tylko z żelaza, nie cofają się więc, lecz, dysząc ciężko i tracąc odwagę, walczą do ostatka.

Klemens wahał się długo przed drzwiami, szepcząc modły o pomoc i mądrość, wreszcie wszedł do obergerzy i usiadł za stołem. Serce mu omdlewało, zimny pot pokrywał ciało.

Na zewnątrz atoli innym był człowiekiem. Dzielnie zażąda! szklanicy wina. Gospodarz podał. Zapłacił wręczonymi mu w klasztorze pieniędzmi i udawał, że pije.

- Oberżysto! - zawołał - słyszałem, że masz ładną dziewczkę w twym domu.

- Dobrześ słyśzał, cudzoziemcze, ponętniejszej nie znajdziesz w całej Holandii. Ale nie wychodzi do byle kogo, jeno do lepszych gości.

Brat Klemens podrzucił ciężki łańcuch na dłoni, ukazując go obergerzyście. Oberżysta roześmiał się i zawołał:

- Zejdz, Joasiu, przyszedł kochanek, który chce cię zakuć w złote łańcuchy, a kawał chłopa w dodatku. Możesz mi wierzyć.

- Tym lepiej dla mnie - odezwał się kobiecy głos - przyślij go tutaj.

Klemens wstał, zadrzał i przeszedł do innej izby, gdzie Joasia zabawiała się robótką. Odkładała ją zresztą co chwila, nucąc fragment jakiejś piosenki. Prowadziła obecnie życie, w którym nie miała do niczego cierpliwości.

Po paru słowach przywitania przebrany gość zapytał, czy nie mogliby schronić się w bardziej dyskretnym miejscu.

- Dlaczego nie? - odparła. Wstała z uśmiechem i ruszyła naprzód drobnym kroczkiem. Szedł za nią nieszczęśliwy i nader zmieszany.

- Tutaj - przystanęła. - Nie obawiajcie się niczego! Nikt nie zna wstępu prócz tych, którzy płacą za ten przywilej.

Klemens rozejrzał się po izbie i pomodlił w duchu o mądrość. Potem cicho podszedł do okna i starannie zamknął okiennice.

- A to po co, u licha? - spytała Joasia trochę niezadowolona.

- Po ta, serdeńko - szepnął gość z tajemniczą miną - żeby nas Pan Bóg nie podpatrzył.

- Szalony - rzekła Joasia - myślisz, że drewniana okiennica zasłoni przed jego okiem?

- No, nie wiem. Może jest tak zajęty, że nas nie zauważy. Ale nie chciałbym również, aby zobaczyli nas święci i anieli. A ty byś chciała?

- Moja biedna dusza nie ma nadziei, że ujdzie ich wzrokowi! Jedyne radę nie myślę, myśli bowiem zatrują nam czarę. Niewiele brakuje, żebyś cię tu zostawiła; jesteś zaiste miłym towarzyszem.

- Zresztą, dziewczyno, jeżeli ludzie nas nie widzą, co znaczą święci i sam Pan Bóg. Popatrz na ten łańcuch - szczerę złoto! Odetnę dwa takie ciężkie ogniwa dla ciebie.

- Teraz gadasz do rzeczy - chwyciła łańcuch - ale to ciężkie i solidne jak łańcuch z szyi Najświętszej Panny w klasz... - nie dokończyła wyrazu.

- Cicho... Pst... To ten. Będziesz miała swoją dolę. Jeno mnie nie wydaj.

- Potwór! - krzyknęła Joasia, z pogardą odwracając się doń plecami. - Obrabować Świętą Dziewicę z łańcucha, żeby go dać takiej...

- Jesteś mniszką - krzyknął z radością Klemens - inaczej byś się tak nie obruszyła. Mario!

- Ach! ach! ach!

- Twoja święta patronka, do której należy ten łańcuch, przysłała mnie tu, bym cię pozdrowił.

Krzyżując, podbiegła do okna i zaczęła otwierać okiennice.

Palce jej drżały. Klemens miał czas uwolnić się tymczasem od butów i kapelusza, nim padł na pierwszy promień światła. Następnie całkiem zsunął płaszcz z ramion i oto stał przed nią mnich - dominikanin - spokojny i majestatyczny jak posąg, wznosił nad nią krucyfiks, patrząc z miłością, smutkiem i powagą. Fizyczny strach zniknął nieco pod wpływem tego spojrzenia, teraz przygniotła ją groza religijna i wyrzuty sumienia. Skurczyła się przytulona do ściany.

- Mario - powiedział łagodnie zakonnik. - Jedno słowo! Czy jesteś szczęśliwa?

- Tak szczęśliwa, jak kiedyś będę w piekle.

- One są również nieszczęśliwe w klasztorze, płaczą i tęsknią za tobą.

- Za mną?

- Dzień i noc. Najwięcej zaś siostra Urszula.

- Biedna Urszula! - zbłąkana siostra rozplakała się na myśl o przyjaciółce.

- Aniołowie płaczą jeszcze bardziej. Czyż nie chcesz osuszyć tych łez na ziemi i w niebie i ocalić swej duszy?

- Ale, gdybym mogła! Ale już za późno.

- Precz szatanie! - krzyknął surowo mnich - oto jego najulubiejsza pokusa; a ty, Mario, nie słuchaj nieprzyjaciela rodu ludzkiego, wąpiąc w Boga i poddając się rozpacz. Ja, który dziś przychodzę, by cię ocalić, byłem cięższym od ciebie grzesznikiem. Pójdź, Mario, widzisz, że grzech nawet na tym świecie nie jest taki słodki jak świętość, a przed nami wieczność.

- Czy mogłyby mnie kiedykolwiek przyjąć z powrotem?

- Teraz znowu wąpisz w ich cnotę. Zaiste tęsknią za tobą. Litując się ich łez, wziąłem na barki to zadanie - ja dominikanin; złamałem przepisy mego zakonu wchodząc do obojczy,

złamałem je powtórnie, przywdziewając te świeckie szaty. Ale wszystko to zrobiłem słusznie i niewielka mnie czeka pokuta, jeżeli pozwolisz nam wyrwać swą duszę z wilczej jaskini i powrócisz do swych ślubów.

Mniszka patrzyła na niego oczami pełnymi łez.

- I to ty, dominikanin, zrobiłeś to dla córki świętego Franciszka? Franciszkanie i dominikanie nienawidzą się wzajemnie.

- Tak, moja córko, ale Franciszek i Dominik żywili dla się miłość.

Niewierna mniszka wydawała się wzruszona tą odpowiedzią. Klemens przypomniał jej teraz, jak bardzo była tym wstrząśnięta, że obrabował Świętą Dziewicę z łańcucha.

- Pomyśl chwilę - powiedział - klasztor i Święta Dziewica dziesięciokrotnie bardziej troszczą się o swą biedną mniszkę niż o złoty łańcuch; bez wahania powierzyły go cudzoziemcowi w nadziei, że ten widok może wzruszyć ich utraconą Marię i przypomnieć jej o ich miłości.

Na koniec z okrutną bezpośredniością ukazał, jaki czeka ją kres obecnego życia, i jednocześnie z taką siłą obudził drzemiące w niej na dnie duszy lepsze uczucia, że klękała szlochając u stóp mnicha i powiedziała, że nie zaznała szczęścia ani spokoju od czasu, gdy złamała śluby; rzekła, iż chciałaby wrócić, jeżeli mógłby z nią pójść, lecz sama się nie odważy, nie może: nawet jeśli dojdzie do bramy, nie będzie śmiała wejść. Jakże spojrzy w oczy przeoryszy i siostrom? Obiecał, że pójdzie z nią chętnie i radośnie jak pasterz, który odnosi zgubioną owieczkę do stada.

Gdy jednak ponaglał, aby wyszli od razu, znalazła masę drobnych przeszkód, które hamują płęć słabą jak srebrna sieć, jak żelazna pajęczyna.

Spokojnie usunął te przeszkody.

- Ale jakże będę szła w tym odzieniu obok ciebie?

- Przyniosłem habit i kaptur świętego zakonu. Ukryj pod nimi twe strojne szmatki. I odrzuć buciki, jak ja zostawiam tu swoje (wskazał buty do jazdy konnej).

Pozbierała swe klejnoty i ozdoby.

- Po co to? - spytał Klemens.

- Na ofiarę dla klasztoru, ojcze.

- Ze zbyt nieczystego są źródła.

- Ale to grzech zostawiać je tutaj - sprzeciwiła się penitentka. - Można je sprzedać na żywność dla biednych.

- Mario, patrz na ten krzyż i ciśnij te szatańskie błyskotki pod stopy.

Zawahała się, lecz po chwili rzuciła je na ziemię i podeptała.

- Teraz otwórz okno i wyrzuć je na kupę gnoju. Tak, dobrze. Tak samo strząśnij zapłatę za grzech, grzech z twoich rąk, jego lśniące szychem jarzmo z karku, zmyj płamę z duszy. Naprzód, córo świętego Franciszka, za długo już pozostajemy w tym plugawym miejscu.

Poszła za nim, ale nie byli jeszcze bezpieczni.

Najpierw oberżysta tak osłupiał na widok dominikanina i franciszkanki wychodzących z jego domu przez kuchnię, że patrzył mrucząc ze zdumieniem: - A cóż to za przebranie? - Ale szybko zrozumiał i rzucił się do drzwi, zagradzając drogę uciekinierce.

- Hej ho! Reuben! Kail! Gawin! Fałszywy mnich porywa naszą Joasię!

Mężczyźni nadbiegli z groźnymi minami. Mnich ruszył przeciw nim z krzyżem w ręku.

- Odstąpcie - krzyczał potężnym głosem - ona jest świętobliwą mniszką wracającą do swych ślubów. Uschnie ręka, która dotknie jej kaptura lub habitu, aby ją zatrzymać, ciało śmiałka, przeklęte przez Rzym, będzie pozbawione pogrzebu, dusza będzie płonęła w ogniu wiecznym.

Cofnęli się jak tknięci płomieniem.

- A ty, nikczemny stręczycielu...

Nie dokończył zdania, chwycił oberżystę za kark i, silny jak lew w momentach podniecenia, odrzucił go z furją od drzwi i pchnął przez izbę. Tamten runął waląc łbem o podłogę, a zakonnik szeroko otworzył drzwi i wyprowadził płaczącą mniszkę na drogę.

- Cicho, biedne przestraszone dziecko - szepnął. - Nie odważą cię napastować na drodze publicznej. Naprzód!

Oberżysta leżał przerażony, półprzytomny, skrwawiony i Maria, choć często trwożliwie oglądała się za siebie, nie ujrzała go więcej.

Po drodze Klemens zwrócił uwagę Marii na swoją gwałtowność.

- Dotąd - powiedział - mówiliśmy o twoich wadach, teraz o mojej. Nie mogę opanować gniewu; jest szalony. Łaska Boża, żem jeszcze nie jest mordercą. Żałuję natychmiast potem, ale o chwilę za późno; to już za późno na zawsze, Mario. Gdyby któryś z łotrów cię dotknął, strzaskałbym im łby krucyfiksem. Znam swój charakter i drzę o siebie. Pod mym czarnym habitem czai się dzikie zwierzę.

- Ach, ojczy - powiedziała Maria - gdybyś był inny, byłabym zgubiona. Żeby wyrwać mnie z tego miejsca, trzeba było człowieka chytrego jak lis i odważnego jak lew.

Klemens się zastanowił.

- Jedno pewne - rzekł - że Bóg dobrze wybiera swe cielesne narzędzia: za pomocą serc niedoskonałych czyni doskonale dzieła. Chwała niech będzie Panu!

Gdy podeszli bliżej do klasztoru, Maria nagle stanęła, chwyciła ramię zakonnika i zaczęła płakać. Popatrzał na nią łagodnie i powiedział, że nie ma powodu do obawy. Czeką ją najszcześniejszy dzień w życiu. Poleciał jej usiąść i uspokoić się do jego powrotu. Wszedł do klasztoru i poprosił o widzenie z matką przełożoną.

- Siostrze, chwal wielkość Pana Naszego; Maria jest przy furcie. Zdumienie i radość przeoryszy były niezmiernie. Na gorącą prośbę Klemensa zgodziła się od razu, aby na początek złagodzić drogę pokuty owej niestałej wędrowniczce i po pewnych oporach podzieliła szczerze jego poglądy co do sposobu obecnego przyjęcia penitentki. Aby zostawić czas mniszkom na niewielkie konieczne przygotowanie, Klemens powoli wrócił do Marii i siadając obok niej, wysłuchał spowiedzi.

- Przeorysza zezwoliła, żebyś sama wyznaczyła pokutę.

- Nie będzie przez to lżejsza - rzekła.

- Nie wątpię - powiedział. - To jednak przyszłość, a dzień dzisiejszy jest samą radością.

Przeprowadził ją dokoła budynku, do bocznej furty przeoryszy. Przy wejściu usłyszeli śpiew i muzykę.

- Jakaś uroczystość - rzekła Maria - a ja przychodzę ją zakłócić.

- Niezupełnie - uśmiechnął się Klemens - zważywszy, żeś królową tej fête.

- Ja, ojczyste? Jak to rozumiesz?

- Nie słyszałaś nigdy, Mario, że więcej radości w niebie z jednego żalującego grzesznika niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, którzy nie potrzebują skruchy? Ten klasztor nie jest niebem, mniszki nie są aniołami, ale wśród nich bytują duchy anielskie i one to właśnie radują się i śpiewają w dniu twego powrotu. Oto któraś z nich, zaiste widzę, jak drżą jej ręce przy otwieraniu wrót.

Furta wreszcie odskoczyła, siostra Urszula z płaczem objęła przyjaciółkę za szyję. Przeorysza była bardziej opanowana, ale niemniej wzruszona.

Klemens je pożegnał. Zapraszały, aby pozostał, ale z żalem odmówił. Już i tak nadużył cierpliwości zacnego brata Hieronima, musi spieszyć nad brzeg rzeki, może już jutro odpłynie do Anglii.

Tak Maria wróciła do swej gromadki, a Klemens ruszył pospiesznie w kierunku Renu i Anglii.

Oto człowiek, którego oczekiwał chłopak z listem Małgorzaty.

Ognisko domowe

List ten był prostym, wzruszającym wołaniem. Tylko niewiasta potrafi tak przemówić do mężczyzny, który okrutnie ją zawiódł ona zaś nie przestała go kochać. Na początku opowiedziała o urodzeniu chłopaczka, jedynej pociechy w rozpaczliwej spowodowanej długim i niezrozumiałym milczeniem ukochanego. Opisała ze wszystkimi szczegółami małego Gerarda, nie zapomniawszy znamienia na małym paluszku. „Czy znasz kogoś jeszcze, kto ma taki pieprzyk w tym samym miejscu? Gdybyś tylko zobaczył swego syna, musiałbyś być z niego dumny. Zazdroszczą mi wszystkie matki na naszej ulicy, ja jednak zazdroszczę małżonkom, ty bowiem do nas nie wracasz. Gerardzie mój, mówią niektórzy, że już nie żyjesz. Gdybyś ty nie żył, jak mogłabym ja żyć na tym świecie? Inni powiadają, żeś zdradził mnie, co cię tak wiernie kocham. Gdybym usłyszała to z twoich ust, może bym uwierzyła. Ojciec mój bardzo cię kochał; w godzinę śmierci ujrzał ciebie, lecz dziwnie zmienionego. Płynąłeś po wielkiej rzece, z twarzą zwróconą ku swej Małgorzacie. Czy tak jest przypadkiem? Czy okrutni ludzie okaleczyli twą słodką twarz lub stałeś się kaleką? Tym bardziej potrzebowałbyś mojej pomocy, a nie kochałabym cię przez to mniej (czy sądzisz, że miłość niewiasty jest tak zmienna jak męska?), lecz bardziej niż wtedy, gdy przelałam dla ciebie parę kropel krwi z ramienia, parę kropel niewartych łez, które wtedy dla nich przelałaś. Czy pamiętasz? To nie tak dawno, kochany Gerardzie...”

Cały list utrzymany był w tym tonie i kończył się bez słowa wyrzutu czy powątpiewania o jego wierności i uczuciu. Małgorzata tonęła zresztą w najrozpaczliwszej niepewności, lecz nie chciała tego okazać, aby nie przechylić szali i nie odstraszyć go od powrotu. Taki to list powierzyła delikatnemu, dobremu Łukaszowi.

I ona nie była zresztą aniołem.

Łukasz porozmawiał z pasażerami dwóch łodzi, ale nie dowiedział się niczego o Gerardzie Eliassoenie. Nie zdziwiło go to wcale. Bardziej się zdziwił, gdy przy trzeciej próbie mnich dominikanin odezwał się surowo:

- Czego to chcecie od człowieka, którego zwiecie Gerardem Eliassoenem?

- Jeżeli żyje, mam do niego list, ojcze.

- Hm! - mruknął Hieronim. - To niedobrze, ciało mdłe... A więc, mój synu, ten, którego szukasz, powinien tu przybyć następną lub drugą po niej łodzią. I jeżeli odezwie się na to imię... Ostatecznie nie jestem stróżem jego sumienia.

- Dobry ojcze, jedno tylko słowo, na litość Boską. Ten Gerard Eliassoen z Tergou - czy żyje?

- Hm! No, tak, oczywiście, ten, który nosił to imię, żyje.

- Załatwione zatem - rzekł krótko Łukasz i już za chwilę, ukryty przed wzrokiem ludzi, zapłakał.

- Och, czemuż to Pan Bóg stworzył niewiastę? - powiedział do siebie. - Byłem zadowolony ze świata, dopókim się nie zakochał. Jeden jego palec więcej dla niej znaczy niż ja sam cały, a on żyje. I jeszcze mam mu to oddać.

Spojrzał na list, cisnął nim o ziemię. Podniósł go jednak, choć niechętnie, poszedł ze łzami w oczach do oberżysty i poprosił o robotę. Gospodarz odmówił, miał dość swoich ludzi.

- Ach, nie chcę waszych pieniędzy - rzekł Łukasz. - Muszę popracować, żeby mi serce nie pękło z miłości do dziewczyny, która woli innego.

- Dobry z ciebie chłopak! dobry chłopak! - krzyknął oberżysta i wyciągnął mnóstwo beczek do naprawy. - Na tych warunkach...

Łukasz zawzięcie zajmował się bednarką w przerwach między pojawianiem się nadpływających w dół Renu łodzi.

Rozdział LXXXV Ognisko domowe

Po napisaniu poważnego, obszernego listu rzadko uczucia pozostają bez zmiany. Małgorzata w swej wypowiedzi wyczerpała całą energię i wiarę w wizję czy złudzenie umierającego ojca. Gdy napisała list, po odejściu chłopca zaczęła się dziwić własnej łatwowierności, a Sumienie dręczyło ją z powodu Łukasza. W dodatku Katarzyna ją zburczała, tak że biedna dziewczyna głębokim żalem zapłaciła teraz za fałszywe nadzieje, podniecenie i marzenia. W tym stanie ducha zastała ją Joanna Ketel, oddana w ostatnich czasach przyjaciółka. Zaczynała ta niewiasta wpadła na nowy pomysł:

- Małgorzato, znalazłam lekarstwo na twą chorobę - pustelnik z Goudy, nadzwyczajnej świętości człowiek, wszystko potrafi przepowiedzieć, jeśli tylko jest w nastroju.

- Tak, słyszałam o nim - odpowiedziała Małgorzata bez nadziei w głosie.

Joanna jednak przekonała ją w końcu, aby powędrowała do Goudy i zapytała o radę pustelnika. Zabrały trochę masła i jaj do koszyka i skierowały się do jego jaskini.

Co tak zbliżyło dwie młode kobiety? Jorian przed sześcioma tygodniami zachorował ciężko na kiszki. Słabość zaczęła się od silnych boleści, a gdy to minęło, potem przyszło osłabienie; żaden pokarm, stały czy płynny, nie pozostawał ani minuty w jego żołądku.

Doktor orzekł:

- Umrze, jeżeli to potrwa dłużej; ugotujcie rosół z kurczęcia, wrzucie do zupy złotego dukata, powinno mu pomóc.

Niestety! Pozłacany rosołek na kurczęciu podzielił los swych skromniejszych poprzedników. Wtedy proboszcz zanurzył kciuk świętego Sergiusza w zupie - z tym samym rezultatem. Zrozpaczona Joanna pobiegła z płaczem do Małgorzaty, aby pożyczyć płótna na całun.

- Pozwól mi go zobaczyć - rzekła Małgorzata. Zbadawszy puls chorego, rzekła:

- Ach, obawiam się, czy go nie wykończyli. Otwórz okna! Udusisz go tutaj! zmień całą bieliznę.

- Na cóż to, kobieto, na cóż? Po cóż brudzić więcej bielizny dla umrzyka? - sprzeciwiła się średniowiecznie myśląca żona.

- Rób, co ci kazano - rzekła tajemniczo Małgorzata i wyszła. Joanna lubiła, gdy nią kierowano. Małgorzata wróciła po chwili z fartuszkim pełnym kwitnącego ziele. Sporządziła wywar i zaniósła go do łóżka choremu. Zanim podała pacjentowi, sama wypila łyżkę leku i posmakowała z uznaniem.

- Ale pyszniepowiedziała, usiłując się leciutko uśmiechnąć. - Ciekawe, najpierw słodkie, a potem gorzkie.

Zabawiała Joriana rozmową, dopóki nie przyjął leku. Ta gorzka słodycz została w żołądku. Co widząc, zaczęła budować na tym nadzieję jak domek z kart. Teraz domieszała odrobinę schiedamskiej wódki do trzeciej łyżki, trochę utartego żółtka do siódmej. I tak z niewieścią cierpliwością wyrwała go ze szponów śmierci, a natura głaskana delikatnie, nie kopana brutalnie, postawiła znów Joriana Ketla na nogi. Lekarka kazała przysiąc obojgu, że nie zdradzą przed nikim jej zbrodniczego czynu.

- Wtrąciliby mnie do więzienia, rozdzielili z dzieckiem. Ziółko, które ocaliło Joriana, zwie się słodka maruna. Zostało nazbierane we własnym ogrodzie kościelnego. Dojrzała je tam rosnące przez okno swymi bystrymi oczami.

Małgorzata i Joanna dotarły do jaskini pustelnika i złożyły swe dary na małym stopniu. Małgorzata przyłożyła usta do specjalnie przygotowanej szczeliny i rzekła:

- Święty pustelniku, przynosimy ci tu najlepsze masło i jajka i, proszę cię bardzo, powiedz biednej, opuszczonej dziewczynie, żonie nieżonie, matce najśłodsze dziecko, czy mąż żyw jeszcze, czy martwy, wierny swym przysięgom czy zdrajca.

Z jaskini usłyszały słaby głos:

- Nie mąćcie mi umysłu ziemskimi sprawami, lecz przyślijcie świątobliwego zakonnika. Umieram.

- O nieszczęsny! - zawołała Małgorzata. - Pozwól nam wejść i pomóc ci.

- Broń Boże! Słyszę głos niewieści. Sprowadź mi świątobliwego zakonnika.

Wróciły do domu z niczym, jak przysły. Joanna nie mogła się wstrzymać od wyrażenia swej opinii:

- Cóż, czy niewiasty to diabły, że nie wolno nam się zbliżyć do łóżka umierającego człowieka?

Ale Małgorzata przeżywała takie rozczarowanie, że nie była w możności wyrzec słowa. Joanna próbowała ją niezgrabnie pocieszać. Nie słuchała jej aż do chwili, gdy tamta powiedziała:

-...a Jorian powie ci coś lada dzień, ma już wielką na to ochotę. Wierz mi, bardzo jest wdzięczny.

- Dożyjemy - zobaczymy - odpowiedziała spokojnie i z goryczą Małgorzata.

- Co prawda uważa, że mogłaś go wyleczyć czymś lepszym. „Żeby takiego wielkiego chłopca wykurować słodką maruną - powiada. - Byle jakie ziele - powiada. - Co prawda myślałem, że wnętrzności ze mnie wyjdą - powiada”. Tłumaczę mu, że leki nie stają się lepsze, gdy sprowadzone z dalekich stron, ty i słodka maruna go wyleczyłyście, a sławne leki prędzej wychodziły, niż wchodziły. I mówię: Mógłbyś iść na czworakach do tej maruny”.

Ale prawdę mówiąc, on ci bardzo wdzięczny, wciąż o tobie myśli i gada. Widzi, jak rodzina Gerarda przychodzi tu i jacy są przyjacielscy, i wczorajszej nocy powiedział..

- Tak?

- Kazał mi przysiąc, że ci nie powiem.

- Błagam cię... powiedz.

- Tak rzekł: „Jeśli powiem, co wiem, nie sprowadzi go to z powrotem, a skoczą sobie wszyscy do oczu. Żeby to miał lepszą głowę - mówił. - Sam nie wiem, jak zrobić. Ale milczenie jest złotem”. To jego ulubione porzekadło; zawsze do tego wróci.

Małgorzata potrząsnęła głową:

- W gęstej błazimymy mgle, mój biedny synek i ja. W sobotę wieczór nie było jeszcze Łukasza.

- Biedny Łukasz! - rzekła Małgorzata. - Bardzo pocziwie postąpił, że tak daleko powędrował.

- Taki się trafia jeden na stu - odpowiedziała z serdecznością Katarzyna.

- Matko, sądzisz, że będzie dobry dla małego Gerarda?

- Jestem tego pewna. A czy ty będziesz dla niego lepsza, gdy wróci? Będziesz teraz lepsza?

- Tak.

Klasztor

Brat Klemens, któremu mniszki wskazały krótszą drogę, ominął kolano rzeki i szybko poruszając się naprzód, dotarł do przystani o parę mil bliżej wybrzeża morskiego niż ta, na której czekał na niego Łukasz. Następnego ranka wyruszył wcześniej i w południe przyszedł do Rotterdamu. Udał się natychmiast do portu, aby Hieronim nie musiał na niego czekać.

Zauważył kilku mnichów swego zakonu na molo; nie było wśród nich brata Hieronima. Zapytał któregoś z nich, czy Hieronim już przybył.

- Oczywiście, bracie - brzmiała odpowiedź.

- Gdzie jest, powiedzcie, proszę.

- Gdzie? A tam! - odparł mnich wskazując statek pod pełnymi żaglami. Teraz Klemens zauważył, że wszyscy zakonnicy spoglądali w stronę morza.

- Odpłynął beze mnie! Hieronimie! Hieronimie! - krzyknął ze zdumieniem i żalem. Kilku mnichów otoczyło go kręgiem.

- Wyście pewnie brat Klemens - powiedział któryś z nich; ucałowali go, pozdrowili z braterską serdecznością i oddali mu list pozostawiony przez Hieronima. Towarzysz podróży napisał w pośpiechu parę chłodnych słów, że statek do Anglii odpłynął, a on nie miał chęci już więcej tracić czasu. On, Klemens, oczywiście może udać się za nim, jeśli mu to odpowiada, sądzi jednak, że rozsądniej uczyniłby, pozostając w Holandii i pouczając swych rodaków.

„Dzięki Panu Bogu, bracie, wielką posiadasz władzę nad sercami Holendrów, nie jesteś raczej stworzony do pracy wśród tych dumnych wyspiarzy, jesteś za miękki... Spotkałem po drodze człeka, który zapytywał o ciebie, wymieniając imię, któreś nosił w świecie. Strzeż się! Nie daj się złapać świeckiemu życiu w jedwabne sieci. I pamiętaj: samotność, post i modlitwa to miecz, włócznia i tarcza duszy. Bądź zdrow”.

Klemens był głęboko wstrząśnięty. Zmartwił go chłodny ton listu i lekceważące opuszczenie go przez Hieronima.

Obiecał zacnym mnichom, że przyjdzie na nocleg do klasztoru i będzie głosił kazania, gdzie mu przeor wyznaczy (Hieronim wobec nich pod niebiosa wychwalał Klemensa jako świętego kaznodzieję), i pożegnał się nagle. Był bowiem tak dotknięty, że chciał pozostać sam. Zastanowił się, czy popełnił tak poważne błędy, że prawy syn świętego Dominika nie mógł znieść jego towarzystwa? A może to brat Hieronim miał za mało owej chrześcijańskiej miłości, którą ‘ święty Paweł stawiał wyżej od samej wiary? Wspólnie przeżyli rozbicie statku, uratowali się na tej samej desce. Potem był jego uczniem, penitentem, synem duchownym, później współtowarzyszem czterystu mil drogi w służbie Chrystusa. Teraz odrzucony jak śmieć przy pierwszej okazji, szorstko i z chłodną wzdardą. „Świeckie serca nie

są zimniejsze ani mniej wiernepowiedział. - Jedyne, które darzyło mnie prawdziwą miłością, spoczywa w zimnym grobie niedaleko stąd. Uciekaj, uciekaj ode mnie do Anglii, człowieku bez serca urodzony, a ja się pomodłę na grobie w Sevenbergen”.

Trzy godziny później mijali chatkę Piotra. Gromadka hałaśliwych dzieciaków bawiła się przed drzwiami, dom był odnowiony, dobudowano nowe skrzydło. Odwrócił szybko głowę, aby nie zmącić ukochanego obrazu, jaki przechowała jego pamięć, i wszedł na cmentarz.

Szukał nagrobka Małgorzaty. Nie mógł znaleźć. Nie chciał uwierzyć, aby poskąpiono jej kamienia na grobie, przeszukiwał więc cały cmentarz raz jeszcze.

- O nędzo, nędzo okrutna! Biedna Małgorzato, los twój podobny memu! Nie zostawiłaś nikogo, kto by cię kochał, gdy zabrakło Gerarda.

Wszedł do kościoła i ucałowawszy stopnie, modlił się długo i żarliwie za duszę tej, której miejsca wiecznego spoczynku nie udało mu się znaleźć.

Wchodząc, ujrzał bardzo starego człowieka, zagląającego przez małą furtkę cmentarną. Podszedł do niego i spytał, czy dawno mieszka w tym miejscu.

- Osiemdziesiątkę i jeszcze dwanaście lat do tego żyłem tu jako chłopiec i mężczyzna. Przychodzę na cmentarz co dzień od niedawna, świątobliwy ojciec, by rzucić okiem na miejsce, w którym wnet mam zamiar zamieszkać.

- Mój synu, czy możesz mi rzec, gdzie spoczywa Małgorzata?

- Małgorzata? Niejedna tu Małgorzata.

- Małgorzata Brandt. Była córką uczonego lekarza.

- Tłumaczysz, jakbym sam tego nie wiedział - zrzędził starzec. - Ale tu nie leży. Dość dawno stąd odeszli. Jedna chwila, a dom pusty. Co mówicie, umarła? Małgorzata córka Piotra nie żyje. Tylko pomyślcie! Możliwe, wszystko możliwe. Wielkie miasta są okrutnie niezdrowe dla wiejskich ludzi.

- Jakie wielkie miasta, synu?

- Poszli stąd do Rotterdamu, tak słyszałem. A może do Amsterdamu? Nie, to by! Rotterdam. Przeprowadzić się i umrzeć!

Klemens westchnął.

- Nie wyglądała na to. Taki kwitnący kwiatusek, ścięty tak wcześnie, a stary chwast jak ja żyje do tej pory. Tak, tak, majowy pączek, miłe serduszko, tak słicznie się uśmiechała.

- Niech ci Bóg błogosławi, synu - rzekł Klemens. - Bądź zdrow - i odszedł szybko.

O zachodzie słońca dotarł do klasztoru i czuwał w kaplicy: modlił się za brata Hieronima i Małgorzatę długo jeszcze po północy, a potem dusza jego odzyskała swój chłodny spokój.

Rozdział LXXXVI Ognisko domowe

Następnego dnia, w niedzielę po mszy świętej, rojno było i gwarno w domu Katarzyny przy Hoog Straet. Sklep był już prawie gotów, Korneliusz i Sybrandt mieli go otworzyć następnego dnia; imiona ich figurowały na szyldzie nad drzwiami jak również znak firmowy: białe jagnię ssące pozłacaną owieczkę. Przyszedł Eliasz i przywiózł dodatkowe towary ze swego składu, aby dać im na dobry początek. Rodzicom rosły serca, gdy wyposażali następnych dwoje dzieci, a bracia poszli razem do ogrodu, zgodni w tym, że znudziło ich już próżniacze życie i że przyjemniej jest zarabiać pieniądze niż je trwonić; przysięgali, że przylgną do interesu jak pszczoły do miodu. Czujne ucho matki podchwyciło tę decyzję przez otwarte okno; zacna kobieta powtórzyła, co słyszała, Eliaszowi. Małgorzata wraz z synkiem miała uczestniczyć w rodzinnej kolacji, a ta miała być uroczystą inauguracją, podczas której dobre doświadczenia kupieckie starych należało przekazać młodym i dobrym winem wypić za powodzenie dwóch nawróconych. Przechodzili do handlu z rolnictwa (na polach którego uprawiali chwasty lenistwa i lekkomyślności). Małgorzata przysłała pomoc teściowej, a także rozerwać się trochę i otrząsnąć ze stałego przygnębienia. Obie kobiety krzątały się zaczerwienione jak maki. Nadeszła Joanna, niosąc sałatę z ogrodu Joriana.

- Dla ciebie ją ściął, Małgorzato. Nie przestaje mówić o tobie, zaczynam być zazdrosna. Powiedziałam mu, że jesteś tu dziś na przyjęciu. Ach, Małgorzato, jakie cudowne kazanie w nowym kościele. Czy to kazanie? Nie słyszałam niczego podobnego w życiu!

- Chciałabym tam być - rzekła Małgorzata. - Usycham z pragnienia rosy niebiańskiej.

- Będzie jeszcze kazał po południu. Ale może jesteś tu potrzebna.

- Nic podobnego - zdecydowała Katarzyna. - Idźcie, jeśli macie ochotę.

- Zaiste - rzekła Małgorzata - może nie będę taka ponura przy stole, gdy przyjdę rozgrzana dobrym kazaniem.

- Musisz się przeto pospieszyć - dodała Joanna. - Popatrz, ilu ludzi ciągnie już w tę stronę, a tam, słowo daję, idzie właśnie ten święty zakonnik! Boże, przebac, Małgorzato, pustelnik!... Zapomniałyśmy! - Żywiołowa kobieta wyskoczyła z domu, wybiegła na drogę i zatrzymała mnicha. Wróciła równie szybko.

- Ażem przyklęła, jak zobaczyłam go z tak bliska.

- Cóż ci rzekł?

- Powiada: „Moja córko, jeśli Bóg pozwoli, pójdę do niego, zanim słońce zajdzie”.
Głos słodziutki! Ale jakie zapadnięte policzki? Taki to przecie młody człowiek, panie drogie!
A oczy wielkie i chyba równie błękitne, jak twoje, Małgorzato.

- Wielką mam ochotę go posłuchać - powtórzyła Małgorzata - ale mój czepeczek nie jest całkiem świeży, a tam wszystkie będą w śnieżnobiałych czepkach.

- Weź sobie moją chusteczkę z koszyka - powiedziała Katarzyna. - Nie zabieraj dziecka. Chciałabym, żeby zostało z biedną Kasią. Ma dziś kiepski dzień.

Małgorzata zgodziła się i zaprowadziła chłopca na górę. Kasia leżała w łóżku.

- Jak się czujesz, kochanie? Och, nie potrzebuję pytać. Widzę, że bardzo cierpisz, tak boleśnie się uśmiechasz. Przyprowadziłam ci kogoś, kogo kochasz.

- Jeśli dobrze liczę, to nawet dwie takie osoby - odparła Kasia z anielskim uśmiechem.
Chwycił ją w tej chwili taki atak bólu, że niejeden z nas ryczałby jak zwierzę.

- Co, na kolana? - na zapraszający gest chorej odpowiedziała Małgorzata. - Nie, on jest za ciężki, a ty masz takie bóle.

- Kocham go tak bardzo, że nie poczuję ciężaru - odrzekła. Małgorzata skorzystała z okazji, by zająć się swą toaletą.

- Idę do kościoła - rzekła - posłuchać pięknego kaznodziei. Kasia westchnęła.

- Jeszcze przed chwilą, Kasiu - rzekła Małgorzata - miałam wielką ochotę. Tak jest ze mną cały miesiąc: w górę i w dół, w górę i w dół, jak fale na Zuider Zee. Równie chemie zostanę z tobą - rzeknij jeno słowo!

- Nie - powiedziała Kasia - proszę cię, idź i powtórzysz mi potem każde słowo.
Szkoda, że i ja nie mogę pójść. - Łzy stanęły w oczach chorej.

Małgorzata zdecydowała się, ucałowała Kasię, spojrzała spod długich rzęs na chłopczyka i lekko westchnęła.

- Wiem, że nie powinnam - powiedziała - rozpieszczam go. Mój ojciec chciał go zabawiać dzień i noc. Teraz to twoja przyjemność, Kasiu. Powiedz, synku, cioci twoje dwa nowe słówka!

Wyszła, spoglądając za siebie z miłością na dziecko, i cicho zamknęła drzwi.

- Joanno, pomożesz mi to obrać? - spytała Katarzyna.

- Z chęcią, moja pani - w ciszy i z zapalem zabrały się obie do gotowania.

- Ano, Joanno, kto mi pomaga gotować i podać, ten także pomaga jeść; taka jest zasada.

- Zdarzają się w Holandii gorsze od tego prawa. Wasze życzenie, pani, jest dla mnie prawdziwą przyjemnością. Mój Jorian musi się obejść świeżym powietrzem zamiast wieczerzy. Szczęściem kopie dzisiaj. (Małgorzata zeszła na dół).

- Eh, kobieto, przykre jest nasze zajęcie. Popatrzcie na nią: umyła buzię, przeczesła włosy i kto się z nią może równać? Nawet Rotterdam dla ciebie! - Katarzyna pstryknęła palcami na cześć stolicy. - Daj buziaka, dziewczyno! Pamiętaj, Elias nie będzie czekał z wieczerzą nawet na księcia. Nie marudź, gdy wyjdiesz z kościoła.

Obie z Joanną odprowadziły ją do drzwi, dobrą chwilę jeszcze przyglądały się odchodzącej. Dla gospodyń wyjście z domu było wydarzeniem. Katarzyna komentowała wyjście Małgorzaty:

- Widzisz, Joanno, tak jakbym stała tu i wyprawiała własną córkę do kościoła, co tyle razy mi się zdarzało. Joanno, dziewczyno, nie usłyszysz już ona nigdy o naszym Gerardzie; jeżeli żyje, zawiódł ją okrutnie; dlatego serce moje użala się nad dziewczyną. Jestem od niej starsza i mądrzejsza, wydałabym ją za tego poczciwego Łukasza i byłby raz koniec. Cóż wart jeden ledwie wnuczek?

Rozdział LXXXVII Klasztor i ognisko domowe

Gdy Małgorzata weszła do wielkiego kościoła Świętego Wawrzyńca, kazanie już się zaczęło. Była to potężna, nie dokończona budowla.

Kościół nie powstają w ciągu roku. Boczne nawy pokryto dachem, którego brakło jeszcze nad środkową i prezbiterium. Niektóre z pięknych sklepień i filarów były już wykończone. Jedno tylko okno w całej świątyni oszklono, inne były jeszcze wielkimi, wyciętymi w wewnętrznych ścianach otworami.

Tego jednak dnia owe niedostatki upiększały jedynie kościół. Było cudowne letnie popołudnie, promienie słońca załamywały się w fantastyczne kształty; padając przez nieregularne otwory, figlowały w czarodziejski sposób na tyłu łamanych powierzchni. Światło przepływało przez otwory w ścianach, kładło się złotymi strumieniami na mroczne i chłodne boczne nawy, migotało i lśniło *na białych kolumnach w głębi.

Prawie cała środkowa nawa mieniła się szachownicą światła i cienia; cienie zdawały się chłodniejsze i bardziej kojące niż kiedykolwiek, miejsca oświetlone pyszniły się bursztynem i diamentami, ożywione niebiańskim ogniem. Na górze od zachodu ku wschodowi błękitne niebo wieńczyło wyniosłą nawę sklepieniem i wydawało się całkiem bliskie.

Lśniące czepeczki niewiast morzem bieli kontrastowały wybornie z tym jaskrawoniebieskim dachem.

Środkowa nawa mimo swego ogromu była przepelniona, jednakże zupełnie cicha. Tłum w milczeniu słuchał łagodnych, słodkich i poważnych słów kaznodziei.

Małgorzata stała urzeczona tą pięknnością, pobożnością i wielkim spokojem. Ukryta za filarem w północnej nawie świątyni z trudem chwytiała sens słów, ale otaczające ją piękno i melodyjny głos kaznodziei przepelniały duszę słodkim, pobożnym rozmarzeniem. Pachnąca, balsamiczna oliwa zdawała się spływać na wzburzone fale jej serca i koić je. Przymknąwszy oczy, oparła się o filar łagodnie i jakby uspiona. Było jej dobrze.

W pewnej chwili spostrzegła, że któraś z dam, chcąc uniknąć słońca, które rzeczywiście świeciło przez okno wprost na jej głowę, opuściła doskonale miejsce naprzeciwko. Małgorzata obesła wokoło cichutko, lecz szybko; udało jej się szczęśliwie zająć upatrzone miejsce. Stała teraz obok kolumny w południowej nawie, nie dalej niż pięćdziesiąt stóp od kaznodziei, z boku, nieco za nim, mogła jednak słyszeć każde słowo.

Niebawem rozproszyła jej uwagę gra cienia: głowa i ramiona mężczyzny skakały w górę i w dół tak zabawnie, że nie mogła powstrzymać uśmiechu.

Nie było w tym zresztą nic szczególnie śmiesznego.

To kościelny kopa! dół.

Odkryła to po chwili, gdy spojrzała za siebie przez okno, skąd padał cień.

Teraz, gdy patrzyła na kopiającego Joriana Ketla, nagle dźwięk głosu kaznodziei dotarł do jej ucha i świadomości tak wyraźnie, że dosłownie uderzył ją i wprawiał w drżenie duszę i ciało.

Chwyciła się za serce, tak dziwny i nagły był ten dreszcz. Odwróciła głowę i spojrzała na mnicha. Stał do niej plecami, dojrzała tylko tonsurę. Westchnęła. Ta tonsura zaprzeczyła stanowczo tonowi głosu.

Pochylona do przodu stała ze spuszczonej oczami, czekając raz jeszcze na ten ton. Nie dosłyszała go więcej; ale głos w ogóle zaczął jej się wydawać dziwny. Wznosił się i opadał w miarę, jak wzruszał się kaznodzieja; wydawał się budzić w niej słabe echa tysięcy szczęśliwych wspomnień. Nie mogła się oprzeć smutnej radości, którą jej sprawiał.

Nagle kaznodzieja przerwał pośrodku wymownej sentencji.

Małgorzata niemal westchnęła. Urwała się kojąca muzyka. Czyżby kazanie dobiegało już końca? Nie; rozejrzała się; ludzie nie drgnęli.

Wiele twarzy zdawało się zwracać teraz w jej stronę. Zerknęła za siebie - nie było tam nic szczególnego.

. Teraz wszyscy obok niej patrzyli zdumieni na zakonnika. Poszła za wzrokiem tłumu: nad pulpitem ujrzała twarz trupa. Groza poszerzyła do nienaturalnych rozmiarów oczy mnicha wielkie z natury i powiększone przez wychudłe policzki. Kaznodzieja patrzył w jej stronę błądząco, bez kropli krwi w twarzy.

Skuła się i obróciła lekko dokoła. Pomyślała, że koło niej musi dziać się coś okropnego. Nie było niczego; to ona była dziwną postacią wśród zasłuchanego tłumu.

W całym kościele zapanowało poruszenie. Ludzie podeszli ku przodowi, setki podnieconych twarzy obracało się od zakonnika do Małgorzaty, od Małgorzaty ku mnichowi. Szeleściły głośno wykrochmalone czepki, obracając się w różne strony. Rozległy się piski nerwowych niewiast, pomruki mężczyzn; Małgorzata, czując na sobie tak wiele oczu, schroniła się przerażona za kolumnę, rzuciwszy jedno przestraszone, szybkie spojrzenie na kaznodzieję.

Przez tę krótką chwilę, gdy patrzyła w tę ściągniętą bólem twarz, pochwyciła w niej wyraz, który przejął ją dreszczem.

Oślabła, przysiadła na pozostawionych przez robotników gruzach i ukryła twarz w dłoniach. Zakonnik mówił dalej: słyszała już tylko dźwięki, nie chwytając znaczenia. Próbowiła myśleć, ale czuła wir w mózgu. Jedna tylko myśl nie dawała jej spokoju; jedno spojrzenie oczu tej przerażonej cudem twarzy. Wspomnienie tego spojrzenia przeszywało ją dreszczem od stóp do głów.

To spojrzenie bowiem znaczyło: POZNAJĘ...

Kaznodzieja, niepewny przez jakiś czas, zakończył wybuchem podniosłej, gorączkowej wymowy; słuchacze zdążyli więc zapomnieć o dziwnej przerwie i upiornym wyglądzie zakonnika.

Małgorzata pospiesznie wmieszała się w tłum i wyszła z kościoła razem ze wszystkimi.

Ludzie ruszyli ku swym domostwom, ona zaś zawróciła od bramy i skręciła na cmentarz, na grób Piotra. Mimo biedy zdobyła się na płytę i nagrobek dla ojca. Siadła teraz i ucałowała kamień. Zarzuciła fartuch na głowę, aby nikt nie mógł jej rozpoznać po włosach.

- Ojciec - powiedziała - często słyszałem, jak powtarzałem, że oto błądzą w gęstej mgle, teraz zaczynam myśleć, że tylko Pan Bóg wie, gdzie jej kres. Pójdę za tym mnichem na kres świata, lecz przyjrę mu się na odległość ramienia. Niech powie, czemu patrzył w moją stronę jak trup, który z martwych powstał; jak gdyby nie było za mną żywej duszy. Och, ojciec, często chwaliłeś mnie na ziemi, wstaw się za mną choć słówkiem na tamtym świecie. Albowiem błądzą w gęstej mgle.

Od grobu jej ojca można było zobaczyć wychodzących przez boczne drzwi z kościoła.

Siedziała na płycie zakrywając twarz, czatując na świętego kaznodzieję.

Rozdział LXXXVIII Klasztor i ognisko domowe

Chłodny kościół, pokratkowany promieniami słonecznego światła i ukoronowany niebiańską purpurą, uspokoił i oczarował ojca Klemensa tak samo jak Małgorzatę; wzniosł duszę zakonnika ku Stwórcy wszelakich dobrych i czystych rozkoszy. Spojrzał na wielką nawę przepelnioną tłumem rodaków, na tysiące śnieżnych czepeczków złotem haftowanych. Przewędrował wiele setek mil, nie widział nic równie białego prócz śniegu. W czasie rannego kazania miotał pioruny, lecz to słodkie popołudnie nie sprzyjało groźnym słowom. Całym sercem współczuł z tą ludzką gromadą, postanawiając, że musi mówić im o miłości Bożej; biedacy, rzadko słyszą takie słowa z kazalnicy w dzisiejszych czasach, nie częściej niż niegdyś poganie. Opowiadał im radosną nowinę o zbawieniu. Wierni byli zasluchani w jego łagodne, poważne słowa.

Nie należał do tych kaznodziejów, którzy miotali się za pulpitem jak kurek na wieży. Poruszał silniej serca słuchaczy niż własne ciało. Nie mógł jednak całkiem zapominać o tych, którym dostały się gorsze miejsca. I teraz, rozgrzany tematem, pragnąc, aby nikt z tłumu nie utracił radosnej nowiny o miłości Chrystusowej, odwrócił twarz ku południowej nawie.

Tam, w blasku wpadającego przez okno słońca, promieniała twarzyczka Małgorzaty Brandt. Spojrzał na nią obojętnie. Nagle osłupiał ciałem i duszą.

Po chwili słowa zamarły mu w gardle, gdy patrzył na tę twarz, drżał całym ciałem.

Tam oto, o złotokasztanowych włosach skąpanych w słońcu i lśniących jak aureola świętych, o twarzy podwójnie olśniewającej, własną pięknnością i słonecznymi promieniami - stała jego umarła miłość.

Opierała się lekko o białą kolumnę. Słuchała z opuszczonymi delikatnymi rzęsami.

Setki razy widział, jak słuchała go w taki właśnie sposób.

Nie zmieniła się. Była tą samą kwitnącą Małgorzatą, jaką zostawił; odrobinę dojrzalszą i piękniejszą.

Patrzył w jej twarz upiornymi oczami, płonącymi w bezkrwistej twarzy.

Audytoryum zniknęło mu z oczu. Jak we śnie słyszał gwar i ruch w całym kościele; nie mógł jednak oderwać swych rozszerzonych grozą oczu od tej twarzy, kwiatu jej urody, i cudownych, złotych jak kasztany włosów, lśniących wspaniale w promieniach słońca.

Patrzył, myśląc, że widzenie musi zniknąć.

Trwała w miejscu.

Przez chwilę patrzyła mu w oczy.

Jej fiołkowe oczy!!

Teraz stracił przytomność, poruszył wargami, aby wykrzyknąć na cały głos jej imię, wtem odwróciła szybko głowę i zniknęła. Przedtem jednak rzuciła nań jeszcze jedno spojrzenie, które choć szybkie jak błyskawica, spotkało się z jego wzrokiem. Skurczyła się i zadrżała, zawiroowało jej w głowie, on zaś stracił oddech i konwulsyjnie wpił paznokcie w pulpit. To bowiem spojrzenie, choć jeszcze nie poznawało, było jednak struchlałym pytaniem, bezimiennym, nie dającym się opisać spojrzeniem, rozpoznanie poprzedzającym/Opanował się potężnym wysiłkiem woli, jąkał się i mamrotał parę słów przez chwilę, których nikt nie mógł pojąć; aż stopniowo z trudem nawiązał wątek, bełkotał jeszcze przez chwilę, stopniowo zmuszając się teraz, gdy już jej nie widział, do uznania całego zdarzenia za wizję z tamtego świata. Pod koniec kazania wzniósł się do stanu nienaturalnej egzaltacji i zakończył w sposób oszalamiający prostaczków; był to prawie rapsod.

Skończył kazanie. Usiadł za pulpitem wstrząśnięty do głębi. Owładnęła nim oto myśl typowa dla jego epoki. Daremnie szukał jej grobu w Sevenbergen. Widać pozwolono jej objawić się ukochanemu i wskazać, że tu była pochowana; może nawet blisko filara, koło którego jej duch mu się objawił.

Gdy już pogodził się z taką myślą, opanowała ona wnet jego umysł; czuł, że musi tylko jeszcze porozmawiać z kościelnym (który przez cały czas kazania kopał na cmentarzu, co napełniło kaznodzieję dużym niesmakiem) i dowiedzieć się od niego, w którym miejscu jest pochowana.

Kościół był teraz prawie pusty. Zeszedł z ambony i opuścił świątynię przez otwór w południowej ścianie. Zbliżył się po trawniku do kościelnego. Poznał go natychmiast. Ale Jorian nie podejrzewał wcale w tym świętym zakonniku biednego chłopca, któremu ocalił życie. Utrata brody przedziwnie zmieniła zarys jego twarzy, znacznie bardziej niż tonsura, krótkie włosy przetkane przedwczesną siwizną, policzki wychudzone i pobladłe od postów i czuwania.

- Mój synu - rzekł łagodnie Klemens. - Jeżeli na czas pewien zatrzymujesz w pamięci tych, których składasz tu w ziemi, powiedz mi proszę, czy jakiś chrześcijanin spoczywa w kościele obok jednego z filarów?

- Nie, ojciec - odrzekł Jorian - wszyscy, co byli pochowani, leżą tu na cmentarzu. A czemu pytacie?

- Nieważne. Powiedzcie mi, gdzie leży Małgorzata Brandt?

- Małgorzata Brandt? - Jorian spojrzał ogłupiały na zakonnika.

- Umarła mniej więcej trzy lata temu i była tu pochowana.

- A, to co innego - rzekł Jorian. - To nie w moich czasach; może wikary wam powie; jeżeli była szlachcianką lub choćby dość bogatą, żeby mu zapłacić.

- Niestety, mój synu, była biedna (i ciężko za to zapłaciła), ale z przyzwoitej rodziny. Piotr był uczonym lekarzem; przybyła tu z Sevenbergen - by znaleźć śmierć.

Klemens, powiedziawszy te słowa, spuścił głowę na piersi, wydawało się, że brak mu już sił i chęci, by pytać dalej. Powątpiewam nawet, czy wiedział, gdzie się znajduje. Zatonął w przeszłości.

Jorian położył łopatę na ziemi, wyprostował się w grobie, podparł pod boki i rzekł rozzłoszczony:

- Robicie ze mnie durnia, świętobliwy ojcze, czy może jakiś żartowniś z was głupca zrobił?

Ulżywszy sobie w ten sposób, zaczął kopać na nowo z zapalem wskazującym, że został wyprowadzony z równowagi.

Klemens spojrzał nań zaskoczony z łagodnym wyrzutem; bo ton Joriana był szorstki, a słowa niezrozumiałe.

Pocciwy, choć grubiański grabarz, zanim przerzucił trzy łopaty ziemi, zawstydził się swego zachowania.

- Ale prostak ze mnie, żeby tak przemawiać do was, świętobliwy ojcze, a wy stoicie tu i patrzycie jak jagniątko. Już wiem, o co wam chodzi, chcecie pewnie zobaczyć grób Piotra Brandta, a nie Małgorzaty. Leży tu, zaraz przy zachodnich drzwiach. Tędy, pokażę wam.

Odłożył łopatę, przywdział kubrak i kurtę, aby towarzyszyć zakonnikowi.

Nie wiedział, że ktoś siedział na grobie Piotra. Tym mniej zaś, że Małgorzata czekała tam na tego świętobliwego mnicha.

Rozdział LXXXIX

Jorian wkładał na siebie kubrak i kurtkę, aby udać się na grób Piotra, cały czas zaś mełł bezustannie językiem:

- Nazywali go czarownikiem z Sevenbergen. Powiadają, że dał dowód swej sztuki, umierając. Powiedział, że widział chłopaka Małgorzaty, jak płynął w dół Renu, pięknie wystrojony i z kupą grosza, ale na twarzy odmieniony zagranicznym mieczem i nie miał już tyłu rąk i nóg, co wtedy, gdy stąd wyruszał. Ale widzicie, złociutki, nic się nie sprawdziło. Małgorzata dalej tęskni za swym chłopakiem, a Piotr leży tu tak spokojnie jak inni. Nie dlatego, że przykryła go nagrobkiem, żeby przytrzymać na miejscu, jak zaraz ujrzycie.

Chwycił się dwiema rękami brzegu grobu i chciał wspiąć się na powierzchnię, ale mnich położył drżącą rękę na jego ramieniu i zapytał przerażającym szeptem:

- Jak dawno temu umarł Piotr Brandt?
- Będzie ze dwa miesiące. A bo co?
- I córka go pochowała, powiadacie?
- Nie, ja go pochowałem, ale zapłaciła, co należy, i położyła kamień. A bo co?
- Miał tylko jedną córkę, Małgorzatę?
- Nie więcej. W każdym razie do jednej się przyznawał.
- To znaczy, myślicie, że Małgorzata żyje?
- Myślę? Jakby nie żyła, to i ja bym nie żył. Zgadnijcie dlaczego?
- Jak mogę zgadnąć? Kochacie ją!

- Nie więcej od rozumu, gdyż jestem człkiem żonatym i ojcem czterech bardziej krzepkich niż ja sam łobuzów. Nie, inna to odpowiedź: ocaliła mi życie co dopiero przed sześcioma tygodniami. Gdyby umarła przedtem, nie mogłaby zachować mnie przy życiu. Za przeproszeniem waszym nie mogłem nic utrzymać w żołądku, żadne doctory nie mogły tego uczynić. Moja Joanna powiada: czas kupować całun. Uczciwszy wasze uszy, powiadam, spróbuj najpierw, może ci się uda pożyczyc. I tu przychodzi ta pani Małgorzata, co to niby umarła trzy lata temu, otwiera okna, każe prześcielić czysto łóżko i migiem stawia mnie na nogi. A czym? W tym sęk! Najńedźniejszym ziółkiem i jeszcze z mego własnego ogrodu - słodką maruną. Powiadam: a to ziele, chwast, w każdym razie był chwastem, póki mnie nie wyleczyła; teraz, kiedy przechodzę koło niego, ściagam czapkę i powiadam: moje uszanowanie. Ale, co z wami, ojcze? toście blade jak trup, to czerwony i znowu biały? Co się dzieje? Gadajcie, na litość Boga!

- Niespodzianka... radość... zdumienie... strach - szepnął Klemens.

- A co wam do tego? Czyście krewniak Małgorzaty Brandt?

- Nie, ale znałem kogoś, kto bardzo ją kochał, tak bardzo, że jej śmierć omalże nie zabiła jego duszy i ciała. A wy powiadacie, że żyje. Wierzę wam.

Jorian popatrzał i po chwili milczenia rzekł poważnie:

- Ojcze, zadaliście mi wiele pytań, odpowiedziałem uczciwie. Teraz, na Matkę Najświętszą, odpowiedzcie mi jeno na dwa pytania: czy naprawdę znaliście kogoś, kto kochał to biedne dziewczę? I gdzie?

Klemens chciał się już ujawnić, ale przypomniał sobie list Hieronima i cofnął się przed wymienieniem imienia, pod którym przyszedł na świat.

- Znałem go w Italii - powiedział.

- Jeśli to prawda, powiedzcie mi jego imię - rzekł nieufnie Jorian.

- Nazywał się Gerard Eliassen.

- To dziwne. Jak ci to rzekli, że Małgorzata Brandt umarła?

- Byłem z Gerardem, gdy otrzymał list od Małgorzaty van Eyck. W liście była wiadomość, że ta, którą kochał, umarła i została pochowana. Usiądę na chwilę, czuję, że siły mnie opuszczają. Plugawa gra! Plugawa gra!

- Ojciec - rzekł Jorian - dziękuję Bogu, że was do mnie zesłał. Tak, posiedźcie sobie, już i tak wyglądacie jak duch, za wiele pościcie, żeby mieć siłę. Coś mi się widzi niedobrze; może wiem, co w trawie piszczy, a jeśli to prawda, co myślę, chciałbym dwóm łotrom w tym mieście łby porozwalać jak tę glinę pod nogami - zacisnął zęby, podniósł swą długą łopatę i z furią zagłębił ją w kupie ziemi parę razy z rzędu.

- Plugawa gra? W życiu nie rzekliście prawdziwszego słowa, a jeśli wiecie, gdzie jest teraz ten Gerard, nie traćcie czasu, jeno pokażcie mu pułapkę, którą łajdacy na niego zastawili. Nie mam mądrej głowy, ale jeśli powolny ogar czuje trop, to już trza iść za nim. A tak mi się coś zdaje, że złapaliśmy za dwa końce jednego kijaszka, i to paskudnego.

Jorian, przebrnąwszy przez niepotrzebną wstępną gadaninę, charakterystyczną zawsze dla ludzi jego klasy, doszedł wreszcie do sedna rzeczy. Burmistrz miasta Tergou najął go do naprawienia podłogi na górnym piętrze w swoim domu. Gdy to już zrobił i wrócił nagle, by zabrać swoje narzędzia, usłyszał kilka głośnych słów, które go zaciekały. Położył się na brzuchu i podsłuchał, jak burmistrz rozmawiał z Korneliuszem i Sybrandtem, który polecił podłożyć Hansowi Memlingowi list na miejsce innego, przeznaczonego dla Gerarda.

- Tak mi się zdawało, że mieli wielki smak do tej roboty, ale strach ich oblatywał, więc żeby im dodać ducha, stary pokazał pełną szufladę srebra, i jakby załatwili, co trzeba, mogliby tam łapę wsadzić i zabrać tyle grosza, ile w niej utrzymają. Widzicie, ojciec - opowiadał dalej Jorian - nie myślałem wiele wtedy o tej sprawie, jeno mnie ten handel tak rozpałił, że nie spałem prawie całą noc. Jeno pomyślcie! Następnego dnia, ledwo słońko wzeszło, kogóż to widzą moje oczy? A to panoczkowie Korneliusz i Sybrandt wychodzą sobie z domu każdy z podbitym okiem. Oho! mówię, widać ten Hans was ponaznaczał, widzi mi się, że to wszystko, coście zarobili za swe trudy. Oni do domu burmistrza, a ja do mojej kryjówki.

Słuchając rewelacji Joriana, mnich nie ukrywał oburzenia, nozdrza mu drżały, patrzył na kościelnego niecierpliwymi oczami, które zdradzały niepewność, w jakiej się znajdował.

- Tak to, ojciec - mówił dalej Jorian - burmistrz zaprowadził ich do tej samej izby. List trzymał w ręce. Jam nie uczony, ale mam takie oczy jak i papież i ujrzałem otwartą szufladę i tych dwóch łotrów, jak grzebią w niej łapami. Wyciągali stamtąd pełniutki garście. Ach, święci pańscy! Jak to chcieli chwycić więcej, jeszcze więcej, jeszcze więcej tego dobra! A

Sybrandt wetknął łapę w coś lepkiego, kłajster pewnie, i tak wyciągnął ze dwa talary przyklejone do spodu ręki, he! he! he! Grzech śmiać się z tego; więc widzicie, szczęście sprzyjało łotrom jak zwykle. Udało im się szachrajstwo, ale jak to zrobili, nikt się pewnie nie dowie do dnia Sądu Ostatecznego. Tak to utopili swoje nieśmiertelne dusze w tej szufladzie. Sprzedali je za garść srebra, tyle przegrał diabeł w tym handlu. Tak ojczcie, teraz mam to z głowy, bardzo już chciałem wyznać wszystko komuś, ale nie ufam kobietom, i Małgorzata zostałaby w ogóle bez przyjaznej duszy na tym świecie, bo ci dwaj łajdacy to oczko w głowie rodziny. Zawsze tak bywa. Czyż co dopiero starzy nie kupili dla nich pięknego sklepu w tym mieście przy Hoog Straet? Możecie tam zobaczyć ich szyld, połączoną owcę z jagniątkiem; para wilków dojąca wilczycę byłaby bardziej na miejscu. Dziś tam cała familia świętuje, to porządni ludziska. Cóż tak siedzicie, święty ojczcie, jak kamień, ani się nie odezwiecie słowem, nie ulżycie sobie jakim przekleństwem, co się oszustom bez serca słusznie należy. Nie dość, że biedny chłopczyzna poniewierał się gdzieś sam w obcych krajach, to jeszcze własna krew ma zniszczyć kłamstwem jedyne szczęście, które nieprzyjaciele mu zostawili? I pomyślcie, jak ona usychała z tęsknoty przez te wszystkie lata i siadywała w oknie, czy tam jej Gerard nie pokaże się na ulicy. Taka stała, czuła, wierna... Moja żona powiada, że z całą pewnością nie było na świecie kobiety, co by wierniej kochała, niż ona tego chłopca, co go ci łajdacy jej zabrali i nie ma dnia, żeby nie wylewała za nim słonych łez. Gdyby nie ci dwaj chciwcy, łotry kłamliwe, to ten ładny chłopak, któremu ongiś ocaliłem życie, mógłby dziś przy jej boku być najszczęśliwszym człkiem w Holandii, a ta słodka dziewczyna, która uratowała mi życie, siedziałaby, oparłszy buzię, na ramieniu ukochanego, najszczęśliwsza w Holandii, a dziś najsmutniejsza. Ach, gdy tak myślę o tym wszystkim, piłbym ich krew, obrzydłych, chytrych łgarzy, tchórzy bez serca i litości! Coś takiego?!

Mnich poderwał się dziko, siny z wściekłości i rozpaczy, i popędził stamtąd przed siebie ze wzniesionymi w górę, załamanymi rękoma. Był tak straszny w tym milczącym wybuchu furii, że gniew Joriana zgasł na ten widok; kościelny stał, patrząc ze zdumieniem na rozpętaną przez siebie burzę.

Poczuł nagle, że maleńka drżąca rączka wpiła mu się w ramię.

Była to Małgorzata Brandt.

Zdrętwiał, tak dziwne mu się zdało, że przyszła akurat teraz.

Czekała długo na grobie ojca, ale zakonnik się nie pojawił. Weszła więc do kościoła zobaczyć, czy kaznodzieja nie pozostał tam do tej pory. Nie mogła go znaleźć.

Przechodząc przez południową nawę, ujrzała nagle olbrzymi cień mnicha: przecinał posadzkę i część kolumny, zdawał się przenikać przez czekającą dziewczynę. Omal nie

krzyknęła, ale przypomniała sobie cień Joriana, który w ten sam sposób padał od strony cmentarza, i wybiegła, usiłując przejść najkrótszą drogą. Potarła do drzwi z trudnością, lecz Klemens zniknął tymczasem w głębi ulicy, lecz gest czasem jest równie wymowny jak twarz, spostrzegła, że ksiądz był czymś wielce wstrząśnięty. Spoglądali z Jorianem na siebie wzajemnie i na oddalającą się postać wzburzonego zakonnika.

- Co się stało? - spytała drżąc.

- Co? - odparł. - Przestraszyłaś mnie. Skąd się wzięłaś, ty jedna z całego tłumu?

- Czy to czas na próżne gadanie? Co wam powiedział? Rozmawiał z wami, nie zaprzeczajcie.

- Dziewczyno, żebym się z tego miejsca nie ruszył, pytał mnie, w którym miejscu jesteś pochowana na tym cmentarzu.

- Ach!

- Powiedziałem munigdzie, dzięki Bogu, żyjesz i innych przed cmentarzem ratujesz.

- I co dalej?

- Krótko mówiąc, znał on twego Gerarda w Italii, a do niego przyszedł list z zawiadomieniem o śmierci, list ten złamał serce biednego chłopca. Pytam, kto napisał list. Demoiselle van Eyck. Tak o n uważa. Ale jam mu rzekł, że to nie tak. To nie panna ani pani wypisała to łgarstwo, lecz Ghysbrecht van Swieten i tych dwóch paskudnych łajdaków: Korneliusz i Sybrandt, oni to zamienili prawdziwy list na szachrajski. Powiedziałem mu, że widział całe to draństwo przez szparę.

- Och, okrutni, okrutni! Ale on żyje! Minał najgorszy strach! Dzięki ci, Boże!

- Tak, dziewczyno; a twoim wrogom dałem tęgiego kopniaka.

Ten mnich jest przyjacielem Gerarda i poszedł teraz do domu Eliasza, tak mi się widzi. Powiedziałem mu, gdzie może znaleźć twoich i Gerarda wrogów, i przysięgam, że on już da im szkołę. Jeszczem nie widział tak rozwścieczonego człeka. Mienił się na twarzy, to biały, to czerwony, i wyskoczył stąd jak kamień z procy. Mówię ci, dziewczyno, nic nie gadał, a pioruny mu biły z oczu. Zimno mi się zrobiło.

- Jorianie, coście uczynili? - rzekła Małgorzata. - Prędko, prędko, pomóżcie mi, bom całkiem osłabła. Nie znacie go tak dobrze jak ja. Gdybyście widzieli cios, który zadał Ghysbrechtowi, i słyszeli ten straszny trzask! Biegnijmy, ratujmy go przed najgorszym czynem. Błądzą w gęstej mgle, ale jeszcze nie we krwi. Biegnijmy!

Tyle przerażenia brzmiało w jej głosie, że Jorian wyskoczył z grobu i popędzi? za nią, naciągając w biegu kurtkę.

Po drodze pytał, co to wszystko na Bogaaczy:

- Ja mówię o zakonniku, a wy powiadacie o Gerardzie.

- Człowieku, gdzie masz oczy, przecie t o Gerard.

- Twój Gerard? Co przez to rozumiecie?

- Rozumiem, że ten mnich jest ojcem mego syna. Długo na niego czekałam, Jorianie. Wrócił do mnie wreszcie. Dzięki Panu Bogu i za to. O moje biedne dziecko! Prędeż, Jorianie, prędeż!

- Jesteś szalona jak i on. Zaraz, na świętego Bawona! To była twarz Gerarda, choć może nie całkiem jego, może i jego... Biegnijmy, biegnijmy! niech obaczę, jak się to skończy!

- Jak się skończy? Ile z nas dożyje, by to zobaczyć?

Biegli, dysząc w pośpiechu, nie odzywając się już aż do Hoog Straet.

Jorian próbował jeszcze uspokoić dziewczynę.

- Sami sobie zmartwienia zmyślacie. Kto powiedział, że tu poszedł? Może prędeż do klasztoru modlić się i płakać, biedaczysko.

O łotry, łotry przeklęte!

- Nie powiedzieliście mu, gdzie te łotry mieszkają?

- Powiedziałem.

- Prędeż, Jorian, prędeż! Już widzę dom. Dziękuję Bogu i Jego świętym, będę na czas, by go uspokoić. Wiem, co mu rzeknę; Boże, przebacz mi. Muszę myśleć o biednej Katarzynie, była dla mnie matką.

Sklep mieścił się w narożnym domu i miał dwoje drzwi, jedno frontowe od ulicy dla klientów, drugie prywatne za węgłem.

Małgorzata i Jorian byli już ze dwadzieścia jardów od sklepu, gdy usłyszeli z wewnątrz ryk jakby zwierza dzikiego, mnich wypadł na ulicę biały z wściekłości i popędził w dół ulicą.

Małgorzata krzyknęła i zwiśla zemdlona na ramieniu Joriana.

Jorian wołał: „Stój szalony, my twoi przyjaciele”.

Ale mnich, głuchy, pędził potrząsając zaciśniętymi konwulsyjnie pięściami, wzniesionymi ku niebu.

- Pomóż mi wejść, dobry Jorianie - jęknęła Małgorzata, odyskując nagle spokój. - Chcę wiedzieć choćby najgorsze; i umrzeć.

Podtrzymał ją drżącą i wprowadził do domu.

Cisza stała niepojęta. Ani szmeru.

Nawet Jorianowi serce łomotało w piersi.

Drzwi były nie zatrzaśnięte. Pchnął je lekko lewą ręką i oto stali wraz z Małgorzatą na progu.

Co tam ujrzeli, i wy się zaraz dowiedziecie.

Rozdział XC

Był czas kolacji. Rodzina Eliasza zebrała się przy stole, brakło tylko Małgorzaty. Eliasz oznajmił ku zdziwieniu Katarzyny, że na nią zaczeka.

- Po co? Powiedziałam, że nie czekacie, mój mężu, nawet na diuka.

- Ona nie diukiem, jeno biednym dziewczęciem, które czekało nie minuty, lecz lata na mego niewdzięcznego syna. Możesz tymczasem podawać, zaczniemy nie tracąc czasu, jak tylko się zjawi.

Parujące dania pachniały tak smakowicie, że Eliasz poddał się pokusie.

- Przyjdzie, jak tylko zaczniemy - powiedział. - Zawsze tak się dzieje. Siadajcie, pani Joanno, myślę, żeście tu nie niewolnicą, lecz gościem. Słyszę już szybkie kroki, zrzucicie pokrywki i zaczynamy.

Zdjęto pokrywki z półmisków, noże poszły w ruch.

Nagle zamiast oczekiwanej Małgorzaty wpadł do pokoju siny z furii dominikanin.

W jednej chwili był przy stole przed Korneliuszem i Sybrandtem, zawisnął swą wysoką postacią nad wąskim stołem i unosząc dłonie, które jak orły nad łupem krążyły nad ich przerażonymi głowami, przeklął, obu wymieniając po imieniu, ich ciała i dusze na tym i na przyszłym świecie. Była to epoka wymownych przekleństw, a ta klątwa była tak bogata, tak drobiazgową, piorunującą, błyskawiczną, zabójczą i straszliwą, że obawiam się przenieść wszystkie słowa na papier.

- Przekłete niech będą usta - krzyczał - które wyrzekły podłe kłamstwo, że Małgorzata nie żyje; niech zgniją za życia, a w piekle całują rozpalone do białości żelazo; po dwakroć przekłete ręce, które zamieniły listy, niech odpadną od noża kata i płoną w ogniu piekielnym na zawsze; po trzykroć przekłete okrutne serca, które wymyśliły to nikczemne łgarstwo, aby rozdzielić na zawsze wiernych kochanków; niech uschną i zwiędną na ziemi bez pociechy, miłości, nadziei; niech się w proch rozsypią przed czasem i płoną w ogniu piekielnym. - Przeklął posiłek przed ich ustami i każdą cząstkę ich ciał, od stóp do głów. Z kolei odwracając się od drżących, skulonych braci, którzy natychmiast wleźli pod stół, wyrwał zza pazuchy list i rzucił go na stół ojcu przed oczy.

- Przeczytaj to, twardy starcze, któryś uwięził syna, czytaj i zobacz, jakie splodziłeś potwory. Pamięć o moich i jej cierpieniach niech was nigdy! nie opuści. Spotkamy się w dniu Sądu Ostatecznego, na ziemi nie zobaczycie mnie już nigdy.

I tak jak przyszedł, zniknął w jednej chwili, a oni dokoła smakowicie zastawionego stołu siedzieli zeszywniali i zimni jak posągi.

Taki właśnie widok ujrzeni Małgorzata i Jorian: pobladłe twarze mężczyzn i kobiet skamieniałych dokoła nietkniętego jadła, jak obraz ze wschodniej poezji.

Małgorzata spojrzała i westchnęła:

- O radości! Wszyscy żywi; nie polała się krew; och, wy okrutni, okrutni ludzie! Dzięki Bogu, że was nie pomordował.

Na jej widok Katarzyna jęknęła żałośnie i odwróciła głowę. Eliasz, który pochylił się właśnie nad sfałszowanym listem i zaczął pojmwować wszystko, widząc drugą ofiarę przychodzącą w tym samym czasie, jej cierpienie wyryte na słodkiej, bladej twarzy, skoczył na równe nogi w paroksyzmie wściekłości i wrzasnął:

- Odejdź na bok, przepuść mnie do tych zdrajców. Ja im pokażę! - wyciągnął krótki miecz i runął na synów.

- Uciekajcie! - krzyknęła Małgorzata - uciekajcie! Zsunęli się, skomląc, pod stół i wypelzli z drugiej strony. Zanim dopadli drzwi, oszalały starzec obiegnął stół dokoła i zastąpił im drogę. Katarzyna piszczała tylko i załamywała ręce; władze domowe stają się zazwyczaj bezsilne w takich wypadkach; krew polałaby się z całą pewnością, ale Małgorzata i Jorian. chwycili rozwścieczonego kupca za ramiona i przytrzymali go z całej siły, dopóki bracia nie opuścili domu. Gdy go uwolnili, wypadł za nimi na ulicę, ale już za późno.

Byli o milę, pędząc jak zające.

Zerwał szyld z ich imionami, wniósł go do izby i wrzucił do kominka.

Katarzyna kołysała się w rozpacz, zarzuciwszy fartuch na głowę. Joanna podbiegła do męża. Małgorzata objęła ramionami szyję Katarzyny; blada i z trudem chwytająca oddech starała się pocieszyć matkę.

Było to jednak niemożliwe.

- O moje biedne dzieci! - krzyczała. - O ja matka nieszczęśliwa! Dzięki Bogu, że Kasia chora na górze. Tego dożyłam, że dziękuję Bogu za jej kalectwo - krzyczała, wybuchając na nowo łkaniem, - To by ją zabiło! Lepiej, by pozostał w Italii! Wracać do domu, przeklinać własną krew i ciało i poszczuć nas wszystkich na siebie.

- Trzymaj język za zębami, niewiasto! - krzyknął gniewnie Eliasz. - Jeszcze po stronie złych. Zasłużyłaś na to, twoja słabość do tego doprowadziła. Chciałem karcić w młodości: na wielkie zło - ostre środki; zawsze brała ich stronę, podkopywałaś moją wolę, hamowałaś mądrą surowość. Nie pocieszaj jej, Małgorzato, ona ciebie winna pocieszać.

Czymże jej rany przy twoich? Nie miała ani na jotę poczucia sprawiedliwości, nigdy nie będzie go miała. Przyjdź do mnie, jestem twoim ojcem od tej godziny.

To był rozkaz; ucałowała przeto Katarzynę, podeszła drobnym krokiem do niego; posadził ją obok siebie na krześle, dziewczyna oparła główkę na uczciwej piersi, lecz nie wylała ani jednej łzy, rozpacz była zbyt głęboka.

- Biedne jagniątko - powiedział, a po chwili: - Chodźcie, dobrzy ludzie - rzekł złamanym głosem do Joriana i Joanny. - Mamy trochę kłopotu, jak widzicie, ale to nie powód do postu. Na miłość Boga i Pani Najświętszej, zaczynajmy; nie dodawajcie do mych trosk sławy człeka bez wychowania. Co za lichy! - dodał próbując się opanować - im więcej łajdaków udaje mi się pozbyć z domu, tym bardziej potrzebuję kompanii cnych mężczyzn i niewiast przy mym stole, by pomogli mi opróżnić półmiski i cieszyli oczy uczciwym obliczem, wypełniając przykre wyrwy. Zaczynajmy, zapraszam was pięknie.

Katarzyna, szlochając, poparła zaproszenie. Biedne proste dusze, staroświeckie i gościnne. Jorian, któremu apetyt po chorobie zaostriżył się, bardzo by chętnie skorzystał z okazji i przystąpił do działania, ale Joanna szepnęła mu coś do ucha i cofnął się natychmiast.

- Nie tknę jadła przeklętego przez Kościół święty.

- Zaiste, zapomniałem - rzekł Eliasz, przepaszając. - Mój syn wychowany przy tym stole przeklął moje potrawy. Dziwne się wydaje. Wola Boża, człowiek musi się przed nią ugiąć.

Kolację wyrzucono na podwórze.

Jorian wyszedł, zabierając żonę, i ciężki smutek zapanował w nocy w domu Eliasza.

Gdzie był wtedy Klemens?

Leżał krzyżem na posadzce klasztornej kościoła, z ustami na najniższym stopniu ołtarza, w nie dającym się opisać stanie grozy, rozpacz, skruchy i poniżenia. Z trudem docierały do niego przebłyski radosnej myśli, że Małgorzata żyje.

Zapadła noc, brat Klemens leżał płacząc i modląc się gorąco. Dotrwałby tak do rana, gdyby nie przypomniał sobie, że pogrążony w swoich i Małgorzaty smutkach, znowu popełnił grzech. Zawinił nie tylko swą niepohamowaną wściekłością, lecz zaniedbał umierającego człowieka.

Zerwał się natychmiast, biadając nad swą podwójną nieprawością i wyruszył, aby naprawić błąd. Pogoda zmieniła się, lał deszcz. Wyszedszy z miasta usłyszał ujadanie wilków; ruszyły na łów. Ale Klemens był już znowu prawie zupełnie sobą, nie myślał o niebezpieczeństwie ani o niewygodach, gdy szło o obowiązek naprawienia haniebnego zaniedbania w rzeczach religii; podążył uparcie naprzód przez mrok i ulewę.

Idąc, często uderzał się w piersi i powtarzał: Mea culpa! Mea culpa!

Rozdział XCI

Żadne słowa nie mają dość mocy, aby odmalować to, co przeszedł nasz bohater obdarzony kochającym sercem, wrażliwym sumieniem, czującym umysłem i religijną duszą; ile przecierpiał w ciągu tych paru godzin w tak nieoczekiwanej i strasznej sytuacji.

Spróbujcie wyobrazić sobie tego człowieka i postawić się sami na jego miejscu.

Gdybym napisał o tym cały tom, może udałoby się nam to wreszcie.

Przedstawię teraz dwa jego następne i dostępne obserwacji czyny.

Pozwolę wam poznać stan jego umysłu po przejściu pierwszej okrutnej burzy duchowej.

Noc spędził z umierającym pustelnikiem, niosąc mu świętą pociechę i sam czerpiąc święte ukojenie. Następnie skierował się nie do Rotterdamu, lecz do Tergou. Chciał tam odszukać swego zajadłego nieprzyjaciela, burmistrza van Swieten, aby przy pomocy owego pergaminu, który nawiasem mówiąc sam mógł być wystarczającym tematem romansu, zmusić starca do wypłacenia Małgorzacie należności i oddania jej ojcowizny.

Zgrzany i zakurzony stanął przy źródle i zaczął jeść czarny chleb, popijając wodą. W połowie skromnego posiłku przybiegła służebna niewiasta z błagalnym wezwaniem do pragnącego spowiedzi konającego pana. Mnich schował chleb do sakwy i podążył za nią bez słowa.

Zaprowadziła go do ratusza.

Dreszcz przebiegł po nim i cofnął się, gdy zobaczył, dokąd idą.

Opanował jednak natychmiast ten odruch, wszedł za nią do domu i po schodach na górę. Tam na łożu, wysoko oparty na poduszkach, leżał jego wróg śmiertelny, bardziej już do trupa podobny niż do żywego człowieka.

Klemens patrzył nań przez chwilę ode drzwi i myślał o wszystkim; o wieży, o lesie i o liście. Potem wyrzekł niskim głosem: Pax vobiscum, i dreszcz przebiegł jego ciało.

Chory przyjął go z zapalem, choć słabość utrudniała mu mowę. „Bogu niech będą dzięki, przychodzisz, ojcze, jeszcze na czas, aby mnie oczyścić z grzechów i byście mogli modlić się za mą duszę, ty i twoi bracia”.

- Synu - rzekł Klemens - przed absolicją spowiedź. Akt ten musi być szczery, niczego nie wolno ci ukryć, jeżeli dbasz o zbawienie duszy. Zastanów się więc, czym najsrożej obraziłeś Boga i Kościół, a ja pomodłę się o mądrość, która pokieruje tobą.

Klemens ukląkł i odmawiał pacierze. Gdy podniósł się z kolan, rzekł do Ghysbrechta z pozornym spokojem:

- Synu, wyznaj swe grzechy.

- Ach, ojcze westchnął chorylicznie są me grzechy i wielkie.

- Wielka niech zatem będzie twa skrucha, synu, wtedy przekonasz się, jak wielka jest łaska Boża.

Ghysbrecht złożył ręce i z wszelkimi oznakami skupienia rozpoczął spowiedź.

Wyznał, że jadał mięso w półpościu, często opuszczał mszę świętą w niedzielę i święta, lekceważył inne praktyki religijne, co wyliczał teraz z całą skrupulatnością.

Gdy skończył, zakonnik powiedział spokojnie:

- Słusznie, synu, wyliczyłeś swe błędy. Teraz czas na zbrodnie. Od nich raczej zacząć należało.

- Jakież zbrodnie ciążyą na mym sumieniu, jeżeli te byłyby nic nie znaczące?

- Czy to ja ciebie spowiadam, czy ty mnie? - zapytał nieco surowiej Klemens.

- Wybacz mi, ojcze! Zaiste, wy mnie. Ale nie wiem, co zwiecie zbrodniami?

- Siedem grzechów głównych. Czyż nie popełniłeś żadnego z nich?

- Niech Pan Bóg broni, bym aż tyle zawinił. Nie znam ich z imienia.

- Wielu je popełnia, a nie potrafi nazwać. Zacznijmy od grzechu, który wiedzie do kłamstwa, złodziejstwa i mordy.

- Jestem niewinny. Jak zwiecie ten grzech, ojcze?

- Skąpstwo, synu.

- Skąpstwo? Jeśli o to chodzi, byłem przez całe życie oszczędnym człowiekiem, ale stół mój był przyzwoicie zastawiony i nie całkiem zapomniałem o ubogich. Ale jestem wielkim grzesznikiem! Może następny mnie dotyczy. Jaki następny grzech śmiertelny?

- Jeszcześmy z tym nie skończyli. Zastanów się, z Kościołem nie ma żartów.

- Niestety! Czy teraz stan mój pozwala na żarty? Skąpstwo? Skąpstwo? - Wyglądał na zdziwionego i niewinnego.

- Czy obrabowałeś kiedy sierotę? - zapytał mnich.

- Ja? Obrabowałem sierotę? - szepnął Ghysbrecht. - O ile mi wiadomo, nie.

- Znowu, mój synu, muszę ci rzec, że stroisz żarty z Kościoła. Jeszcze jedna wymijająca odpowiedź, nędzny człowieku, a zostawię cię i szatany otoczą twe łożę, by cię porwać do bezdennej otchłani piekielnej.

- Och, nie opuszczaj mnie! Nie opuszczaj! - skrzeczał przerażony starzec. - Kościół wie wszystko. Musiałem widać rabować sieroty. Wspowiadam się. Od kogo mam zacząć? Moja pamięć imion osłabła.

Zręcznie się bronił, ale tym razem zręczność zawiodła.

- Czyś zapomniał Florisa Brandta? - powiedział Klemens z kamiennym chłodem.

Chory poruszył się w łożu śmiertelnie przerażony.

- Skąd o tym wiecie, ojcze? - spytał.

-: Kościół wie o wielu sprawach - rzekł Klemens chłodno - i to wielu drogami, które tobie są nie znane. Nędzny grzeszniku, przywołałeś go do łoża śmierci i sądzisz, że go oszukasz. Rzekłeś sobie: wypowiadam się nie proboszczowi, lecz jakiemuś zakonnikowi, który nie zna moich występków. Oszukam Kościół na łożu śmierci i umrę tak, jak żyłem. Ale Bóg, lepszy względem ciebie niż ty sam, zatroszczył się o twą duszę i przysłał ci kogoś, kogo nie możesz okłamać. Wypróbował cię; był dla ciebie cierpliwy, ostrzegł, byś nie żartował ze świętym Kościołem; ale wszystko na próżno, nie potrafisz wyznać swych win, zatwardziałyś jak głaz. Umieraj zatem tak, jak żyłeś. Zdaje mi się, że widzę, jak szatany krążą wokół łoża, czyhając na łup. Czekają tylko, bym odszedł. Odchodzę.

Odwrócił się plecami, ale Ghysbrecht przerażony do ostateczności chwycił go za habit.

- Ach, święty mężu, łaski! Pozostań. Wszystko wyznam, wszystko! Obrabowałem mego przyjaciela Florisa. O, gdybyż choć na tym się skończyło! Niewiele bowiem stracił przeze mnie; ale zatrzymałem ziemię jego syna Piotra i Małgorzaty, córki Piotra. Zawsze zamierzałem ją zwrócić, ale nie mogłem, nie mogłem!

- Skąpstwo, synu, skąpstwo. Bądź szczęśliwy, że jeszcze nie jest za późno.

- Nie. Zapiszę jej to w mej ostatniej woli. Niedługo już będzie czekała: miesiąc, najdłużej dwa.

- I dla tego miesiąca posiadania chcesz na zawsze zatracić duszę. Ty głupcze!

Chory jęczał i prosił mnicha, by zachował umiar. Zakonnik stanowczo, lecz łagodnie, używając perswazji i z bezgraniczną cierpliwością, wyrwał wreszcie ze szponów umierającego człowieka cudze dobro. Chwilami jego cierpliwość była wystawiona na próbę, miał ochotę sięgnąć za pazuchę i pokazać dokument, który przyniósł w tym celu; ale po wczorajszym wybuchu panował nad sobą, by nie wpaść w gniew. I w końcu przewyciężył niecierpliwość, przewyciężył osobistą odrazę tak silną, że ciarki chodziły mu po plecach cały czas, gdy walczył ze skąpcem o jego duszę, i nareszcie, nie wspomniawszy o dokumencie, wymógł na starcu pełną i natychmiastową restytucję.

Jak restytucja się odbyła, opowiem krótko na innym miejscu; także o pewnych ciekawych przemianach Ghysbrechta z tego powodu; oraz o tym, kiedy i w jakich okolicznościach Ghysbrecht i Klemens się rozstali.

Obiecałem przedstawić tu tylko dwa czyny zakonnika, charakterystyczne dla stanu jego umysłu.

Oto pierwszy. O drugim wystarczy jedno słowo. Gdy upewnił się, że Małgorzata odzyskała swą własność i jest bogatą kobietą... Zniknął.

Rozdział XCII

Nazajutrz po okropnej scenie domek na Hoog Straet przypominał grób. Najbardziej zgnębiona i milcząca była Katarzyna, tak zawsze czynna i wesoła z natury. Po obiedzie, z czerwonymi od płaczu oczami, poszła do klasztoru, by usiłować ułagodzić Gerarda i położyć choćby pierwszy kamień pod gmach pojednania. Minął czas pewien, zanim udało jej się wytłumaczyć furtianowi, kogo szuka. Dowiedziała się wreszcie, że opuścił klasztor w nocy i że nie oczekiwano jego powrotu. Wzdychając poszła z tą wiadomością do Małgorzaty. Młoda kobieta siedziała beczynnym jak człowiek, który utracił chęć do życia; objęła synka tak mocno ramionami, jakby trzymała w nich wszystko, co jej zostało, i obawiała się, że ktoś jej go także odbierze. Katarzyna błagała, aby wróciła na Hoog Straet.

- Po co? - westchnęła. - Musicie tam jeno między sobą powtarzać: „ona jest przyczyną wszystkiego”.

- Nie, nie - rzekła Katarzyna. - Nie jesteśmy bez serca, a Eliasz tak cię lubi. Może go jakoś ułagodzisz.

- Jeśli sądzicie, że mogę się na coś przydać, przyjdę - powiedziała Małgorzata, wzdychając znużona.

Zastały Eliasza i cieślę przy pracy; wieszali właśnie nowy szyld nad sklepem; zamiast Korneliusza i Sybrandta figurowało na nim imię Małgorzaty Brandt.

Mimo całego dla Małgorzaty uczucia, Katarzyna odczuła to jak uderzenie nożem w serce. „Kiedy jeden traci, drugi się bogaci” - powiedziała.

- Czy może mnie on zmusić, bym niesprawiedliwie użyła tych pieniędzy? - odparła chłodno Małgorzata.

- Jesteś dobrą duszyczką - rzekła Katarzyna. - Tak, najlepszą, jak on najsilniejszy.

Następnego dnia odwiedził ich Idzi. Katarzyna opowiedziała mu całą historię, trzymając stronę parszywych owiec, oczekując od niego litości dla przeklętych przez rodzony brata i wypędzonych w szeroki świat przez ojca. Ale Idzi miał własny pogląd na tę sprawę; wysłuchał matki i rzekł, że łajdacy tanio się wykpiłi, zasłużyli na to, aby powiesić ich w dodatku na drzwiach Małgorzaty, i wyraziwszy dla nich pogardę, krzyknął z radości na wieść o powrocie swego faworyta.

- Już ja mu pokażę, co to znaczy mieć na dworze brata, który ma dość serca, by pomóc przyjacielowi, i dość rozumu, żeby przeprowadzić sprawę.

- Niech ci Pan Bóg zapłaci, Idzi - szepnęła cichutko Małgorzata.

- Zawsze byłeś jego prawdziwym przyjacielem, drogi Idzi - powiedziała mała Kasia - ale niestety nie bardzo wiem, co teraz możesz zrobić dla niego.

Idzi odszedł i znów zapadła smutna cisza, gdy po chwili przyzwoicie ubrany człowiek otworzył ostrożnie drzwi i zapytał, czy jest Małgorzata Brandt.

- Słyszysz, dziewczyno? To do ciebie - powiedziała żywo Katarzyna. Niezniszczalną w niej była Plotka.

- Słyszę, matko - odparła obojętnie Małgorzata. - Jestem.

Za drzwiami usłyszały szurgot nóg, do izby wprowadzono bladego starca, wybladłego i osłabłego. Był to Ghysbrecht van Swieten. Katarzyna krzyknęła na jego widok i zarzuciła fartuch na głowę, Małgorzata drgnęła i odwróciła oczy, aby na niego nie patrzeć.

Nieoczekiwany gość szepnął słabym głosem:

- Dobrzy ludzie, umierający człowiek przyszedł prosić was o przebaczenie.

- Chodź tu, przyjrzyj się swej robocie, podły - rzekła Katarzyna, opuszczając fartuch i wybuchając szlochem. - Patrzcie, patrzcie, mdleje; zajmij się nią, Eliaszu, szybko.

- Nie - wyrzekła Małgorzata słabym głosem - zobaczyłam go i słabo mi się zrobiło, to wszystko. Proszę, niechaj rzecze, co ma rzec, i idzie stąd precz, albowiem to morderca, który mnie i moich najbliższych życia pozbawił.

- Niestety - rzekł Ghysbrecht - jestem za słaby, żeby mówić na stojąco, a nikt nie prosi mnie, bym usiadł.

Eliasz, który wszedł za starcem do domu, odezwał się teraz na poły ponuro, na poły się tłumacząc:

- Widzicie, burmistrzu, nie mamy w zwyczaju pozwalać gościowi stać, podczas gdy sami siedzimy. Ale człowieku, człowieku, ileż wyrządziłeś nam złego! - głos zacnego kupca załamał się od gniewu, który z trudem powstrzymywał pamiętając, że jest w swoim domu.

Wtedy Ghysbrecht znalazł obrońcę w tej, której głos nigdy nie przemijał bez echa w rodzinie Eliasza.

Odezwała się Kasia.

- Ojczy i matko - powiedziała - wiem, com wam winna, ale niedobrze postępujemy. Śmierć wyrównuje wszelakie rachunki. Czy nie widzicie śmierci na jego twarzy? I ja nie pożyję długo, kochani moi; ale jego dni bardziej policzone od moich.

Eliasz spiesznie własnymi rękami podał krzesło umierającemu wrogowi. Służący Ghysbrechta pomogli mu usiąść.

- Przynieście skrzynki - polecił.

Wnieśli dwie skrzynki i wycofali się, pozostawiając swego pana sam na sam z rodziną, którą tak okrutnie skrzywdził.

Wszyscy prócz Małgorzaty zwrócili na niego oczy. Otworzył skrzynki słabymi, niepewnymi dłońmi i wyjął z jednej z nich dokumenty. Były to tytuły własności na posiadłość ziemską w Tergou.

- Ta ziemia i domy były własnością Florisa Brandta i należą prawnie do ciebie, jego wnuczki. Przywłaszczyłem je sobie na dług od dawna już z procentem oddany. Zwracam obecnie wszystko prawnemu posiadaczowi ze łzami skruchy. Ta druga skrzynka zawiera trzysta i czterdzieści złotych dukatów, czyli należność za dzierżawę i pieniądze za zwłokę, które pobrałem z majątku Florisa Brandta ponad wysokość jego długu. Rachowałem każdy szeląg, mając zamiar ciągle krzywdę wynagrodzić, ale skąpstwo trzymało mnie za rękę. Módlcie się, ludzie zacni, brońcie przed pokuszeniem. I jam nie urodził się oszustem; ale widzicie...

- Pewnie, że widzimy! - krzyknęła Katarzyna. - I to wy, sam burmistrz! Kazaliście wychłostać niejednego złodzieja za waszych rządów! Jednakowoż - zastanowiła się - lepiej późno niż nigdy. Cożeś ogłuchła, Małgorzato? Oto dobry człek, zwraca ci twoje mienie. Jesteś bogatą niewiastą. Ale to góra złota!

- Powiedzcie mu, niech zabierze ziemię i złoto, a odda mi mego Gerarda, którego ukradł przez swą zdradę - rzekła Małgorzata, nie odwracając głowy.

- Niestety! - rzekł Ghysbrecht. - Gdybyż to było w mojej mocy! Dałem, com mógł. Czy to nic nie znaczy? Ciężko musiałem walczyć ze sobą; z łoża śmiertelnego wstałem, by uczynić to sam, aby nieszczęsny traf nie stanął pomiędzy właścicielką a jej prawem.

- Starcze - powiedziała Małgorzata - mamona była ci bożyszczem, skoroś więc zdobył się na tak twardy dla ciebie czyn, wierzę, że zyskasz przebaczenie Pana Boga i świętych jego. Ale jam nie anioł ani święta, jeno biedna niewiasta, której serce złamałeś. Przemów do niego, Kasiu, jam bowiem umarła za życia.

Kasia pomyślała chwilę i słodki, srebrny jej głos zadźwięczał jak kojąca melodia.

- Bogactwo nie może ukoić bólu mojej nieszczęśliwej siostry. Pozostawcie jej czas, burmistrz. Byłoby sprzeczne z naturą, gdyby ci wszystko przebaczyła. Jej synek bez ojca; ona zaś ni to panna, ni mężatka, ni wdowa; a dwa dni temu uderzył w nią cios, po którym jeszcze krwawi jej serce.

Jedynie bolesny szloch Małgorzaty był komentarzem do tych słów.

- Pozostawcie jej zatem czas! Nim umrzesz, wybaczy ci wszystko, zrobi to choćby dla mnie, która niedługo pewnie was przeżyje, burmistrzu. My zaś, srodze zranieni, ale nie tak śmiertelnie jak Małgorzata, przebaczymy ci skruszonemu przed śmiercią; ja zaś od tej chwili będę się modlić za tobą; odejdz w pokoju.

Małeńka wyrocznia rodziny przemówiła; to wystarczyło wszystkim. Eliaz poprosił gościa, aby skosztował bułki i wypił z nim dzban wina, co dodałoby mu sił przed podróżą.

Ghysbrecht odmówił jednak i rzekł, że to, co uczynił, jest dlań kordialem.

- Człowiek niewiele widzi przed sobą, sąsiedzie. Ta ziemia, na której tak mi zależało, była dla mnie całe życie gniazdem pokrzywy. Pozbyłem się tej zmory i jestem szczęśliwy po stracie - rzekł.

Zawołał swych ludzi i wynieśli go w lektyce..

Po jego wyjściu Katarzyna napawała się widokiem złota. Nigdy w życiu nie widziała tylu pieniędzy naraz i była prawie rozgniewana na Małgorzatę, że „siedzi jak malowana lala”. Rozwodziła się na temat korzyści, jakie daje pieniądź.

Tak długo wreszcie dokuczała Małgorzacie, że ta w końcu zgodziła się podejść i popatrzeć.

- Zostawcie ją lepiej w spokoju, matko - rzekła Kasia. - Jakże ma się rozkoszować złotem, gdy serce ciąży jej w piersi ołowiem.

Ale Katarzyna upierała się. Małgorzata spoglądała wreszcie zdumionymi oczami na bogactwo. Załamała ręce i krzyknęła rozdzierająco, boleśnie:

- Za późno! Za późno!

Otrząsnęła się z przygnębienia po to tylko, aby w ataku histerycznej rozpaczki oplakiwać majątek, który przyszedł za późno, aby mogła podzielić go z ukochanym.

Garść tego złota, skrawek tej ziemi przed rokiem czy dwoma, gdy należały do niej przecież tak samo jak dziś, a Gerard nigdy nie odszedłby od niej do Italii ani w żadne inne kraje. - Za późno! Za późno!

Rozdział XCIII

Parę dni później nadeszła wiadomość o śmierci i pogrzebie pani Małgorzaty van Eyck. W ostatniej woli, sporządzonej przed rokiem, zapisała cały swój majątek, po pokryciu kosztów pochówki i upominków dla Reicht Heynes, „drogiej córce, Małgorzacie Brandt”, zobowiązując ją do zatrzymania Reicht, póki dziewczyna nie wyjdzie za mąż. Małgorzata odziedziczyła wspaniale umeblowany dom, obrazy i szkice, które w naszych czasach stanowiłyby fortunę. Wśród nich sławne malowidło warte dla niej więcej niż cała galeria

innych: przedstawiało Zaręczyny. Uroczysta ceremonia naznaczyła piętnem powagi twarz mężczyzny, a wstydliwą radością buzię dziewczyny. Prawie cała postać niewieścia była dziełem Małgorzaty van Eyck, resztę namalował Jan. Niezwykła precyzja szczegółów stanowi cud umiejętności malarskiej do dnia dzisiejszego. Małgorzata Brandt napisała parę słów do Reicht, prosząc, aby czekała na nią, aż znajdzie w sobie dość sił, aby przestąpić znowu próg tego domu, znieść nieobecność twarzy i głosu, który zawsze ją tam witał; prosiła też o szczególną opiekę nad obrazkiem „szafkowym” (mając na myśli dyptyk).

Łukasz Peterson powrócił do domu i dowiedział się, że Gerard został mnichem.

Chłopak mało nie oszalał z radości. Przyszedł do Małgorzaty i rzekł:

- Nie trąpcie się, pani moja. Jeśli on nie może poślubić, ja mogę.

- Wy? - spytała Małgorzata. - Dlaczego, przecie go widziałam.

- Ale jest zakonnikiem.

- Był mym małżonkiem i ojcem mego syna o wiele wcześniej, nim został mnichem. I ja go teraz widziałam, widziałam go.

Łukasz całkiem stracił kontenans.

- Wiecie, co wam powiem - rzekł - mam krewniaka, zna się na prawie. Pójdę do niego i zapytam, czyście panna czy mężatka.

- Zapytam swojego serca, nie prawnika. Tak mnie szanujesz, a chcesz podać na języki całego miasta. A fe!

- Dawno już plotkują bez mojej pomocy.

- Ale nie tacy, którym na moim szacunku zależy. Jeśli to zrobisz, nigdy tu więcej nie przychodź.

- Tak - westchnął Łukasz. - Jesteście dla wszystkich jak gołąbka, jeno dla mnie tyranem o sercu z kamienia.

- To jeno twoja wina, miły Łukasz, wszystko przez te zaloty. To jedno nie pozwala mi okazać wam tyle dobroci, ile bym pragnęła. Posłuchaj mnie, Łukasz, mój dobry chłopcze. Jestem teraz bogata, mogę dać szczęście moim przyjaciołom, jeno sobie pomóc nie mogę. Rozejrzyj się w sąsiedztwie i po parafii. Wiele tu dziewcząt dwa razy ode mnie ładniejszych, nie zniszczonych łzami. Nie patrz na byle kogo; wybierz rozsądnie. Porozmawiaj z dziewczyną, a ja ułożę się z jej matką i nie odmówię ci, masz moje słowo.

- Rozumiem, co macie na myśli - odparł Łukasz czerwieniąc się aż po korzonki włosów. - Jeżeli nie chcecie mnie poślubić, nie potrzebuję waszych pieniędzy. Byłem waszym sługą, gdy byliście tak biedna jak ja, a nawet biedniejsza. Lecz, jeżeli wolicie być kochanką mnicha niż żoną uczciwego człowieka, toście inna niewiasta, jakem sądził; rozstańmy się

więc bez złości: szukajcie pociechy na onej drodze, na której jeszcze żadna niewiasta szczęścia nie znalazła; co zaś do mnie, to przeżyję życie i umrę jak człek bezzenny. Żegnajcie, pani.

- Do widzenia, drogi Łukasz, niech ci Bóg przebaczy twe słowa.

Przez kilka dni Małgorzata równie mocno obawiała się, jak i pragnęła oczekującej ją rozmowy z Gerardem. Mówiła do siebie: „Nic dziwnego, że trzyma się czas jakiś na uboczu, i ja bym tak postąpiła. Chyba przecie słyszał, że jest ojcem”; pragnienie, by zobaczyć ich synka, powinno przewyciężyć wszystkie inne. „Jeżeli - mówiła sobie dalej biedna dziewczyna - to spotkanie mnie nie zabije, będę się chyba lepiej czuła potem niż teraz”.

Lecz gdy przemijał dzień za dniem i nie było słyhać o Gerardzie, mrozące krew w żyłach podejrzenie poczęło zakradać się do jej duszy. A co się stanie, jeśli jego nieobecność była zamierzona? A jeżeli poszedł po radę do swych towarzyszy, mnichów o wystygłej krwi, i ci nakazali mu nigdy już jej nie oglądać? Klasztor jak dotąd okazał się dla wiernych kochanków bezlitosny jak grób.

Na tę myśl czuła, że życie z niej uchodzi.

Po raz pierwszy teraz głębokie oburzenie zaczęło się niekiedy mieszać z żalem i obawą. „Czy kochał mnie kiedykolwiek? Czyż mógł bez słowa odejść ode mnie i chłopca? Przecie ten biedny Łukasz więcej o mnie myśli niż on”.

W tym stanie ducha zastał ją Idzi, który wpadł, rycząc:

- Trafiłem w sam cel, nasz Gerard jest wikarym w Goudzie.

Krótki szkic dworskiego żywota naszego karła wystarczająco przygotowuje czytelnika do wyrobienia sobie własnego poglądu na ów wyczyn.

Parę miesięcy przed przybyciem na dwór inteligencja chłopca zaczęła się rozwijać. Sam datował ów przełom od dnia ósmego czerwca. Huśtał się na grubej linie, uczepony swoim zwyczajem jedną ręką wśród tygodniowego prania wiszącego na strychu, i nagle poczuł, że coś mu trzasnęło w głowie - tak oto wyzwoliły się w nim nowe walory umysłowe. Na dworze książęcym spryt, przenikliwość i zuchwalstwo karła wraz z potężnym głosem i nikczemną postacią uczynniły zeń potęgę. Bez tej ostatniej cechy poprzednie doprowadziłyby go do owej znenawidzonej gimnastycznej huśtawki, szubienicy. Młoda księżna Burgundzka i następczyni tronu Maria rozpieszcząły go, tak jak rozpieszcząły karłów wielkie damy we wszystkich epokach. Dworski poeta przypochlebiał się, wysmażył tyle sześćciozłoskowców i obsypał karła tyłoma z nich, że można by nimi opisać Goliata. Rozwinął nawet, przybrał w rymy i zeufemizował niewyszukane sentencje, które mu dyktował Idzi.

Rozwlekły tasiemiec, który zrodził się z tej współpracy, przesłano w liście Eliaszowi pod takim oto tytułem:

Wielmożnej i potężnej księżniczce Marii

Bwgundzkiej wierny lutnista uniżony ukłon przysyła i tę pochwałę sielskiego żywota, w rymy ustrojoną i ułożoną przeze mnie, lutnistę kochającego i wiernego sługę itd., itd.

Karzeł stanął u szczytu swej władzy, szczęśliwie łącząc sprawność umysłu i mięśni, a mianowicie:

Dzień przed wielkim dworskim turniejem wyzwiał należącego do diuka olbrzyma na próbę siły. Zakład ten wywołał dotkliwe szyderstwa, ale i niemałe zainteresowanie.

Idzi wbił już w ziemię wysoki słup, o oznaczonej godzinie wspiał się do góry jak wiewiórka, zawisł na swym silnym ramieniu całym ciałem pod kątem prostym i tak pewien czas pozostał; potem ześliznął się tak szybko i zręcznie, że jej wysokość można księżniczka pisnęła i ukryła twarz w dłoniach, aby nie patrzeć na zgubę swego maleńkiego Herkulesa.

Olbrzym wylazł tylko na dziesięć stóp w górę, po czym popatrzał trwożnie do góry i na dół i zszedł zlaný potem, aby wybronić sprawę.

- Udało się karłowi nie dla większej siły, lecz mniejszego ciała. Widzowie przyjęli to wyjaśnienie głośnym szyderstwem. Fakty mówiły co innego: karzeł był wspaniały, gdy piął się po słupie, olbrzym jeno dzielny w wymówkach. Krótko mówiąc, Idzi zmierzył inteligencję obu rywali: sprawnością swego ciała oczywiście.

- Chodź - powiedział - zmierzymy teraz siły, stanę do zapasów, jeżeli pozwolisz mi zawiązać sobie oczy.

Olbrzym zmartwiony porażką i pewny, że teraz tym sposobem zwycięży, chętnie się zgodził.

- Pani - rzekł Idzi - czy widzisz tego ślepego Samsona? - Gdy jeno dam znak, ukłoni mi się nisko i odkryje głowę.

- Jak może to uczynić, gdy ma zakryte oczy? - spytała dama dworu.

- To już moja rzecz.

- Stawiam na Idziego - oznajmiła księżniczka.

Gdy stanęły już liczne zakłady pro i contra, Idzi rąbnął olbrzyma w brzuszysko. Tamten zgiał się w pół (ukłon) i spadła mu czapka z głowy.

Widzowie wyszli z zachwyty na widok tak subtelnego dowcipu, a Idzi wziął nogi za pas. Olbrzym ruszył za nim, gdy tylko dech odzyskał, i zerwał opaskę z oczu. Było jednak za późno; Idzi przygotował sobie małe drzwiczki w ścianie, przez które przeszedł z łatwością, co było oczywiście niemożliwe dla olbrzyma, i pomalował je tak przemyślnie, że nie można ich

było odróżnić od ściany; teraz otworzy! te drzwiczki, uciekł na łeb, na szyję, bez śladu, zostawiając napis dużymi literami na odwrotnej stronie owych przemysłnych drzwiczek.

Długie nogi, wielkie cielsko, dowcip kiepski wszystko to mały pobije chłopak, jeśli jest łebski.

Po tym turnieju Idzi stał się siłą.

Resztę opowie nam sam.

Widząc, że Małgorzata nie bardzo jest skłonna uwierzyć w dobre nowiny, szczególnie zaś wyraża sceptycyzm co do wpływu karła na sprawy Kościoła świętego, karze! rzekł, co następuje:

- Gdy księżniczka, jak ma we zwyczaju, poleciła mi przyjść do alkowy i zabawić ją, aby mogła się pozbyć nudy i melancholii - zamiast okazać wesołość i opowiadać ludowe przypowiadki, co należało do moich obowiązków, przyszedłem smutny i posepny jak noc. „Co ci? - powiada pani. - Jesteś chory?” „Na serce” - powiadam. „Ach, niestety, zakochał się” - powiada pani. Na to pięć bezczelnych dziewczuch, które tam nazywają dworskimi pannami, zaczyna głośno chichotać. „Taki głupi nie jestem - powiadam. - Widzę przecie, co się dzieje na dworze w babskim świecie”. „Moje panie - powiada księżniczka - lepiej go nie zaczepiajcie. Hojny to młodzian, zawsze więcej zuchwalstwa odda, niżli przyjmie. Czemuś smutny - pyta znowu. - Co ci się stało?” Powiedziałem, że tak sobie dumam, czemu to zwykli ludzie mogą od czasu do czasu dotrzymać słowa, a książęta nigdy. „Ejże! Wysoko dziś latają twe strzały” - mówi. A ja na to: „Tak, bo celuję w prawdę”.

Księżniczka rzecze, że spryciarz nad spryciarzami, ale nie przystoi, bym jej zagadki zadawał, ani też nie uchodzi jej na nie odpowiadać. „Oddalcie się nieco, mesdames - rzecze - a ty mów bez obawy” - widziała bowiem, że naprawdę smutny. Trochę zacząłem szczerkać zębami, bo widzicie, taka może odebrać wolność czy obdarzyć godnością prędzej, niż potrafi zmienić poranną szatę na książęcy strój. Przeto postarałem się mówić słodkim jak miód głosem (czemu się uśmiechasz?) i powiadam: „Pewnego wieczoru, przed pięciu laty, siedzieliście, pani, wraz z matką waszą księżną Charolais, która - niestety - przebywa dziś w niebie, wy ze swą lutnią, księżna pani z robotą tkacką czy czymś podobnym. Czy przypominacie sobie, pani, że przybył wówczas piękny młodzieniaszek z listem polecającym od malarki, niejkiej Małgorzaty van Eyck?” Powiedziała, że chyba sobie przypomina. „Czy był to wysoki chłopiec niezwykłej urody?” „Tak, pani - rzekłem. - To był mój brat”. „Twój brat? - powiada i ogląda mnie z góry na dół” (Z czego się śmiejesz?). Teraz powtórzyłem wszystko, co mówiła do Gerarda i on do niej: o tym, jak chciała go obdarzyć biskupstwem, a dobra księżna rzekła: „Powoli, Mario! Jest jeszcze za młody” i wtedy obie damy przyrzekły

mu prebendę. „I oto, powiadam, jest już dłuższy czas księdzem, a prebendy nie ogląda. Stąd moja gorycz”. „Niestety - rzekła. - To nie z mojej woli. Wszystko, coś rzekł, czysta prawda, pamiętam nawet, jak moja dobra matka powiedziała: «uczyn tak, gdy mnie już nie stanie»,. I rozplakała się. „Matko ukochana, ani jedno twoje słowo nie przeminie bez echa”. Widząc, że już się skłania, rzuciłem co prędzej: „Pani, przed tygodniem umarł wikariusz z Goudy. (Kiedy bowiem zabiegasz o łaskę możnych, musisz wiedzieć dokładnie, do czego zmierzasz)”. „Zatem twój brat jest wikarym w Goudzie - powiada - z taką pewnością jak ja następczynią tronu Burgundii i Niderlandów. Nie mnie dziękuj, miły Idzi - powiada - jeno mej zacnej matce. To ja ci dziękuję, żeś dał mi okazję uczynienia czegoś dla jej pamięci”. I zaczyna płakać za swą dobrą matką, a ja pochlipywałam na myśl o dobrym bracie, którego tak bardzo kocham, i z dumy, że biedny mały karlik jak ja potrafi szepnąć co należy księżniczce i uczynić mego pięknego brata wikarym w Goudzie; ach, dziewczyno, piękne to miejsce i piękna plebania, i kwitnące głogi wiosną, i dzika róża, głóg w każdym żywopłocie latem. Wiem, co się temu głuptasowi podoba, moja w tym głowa.

Karzeł rozpoczął swe opowiadanie, biegając tam i z powrotem przed Małgorzatą, zakończył je zaś w jej ramionach. Dziewczyna nie mogła opanować wzruszenia, chwyciła braciszka i uściskała serdecznie.

- O Idzi! - zawołała, rumieniąc się i całując chłopaka - nie mogę się powstrzymać, aby cię nie uścisnąć. Takie maleńkie masz ciało, a tak wielkie serce! Jesteś prawdziwym przyjacielem Gerarda. Bóg ci zapłać, Bóg zapłać, Bóg zapłać! Teraz go obaczmy! Nie widzieliśmy go od owego okropnego dnia.

- Dzięki! trochę to dziwne - orzekł Idzi. - Może się wstydzi, że przeklął tych dwóch łobuzów, którzy jednak na nieszczęście są jednej z nami krwi.

- Myślisz, że dlatego się ukrywa? - zapytała z przejęciem Małgorzata.

- Tak, jeżeli w ogóle się ukrywa. Na wszelki wypadek każę obębnić jego imię.

- Ach, nie, może go to urazić.

- A mnie co to obchodzi? Gouda ma czekać na wikarego, a plebania pokrzywami zarastać?

Tak więc, ku cichemu zadowoleniu Małgorzaty, Idzi polecił obwołać nowego wikarego w Rotterdamie i w okolicznych miastach.

Udało mu się bez trudu przekonać Małgorzatę, że za dzień lub dwa Gerard z pewnością odezwie się i zgłosi na swą prebendę. Poszła obejrzyć plebanie i rozmyślała, jak wygodnie można by ją dla niego urządzić, i jak chętnie sama by tu gospodarzyła.

Ale dni mijały, a Gerard nie zjawił się ani w Rotterdamie, ani w Goudzie. Idzi był strapiony, Małgorzata oburzona i bardzo zrozpaczona. Mówiła do siebie: „Wrócił do domu myśląc, że umarła, a teraz, jako że żyję, uciekł do Italii; jestem pewna, że tam właśnie poszedł”.

Joanna radziła odwiedzić pustelnika z Goudy.

- Po co? Na pewno umarł do tej pory.

- Możliwe, że umarł. Ale jaskinia nigdy długo nie jest pusta, nigdy nie brakuje pustelnika w Goudzie.

Ale Małgorzata nie chciała raz jeszcze wędrować do Goudy. Nie wierzyła, że się czegoś dowie.

- Cóż może wiedzieć człek zamknięty w jaskini. Mniej niż ja na pewno. Gerard odszedł z powrotem do Italii. Nienawidzi mnie za to, że umarła.

Niedługo później odwiedził Małgorzatę ktoś z Tergou, przynosząc wiadomość od Katarzyny, że Ghysbrecht van Swieten widział Gerarda później niż wszyscy inni. Wobec tego Małgorzata zdecydowała się odwiedzić Tergou, obejrzeć dom, mienie zapisane w spadku i zabrać Reicht Heynes do Rotterdamu. I jak łatwo się domyślić, najpierw wstąpiła do domu Ghysbrechta. Znalazła go w ogrodzie, odpoczywał tam w wózku na kółkach. Pozdrowił ją słabym głosem, lecz serdecznie; i gdy zapytała, czy naprawdę widział Gerarda po piątym sierpniu, odparł:

- Już nie Gerarda, lecz zakonnika Klemensa. Tak, widziałem i błogosławię dzień, w którym wszedł do mego domu.

Potem opowiedział własnymi słowami o spotkaniu z Klemensem, a także o tym, że zakonnik wyznał mu później, że przybył do Tergou z zaginionym dokumentem na piersi, aby zmusić go do oddania zagrabionej ziemi, ale stwierdziwszy, że grzesznik jest skłonny do skruchy, zabrał się w inny sposób do dzieła.

- Czy to nie święty człowiek? Przybył tu, aby oddać ci sprawiedliwość, ale przy tej okazji postarał się zbawić duszę swego wroga. - Na jej zapytanie, czy poznał Gerarda, odrzekł:

- Nawet mi do głowy nie przyszło. Dopiero, gdy spędził tu ze mną trzy dni, sam ujawnił prawdę. Posłuchaj, jak głoszę swój wstyd i jego chwałę. Rzekłem mu: „Ziemia wróciła do właścicielki i na sercu mi ulżyło, ale jest jeszcze jedna wina, która mnie gnębi” - i opowiedziałem o liście, którym napisał na prośbę jegp braci, mimo iż miałem obowiązek ich powstrzymać. Rzekłem: „Ten list napisano, aby rozdzielić wiernych kochanków, i z diabłą pomocą spełnił on swe nikczemne zadanie. Ziemię i domy mogę oddać, ale ta podłość

dokonała się na zawsze”. „Nie - zaprzeczył - nie na zawsze, jeno na czas życia. Żałuj tego, pókiś żyw”. „Będę pokutował, ale jakże może mi to Pan Bóg wybaczyć? Ja bym na Jego miejscu nie przebaczył”. „On jednak na pewno ci odpuści - mnich na to - jest bowiem dziesiątki razy wyrozumiały ode mnie, a ja ci przebaczam”. Spojrzałem zdziwiony, a on rzekł łagodnie, choć nieco załamującym się głosem: „Ghysbrechcie, przyjrzyj mi się uważnie. Jam Gerard, syn Eliasza”.

Przyglądałem się, przyglądałem i zaiste! był to Gerard zaprawdę. Padłem mu do nóg ze wstydem i skruchą, ale nie pozwolił mi na to. „Nie uchodzi moim ani twoim latom. Nie wybaczyłem ci bez walki wewnętrznej, nie jestem świętym. Te jednak trzy dni, któreś poświęcał pokucie, strawiłem na modlitwie pod twoim dachem i niosę ci wybaczenie”. To są jego własne słowa.

Małgorzata zalała się łzami, ponieważ starzec złamanym i pełnym skruchy głosem opowiedział o tym nieoczekiwanym zachowaniu się Gerarda.

- I zaraz potem mnie pożegnał - mówił dalej Ghysbrecht.

- „Praca ma zakończona” - rzekł. Nie miałem odwagi go zatrzymać, nawet gdy już przebaczył, mój widok musiał być mu trucizną. Opuścił mnie w spokoju i oby, gdziekolwiek się pojawi, szło za nim błogosławieństwo umierającego starca. Ach, dziecko, gdy myślę o jego cierpieniach i twoich mękach, i o tym, jak odpłacił, ratując mą splamioną duszę - serce mi pęka od wyrzutów sumienia, a stare oczy leją łzy w nocy i we dnie.

- Ghysbrechcie - rzekła płacząc Małgorzata - jeżeli on ci wybaczył, i ja ci przebaczam. Co się stało, to się nie odstanie; a ty rzekłeś mi dziś słowa, po które poszłabym chętnie na kraj świata. Burmistrzu, jesteś mądrym człowiekiem, pomóż biednej niewieście, która ci wybaczyła swe męczarnie.

Opowiedziała mu, co zaszło.

- Nie będą trzymali dla niego wiecznie tej prebendy. Robi wszystko, aby ją utracić i złamać nam wszystkim serca!

- Wołaj służącego - rzekł burmistrz i nagle jakby odzyskał siły.

Posłał tegoż po stół i przybory do pisania i podyktował listy do burmistrzów wszystkich głównych miast w Holandii, a oprócz tego pisma do swego przyjaciela, poważnego urzędnika pruskiego. Pisarz miejski z pomocą Małgorzaty sporządza! owe pisma, a burmistrz je sygnował.

- Roześlemy je teraz po wszej Holandii przez zaufanych gońców - powiedział - jak również do Bazylei w kraju Szwajcarów; nie obawiaj się, rychło miasto Gouda powita swego wikarego.

Powróciła do domu ożywiona świeżą nadzieją, oskarżając się sama o niewdzięczność wobec Gerarda. - Dopiero teraz cenię moje bogactwo - rzekła.

I postanowiła nigdy nie potępiać czynów, dopóki z jego własnych ust nie usłyszy wyjaśnienia przyczyn.

Niedługo po powrocie z Tergou nowa klęska spadła na rodzinę. Katarzyna, muszę tu uprzedzić fakt, w tajemnicy porozumiała się z parszywymi owcami już następnego dnia po ich wypędzeniu; Korneliusz udał się za nią do Tergou i żył tam z cichych jej zasiłków; Sybrandt wolał pozostać w Rotterdamie. Katarzyna przed wyjazdem poprosiła Małgorzatę o pożyczenie dwóch złotych dukatów.

- Widzisz - rzekła - wydałam wszystko, co miałam. Małgorzata z radością pożyczyłaby czy też dała złoto; ale nie potrafiła wyrzec słowa, dojrzawszy smutny i żalony wyraz twarzy Kasi, gdyż rozumiała, dokąd pójdą jej pieniądze. Dała Katarzynie dukaty, poszła na górę i zamknęła się tam z synkiem. Pieniądze te miały wystarczyć Sybrandtowi, dopóki matka nie znajdzie jakiejś godziwej wymówki do ponownych odwiedzin w Rotterdamie, a wtedy przywiozłaby wstrętnemu leniowi trochę pracowicie zaoszczędzonych groszy.

Lecz Sybrandt, poczuwszy złoto w kieszeni, sądził, że nigdy mu go nie zbraknie, i utraciwszy ostatki hamulców, prowadził zupełnie szalone życie; wreszcie któregoś popołudnia podczas pijackich igraszek wdrapał się na dach stajni przy oberży, w której hulał z kompanami, i popisywał się spacerkiem dokoła budynku, czego potrafił nie raz jeden dokonać na trzeźwo. A tym razem niepewny mózg spowodował niepewny krok i pijak stoczył się z dachu; spadł ciężko na ogrodzenie z pali, zawisł na nim przez chwilę, potem przekoziółkował i cicho leżał na ziemi wśród ryków śmiechu swej wesołej kompanii.

Gdy go podnieśli, nie mógł stanąć, padał znowu; chichotali przy każdej następnej próbie.

Potoczyli się z rykiem w dół ulicy i donieśli pijaka z dużym ryzykiem następnego upadku do sklepu na Hoog Straet. Rozpapał bowiem własną hańbę po całym mieście.

Gdy ujrzał Małgorzatę, czknał jej w twarz:

- Tu jest doktor; co wszystko kuruje; zacna dziewczucha. Prosił, aby zauważyła, że nie ma do niej urazy, ponieważ złożył jej wizytę całkiem wbrew swej woli.

- Odeślij precz te pijanice, dziewczyno, podaj szklaneczkę dla mnie i dla siebie, utopimy wszystkie żale.

Małgorzata bladła i czerwieniała na przemian na widok swego wroga i jego bezczelności. Ale jeden z mężczyzn szepnął, co się stało, i zwrócił uwagę na skurcz w twarzy Sybrandta.

- Nie może stać, powiadacie?

- Dotąd nie mógł. Spróbuj, kamracie, bądź mężczyzną.

- Jestem dzielniejszym mężczyzną od ciebie - ryknął Sybrandt. - Zaraz stanę i pobiję was wszystkich za jedną koronę.

Stanął na nogi i natychmiast z żalnym jękiem potoczył się w ramiona swego towarzysza. Zaczął tedy przeklinać swą wesołą kompanię, krzycząc, że ukradli mu nogi.

- Niczego nie czuję od pasa w dół.

- Niestety, nieszczęśniku - rzekła Małgorzata, odwróciła się poważnie do mężczyzny i powiedziała: - Zostawcie go tutaj, jeżeli przyczyniliście się do tego, odejdźcie na kolanach, bowiem zniszczyliście go na całe życie. Nigdy już nie będzie chodził. Złamał pacierz.

Gdy pijak chwycił sens tych słów, zniknął z jego twarzy głupi wyraz upojenia, groza wyrzała mu z oczu.

- Przekleństwo - jęknął. - Przekleństwo!

Małgorzata z pomocą Reicht Heynes przeniosły go ostrożnie i ułożyły na miękkim posłaniu.

- Muszę tak postępować, tak jak o n by postąpił - szepnęła Małgorzata. - On był przecież dobry dla Ghysbrechta.

Diagnoza młodej kobiety sprawdziła się. Kręgosłup Sybrandta był groźnie uszkodzony. Leżał teraz bezbronny i jęczący pod opieką i na utrzymaniu tej, którą tak głęboko skrzywdził.

Zawiadomiono rodzinę w Tergou i Katarzyna natychmiast przybyła do Rotterdamu.

Cios był dla niej tym dotkliwszy, że sama czuła się winna.

- Jakże ze mnie fałszywa żona i słaba matka! - krzyczała. - Słusznie jestem ukarana za zdradę mego biednego męża.

Siedziała godzinami przy łożu syna, kiwając się w ponurym milczeniu; nigdy już nie wróciła całkowicie do siebie, od tej chwili zaczęły się pojawiać pierwsze siwe włosy na jej skołatanej głowie.

Zaś Sybrandt teraz marzył o zobaczeniu Gerarda. Skomlał przed Małgorzatą jak cierpiący pies.

- Och, miła Małgorzato, och, miła Małgorzato, na miłość Panny Najświętszej odnajdź Gerarda i każ mu zdjąć ze mnie przekleństwo. Jesteś taka szlachetna, taka dobra, wstaw się za mną, on ci niczego nie odmówi.

Katarzyna podzielała wiarę, że Gerard mógłby go uzdrowić, i przyłączała się do tych próśb. Małgorzata nie potrzebowała zachęty. Gdy zawiodły próby wysłanników burmistrza, najęła własnych, rzucała pieniędzmi na wszystkie strony. Zgłosił się znowu biedny Łukasz. Spotkała go pewnego dnia smutnego i wynędzniałego, przemówiła do niego ze współczuciem. Rozplakał się i powiedział, że nigdy jeszcze nie był tak nieszczęśliwy; prosił, by znowu zostali przyjaciółmi, wszystko jedno na jakich warunkach.

- Drogi chłopczepremówiła doń ze smutkiem Małgorzata - czemu nie potrafisz sobie rzec: otom jej małym bratem, a ona starszą, zamężną, zniszczoną troskami siostrą? Tak jeno powiedz, a będę wyrozumiała, będę lubić cię, uczynię szczęśliwszym niż księżę.

- Niech i tak będzie - rzekł z pasją Łukasz. - Lepiej tak niż w ogóle być od was z daleka. Każcie mi coś zrobić dla was, to dla mnie najważniejsze. Może będę miał teraz więcej szczęścia.

- Znajdź mi mą umowę ślubną - poprosiła Małgorzata i w jednej chwili posmutniała.

- To tyle, jakbyście rzekli: przyprowadź mi go! Bo umowa tam, gdzie on.

- Niekoniecznie. Może nie chcesz mnie widzieć, ale z całą pewnością nie odmówi biednej niewieście, która go niegdyś kochała, jej ślubnej umowy. Jakżeż bez tego dokumentu mogłaby wejść do domu uczciwego mężczyzny?

- Zdobędę tę umowę, jeżeli jeno jest w Holandii - zgodził się Łukasz.

- Może równie dobrze być w Rzymie - odparła Małgorzata.

- Zacznijmy od Holandii - zauważył ostrożnie Łukasz. Słodki tyran zaopatrzył niewolnika miłości w fundusze i Łukasz znowu wyruszył na wędrówkę, trudniąc się bednarką, ciesiołką i wszędzie szukając Gerarda.

- Nie będzie mi gorzej, gdy znajdę tego włóczęgę, a może nawet krztynę lepiej.

Mijały miesiące, Sybrandt poprawiał się pod względem charakteru, ale nie zdrowia. Przez całe życie musiał już liczyć na opiekę Małgorzaty. Trwały, beznadziejny smutek padł na biedną Katarzynę, pochyliła się pod nim i ugięła. Zatraciła swój doskonały, szczery i czynny styl życia, nigdy już nie krzątała się śpiewając po domu. nerwy miała stargane, żyła w stałym przerażeniu, oczekując, że jakieś straszne nieszczęście musi spaść na Korneliusza. Przekleństwo przecież dotyczyło go w takiej samej mierze jak Sybrandta.

Poprosiła Eliasza, aby przyjął Korneliusza do domu, jeżeli jej wieloletnia wierność ma dla niego jakąś wartość, a jej zezwolił pozostać czas jakiś w Rotterdamie.

- Mam tu dobre córki - mówiła - ale Małgorzata jest taka czuła i rozsądna, a mały Gerard to moja radość. Co dzień robi się bardziej podobny do ojca i jego szczebiotanie rozwesela me udręczone serce; tak bardzo kocham dzieci.

Eliasz szorstki, lecz dobroduszny, zgodził się pełen smutku. Parafianie z Goudy wnosili do księcia petycję o wikarego, o wikarego rzeczywistego.

- Nasz się u nas nigdy nie pokazuje - mówili - przez całe sześć miesięcy; dzieci umierają nie ochrzczone, umarli muszą się obywać bez pochówku, chyba że przypadkiem jakiś ksiądz zawadzi o nasze miasteczko.

Idzi swymi wpływami sprawił odrzucenie tej słusznej skargi, ale przygotowywano drugą petycję i karzeł powiadomił Małgorzatę, iż mało ma nadziei, aby udało się utrzymać obecną sytuację choćby dzień dłużej.

Małgorzata zasmucona odwiedziła znowu piękną plebanię, aby po raz ostatni popatrzeć na nią, zanim na zawsze przejdzie w obce ręce.

- Myślę, że mógłby tu być szczęśliwy - powiedziała i odeszła z sercem pełnym żalu.

Po jej powrocie Reicht Heynes zaproponowała, aby Małgorzata poszła prosić o radę pustelnika.

- Znowu była u ciebie Joanna - stwierdziła Małgorzata. - To jej pomysły z pustelnikiem. Pójdę jeno po to, żeby ci pokazać, że nie wie więcej od nas. - I obie powędrowały do pieczary.

Była to jaskinia w części naturalna, w części sztucznie wykuta w zboczu skalnym, porośniętym głógiem. Miała proste, kamienne drzwi na zawiasach, małe okienko wysoko w górze i dwie szczeliny: przez jedną z nich wierni składali dary i zadawali najrozmaitsze pytania eremicie, odpowiedź zaś (jeśli chciał jej udzielić) dobiegała ich zniekształcona i potworna przez drugą wąską szczelinę.

Z przodu wykuto w skale:

Małgorzata zwróciła uwagę towarzyszy, że napis jest nowy, nie widziała go, będąc tu ostatnim razem.

- A jakże - rzekła Reicht - możliwe - i popatrzyła w górę na werset z pobożnym szacunkiem. Sądziła, że już pisanie na papierze jest sztuką nie lada, a co dopiero na skale!

Szepnęła: - To jeszcze bardziej święty pustelnik od ostatniego; tamten schodził od czasu do czasu do miasta; ten jednak nigdy nie pokazał twarzy żadnemu śmiertelnemu człowiekowi.

- I to jest świętość?

- Na pewno.

- Jakże więc święty musi być borsuk.

- O pani! Czyż można porównywać zwierzątko do człowieka!

- Chodź, Reicht - rzekła Małgorzata. - Zbyt wielu rzeczy nauczył mnie mój biedny ojciec. Ja tu sobie posiedzę, raz jeszcze rzucę okiem na plebanię. Idź dalej sama i zapytaj twego samotnika; powtórzysz mi, czyś się w ogóle nic nie dowiedziała od niego, czy głupstwo jakoweś, albowiem na jedno wyjdzie.

Reicht podeszła do jaskini; przez szparę wyleciały spłoszone ptaki. Wydała cichy okrzyk i wskazała palcem, aby Małgorzata dostrzegła, że wyfrunęły z pustelni. Małgorzata nabrała pewności, że w jaskini nie było żywej duszy, przestała zwracać na nią uwagę i zamyśliła się głęboko, patrząc na małą plebanię.

Zbudziła się z marzeń, poczuwszy dłoń Reicht na swym ramieniu i usłyszawszy omdlałym głosem wypowiedziane słowa:

- Chodźmy do domu.

- Nic ci nie odpowiedział, prawda Reicht? - powiedziała spokojnie Małgorzata.

- Nic, Małgorzato - rzekła zgnębiona Reicht. Skierowały się ku domowi.

Małgorzata musiała jednak potajemnie żywić jakąś słabą nadzieję w sercu, choć odrzucała ją rozumem; wróciła bowiem do domu jeszcze bardziej przygaszona.

Wchodziły właśnie do Rotterdamu, gdy Reicht powiedziała:

- Zaczekaj, Małgorzato, nie umiem nic ukryć, tak mi ciężko jednak przekazać ci złą wiadomość, tak bardzo cię kocham.

- Mów, najmilsza - odparła Małgorzata. - Tyle już przeszłam, że prawie nie odczuwam nowych trosk.

- Małgorzato, pustelnik do mnie przemówił.

- Tam jest pustelnik? Wśród tych ptaków?

- Tak, a czyż to nie świadczy o jego świętości?

- Na litość Boską, mów wreszcie, co ci powiedział, Reicht?

- Niestety, Małgorzato, opowiedziałam mu twoją historię i poprosiłam go w imię Matki Najświętszej, żeby powiedział, gdzie jest twój Gerard. Długo czekałam na odpowiedź, wreszcie słyszę głos jak z trąby anielskiej: „Módl się za duszę Gerarda, syna Eliasza”.

- Ach!

- Och, biada mi, zem musiała ci to rzec, miła Małgorzato. Pamiętaj, że masz syna, masz dla kogo żyć.

- Pomóż mi dojść do domu - rzekła mdlejącym głosem Małgorzata.

Dochodząc do Breda Kirk Straet spostrzegły Joannę przed drzwiami.

Reicht ją zaczepiła:

- Ach, kobieto, była u twego pustelnika i usłyszała niedobrą nowinę.
- Wejdźcie do mnie - zaprosiła je Joanna, ciekawa jak zawsze ploteczek.

Małgorzata nie chciała wejść do środka. Siadła smutna na najwyższym stopniu małych zewnętrznych schodków, prowadzących do domu Joanny, pozwalając obu kobietom na górze nagadać się do woli.

- Och - twierdziła Joanna - co ten pustelnik mówi, to pewna prawda. Słyszałam, iż taki to święty człowiek, że ptaki mieszkają z nim razem.

- Czegoż to dowodzi? - szepnęła lekceważąco Małgorzata. - Widziałam, jak mój Gerard tak zimną oswajał ptaki, że jadły mu z ręki.

Przyjaciółki słysząc to porównanie, wymieniły między sobą litościwe spojrzenie. Znadto ją lubiły, aby. powiedzieć, co o tym myślą. Joanna dalej powtarzała wszystkie opowieści o świętości pustelnika. O tym, jak jedynie nocą wychodził z jaskini, modlił się wśród wilków, a te go nigdy nie zaczepiały, i jak prosił ludzi, aby mu nie przynosili jadła, jeno świeczki.

- Pali tam te świeczki przed swoim świętym - szepnęła uroczyście Reicht.

- Tak, dziewczyno, i czyta przy nich swoje księgi. Jedna moja sąsiadka widziała, jak wysuwał rękę, a ptaki siadały na niej i dziobały okruszyny. Podeszła, by ją ucałować, ale święty człek wyrwał jej dłoń w jednej chwili. Nie wolno, żeby kobieta dotknęła ani nawet spojrzała. Świętym tego nie wolno.

- Jaką miał rękę, kumo? Nie spytałaś jej?

- A od czegoż mam język? Widzisz, kochasiu, taką samą jak my wszyscy, wedle tego samego wzoru ma kciuk i cztery palce.

- Patrzcie no! patrzcie!

- Ale dużo bielsza niż twoja czy moja.

- A jakże.

- I dużo chudsza.

- Niestety!

- A jak myślałaś? Żyje przecie powietrzem, modłami i świecami.

- No cóż - mówiła Joanna dalej - biedactwo, myślę jednak, że lepiej zawsze wiedzieć choćby najgorszą prawdę. Teraz usłyszała już głos Niebios, bo to prawie to samo, i powinna modlić się za jego duszę. Jedno ważne, nie jest już taka biedna, jak była; nigdy bogactwo nie trafiło do lepszych rąk. Wróciła w dodatku do swego, jeśli o to chodzi, ma czym zapłacić księdza, żeby odprawiał msze za jego duszę, a to duża pociecha.

W czasie tych pogwarek Małgorzata, która tak była w myślach pogrążona, że słyszała tylko jakby brzęczenie much koło uszu, wstała cicho i odeszła, oczy wbiwszy w ziemię i pochyliwszy czoło.

- Zapomniała, że tu z nią jestem - zaniepokoiła się Reicht Heynes.

Przerwawszy plotki z Joanną, poszła do domu.

Zastała Małgorzatę nad robotą: skroili z szarego sukna pelerynę i kaptur. Maleńki Gerard stał obok niej, kręcił się pod lewym ramieniem, przyglądał się jej pracy, chwycił paluszkami za ramię, którym podtrzymywała sukno przy kroju. Znosiła to z niewzruszoną cierpliwością i miłością. Wyobraźmy sobie mężczyznę tak stroskanego, zmartwionego, któremu dzieciak przeszkadzałby w ten sposób.

- Co to, mamusiu?

- Pelisa, pieczoszku kochany.

- Cio to pelisia?

- Wielki płaszcz. A tu pelerynka do tego.

- Po cio to?

- Żeby mu było ciepło. A peleryna na ramiona, może też zarzucić ją na głowę, tak jak to robią wieśniacy. To dla pustelnika.

- Cio to pustelnik?

- Święty człowiek, który żyje całkiem sam w jaskini.

- Po ciemku?

- Och!

Rankiem Reicht poszła do pustelnika z pelisą i funtem grubych świec.

Gdy już była w drzwiach, Małgorzata zapytała: - Czy powiedziałaś mu wtedy, czym Gerard jest synem?

- Nie, ani słowa.

- Pomyśl, dziewczyno! Jak on mógł nazwać go Gerardem, synem Eliasza, gdybyś ty nic nie powiedziała.

Reicht stanowczo twierdziła, że wymieniła tylko samo imię Gerarda. Małgorzata orzekła prosto z mostu, że w to nie wierzy, co obraziło Reicht, i wyszła, potrząsając niechętnie głową. Postanowiła raz jeszcze przepytać pustelnika, nie wątpiła, że będzie chętnie z nią rozmawiał na widok pięknej nowej pelisy i świec.

Rychło po jej wyjściu zjawił się Idzi, przynosząc złe wiadomości. Nie można było dłużej utrzymać prebendy w Goudzie.

Małgorzata bardzo zmartwiona zwróciła się do brata:

- O Idzi, proś o jeszcze jeden miesiąc. Może zechcą poczekać jeszcze miesiąc.

Za godzinę był już z powrotem.

- Dali mi tydzień - powiedział. - Ale cóż znaczy tydzień?

- Tonący brzytwy się chwyta - odparła. Tydzień? Jeden mały tydzień?

Reicht wróciła ze swej misji zniechęcona. Wyrocznia odmówiła dalszych wypowiedzi.

W każdym razie uparte milczenie mogło być w ten sposób tłumaczone.

Następnego dnia Małgorzata zostawiła sklep pod opieką Reicht i zniknęła na cały dzień. Nie było jej również przez dwa następne dni. Nie powiedziała nikomu ani słowa, może wstyd ją powstrzymywał. Naprawdę spędziła te dni na bardzo niewielkim skrawku ziemi. Gdy plotkareczki przypuszczały, że marzy, rozważała każde słowo, które wymieniły między sobą, a umysł miała o wiele sprawniejszy, więcej potrafiła zrozumieć od nich obydwu.

Powzięła zamysł tale śmiały, że żadnej z nich nic podobnego nie przysłoby nawet do głowy. Postanowiła zobaczyć pustelnika i porozmawiać z nim bezpośrednio, nie przez ścianę. Wykryła, że obchodząc wokół będzie mogła wyjść ponad jaskinię i zajrzeć w dół nie dostrzeżona przez eremity. Gdy jednak spróbowała się przedostać, natrafiła na nieprzebytą masę kolczastych krzewów. Podarła odzież, podrapała ręce i nogi do krwi, ale nie ustąpiła. Zdecydowana, cierpliwa dziewczyna, zalana krwią, wyciągnęła nożyce i uparcie torowała wąską ścieżkę przez gąszcz nieustępliwych cierni. Szło jej jednak tak powoli, że musiała przerwać w połowie. Nazajutrz miała już ze sobą świeżo wyostrzone nożyce i nóż; z wolna, cichutko wycięła sobie drogę aż do sklepienia pieczary. Teraz zamaskowała przejście ściętymi gałęziami, aby nie dostrzegł jej nikt z przechodniów, i przykucnęła, oczekując, aż zobaczy pustelnika na własne oczy. Słyszała, jak poruszał się pod jej stopami, ale nie wychodził z celi. Zaczęła przypuszczać, że może naprawdę tylko w nocy opuszcza jaskinię. Nazajutrz przyszła zawczasu, przyniosła ze sobą kubraczek, który szyła dla małego Gerarda, i siedziała cały dzień, pracując i obserwując jamę z anielską cierpliwością.

Okolo czwartej przyleciały ptaki po pokarm, chmara drobiazgu trzepotała dokoła jaskini, niektóre śmielsze wpadły do środka. Te, które przysiadły na chwilę na krzakach, wykryły nagle Małgorzatę i odfrunęły z gwałtownym furkotem skrzydełek. Niebawem pustelnik, nie rozumiejąc przyczyny strachu, aby je przywabić, wysunął szczupłą białą dłoń z okruszynami.

Małgorzata odłożyła delikatnie robotę i pełzną jak wąż spojrziała w dół - odległość wynosiła zaledwie parę stóp. Była to wychudzona biała ręka, taka, jak opisały ją niewiasty.

Nagle pustelnik wysunął drugą rękę, trzymał w niej kawałek chleba i kruszył go teraz ptaszkom obiema dłońmi.

Nie upłynęły dwie sekundy, gdy wysunęła się ta druga ręka, a błękitne oczy, pilnie obserwujące z góry, rozszerzyły się i delikatne ciało dziewczyny zadrżało jak liść na wietrze.

Co dojrzała bystrymi oczami, pozostawiam domysłom czytelników. Pohamowała okrzyk wyrrywający się z ust, choć dużo ją kosztował ten wysiłek. Lewa ręka eremity zaczęła chwiać się i zamazywać w jej oczach, opuściła głowę z ciężkim westchnieniem i opadła na ziemię jak złamana lilia.

Leżała w głębokim omdleniu, do którego przyczyniły się długi post dzisiejszy, podniecenie i bezsenność wielu poprzednich dni.

I oto leżała tu ta piękna, mądra i wierna kobieta, taka blada, i cicha, a pustelnik nie przypuszczał nawet, kto jest tak blisko. Ptaszki skakały teraz po niej bez lęku; któryś zaplątał nóżkę w jej bujnych włosach o barwie złotych kasztanów.

Ocknęła się, wracając do swych trosk. Słońce zaszło. Zziębła mocno. Zapłakała; sądzę, że była to reszta fizycznej słabości. Poszła do domu prosząc Boga i jego świętych o radę, jak ma teraz postąpić.

Wróciwszy do domu blada i podniecona, na wszystkie pytania odpowiadała ulubionym zwrotem:

- Błądzimy w gęstej mgle.

Wydawało się, że ta noc działała cuda. Małgorzata przysła do Katarzyny, która siedząc przy kominku, wzdychała ciężko, ucałowała ją i rzekła:

- Matko, czego chciałabyś najbardziej na świecie?

- Ech, kochanie - odparła przygnębiona niewiasta - nie wiem zupełnie, co mogłoby mnie jeszcze ucieszyć, gdy musiałam pożegnać tylu najbliższych memu sercu. Gerard odzyskany i zaraz utracony. Kasia w niebie; Sybrandt na całe życie złożony niemocą.

- Biedna matko, kochana matko, trzeba bardzo spieszenie urządzać, posprzątać i przygotować plebanię w Goudzie. Masz tu dziesięć sztuk złota. Staraj się, by ci na długo starczyły, dobra matko, bardzo już dużo zabrałam ich memu chłopcu i porozdawałam różnym beużytecznym hultajom, którzy mieli odszukać Gerarda.

Katarzyna i Reicht patrzyły przez chwilę w milczeniu, ale zaraz zarzuciły ją masą pytań, ona zaś nie odpowiedziała na żadne.

- Leżałam na łóżkurzekła - myślałam, myślałam, myślałam. Było cicho, spaliście wszyscy. Wydaje mi się, że znalazłam klucz. Kocham cię, droga matko, ale nie ufam niewieścim językom. Jeżeli mi się nie uda, jeno Małgorzata Brandt będzie temu winna.

Zdecydowana niewiasta jest bardzo zdecydowanym stworzeniem. Tyle było głębokiej, upartej determinacji w głosie i na czole Małgorzaty, że Katarzyna zrozumiała od razu, iż

daremne jest zadawać dalsze pytania. Gubiły się wraz z Reicht w najrozmaitszych domysłach. Katarzyna szepnęła Reicht na ucho: „Czekajmy spokojnie, samo się wyjaśni”. Bystra rada, oparta na zwykłej obserwacji.

Nie minęła godzina, a Katarzyna była już w drodze do Goudy. Jechała na wózku w towarzystwie dwóch silnych dziewcząt z całą baterią wiader, szczotek i ścierek. Wróciła z żywszą cerą, cieniem dawnego błysku w oczach, ucałowała Małgorzatę czule, w milczeniu bardziej wymownym niż tomy opowieści, a nazajutrz o piątej rano już wyruszyła znów do Goudy.

Tejże nocy, gdy Reicht usnęła pierwszym snem, obudziła ją ręka delikatnie poruszająca jej ramię. Poderwała się gotowa do krzyku.

- Pst... - szepnęła Małgorzata i położyła jej palec na ustach. - Wstań cichutko, odziej się i chodź ze mną.

Gdy zeszła na dół, Małgorzata poleciła spuścić Smoka i zabrać z sobą. Był to wielki brytan, który stróżował u Małgorzaty van Eyck i Reicht, dwóch samotnych kobiet, przez kilka lat i przywiązał się bardzo do służącej.

Małgorzata i Reicht wyszły z domu. Smok z godnością podązał za nimi. Wróciły późno po północy i położyły się spać.

Katarzyna nie dowiedziała się o tym nigdy.

Małgorzata znała swych bliskich: wiedziała, że szorstka, wierna Fryzyczka w przeciwieństwie do Katarzyny potrafi utrzymać język za zębami. Nie jestem zresztą pewny, czy zaufałyby nawet Reicht, gdyby miała nerwy tak mocne jak umysł, ale mimo odwagi i zdecydowania była delikatną, nieśmiałą niewiastą, bała się ciemności jeszcze bardziej, gdy była sama, i okrutnie lękała się wilków. Smok, który kłapnięciem swych potężnych szczęk potrafi zabić wilka, nie poszedłby za nią bez Reicht. Przeto wybrała Reicht za powiernicę.

Następnej nocy znowu wyszły na rekonesans przy księżycu, tym razem, jak sądzę, odniosły jakieś sukcesy. Zostały w domu dzień później (całą noc lał deszcz i przygasił ich odwagę), następnej zaś zabrały z sobą jeszcze kogoś; nigdy by Reicht Heynes nie przyszło do głowy, że on właśnie mógłby im towarzyszyć.

Wyobraźcie sobie, jak ci tajemni spiskowcy drżeli i z trudem chwyтали oddech, gdy nadszedł moment działania; wyobraźcie sobie zamęt w sercu Małgorzaty, trwożne nadzieje - to rosnące, to znów odpędzane - bolesną trwożę, dziwne i bezprzykładne pomieszanie czulej poufałości i pełnego dystansu szacunku, z jaką śliczna i odważna, acz delikatna i kochająca niewiasta - żona wobec prawa, niezona wobec Kościoła - drżąca, płonąca rumieńcem, to

znów blada, pełna zapału, to znów wstrząsana dreszczem, wykradała się nocą cicho jak duch w stronę jaskini pustelnika z Goudy.

A gwiazdy na niebie wydawały się lśnić spokojnie i jasno jak nigdy.

Rozdział XCIV

Tak, pustelnik z Goudy był wikarym z Goudy, ale tak doskonale było jego osamotnienie, że nie wiedział o tym.

Czytelnik mój wie już, że gdy minął paroksyzm furii Gerard odczuł bolesne wyrzuty sumienia. Ci jednak tylko zapewne, którzy wzniesli się tak wysoko jak on w życiu religijnym i przeżyli nagły upadek, potrafią sobie uzmysłwić grozę, która owładnęła duszą zakonnika. Oto przesadna pewność siebie doprowadziła go na brzeg przepaści.

- Ach, zacny Hieronimie! - wołał. - O ile lepiej mnie znałeś, niż jam znał samego siebie! Jak gorzka, lecz pożyteczna była twa przestroga!

Nawykły do badania swego serca, dojrzał od razu, że prawdziwą przyczyną furii była Małgorzata.

- Kochani ją zatem bardziej niż Boga - powiedział z rozpaczą - bardziej niż Kościół. Cóż przeto może wynikać z takiej miłości dla mnie lub dla niej? Zadrzał na samą myśl.

- Niechaj silni walczą z pokusą, słabi uciekają przed nią, ale któż słabszy jest ode mnie? Sam tego dowiodłem. Czym jest moja pokuta, czym religia? Domkiem zbudowanym z kart, udającym wspaniałą budowlę! Wystarczy powiew ziemskiej miłości, by w pył się rozpadł. Muszę zaczynać od nowa na trwalszym fundamencie. - Postanowił opuścić Holandię i spędzić wiele lat w jakimś dalekim klasztorze, zanim powróci do ojczyzny. Czas ukoić pokusy ziemskiej namiętności, starszy i bardziej wytrawny mnich będzie panował nad doczesnymi uczuciami, a Małgorzata, zrozumiawszy, że ją porzucił, wyjdzie za mąż i pokocha innego. Ból, który kosztowała go sama myśl o tym rozwiązaniu, ukazywał człowiekowi badającemu swe sumienie i chcącemu kłamać własnej naturze, że jest na właściwej drodze religijnej powinności.

Lecz choć musiał opuścić ukochaną, dla jej i swego wiecznego dobra, nie powinien zaniedbać jej dobrobytu ziemskiego. Słodką mu była myśl, że mógł zapewnić Małgorzacie wygodne życie; obfitość dóbr tego świata, których ona nie miała obowiązku się wyrzekać. Ta myśl podtrzymywała go w ciężkiej walce wewnętrznej, gdy musiał odwrócić się od niej bez jednego dobrego słowa i spojrzenia.

- Co o mnie pomyśli? - jęczał. - Czy nie będę się jej wydawał człowiekiem najbardziej ze wszystkich nieludzkim i bez serca! Ale to lepiej! Lepiej niech mnie znienawidzi nieszczęsny. Bóg miłosierny zesłał tę pociechę memu złamanemu sercu; udało mi się

zmusić nikczemnika do zwrotu jej mienia, nie utraci już innego wiernego kochanka z powodu biedy. Innego? Ach, ja nieszczęsny! Nieszczęsny! Panie Boże i święci, ratujcie!

Opowiedziałem już, jak powiodła mu się jego misja. Najpierw jednak, jak sobie zapewne przypominacie, poszedł nocą wypowiadać pustelnika z Goudy. Został przy konającym, zamknął mu oczy i pogrzebał go pod podłogą małej kapliczki obok celi. Oto był spokojny koniec burzliwego życia. Pustelnik był żołnierzem i nawet teraz nosił pancerz na nagim ciele powiadając, że jest żołnierzem Chrystusa, jak był niegdyś żołnierzem szatana. Gdy Klemens wypowiadał starca i pomodlił się za jego duszę, poprosił z kolei o radę umierającego tak świątobliwie człowieka. Eremita poradził mu, aby zajął jego miejsce w tym spokojnym ustroniu. I on bowiem przeżył ciężką walkę ze światem, własnym ciałem i szatanem, i nigdy nie zdołał całkowicie przezwyciężyć pokus, dopóki nie schronił się do twierdzy samotności.

Słowa te i pobożny, spokojny zgon pustelnika, który stał się jak gdyby pieczęcią nieśmiertelnej prawdy - wywarły głębokie wrażenie na Klemensie. Nie miał zresztą żadnych sprzeciwów wewnętrznych do pokonania; święte samotnie były jeszcze wielce szanowane w Kościele: czy to chodziło o anachoretów i anachoretki zamurowanych w piwnicach lub celach w klasztorach, czy też o eremitów ukrytych w sroższym, lecz swobodniejszym osamotnieniu niezależnych pustelni. Klemens więcej niż inni jego współcześni wiedział o eremitach świętego Kościoła. Wiele naczytał się na ten temat w klasztorze w okolicy Tergou; pożerał historie ich żywotów z zapalem i podziwem, badając rękopisy watykańskie, i rozprawiał na te tematy z żebraczymi zakonnikami wielu narodowości. Przed wynalazkiem druku zakonnicy ci roznosili po świecie lokalne kroniki i biografie nagromadzone w klasztorach całej ówczesnej Europy. Nauczyciel Gerarda, Hieronim, był przez trzy lata anachoretą na wzgórzach Camaldoli, gdzie na więcej niż cztery stulecia została wskrzeszona Tebaida. Hieronim, chłodny i oszczędny w słowach przy dyskusji na prawie wszystkie religijne tematy, o tej pustelni mówił gorąco i z entuzjazmem. Zagłębiał się w kroniki opactwa Świętego Jana Chrzyciela, wokół którego znajdowało się wiele pustelni, wymieniał imiona wielu możnych panów i sławnych wojowników, którzy dożywali tam swych dni jako eremici, i wielu biskupów i arcybiskupów, którzy ze stolicy biskupiej przechodzili do pustelni lub z pustelni wracali do biskupstwa.

Wśród pierwszych był arcybiskup Rawenny, wśród ostatnich papież Wiktor IX. Opowiadał Klemensowi także z ponurym zachwytem o ich rozlicznych umartwieniach; jak każdy eremita usiłował znaleźć najsłabszy punkt swego charakteru i uderzał weń bez litości i wytchnienia tak długo, dopóki słabość nie przemieniła się w cnotę. Siedem razy w ciągu

dobry burzy, deszczu czy śnieguo świcie, zmierzchu, przy świetle księżyca czy pochodni samotnicy podążają z dalekich jaskiń trudnymi, stromymi i przepaścistymi drogami na modły w klasztornej kościele; na jutrznię, prymę, tercję, sekstę, na nonę, nieszpory i ostatnie nabożeństwo dzienne.

Zaspokoił nawet gorącą ciekawość Klemensa i opisał osoby sławnych anachoretów, z którymi modlił się i śpiewał psalmy, co było jedynym bez specjalnego indultu dozwolonym przez ich śluby kontaktem z ludźmi. Był Moncata, książę Moncaty i Kordoby, hidalgo Hiszpanii, który w kwiecie młodości porzucił wspaniałość, marność i rozkosze świata; ojciec Jan Chrzyciel z Novary, który niegdyś wiodł armie do boju, teraz zaś był żołnierzem Chrystusa, Korneliusz, Samuel i Sylwanus. Gdy wielka księżna de Medici otrzymała po wielu odmowach zezwolenie papieża na odwiedzenie Camaldoli, Sylwanus zeszedł na dół, powitał damę przy pierwszym drewnianym krzyżu i tam, mimo iż była otoczona orszakiem dworzan i pochlebców, przekonał ją, aby nie profanowała świętej góry, gdzie przez tyle wieków nie stanęła stopa żadnej niewiasty; ona zaś, przejęta czcią dla świętego miejsca i człowieka, ugięła się wraz z wszystkimi kapitanami, żołnierzami, dworzanami i paziami przed przyprószonym siwizną pustelnikiem.

W Bazylei Klemens odnalazł świeże materiały odnoszące się zwłaszcza do niemieckich i angielskich pustelników, opracował nawet Catena eremitarum od roku pańskiego 250 (gdy Paweł z Teb rozpoczynał swoje dziewięćdziesiąt lat samotności) aż do roku 1470. Zatytułował swą pracę: Angelorum amid et animalium - co znaczy: PRZYJACIELE ANIOŁÓW I ZWIERZĄT.

Tak więc, choć w tamtych czasach nigdy nie myślał jeszcze zostać pustelnikiem, droga już była jak gdyby urotowana. Gdy umierający eremita z Goudy błogosławił swą twierdzę samotności, gdzie stoczył uczciwą walkę i odniósł zwycięstwo, gdy zachęcał go, aby przejął po nim puklerz wiary, który teraz spadał z jego osłabłego ciała, Klemens rzekł do siebie: „Niebiosy skierowały moje kroki do tego miejsca”. Uderzyła go też niemało okoliczność, że jego patron, święty Bawon, był bardzo surowym eremita, bojownikiem samotnej celi.

Gdy tylko pojednał się z Ghysbrechtem van Swieten, pobiegł żywo w stronę swego nowego schronienia, prosząc Boga, aby nikt go nie zajął w ciągu minionych trzech dni. Obawa ta nie była bezpodstawna, gdyż owe sławne jaskinie nigdy długo nie czekały na nowego człowieczego mieszkańca. Ujrzał, że surowe kamienne drzwi stały otworem. Był pewny, że przybył za późno; ostrożnie wszedł do środka.

Cela była próżna, znajdował się tam wielki, należący do pustelnika krzyż ze słoniowej kości, jego pióra, inkaust i memento mori - czaszka; dwie włosienice (jedna ze szczeciny), znoszona pelisa ze skór baranich i kaptur; młotek, dłuto, psalterion itp. Mężczyźni i kobiety przechodzili tędy, nikt jednak nie ośmielił się wejść ani czegokolwiek ukraść. Wiara i prostota chroniły te nie zamknięte na klucz drzwi skuteczniej, niż w domach ludzi świeckich chronią je bramy, podobne jak we współczesnych więzieniach, i grube żelazne pręty w każdym oknie, a szlachtę - fosy, bastiony, kozły hiszpańskie i spuszczone kraty, Gdy Klemens wszedł do celi, wielka brązowa sowa zerwała się z kąta i z szumem i trzepotem wyfrunęła przez okno. Prąd zimnego powietrza owiał twarz Klemensa. Wzdrygnął się przestraszony.

Czy ta nibysowa miała w sobie coś diabelskiego? Chciała przepędzić go z drogi zbawienia duszy? A może był to jakiś dobry duch, którym posłużył się pustelnik, aby pilnował dla niego celi? A może sam zmarły eremita? Na koniec doszedł do wniosku, iż była to po prostu sowa i że popróbuje się z nią zaprzyjaźnić.

Ukląkł i modlitwą rozpoczął nowe życie.

Klemens nie tylko miał zdusić w sobie ziemską namiętność, której siła przejmowała go strachem o zbawienie wieczne - chciał również odbyć pokutę za to, że znowu wpadł w gniew, swój nałogowy grzech, którego nie mógł się wyzbyć, i oto przeklął rodzonych braci.

Rozejrzał się po tej obszernej celi, zaopatrzonej w tak wiele wygod, i porównał ją ze swoim wyobrażeniem ohydneho miejsca, eremus in eremo, pustyni nad pustyniami, gdzie święty Hieronim, pustelnik i Plutarch pustelników, borykał się z chorobą, pokusami i udręką przez cztery rozpaczliwe lata; i z niedostępnym ciernistym zakątkiem, dziurą nad przepaścią, gdzie pogrzebał się chłopięcy eremita Benedykt i żył tam trzy lata, żywiąc się resztkami, które dobry mnich Romanus zdołał zaoszczędzić ze swej skromnej strawy; i dzielił się jeszcze tą garsteczką ze swym przyjacielem - krukiem. Porównał tę celę z dziuplą drzewną swego patrona, świętego Bawona; i z czyścćcem ziemskim we Fryburgu, gdzie żył bezimienny święty w okropnej jamie, mając przed oczami wieczną chłodną ponurość gór i nie milknące wodospady. Wspomniał słup, na którym spędził czterdzieści pięć lat święty Szymon Słupnik; i destina, czyli kamienną skrzynię świętego Dunstana, w której podobnie jak Hilarion w swym ulu z sitowia, sepulcro potius quam domui, zaledwie mógł siedzieć, stać lub leżeć; lub zaplombowane ołowiem żywe groby Taidy, Krystyny i innych świętych samotnic; i wilgotny loch świętego Alfreda. Pomyślał o dziesiątkach innych straszliwych nor, w których prawdziwi eremici zadręczali swe wynędzniałe ciała na skałach, śpiąc na kamieniu, klęcząc na kamieniu, i powiedział sobie: „Ta słodka samotnia zapewni bezpieczeństwo mej duszy, ale co tu dla pokuty? Jezu, broń mnie od błędu; aby odpokutować grzech, którego żałuję, nie ujrzę twarzy

człowieka przez rok i dzień”. Klemens miał już sławnych poprzedników, nawet gdy chodzi o ostatnie obostrzenie. Pierwszy pustelnik z tej celi był widocznie związany podobnym ślubem, o czym świadczą dwie szczeliny, przez które słuchał ludzkich głosów i odpowiadał na pytania.

Przyjmując pod innymi względami jednolite zasady eremitów i anachoretów, podzielił dzień na siedem nabożeństw, nie zwracając uwagi na tak błahe zdarzenia jak światło i ciemność, stworzone co prawda przez Tego, do którego bez przerwy wznosił modły. Nauczył się na pamięć Psalterza i w przerwach swych praktyk pobożnych, poza momentami przerywanych drzemek, pracował ciężko fizycznie. Był to najstarszy i najściślejszy przepis reguły eremitów. Tu jednak przeszkadzała Klemensowi pokuta, którą sam sobie nałożył; cóż mógł działać dla bliźnich, nie będąc przez nich widzianym? Eremita bowiem miał prawo pracować dla siebie tylko dla podtrzymania swej egzystencji, tymczasem wieśniacy w pełni zaspokajali skromne potrzeby Klemensa.

W księżycowe noce wykradał się jak złodziej i kopał w ogrodzie jakiegoś biedaka na skraju wioski. Wypłatał koszyki i podrzucał je cichaczem przed drzwiami uboższych domów.

Gdy już niczym nie potrafił dopomóc cielesnym potrzebom ludzi, którzy przewijali się dniem przed jego celą, wychodził w ciemnościach nocy na drogi i tam dłutem i młotkiem rył na głazach piaskowca moralne i religijne sentencje. „Któż może wiedzieć? - szeptał. - Czasem przypadkowa strzała przeszywa serce człowieka. Och, serce zranione, pokrzepiaj biednych i opuszczonych świętymi słowy pociechy w ich rodzinnym języku; bo dobrze ów rzekł, iż jest to clavis ad corda plebis”.

Przypomniał sobie opowieści uczonego Colonna o pokrytych inskrypcjami górach na Wschodzie, gdzie królowie kazali zapisywać swe wiktorie. „Tacy są mądrzy monarchowie Wschodu - rzekł Klemens - że wykuwają napisy o swej chwale wojennej w skałach, zapewniając krwawej wrzawie wiek długi jak życie ziemi; a ja mam pozwolić milczeć otaczającym głazom o Królu Chwały, z którego słowa powstały i którego tchnienie w proch je przemieni? Te kamienie mówić będą przechodniom o pokoju wiecznym i o Baranku, którego sługa słaby i zgnębiony, a jednak szczęśliwy, wyrył je tu na wieki”.

W owych czasach natchnione słowa, które niosły pociechę biednym i wydziedziczonym przez tyle wieków, nie były jeszcze drukowane po holenderska, tak że złote myśli świętych ewangelistów przyszły teraz jak świeże przepowiednie z nieba albo jak rosa na schnące kwiaty; zapisane głazy biednego pustelnika zmiękczyły parę serc i oto uginający się pod ciężarem trosk szli, śpiewając radośnie, w dalszą drogę.

Święte przepowiednię, które zdawały się wykwić magiczną mocą, roztropne odpowiedzi przez to jego „okno” szukającym duchowej porady ludziom, nade wszystko zaś niewidzialność eremity wytworzyły wokół niego atmosferę cudowności. Przyczyniały się do tego porady lekarskiej które wbrew woli eremity wymuszano na nim łzami i błaganiami. Jeżeli bowiem pacjent czuł poprawę, szło to na dobro pustelnika, pogorszenie przypisywano diabłu. Sądzę, że nikogo nie zabił, doradzał bowiem same „babskie środki”. Szałwia i piołun, hizop, ogórecznik, spikanard, psi język, kurze ziele, maruna - plus wiara, wszystkie środki w niewielkich dawkach, prócz ostatniego.

Do tego niezwykła powściągliwość - pewny znak świętości. Odmawiał początkowo ze zgrozą przyjęcia jaj i mleka, które mu znoszono. Czyż nie wiedzą, że pustelnik żywi się chlebem, wodą i ziołami? Jaja, toż to zamaskowane ptaki, gdy umiera ptak, jajo się psuje. Mleko zaś niewiele się różni od białej krwi. Nie przyjmował nawet chleba, gdy zbyt wiele znosili. Namawiali go:

- Weźcie, święty ojczy, rozdajcie resztę ubogim.

- Możecie to sami zrobić lepiej i skuteczniej, żyjecie wśród ubogich. Czy godzi się wyrzucać chleb na chybił trafił przez okno eremu? A tych, którzy nalegali, tak przekonywał dalej:

- Życ z jałmużny i udawać pana Dobroczyńcę, znaczy kłamać ręką prawą. Dawać ubogim cudze datki - to pozbawiać prawdziwych ofiarodawców należnej wdzięczności i rabować was jak ci zbójcy, którzy chełpią się obdzierając bogaczy, a obdarowując biedaków. *Occasio auaritiae nomen pauperum.*

Jeśli nic nie przemówiło do zacnych dusz, łacina przekonywała ich zawsze. Przydał się i wiersz z Eneidy Wergiliusza.

Wielka reputacja świętości rozbrzmiewała tylko na zewnątrz celi. Wewnątrz pustelni żył człowiek, który uważał siebie - eremitę z Goudy - za nędzny proch. „Ach - wzdychał - nie mogę oszukiwać sam siebie; nie mogę też oszukać stworzeń Bożych. Te ptaszyny maluśkie, jakżeż są trwożne. Karmię je i tak pragnę ich przyjaźni, a żadne nie wejdzie nigdy do środka ani choć na chwilę nie przysiadzie mi na dłoni. Dlaczego? Nie Paweł bowiem, nie Benedykt, nie Hugo z Lincolnu, nie Kolumba ani Gutlak mieszka w tej celi. Ścigane łanie nie chronią się tutaj, nie ma tu bowiem Fruktuosusa ani Awentyna, ani Alberta ze Szwabii, a śliczna wiewióreczka nie przybiegła z sąsiedniego lasu po żołądziej, które jej przygotowałem, wie bowiem, że nie Kolumban. Nawet sowa, która tu żyła, uciekła. Nie można ich oszukać. Sam Ojciec Święty, niech spoczywa w spokoju - rzekł mi to niegdyś.

Klemens pod jednym względem był w lepszej sytuacji od tej kobiety, której obraz starał się zniszczyć w swym sercu.

Raz już odcierpiał i przeżył ból po jej stracie. Dwa razy nie można przeżywać tej samej rozpacz. Przywykł do tego, że uważał Małgorzatę za zmarłą. Po dziwnej scenie w kościele i na cmentarzu Świętego Wawrzyńca, można by porównać wzniesioną z takim trudem budowlę moralną do budynku rażonego piorunem. Był uszkodzony, ale fundamenty z kamienia miał dostateczne, aby utrzymać na sobie podobną budowlę: aby uważać Małgorzatę za umarłą dla niego.

Przy pomocy ścisłego podziału czasu i myśli, nieustannych modłów i pracy fizycznej zdołał po trzech miesiącach uspić ziemską połowę serca.

Lecz niestety! Parę dni po odzyskaniu spokoju ducha zaczął odczuwać objawy straszliwego przygnębienia.

Słowa nie oddadzą jego uczuć, bo żadne słowa nie potrafią w pełni odmalować rozpacz. Głos zdał mu się szeptać do ucha: „Zabij się! zabij! zabij! zabij!”

Pragnął być posłusznym temu głosowi, życie było dlań nie do zniesienia. Walczył z ponurym nieprzyjacielem modlitwą i łzami; prosił Boga, aby zesłał nań pokusę innego rodzaju.

„Ach, daj wrogowi memu moc, aby mnie chłostał rozpalonymi prętami, milami włókł po grudzie za włosy, jak to czynił z wielu świętymi pustelnikami, którzy pokonali go w końcu; niech rzuca się na mnie jak wściekły lew; niech kłuje jadowitymi węzowymi zębami; ześlij mi ból i strach, byle nie tę ponurość duszy, która odbiera mi na zawsze całe światło twoje i twych świętych”.

Przyszła mu nagle przerażająca myśl do głowy. A jeżeli zwycięstwa ciemnych mocy nad chrześcijańskimi duszami w pustelniach zostały przemilczane, a historia zanotowała tylko ich klęski lub przynajmniej klęski całkowite? Przypomniawszy sobie niejasne wzmianki rozsiane w starożytnych przekazach, które teraz ujawniały mu swój okropny sens. ZABŁĄDZILI W PUSTYNI I ZGINEŁI OD WĘŻY - powiadał wczesny Ojciec Kościoła o pustelnikach, którzy wybrali samotność - „i nikt ich już nie ujrzał”. A inny z nowszej epoki napisał: Vertuntur ad melancholiam - „popadają w obłąd”. Czy te dwa twierdzenia nie oznaczały tego samego? Wcześni bowiem ojcowie nigdy nie żałowali śmierci ciała. Zagubieni zatem eremici byli zgubionymi na wieki duszami, a węże szatańskimi myślami, naturalnym wytworem samotności.

Święty Hieronim poszedł na pustynię z trzema towarzyszami; jeden uciekł w pierwszym roku; dwaj umarli, ale jak? Jedyny, który przetrwał, był potężnym duchem w żelaznym ciele.

Współcześni, którzy o tym opowiadali, nie zostawili żadnego komentarza, nie wyrazili zdziwienia. A jeśli był to ślad prawdziwej proporcji, zawsze w każdej epoce wiele dusz ginęło w samotności po to, aby ktoś potężny duchem i ciałem mógł przeżyć ową straszną próbę.

Zgnębiony pustelnik skierował zrozpaczone oczy ku starym czasom - aby dowiedzieć się, jaką broń pomocną odnajdzie w chrześcijańskim arsenale. Najpotężniejszą ze wszystkich była modlitwa. Ale cechą jego choroby było zniechęcenie do modlitwy. Nie potrafił się modlić z prawdziwym zapalem. Mechaniczne odmawianie pacierzy, które od miesięcy uprawiał zgodnie z regułą, raczej zdławiło, niż wzmogło siłę do szczerzej, rzetelnej modlitwy.

Modlił się głośniejsz niż zwykle, ale wystygłe i ponure serce nie nadążało i pozbawiało sensu puste słowa. „Biedne, o połamanych skrzydłach pacierze - wołał - nie doleciecie nawet w pół drogi do nieba”.

Król Saul odpędzał podobnego szatana muzyką.

Klemens podjął psalterion pustelnika, z trudem naprawił instrument i nastroił struny.

Nie mógł grać. Dusza także utraciła ton. Dźwięki muzyki przyprawiały go niemal o szaleństwo. „Ach, ja nieszczęsny! - krzyczał - Saul miał przy sobie świętego, który mu grał. Nie był sam na sam z duchami ciemności, nie ma tu wdzięcznego izraelskiego barda, aby ucieszył mnie swą melodią; jestem sam, ze zdruzgotanym sercem, ciężą nade mną góry czarnych szatanów, jakżeż mam muzyką swą podmieść zbolące serce ku niebu; nie potrafię”.

Czołgał się po ziemi, płakał i rwał włosy z głowy. YERTEBATUR AD MELANCHOLIAMI.

Rozdział XCV

Pewnego dnia leżał jęcząc i wzdychając, niezdolny do modlitwy i muzyki, utraciwszy nadzieję. Niespodziewanie przyszła mu do głowy myśl, że mógłby zrobić dla siebie to, co zrobił dla ubogich i przechodniów. Wypełni swą jaskinię rozpaczy imieniem Boga, magicznymi słowy Świętego Pisma i pobożnymi, modlitewnymi wyrazami pociechy Kościoła.

I tak jak chrześcijanin u stóp Apollina, chwycił nie miecz, bo go nie posiadał, lecz pokojową broń skromnego pracownika - dłuto, i pracował, jakby moc jego duszy zależała od siły ramienia.

Powiadają, że Michał Anioł (mistrz następnej generacji) rzeźbił swe posągi nie na sposób naszych nieśmiałych artystów, którzy modelują w glinie, a potem resztę pracy zlecają rzemieślnikowi.

Wybierał blok, urabiał sobie obraz, a potem naraz rąbał młotem i stalowym prętem, aż odłamki marmuru fruwały wokół niego jak szalone i kształt wyłaniał się z bryły.

I Klemens nie rysował linii, aby prowadziły dłoń. Odnajdywał w pamięci piękne słowa i z zapalem rył je w miękkim kamieniu, rzucając się do pracy, która walce była podobna.

Prosił odwiedzających o ogarki świec i zjełczały olej. „Wszystko dla mnie jest wystarczająco dobre - mówił - aby tylko chciało się palić”.

Nocami jaskinia gorzała z daleka jak kuźnia, żarzyła się przez okno i przez szpary prymitywnych kamiennych drzwi. Wieśniacy przechodząc zegnali się krzyżem świętym i podejrzewali jakieś diabelstwa, a wewnątrz pustelni przybywało świętych inskrypcji. Jedna po drugiej pojawiały się na ścianach eremu, odłamki i okruchy fruwały dzień i noc, noc i dzień; żołnierz samotności i Kościoła trudził się, wzdychając i jęcząc, rył swą bezkrwawą bronią, pracował i walczył

Kyrie Eleison Christe Eleison

Sursum corda

Deus refugium nostrum et virtus

Agnus Dei, qui tollis peccata mundi, miserere mihi

Sancta Trinitas unus Deus, miserere nobis

Ab infestationibus daemonum, a ventura ira, a damnatione perpetua libera nos Domine

Deus qui miro ordine Angelorum ministeria, etc. (cała kolekta) Oueni quaerimus adiutorem nisi te Domine, qui pro peccatis nostris iuste irascaris? Sancte Deus, Sancte fortis, Sancte et misericors Salvator, amarae morti ne trados nos.

I pod wielkim, przymocowanym do ściany krucyfiksem wyrzył z Augustyna:

O anima Christiana, respice vulnera patientis, sanguinem morientis, pretium redemptionis. - Haec quanta sint cogitate, et in statera mentis vestrae appendite, ut totus vobis figatur in corde, qui pro vobis totus fixus est in cruce. Nam si passio Christi ad memoriam revocetur, nihil est tam durum quod non aequo animo toleretur.

Co można by oddać w sposób następujący:

„O duszo chrześcijańska, popatrz na rany Cierpiącego, na krew Umierającego, cenę naszego odkupienia! Pomyśl, jak wielka to ofiara, zważ ją w umyśle swoim; niech będzie

przybity do serca twego Ten, który przybity był dla ciebie do krzyża. Gdy przypomnisz sobie tylko cierpienie Chrystusa, pojmiesz, że nic na ziemi nie jest za trudne do zniesienia ze spokojem”.

Trochę, choć bardzo niewiele, uspokojony słodkimi i spokojnymi słowami, którymi w krąg się otoczył, znużony pracą i czuwaniem wielu dni i nocy. Klemens pewnego ranka osunął się zupełnie wyczerpany na ziemię i na wiele godzin zasnął głębokim snem.

Ocknął się spokojnie i usłyszał delikatny pisk, otworzył oczy i oto na brewiarzu, który leżał na niskim stołeczku przy nogach, siedział, straszyl piórka jednym ruchem, potem je tak samo nagle wygładzał, zadzierając dzióbek tu i tam, z dużą dozą czysto teoretycznej ostrożności - rudzik o czerwonym podgardlu.

Klemens wstrzymał oddech.

Przymknął oczy, aby nie spłoszyć gościa z przestworzy.

Rudzik skoczył na podłogę.

Ptaszek wykonał z kolei całą pantomimę przebiegłości; i nagle pim, pim, pirn, trzema sztywnymi skokami jak szmaciana piłeczka wylądował na bosej nodze pustelnika. Złatywał z tego wzniesienia, wskakiwał z powrotem, straszac i wygładzając piórka; Klemens nie widział tego, bo zupełnie zamknął oczy i prawie wstrzymał oddech z obawy, aby nie przestraszyć i nie utracić swego gościa. Cieszył się, że czuł przez chwilę pazurki na stopie. Mógł tylko czuć i stwierdzać przez to obecność ptaszka.

Teraz znów furkot malutkich skrzydełek i oto pierzasty wierzcipięta znów jest na brewiarzu.

Klemens postanowił spróbować nakarmić ruchliwe maleństwo nie płosząc ptaszka. Bardzo to było trudne. Kawałek chleba leżał w zasięgu rąk, ale jak do niego dotrzeć? Ręka pewnie pięć minut pełzła w stronę chleba. Starał się nie ruszyć ramieniem.

Delikatnie wziął okruszyny między palec wskazujący i kciuk i wystrzelił jak chłopcy grający w kulki, nie poruszywszy dłonią.

Rudzik dostrzegł, że chleb upadł obok niego, zerknął roztropnie, ale nie ruszył się z miejsca.

Gdy spadła następna okruszyna, a potem dalsza, skoczył w dół i złapał jedną drobinę. Nie bardzo jednak rozumiejąc tajemnicę, uciekł ze zdobyczą dla większego bezpieczeństwa na wzgórze - to znaczy na kolano eremity.

I tak gra rozwijała się dalej, aż nieco większy okruch potoczył się w stronę ptaszka.

A oto nagroda: rudzik chwycił chleb i umknął tak szybko ze swym łupem, aż jaskinia rozbrzmiała furkotem skrzydeł i świstem przeciętego powietrza.

- Niech cię Pan Bóg błogosławi, słodki ptaszku - westchnął porzucony samotnik - twe skrzydła są muzyką, a ty, promyku pierzasty, wpadłeś tu, by rozjaśnić mą mroczną duszę.

I zaraz wrócił do pacierzy, a potem do narzędzi, trochę odważniej i weselej. Oto praca tego dnia:

Veni, Creator Spiritus, Mentis tuorum visita, Imple superna gratia Quae tu creasti pectora
Accende lumen sensibus Infunde amorem cordibus Infirma nostri corporis, Virtute firmans perpe-

I tak płynęły dni; na świecie pochołdniało, a w sercu Klemensa było coraz cieplej, z wolna wydobywał się z depresji. Przeżył zły czas.

Przygnębienie przyszło jak chmura i tak samo przeszło.

Wszystko się jakby odmieniło, cęła zdawała się płonąć radością. Praca go cieszyła, pacierze pełne były namaszczenia; psalmy - chwały Pańskiej. Ptaki przyszyły całą gromadą za swym purpurowym przywódcą; uciekając od śniegu i parafii pełnej Kainów, zaprzyjaźniały się jedne po drugich z Ablem; ostatni przyjaciele. Pewnej mroźnej nocy, gdy chwalił Pana Boga śpiewając przy dźwiękach psalterionu, jaskinia rozbrzmiewała świętymi psalmami jak dźwięczna muszla Tubala lub harfa Dawidowa, usłyszał wyraźny skowyt, wzmagający się i słabnący. Wyjrzał przez szparę w drzwiach, na śniegu siedział wielki rudy wilk, wyjąc dźwięcznie z nosem wzniesionym wysoko w górę.

Klemens się ucieszył.

- Widać opuszczają mnie grzechy! - krzyknął - skoro jedne po drugich przychodzą Boże stworzenia.

I w wybuchu entuzjazmu zaintonował:

Tobie śpiewa żywioł wszelki, Bądź pochwałą, Boże wielki!

I cały czas śpiewał przy przerywanym akompaniamencie wilczego ujadania.

Wydawało się przede wszystkim, że jest coraz bliższy niebiańskiemu obcowaniu, które jest oznaką i szczęściem prawdziwego eremity. Miał sny o świętych i aniołach tak żywe i wyraźne, że przypominały raczej wizje. Widywał jasne postacie odziane w śnieżne szaty. Patrzyły na niego oczami piękniejszymi od źrenic antylop, które widział niegdyś w Rzymie, owiewały go szerokimi skrzydłami lśniącymi barwami tęczy, a ich słodkie głosy wzywały, by szedł dalej swą słuszną drogą.

Niedługo jednak cieszył się tym szczęściem, bo niebawem sny nabrały innego i bardzo dziwnego zabarwienia. Błądził z bratem Colonną po ruinach i zabytkach narodów antycznych, zakonnik kulał i podpierał się laską. Laską tą wywijał nad potężnymi ruinami, a były tam egipskie, greckie i rzymskie, i natychmiast z gruzów powstawały wspaniałe

świątynie i pałace, napełniały się tłumem sławnych umarłych. Pieśniarze, którzy mogliby zaćmić swą sztuką Apollina, śpiewali cudne arie; kobiety boginiom podobne, w drapowanych jak Minerwa szatach, płynęły wśród marmurowych pałaców w tańcu prostym, pełnym gracji i zmysłowości. Oto rzeźbiarze pracowali w gronie podziwiających ich uczniów i w ciągu kwadransa z brył paryjskiego marmuru wyłaniały się kształty niezwyklej piękności. Poważni filozofowie rozważali wzniosłe i subtelne problemy wobec słuchającej z szacunkiem młodzieży; było to bowiem przed wielu, wielu laty. A wśród tego cudnego świata oczekiwało nań jednak coś podejrzanego, co, jakby czuł, czaiło się w umyśle śniącego. To dopiero próby, pozór, coś kryło się w głębi. Coś niedobrego, tajemniczego, straszego.

Pewnej nocy czarownik Colonna sam zmienił całą tę scenę: podniósł pałeczkę i oto zniknęły liczne wspaniałe miasta starożytne, stanęli we dwóch na rozległej piaszczystej równinie. Olbrzymie purpurowe słońce skłaniało się ku zachodowi. Za potężnymi palmami ujrzeli wycięte w cierniach kryjówki, nie wyższe od człowieka, rozsiane na pustyni piachu pod purpurowym słońcem.

- Oto anachoreci Pustyni Tebańskiej - rzekł spokojnie Colonna - naśladowcy nie Chrystusa, nie Jego Apostołów i wielkich Ojców Kościoła, lecz greckich uczniów, którzy z kolei byli uczniami Egipcjan, wywodzących się duchowo z braminów i gimnosofistów.

Klemens sądził, iż pragnie gorąco ucałować stopy świętych mężów, opowiedzieć im o swych troskach i szukać u nich pomocy. Ale był przywiązany za nogi i nie mógł się ruszyć. Purpurowe słońce zaszło, zapadł mrok i pustelnie stały się prawie niewidoczne. Postać Colonna stała się cieniem bezkształtnym, tylko oczy lśniły coraz jaśniej. I te oczy jak gdyby przemówiły:

„Zostaw tę bandę durniów! Zobacz, jak to wszystko ponure”. - Nagle z błyskiem ożywienia: „Słyszałem, że któryś z nich ma manuskrypt; Petroniusza na papirusie. Muszę go kupić; żegnaj na zawsze, na zawsze, na zawsze”.

Zapadła ciemność jak smoła, nagle światło dotknęło lekko pleców Klemensa, śliczne różowawe światełko. Było jasne i ciepłe. Oderwało jego nogi od ziemi, odwrócił się i tam - o twarzy promieniającej blaskiem słonecznym, o włosach lśniących jak aureola świętych - była Małgorzata Brandt.

Zarumieniała się, uśmiechnęła i spojrzała na niego z niewysłowioną czułością.

- Gerardzie - szepnęła bądz, kim chcesz we dnie, ale nocą - mój!

Jeszcze gdy mówiła, obudził się wstrząśnięty tym nagłym zjawieniem i leżał oto na ziemi drżący od stóp do głów.

Promienna postać i słodki głos stały się nieodłącznym motywem jego nocnych przywidzeń.

Na jawie mógł modlić się, chwalić i czcić Boga; był panem swych myśli. Gdy przymykał do snu oczy, pojawiała się Małgorzata lub szatan w jej osobie, udając anioła światła. Mógł śnić o najrozmaitszych rzeczach zupełnie z sobą nie związanych; zanim się obudził, nadchodziła, w jednej chwili odpędzała wszystko inne, *stellas exortns uti aetherius soi*: błyszczała bowiem podwójnym pięknem, nigdy przedtem nie występującym razem: anielskim promieniowaniem i rumieńcem kobiety.

Anioły się nie rumienia. Wiedział więc, że była diabłem.

Był zaniepokojony, ale niespecjalnie zaskoczony ostatnią sztuczką szatana. Od Antoniego do Mikołaja na skale prawie żaden pustelnik nie uniknął takiej pokusy.

Otaczały ich czasami wesołe, zmysłowe wizje, czasami śliczne, ciepłe, dotykalne kobiety na zewnątrz, wewnątrz - demony, którym nawet święci nie zawsze potrafili się oprzeć. Świadectwo tu „anielski kształt o diabelskim sercu”, zjawa, która chyliła swą śliczną głowę jak złamany kwiat nad świętym Makarym, opowiadała mu zmyśloną bajkę i płakała, płakała, płakała, dopóki nie zabrała mu wszystkich łez, a później połowy jego cnót.

Wraz jednak z przykładami sztuczek i mocy szatana zachowały się również dokładne sprawozdania o triumfach eremitów i broni, którą zdobywali swe zwycięstwa.

Doniandimi est corpus - ciało należy poskromić - oto zasada dwunastu stuleci. Był to groźny okrzyk bojowy - nazywali bowiem ciałem wszelkie ziemskie uczucia i pragnienia, miażdżyli całe serce poprzez cierpiące i umartwione ciała.

Klemens przeto powiedział sobie, że wielki nieprzyjaciel człowieka wycofał się po to tylko, aby zaatakować skuteczniej. Zezwolił mu na parę dni prawdziwej czystości i wesela w tym celu jeno, aby go pozbawić czujności wobec słodkiego pochlebstwa, jakim obsypywał duszę, która oparła się uderzeniom jego czarnych skrzydeł. Zaczął gorliwie umartwiać ciało: skracał sen, przedłużał modlitwy, zaostrzył surową wstrzemięźliwość aż do abstynencji. Dotychczas, stosując się do zwykłej reguły, jadał tylko o zachodzie słońca. Teraz pozwalał sobie na posiłek raz na czterdzieści osiem godzin, pijąc niewielką ilość wody każdego dnia.

Wizje stały się bardziej jeszcze wyraźne.

Uciekł się tedy do sławnego antidotum anachoretów, „wielkiego leku przeciw gorączce” - zimnej wody.

Odnalazł największą głębię w strumieniu przepływającym przez jego celę; tworzyła się ona niedaleko od świętego źródła; usunął wielkie głazy z dna, zrobił zagłębienie, w

którym mógł stać pogrążony po brodę w wodzie. Umocniony tak wieloma przykładami po następnym szatańskim ataku skoczył prosto z kamiennej pryczy do lodowatej wody.

Stracił oddech i prawie krzyknął z zimna. Przemarzył do szpiku kości. „Umrę - krzyknął - umrę, ale lepsze to niż ogień wieczny”.

Nazajutrz wszystkie stawy miał sztywne, nie mógł się ruszyć, zdawał się uosobieniem okropnego bólu. Jeszcze we śnie czuł boleśnie każdą kość jak bolące zęby aż do chwili, gdy przyszedł duch, którego tak się obawiał. Zjawa uśmiechnęła się z litością i ból ustąpił.

Czując, że następna lodowata kąpiel przy takim osłabieniu postami mogłaby ściągnąć nań grzech samobójstwa, wysmagał się do krwi i leżał cierpiąc.

Gdy wyczerpanie poczyniło stępnąć ból, pozostawało drżenie, odbiegła terażniejszość, a wracała z uśmiechem przeszłość. Siedział wraz z Małgorzatą na ucztach u księcia, minstrele muzykowali bosko, szemrały purpurowe fontanny. Młodość i miłość królowały w sercach obojga, przepelniały zapachem nawet powietrze.

Z kolei zmieniła się scena, stali razem przed ołtarzem jako mąż i żona. Tym razem nie było przerwy, wędrowali dłoń w dłoń zawsze razem i opowiadali sobie straszne sny. On: śniło mu się, że ona umarła, a on został mnichem. I rzeczywiście sen był tak żywy i dokładny w szczegółach, że tylko wzrok mógł nawet teraz przekonać go, że był to sen, a oni byli istotnie mężem i żoną.

Każda teraz melodia na tę nową już snuła się nutę. Na jawie był Klemensem, pustelnikiem zbudzonym po nieziemskich wizjach nocnych, równie niebezpiecznych jak słodkich. We śnie Gerardem Eliassoenem, szczęśliwym mężem najpiękniejszej, najlepszej i najwierniejszej dziewczeczki w Holandii; tym szczęśliwszym, że przez pewien czas stał się igraszką ohydnych snów, w których ją utracił.

Ciągłe posty połączone z innymi obostrzeniami i głębokim niepokojem duchowym człowieka walczącego z wrogiem nadprzyrodzonym doprowadziły go prawie do wyglądu szkieletu. Na obolałych kościach drżało jeszcze ziemską namiętnością nie ujarzmione ciało. Myślał więc: „czemu to zły duch ma nad nim taką władzę? Upewnił się o tym, gdy razu pewnego zasypiał z ulgą wiedząc, że oto teraz nadejdzie Małgorzata, a on przestanie czuć ból, nierzeczywistość stanie się na godzinę rzeczywistością, a to, co rzeczywiste, nierzeczywistym.

Wstał spiesznie z okrzykiem rozpaczony i zerwawszy z siebie ubranie, wspiął się na kolczaste krzewy nad jaskinią i tarzał się po nich nagi wijąc się z bólu. Wrócił potem do jamy cały zlany krwią, leżał jęcząc długie godziny, aż z powodu zupełnego wyczerpania zapadł w głęboki sen bez marzeń.

Obudził się ciałem obolały, ale duchem szczęśliwy; przewyciężył fatalny czar. Tak, czar został przewyciężony; mijał dzień za dniem, jej obraz nie prześladował go dłużej. Ale złapał się na tym, że wzdycha z powodu swego zwycięstwa.

Ptaki oswajały się coraz bardziej: przysiadaly mu na ręku. Dwa z nich pozwoliły pozłocić sobie pazurki. Jadł teraz co drugi dzień, miał więcej chleba dla swych małych gości.

Spokój miał trwać niedługo.

Głos kobiety doszedł go z zewnątrz; opowiedział w krótkich słowach jego własne dzieje i pytał, gdzie może odnaleźć Gerarda.

Był tak zdumiony, że pchnięty instynktem samoobrony mógł odrzec tylko: „Módl się za duszę Gerarda, syna Eliasza 1”, rozumiejąc w tych słowach, że był umarły dla świata. I siedział zdziwiony.

Gdy kobieta odeszła, zdecydował się po walce wewnętrznej, ryzykując, że go ktoś zobaczy, wyjrzeć, aby sprawdzić, kto to mógł być. Ale zachował taką ostrożność, a ona tak szybko zbiegła do przyjaciółki, że drogę znalazł pustą.

„Szatan!” - stwierdził.

I tej nocy wróciły tak wyraźnie wizje ziemskiej miłości i szczęścia, że mógł policzyć złote włosy na głowie Małgorzaty i ujrzeć źrenice jej oczu.

Począł rozpaczać i rzekł: „Muszę opuścić kraj; za mocny tu łańcuch mych wspomnień”. Zaczął nienawidzić swej celi. Mówił: „Jest ztrata oddechem piekieł, szatan pozbawił świętości nawet wyryte pobożne słowa”. I nieświadomie, naśladowując świętego Hieronima, nie będąc tak jak ów ofiarą przemożnych ziemskich halucynacji, zabrał swe najcieplejsze okrycie do pobliskiego lasu i powłókł pod drzewo podartą i pomarszczoną skórę i kości - ciało, które niedawno jeszcze mogło służyć rzeźbiarzowi za model Apollina.

Może przeminęła wreszcie gorączka wyobraźni, wszystko bowiem przemija, jak wykazał przodujący umysł naszych czasów, a może rzeczywiście udało mu się przeciąć jakieś subtelne ogniwo, nie wiem - spał wreszcie bez marzeń.

Obudził się prawie zmarznięty, ale rozgrzany wewnętrzną radością.

„Przecie będę prawdziwym eremita, Dei gratia” - powiedział.

Następnego dnia jakaś dobra dusza zostawiła na małym kamieniu nową, z jagnięcej wełny pelisę i pelerynę ciepłą, miękką i obszerną.

Odczuwał chwilę wyrzuty, że jest tak miękka i ciepła; ale to minęło. Skóra była taka, jak należy, i oznaczała pochwałę Nieba dla obranej przezeń drogi.

Ogrzała jego zziębnięte kości; gdy powrócił do celi po krótkim wypoczynku.

Teraz w jednej chwili. dostrzegł przed sobą zwycięstwo, jeżeli tylko uda mu się go dożyć; lecz chwilę później mówił do siebie: „To tylko chwilowa cisza, strzeż się, Klemensie!”

Ta myśl utrzymywała go w napięciu nerwowym i bezustannej czujności.

Był jak żołnierz w szeregach wroga.

Pewnej pięknej nocy, czystej i mroźnej, wrócił do celi po krótkim odpoczynku. Gwiazdy lśniły cudownie. Niebo ogromniejsze i jaśniejsze od ziemi spoglądało nie jednym, lecz tysiącami oczu.

„Jak cudownie! krzyknął - że też są ludzie, którzy mordują nocami, a inni, prawie tak samo szaleni, żyją dla małego, marnego świata, a nie dla wielkiego i chwalebego. Tenże nocą objawia swe cuda ludziom, których oczy nie osłępiły od przyzwyczajenia. Dzięki Ci, Boże, zem eremita”.

W tym nastroju ducha podszedł do drzwi celi. Przystanął przy nich - były zamknięte. „Wydaje mi się, że je zostawił otwarte - powiedział. - Wiatr. Nie czuć ani powiewu. Co to znaczy?”

Zatrzymał się z ręką na chropowatych drzwiach. Zajrzał przez jedną z wielkich szpar, było ich bowiem wiele wokół otworu, który powinien był rzekomo zamknąć, i dostrzegł, że knot zanurzony w oleju pali się tam, gdzie go zostawił.

„Co się ze mną dzieje? - westchnął - kiedy drzę i przeraża mnie byle głupstwo. Albo sam zaparłem te wrota, albo szatan zamknął je za mną, żeby zamącić mą szczęśliwą duszę. Retro sathanas!”

Wszedł szybko do jaskini i nieco nerwowo zaczął zapalać największy knot. Zapalając usłyszał cichutkie westchnienie w jaskini.

Przestraszył się, opuścił płonąca świecę, która zgasła. Schylił się po nią pospiesznie i zapalił, nad słuchując pilnie. Gdy zapłonęła, osłonił płomynek dłonią od spodu i oświetlił z wolna wokół całą jaskinię.

W najdalszym kącie zarys ściany wydał się jakiś załamany.

Z bijącym sercem podszedł do tego miejsca.

Świeca wtedy pojaśniała właśnie i odróżnił postać niewieścią.

Jeszcze krok na uginających się nogach.

UJRZAŁ MAŁGORZATĘ BRANDT.

Rozdział XCVI

Jej zachowanie mogło raczej litość wzbudzić niż grozę w oczach nie zaślepionego człowieka. Serce biło jej szybko, policzki czerwieńły się i bladły na przemian. Drżała tak silnie, że oparła się o ścianę i wiedzona instynktem słabych istot, patrzyła na wynędzniałego i

przeżalonego pustelnika wzrokiem, w którym jako niezwykle zjawisko natury cudownie zespoliły się miłość i pobożny szacunek, litość i czułe wspomnienia.

- Ach? - krzyknął. - Przyszedłeś tu nareszcie pod ludzką z krwi i ciała postacią; przychodzisz do mnie jak przychodziłeś do świętego Antoniego! Ale mam się na bacności przed tobą! Wiedziałem, żeś nie wyczerpał wszystkich swych niegodziwych podstępów. Jestem uzbrojony!

Mówiąc to chwycił mały krucyfiks i wyciągnął go ku zdumionej niewieście, w drugiej ręce zaś trzymał świecę; krzyż i świeca drżały gwałtownie w powietrzu.

- Exorciso te.

- Ach nie - zawołała żałośnie; wyciągnęła błagalnie obie śliczne dłonie. - Nie bądź taki zły dla mnie, to ja, Małgorzata.

- Kłamco! - krzyczał pustelnik - Małgorzata była piękna, ale nie tak nadludzko piękna jak ty. Ukryłeś się za tym świętym imieniem, chytry hipokryto! In Nomine Dei exorciso vos.

- Ach, Jezu - westchnęła przerażona Małgorzata. - Nie przeklinaj mnie. Pójdę sobie do domu. Myślałam, że mogę tu przyjść. Na litość Bożą nie mów do mnie po łacinie. O, Gerardzie, czy tak to spotykamy się po tym wszystkim? po tym wszystkim? - Przykucnęła prawie na kolanach i pełna zabobonnego lęku szlochała zraniona w swej miłości.

Zarażony satanofobią pustelnik byłby dalej zapewne sądził, że to zrozpaczone stworzenie, tak bardzo naturalne i kobiece, jest chytrą sztuczką diabelską. Ale wezwała święte imię Chrystusa i to rozproszyło urojenia; spojrział nareszcie własnymi oczami, posłuchał własnymi uszami.

Krzyknął przejęty wyrzutami sumienia, próbował ją podnieść, ale wyczerpany postami i silnym wzruszeniem po tak długiej samotności, nie mógł jej dźwignąć.

- Jakżeż? - chwytając powietrze słaniał się nad nią. - To ty? I ja cię powitałem złymi słowy? Niestety!

Zamilkli oboje na chwilę, ze wzruszenia odebrało im głos.

- Nie mam ci tego za złe - powiedziała dzielnie Małgorzata, walcząc ze łzami. - Wziąłeś mnie za kogoś innego, za diabła, och, och, och, och!

- Wybacz mi, najmilsza! - I gdy opanował się i mógł powiedzieć parę słów, dodał: - Byłem bardzo napastowany przez złego od czasu, jak tu jestem.

Małgorzata rozejrzała się, zimny dreszcz przebiegł po niej.

- To możliwe. A więc podaj mi rękę, pozwól mi wyprowadzić cię z tego ohydneho miejsca.

Spojrział na nią zdumiony.

- Jakżeż! Opuścić pustelnię i wrócić do świata? To po to tu przyszedłeś do mnie? - powiedział ze smutkiem i wyrzutem.

- Tak, Gerardzie. Zabiorę cię do twojej ślicznej parafii; jesteś wikarym w Goudzie dzięki Panu Bogu i twemu dobremu bratu Idziemu. Doprowadziłyśmy tak pięknie wraz z matką dom do porządku. Nawet zimą jest ładny. Zobaczysz. A jak poczekasz trochę, zakwitną głogi i wnet twoje ściany okryją się pięknymi różami i słodkim powojem. Widzisz, nie zapomnieliśmy cię ani tych błahostek, co je lubisz. Matka na cię czeka, Gerardzie drogi, to późna dla niej godzina, powinna już być w łóżku; proszę cię, proszę, chodź! Gdy jeno wyjdziemy z tej okropnej nory, pokażę ci skarb, który masz, o którym jeszcze nic nie wiesz, inaczej nigdy byś pewnie od nas nie uciekł. Co się stało? Czy powiedziałam coś niechcący, że tak na mnie patrzysz?

Odsunął się coraz dalej i patrzył na nią wzrokiem pełnym lęku i podejrzliwości zarazem.

- Nieszczęśliwa dziewczyno - powiedział uroczyście, jednakże głęboko wstrząśnięty - chcesz, bym naraził zbawienie, twoją i moją duszę, dla marnej parafii i kwiatów, które w niej rosną? Nie twoje to działanie; szatan bezlitosny przysłał biedną prostoduszną dziewczynę do mnie z tą przynętą. Ale ty, chytry wrogu, zedrę maskę nawet i z tego narzędzia, ona cię zobaczy i odrzuci ze wstrętem, jak ja to czynię. Małgorzato, utracone kochanie moje, czemuż tu jestem? Bo kocham cię.

- Och nie, Gerardzie, nie kochasz mnie, nie ukryłbyś się przede mną, nie było żadnej potrzeby.

- Niechaj nie będzie kłamstwa między nami, którzy kochaliśmy się tak szczerze, a po tej nocy nie zobaczymy się już więcej na ziemi.

- Nie daj Boże! - odparła.

- Kocham cię, a tyś nie zapomniała, inaczej wyszłabyś już za mąż do tej pory i nie odnalazłabyś mnie ukrytego przed ludzkim wzrokiem. Jam ksiądz i mnich: szaleństwo jeno i grzech może się zrodzić, gdy zamieszkamy w sąsiedztwie, podsycając namiętność niegdyś niewinną, teraz zaś (z woli Niebios) bezbożną i niecną. O nie. Mimo iż serce mi pęka, muszę być silny; jestem mężczyzną; jestem kapłanem. Nie wolno nam spotkać się więcej, dopóki nie okrzepnę w samotności, a ty nie poślubisz innego.

- Zgadza się na mój los, ale nie na twój. Choć wołałabym dziesięćkroć śmierć, wyjdę jednakże za mąż, poślubię nieszczęście nawet, ale nie pozwolę, byś konała! w tym podłym, ohydny miejscu, podczas gdy czeka na cię najmilsza plebania.

Klemens jęknął, po każdym słowie, które wymówiła, jaśniej widział swój obowiązek i mękę, którą musi zań zapłacić.

- Ukochana - rzekł z dziwną mieszaniną czułości i zawziętości - błogosławię cię, żeś raz jeszcze pozwoliła mi ujrzeć twą słodką twarz, niech ci Bóg przebaczy i ześle swe błogosławieństwo, choć zburzyłaś w ciągu minuty święty spokój, który udało mi się osiągnąć po sześciu miesiącach samotności. Nieważne. Rok pokuty przywróci mi pokój. Deo gratia. Moja biedna Małgorzato, wydaję ci się okrutny, ale jestem dobry: najlepiej rozstańmy się od razu, w tej chwili.

- Rozstać się, Gerardzie? Przenigdy; doświadczyliśmy już, co wynika z rozstania. Rozstać się? Nie usłyszałeś nawet połowy mych dziejów; nawet dziesiątej części! Nie tylko dla twojej wygody zabieram cię do plebanii w Goudzie. Wysłuchaj mnie!

- Nie mogę. Sam twój głos jest pokusą, jego melodia niesie rozkosz wspomnienia.

- Ale powiadam, że musisz mnie wysłuchać, Gerardzie, nie ruszę się z tego miejsca przedtem.

- Musimy zatem rozstać się innym sposobem - powiedział ze smutkiem Klemens.

- Jakżeż! Jakie inne sposoby? Czy wyrzucisz mnie za drzwi, będąc silniejszym?

- Nie, Małgorzato, dobrze wiesz, że wolałbym umrzeć, niż użyć wobec ciebie siły. Twoje najmilsze ciało droższe mi od własnego, ale milion mi razy droższe dusze nasze nieśmiertelne. Dość długo opierałem się tej najzgubniejszej pokusie. Teraz muszę uciekać, żegnaj, żegnaj.

Ruszył ku drzwiom, właśnie je otworzył, na pół przekroczył próg, gdy Małgorzata rzuciła się za nim i chwyciła go za ramię.

- Skoro tak, musi przemówić za mnie ktoś inny. Myślałam, że nagrodzę cię za to, że mnie usłuchasz, ale skoro jesteś tak dla mnie nieczuły, potrzebuję jego pomocy: zawróć tu jeszcze na chwilę.

- Nie, nie.

- Tak, powiadam. A potem odwróć się do nas plecami, jeszcze zdołasz.

Zwolniła nieco uchwyt, sądząc, że nie odmówi jej tak niewielkiej łaski. Ale Klemens skorzystał z okazji i wyrwał się.

- Uciekaj, Klemensie, uciekaj! - krzyknął nieprzytomnie, zapał religijny przywrócił mu na chwilę dawne siły, skoczył dziko przed siebie, po kilku krokach skręcił i biegł dalej brzegiem strumyka, ale nie będąc ściganym, przystanął i spojrzał za siebie.

Leżała twarzą do ziemi z wyciągniętymi przed siebie rękami.

Tak, przewrócił ją bezwiednie, może zranił. Jęknął, zawrócił o krok, nagle pchnięty innym impulsem zamiast tego skoczył do lodowatej wody.

- Zabij me ciało - krzyczał - ale zbaw duszę!

Stał zanurzony po szyję w lodowatej wodzie, Małgorzata jęknęła żałośnie i podniosła się na kolana.

Widział ją wyraźnie jakby w południe: bladą twarz, lśniące oczy, i wtedy w nocnej ciszy usłyszał słowa:

- O Boże! Ty, który wiesz wszystko, widzisz, jak mnie potraktowano! Wybacz mi, Panie! Albowiem nie będę żyła ani dnia dłużej.

Z tymi słowy skoczyła na równe nogi, uciekła jak dzikie śmiertelnie ranione zwierzę, przebiegła koło nieszczęsnej kryjówki eremity, krzyząc:

- Okrutny, okrutny! okrutny! okrutny!

Ileż odcieni bólu może wyrazić jednym słowem ludzkie serce. W tym żalonym okrzyku była zraniona miłość, urażona duma, rozpacz i nadchodzące szaleństwo. Klemens usłyszał, groza i wyrzut sumienia zmroziły mu serce boleśniej niż lodowata woda szpik jego kości.

Czuł, że odpędził ją od siebie na zawsze, i pośród tego ponurego triumfu, największego, jaki udało mu się osiągnąć, opanowała go nieprzeparta chęć przeklęcia Kościoła, nawet samej religii, za wymaganie tak nieludzkiego okrucieństwa od śmiertelnego człowieka. Na koniec wypęzł na pół martwy z wody i poszedł słaniając się do swej nory.

„Tu jestem bezpieczny - jęknął - nigdy nie przyjdzie więcej do mnie, nieludzkiego, niewdzięcznego nędznika”.

Upadł na podłogę przemarznięty i wynędzniały z cichą nadzieją, że może więcej nie wstanie.

Zobaczył nagle na klepsydrze, że minęła północ. Podniósł się z wolna, ściągnął mokre odzienie i cały czas jęcząc na myśl o bólu, który sprawił ukochanej, nałożył włosiennicę ze szczeciny, własność ongiś starego pustelnika, i jego półpancerz. Nigdy tego jeszcze nie nosił, nie czując się godny przywdziać zbroi doświadczonego żołnierza. Ale teraz musiał szukać wszelkiej pomocy; szczecina włosiennicy bólem fizycznym rozproszy ziemskie wyrzuty sumienia, a może półpancerz posiada świętą moc.

Ukląkł potem i pokornie prosił Boga, aby wyzwolił go tejże nocy od jarzma cielesnego. Zapalił wszystkie świece i zawzięcie odmawiał Psalterz; słowa wydawały się odrywać bryłkami ołowiu z ołowianego serca i ołowiem spadać na ziemię. Podczas tej mechanicznej modlitwy od czasu do czasu wzdychał z całego serca. Wtem modląc się

dostrzegł mały tłumoczek w kącie celi. Nie widział poprzednio nic przy słabszym świetle, a teraz wydało mu się, że na jednym końcu owo coś błyszczy jak złoto przetykane jedwabiem.

Podszedł, aby przyjrzeć się z bliska, i nagle uniósł w ekstazie ręce ku niebu.

- „To serafin - szepnął - czarowny serafin. Niebo było świadkiem tej gorzkiej próby i pochwała me okrucieństwo. Zesłało ten niebiański kwiatusek, aby pocieszyć upadającego pod ciężarem”.

Padł na kolana i patrzył upojony na złote włosy, delikatną skórę, policzki podobne do brzoskwini.

„Pozwól mi nacieszyć smutne oczy, zanim odejdziesz do rajskiego mieszkania, a cela pociemnieje jak wtedy, gdy ona ją opuściła”.

Pustelnik zaniepokoił swym zachwytem ślicznego gościa, który szeroko otworzył oczy barwy nieba i ujrawszy klęczącą przy nim dziwaczną postać zapłakał żałością: „Mamo! Mamo!” I łzy potoczyły się po maleńkiej twarzyczce.

Może to właśnie jednak Klemens, który przez sześć miesięcy nie widział twarzy ludzkiej, słuszniej ocenił piękno dziecięce, niż my możemy to zrobić; trzeba jednak przyznać, że śliczne dzieci północnych krajów, o długich złotych włosach, bardziej bywają anielskie niż wszelkie nasze obrazy aniołów. Ale teraz czar przysł.

Lecz dobrze się stało. Klemens, jak zapewne pamiętamy, bardzo lubił dzieci, a uczciwe klasztorne życie potęguje to uczucie. Niewinna żałość anielskiej buzi, łzy, które tak obficie płynęły z przejrzystych fiołków ocząt i śliczne żalose wezwanie do matki - jedyne przyjaciela, głęboko poruszyły serce pustelnika. Użył wszystkich zasobów swej łagodności i sztuki, aby uspokoić chłopczyka, ponieważ zaś malec odznaczał się niezwykłą na swój wiek inteligencją, przestał płakać, a strach ustąpił miejsca zdziwieniu; W milczeniu przerywanym tylko od czasu do czasu cichutkim szlochem, obserwował wielkimi przestraszonymi oczami dziwaczną postać, która wyglądała groźnie, lecz przemawiała łagodnie, nosiła zbroję, lecz nie zabijała dzieci, tylko je pieściła. Klemens równie był pomieszany, próbując zrozumieć, w jaki sposób ów ludzki kwiatusek przybył, by zakwitnąć i zabłyszczeć w jego ponurej jaskini. Pamiętał jednak, że zostawił drzwi szeroko otwarte, i doszedł do wniosku, że skutkiem tego niedbalstwa jakaś nieszczęsna istota z wysokich sfer czy też może nizin skorzystała z tej okazji, by pozbyć się dziecka na zawsze. Ogarnęła go taka litość dla biednego porzuconego cherubinka, że łzy stanęły mu w oczach i poza zbrodnią matki dojrzał dobroć Boga, który tak pokierował bezlitosną ręką, aby pocieszyć złamane serce sługi Pańskiego.

- Niech Bóg błogosławi, niech ci błogosławi, słodkie niewiniątko, nie zamieniłbym cię nawet na aniołka w niebie.

- Cacy - odpowiedział malec, pomijając z pogardą zwyczajem malców wszelkie uwagi, które nie wzbudzały w nim zainteresowania.

- A cóż tu ładne, kochanie, prócz ciebie?

- O, to - powiedział chłopiec, pokazując półpancerz pustelnika.

Quot liberi, tot sententiunculae! - dziecko Hektora krzychało na widok lśniącego kasku ojca i poruszającej się kity; a tutaj dziecię wieków średnich uspokaja się zachwycone wypolerowanym pancerzem.

- Mam tu ładniejsze rzeczy - rzekł Klemens. - Są małe ptaszki, kochasz ptaszki?

- Nie. Tak. Tylko malusie, baldzio malusie! Nie jak bociany. Nie tocham bocianów, duże. Większe od dzidzi.

Wyjaśnił nieco łamanym językiem, że bociany o wielkich, trzepocących skrzydłach napędzają mu stracha, odgrywiają mniej lub więcej ponurą rolę w jego życiu, przynoszą kłopoty i zmartwienia.

- Ale moje ptaszki są malutkie i dobre, a jakie śliczne!

- To tocham je - rzekło stanowczo dziecko. - Cie do mamy.

- Niestety, słodki gołąbeczku! Nie wiem, czy uda mi się ją godnie zastąpić. Czy masz też prócz mamy tatusia, maleńki?

Od tej chwili rozmowa ta stała się nie tylko najdziwniejszą wymianą zdań między dwiema istotami ludzkimi na tej ziemi jeśli uwzględnimy różnicę wieku, sytuacji i wszelkie inne okoliczności - od drugiego czy przy drugim pytaniu pustelnika zmieniła się z dziwnej w cudowną, doszedł niewidoczny świadek, dla którego każde słowo znaczyło dziesięć razy więcej niż dla uczestników rozmowy.

Ponieważ od tej chwili powinniście widzieć jej oczami i jej uszami słyszeć, musimy się cofnąć po nią o krok.

Małgorzata przebiegając obok Gerarda, była prawie szalona. W takim stanie umysłu kochające matki mordują swe dzieci, czasem giną wraz z nimi, czasem zabijają tylko maleństwo, co jest na pewno objawem obłądki. Przybiegła do Reicht Heynes błada, drżąca i rzuciła się jej. na szyję.

- O Reicht!. O Reicht! - nie mogła wyrzec ani słowa więcej.

Reicht ucałowała ją i zaczęła popłakiwać; może nie uwierzycie, ale. wielki brytan, zawył żałośnie do wtóru, instynkt go; ostrzegł, że dzieje się coś niedobrego.

- O Reicht! - jęczała piękna wzgardzona, gdy tylko zdołała wyrzec pierwsze słowo. - Popatrz, jak mnie przyjął - i pokazała dłonie krwawiące po upadku na głazy. - Popchnął mnie

na ziemię, tak mu było spieszno uciec. Wziął mnie za diabła; powiedział, że przyszła go kusić. Czy mam zwyczaj kusić mężczyzn? Znasz mnie, Reicht!

- Na pewno nie, słodka pani. Małgorzato. Da kuszenia jesteś ostatnia ze wszystkich niewiast, świata.

- Nie chciał spojrzeć na dziecko. Jeszcze tej, nocy skoczę wraz z małym do wody.

- O, fe! fe! Nawet tak nie mówcie, miła niewiasto! Czy jest na świecie - żyjący człowiek więcej wart niż życie twego dziecka?

- Moje dziecko! Gdzie ono? Reicht, zostawiłam je tam! Jaki wstyd! Czyż tak go kocham, że zapomniałam o dziecku? O, słusznie mnie to wszystko spotkało!

Usiadła, wierna Reicht obok niej, i płakały objawszy się ramionami.

Po chwili Małgorzata przestała szlochać i zadecydowała stanowczo:

- Idziemy do domu.

- A dzieciak?

- Niech tam siedzi, dobrze mu tam. Nie mam już serca dla własnego dziecka. On nie dba o syna, nie chciał go widzieć ani słyszeć o nim. A ja z taką dumą go zabrałam, tak ślicznie ułożyłam mu włosy, ubrałam w nowy płaszcz i kapturek. Nie, odwróć się, tak samo jego syn jak mój; niech go zatrzyma czas jakiś. Może go to nauczy więcej myśleć o matce dziecka, a także i o własnej.

- Głupie słowa, jak plewy, wiatr niesie - rzekła Reicht.

- Czas pokaże. Chodź do domu.

Ruszyły. Czas jednak bardzo szybko pokazał, bo po drugim kroku Małgorzata zatrzymała się i nie mogła iść ani w jedną, ani w drugą stronę, stała nieruchoma jak głaz.

- Reicht - rzekła żałośnie - czy mam coś więcej na świecie? Nie mogę.

- Kto mówi, że możecie? Czy myślicie, że was słuchała?

Słowa niewiasty są jak powietrze. Wróćcie po małego, i to zaraz. Powinniśmy dawno być w łóżkach, a dzieciak tym bardziej.

Reicht szła pierwsza, a Małgorzata ochoczo za nią w tym samym kierunku; ale gdy zbliżały się do celi, znów się zatrzymała:

- Reicht, wejdz na górę i zapytaj, czy odda mi chłopca, nie mogę znieść jego widoku.

- Niestety, moja pani, jaki to smutny koniec po tym, co było między wami dwojgiem. Pomyśl teraz, serce nie podpowiada ci jakiegoś wytłumaczenia dla niego? Naprawdę nienawidzisz tego, na którego tak długo czekałaś? O świecie!

- Nienawidzić go? Nie, Reicht, nie chciałabym, by mu włos spadł z głowy, za nic w świecie; ale patrzeć na niego nie mogę. Boję się go. Gdy pomyślę, ilem dla niego wycierpiała,

i po co poszłam do niego dzisiejszej nocy, i o tym, że przyniosłam mu moje kochanie, żeby go ucałowało i nazwało ojcem. Ach, Łukasz, mój biedny chłopcze, moje rany ukazały mi twoje. Za mało myślałam o twych udrękach, pogardziłam prawdziwym twym uczuciem, a teraz moim wzgardzono. Reicht, gdyby biedny chłopiec był tu gdzieś w pobliżu, miałby szansę.

- Nie. jest daleko - rzekła Reicht Heynes, ale jakoś bez większego zapału.

- Nie wspominaj o żadnym mężczyźnie - powiedziała z goryczą Małgorzata - nienawidzę ich wszystkich.

- Przez jednego?

- Nie drwij ze mnie, jeno idź, proszę, naprzód i odbierz to, co moje, moją jedyną radość na tym świecie. Stoję tu jak na szpilkach, póki nie przycisnę go znowu do piersi.

Reicht ruszyła naprzód. Małgorzata usiadła przy drodze, zarzuciła fartuch na głowę i kołysała się w przód i w tył, jak to było zwyczajem w jej kraju, ponieważ duszę miała pełną smutku i urazy. Tak ciężki był jej konflikt wewnętrzny, że nie usłyszała, jak Reicht przybiegła z powrotem. Poderwała się wystraszona, gdy młoda niewiasta położyła jej rękę na ramieniu.

- Pani Małgorzato - rzekła Reicht spokojnie - posłuchajcie rady głupiej dziewczyny, która was kocha. Podejdźcie cichutko do jaskini i pilnie nasłuchujcie i baczcie, jak jeno umiecie.

- Dlaczego? Co? Reicht? - wyjąkała Małgorzata.

- Zdaje mi się, że w jaskini się świeci i słyhać głosy.

- Głosy?

- Tak, nie jeden, jeno dwa i tak mi się widzi, że jeden mężczyzna, a drugi dzieciak pogadują sobie grzecznie jak wy i ja. Nie bardzo lubię dziurkę od klucza, nieładnie to, ale gdyby takie były głosy w jaskini i gdyby były mi tak bliskie jak wam, to poszłabym tam na czworakach jak lis, poczołgałabym się na brzuchu jak wąż i nie straciłabym ani słowa z tego, co się tam mówi między tymi dwoma.

- Cicho, Reicht! Niechaj ci Pan Bóg błogosławi. Poczekaj tu! Pocałuj mnie. Módl się za mnie;

Ledwie w podnieceniu wyszeptała te słowa, biegła już ku pustelni bezgłośnie jak czajka.

Podszedłszy bliżej, dalej pełzła; było coś naprawdę wężowego w bezszelestnych, śliskich ruchach, gdy dotarła do drzwi, odnalazła szczelinę i słuchała. Musiała walczyć z sobą, aby nie zaskoczyć ich. Ostrzeżona przez porażkę, była jednak ostrożna i zdecydowana

zostawić ich samych. Po chwili powoli i bezgłośnie uniosła głowę ku najszerszej szparze i patrzyła, i słuchała zachłannie.

Chłopaczek na pytanie, dlaczego nie ma tatusia, potrząsnął najpierw główką i nie odpowiedział. Gdy jednak pustelnik zapytał raz jeszcze, dziecko przypomniało sobie coś nagle i rzekło: „Tatuś niedobry, posied i zostawił biedną mamusię”.

Ta, która to słyszała, drgnęła. Było to dla niej tak samo niespodzianką jak dla Klemensa. Jakaś głupia niewiasta wmieszała się i przysła powiedzieć to dziecku, a teraz te słowa dotarły bezpośrednio do Gerarda. Odpowiedź pustelnika zaskoczyła ją; wybuchnął: „Podły! Potwór! Urodził się chyba bez serca, żeby ciebie porzucić, maleńki. Ach, nie rozumie, jaką radość utracił. Mój gołąbeczku śliczny, muszę ci przeto być ojcem i matką, skoro jedno uciekło w świat, a drugie zostawiło cię na mojej opiece. Jutro rano poproszę dobrych ludzi, którzy przynoszą mi chleb, aby dodali parę ładnych jajeczek i mleka dla ciebie; chleb wystarcza dla biednego, do niczego niezdatnego człeka jak ja, ale nie dla ciebie, aniołku. I nauczę cię czytać.

- Ja umie czytać. Ja umie czytać.

- Naprawdę? taki malutki? Tym lepiej; będziemy razem czytać piękne księgi i pokażę ci drogę do nieba. Niebo jest prześlicznym miejscem, tysiąc razy lepszym i piękniejszym od ziemi, żyją tam małe cherubinki w białych sukienkach, są podobne do ciebie, przywitają cię mile, pokochają. Chciałbyś iść kiedyś do nieba?

- Tak, lazem z mamusią.

- A bez niej nie?

- Nie, chce do mamusi. Gdzie moja mama?

(Niełatwo było biednej Małgorzacie zdobyć się na tyle opanowania, aby nie wypaść natychmiast do jaskini i nie przygarnąć malca do serca).

- Nie trap się, kochanie, może tu przyjdzie, jak uśniesz. Będiesz teraz dobry, zaśniesz?

- Nie cie pać. Cie mówić.

- Dobrze, porozmawiajmy. Powiedz mi twoje śliczne imię.

- Dzidzius - otworzył ze zdziwieniem oczy wobec takiej ignorancji niezgrabnego wielkoluda.

- Nie masz innego imienia?

- Nie.

- Co byś chciał, żebym robił, co cię ucieszy? Czy mam ci opowiedzieć bajeczkę?

- Lubię bajeczki - powiedział chłopiec klaszcząc w rączki.

- A może zaśpiewać ci piosenkę?

- Lubię piosenkę - ożywił się.

- Wybierz zatem, co wolisz: piosenkę czy bajeczkę.

- Piewaj piosenkę. Nie, powiedz bajeczkę. Nie, piewaj piosenkę. Nie - wygiął w podkówkę usteczka i był bliski płaczu, bo nie mógł mieć jednego i drugiego, a wybór był taki trudny. Nagle buzia mu pojaśniała: „Piewaj bajeczkę” - powiedział.

- Zaśpiewać bajeczkę, Dzidziusiu? Właściwie, czemuż by nie? Usiądziesz mi na kolanach i posłuchasz?

- Tak.

- Muszę zdjąć pancerz. To za twarde dla twojej delikatnej buzi. Tak. I tę szczecinową włosiennicę, jeszcze by podrapała ci delikatną skórkę, pokrwawiła, może, jak mnie. Tak. Teraz wdzieję najlepszą pelisę na cześć twoich wspaniałych odwiedzin. Popatrz, jaka miękka i ciepła, niech Pan Bóg błogosławi zacnej duszyszce, która ją tu przysłała. Teraz siadam, tak. Wezmę cię na lewe kolano i podłożę ci ramię pod główkę tak. Teraz psalterion. Zagram melodyjkę, tak, nie za głośno.

- Tocham to.

- Bardzo mi miło. Teraz słuchaj bajeczki.

Zaśpiewał dziecinną historyjkę, recytując przy dźwięku muzyki, śpiewając od czasu do czasu refren z naiwnym morałem. Chłopiec słucha! zachwycony.

- Tocham cię - powiedział. - Kto ty? Cy człowiek?

- Tak, serduszko, i w dodatku wielki grzesznik.

- Tocham wielkich dzesników. Piewaj inną bajeczkę. Odśpiewano historyjkę nr 2.

- Tocham cię - wołało z zapalem dziecko. - Co ty łobis?

- Jestem pustelnikiem, kochanie.

- Tocham tielników? Piewaj inną bajeczkę.

W czasie ostatniego występu natura nagle dotknęła ołowianym berłem powiek młodocianego słuchacza.

- Nie cie pać - zaprotestował słabo i zasnął.

Klemens ostrożnie odłożył psalterion i zaczął kołysać w ramionach swój nowy skarb i nucić mu znaną w Tergou kołysankę, którą usypiała go niegdyś matka.

Dziecko spało mu na ramieniu głębokim snem. Przestał nucić i patrzył na maleństwo z niezmierną czułością, lecz i ze smutkiem; nie mógł nie pomyśleć w tej chwili, co mogłoby być, gdyby nie świstek papieru i wypisane na nim kłamstwo.

Westchnął ciężko.

Za chwilę światło księżyca wśliznęło się do celi, wraz z nim w jego promieniu, tak samo prawie szybka, Małgorzata przypadła do kolan mnicha, kładąc nieśmiało dłoń na jego ramieniu.

- GERARDZIE, NIE ODEPCHNIESZ NAS. NIE MOŻESZ.

Rozdział XCVII

Przestraszony eremita przenosił wzrok od dziecka ku Małgorzacie i znowu przyglądał się swemu pupilowi tyleż zdumiony co poruszony nieoczekiwanym powrotem. Dziecko spało na jego lewym ramieniu, niewiasta klęczała u jego boku z prawej strony. Nie była to już blada, przestraszona, drżąca dziewczyna, którą pokonał tak łatwo przed godziną czy dwiema. Ujrzał teraz królewską piękność o zapłonionej twarzy i błyszczących oczach, z uśmiechem triumfu na ustach. Cała twarz promieniała wyrazem, którego nie umiał odczytać, nie widział jej bowiem jeszcze w tej roli - dumnej matki.

Zmieszany i zdumiony spoglądał to na nią, to na dziecko.

- Nas? - wyrzekł z trudem wreszcie i nie przestawał przenosić zdumionego wzroku z dziecka na Małgorzatę.

Teraz z kolei zdumiała się Małgorzata. Żyli oboje w wieku wrażeń, nie faktów.

- Jak to? - krzyknęła. - Ojciec nie poznaje własnego dziecka! I to człek Boży? Fe, Gerardzie, nie udawaj! Jesteś za dobry, za mądry, żebyś miał kłamać. Przecież cię śledziłam, przyjrzyj się wam dwóm! Trzymasz przecież swoją krew i ciało przy sercu.

Klemens drżał. - Co ty mówisz? - bełkotał. - Ten aniołek jest mój?

- A czyj? Jeśli jest mój...

Klemens patrzył na śpiące dziecko wzrokiem, którego żadne pióro nie zdoła opisać, drżał całym ciałem, zdawał się pożerać oczyma kochane maleństwo.

Małgorzata poszła za jego wzrokiem.

- Nie jest ani trochę do mnie podobny powiedziała z dumą - chwilami jest wykapanym twoim pomniejszonym obrazem. - Popatrz na te jego złote włosy! Tyś miał takie same w jego wieku; zapytaj zresztą mamy. Zobacz to znamię na małym palcu, porównaj u ciebie: tu! Twoja matka powiedziała mi, że miałeś przed nim taką samą myszkę. Gerardzie, to przez to znamię nasze dziecko cię odnalazło; po tym malutkim znamieniu na palcu rozpoznałam cię jako ojca. Przyglądałam ci się, gdy karmiłeś ptaki przez okienko. - Chwyliła łapkę dziecka, całowała ją łapczywie, pakując połowę rączki do ust, Bóg jeden wie, w jaki sposób.

- Niech ci Pan Bóg błogosławi, odnalazłeś mamie biednego tatusia i uczyniłeś nas znowu przyjaciółmi po naszej małej kłótni - pierwszej i ostatniej. Byłeś bardzo dla mnie okrutny, mój biedny Gerardzie, ale teraz przebaczam ci, boś pokochał swe dziecko.

- Ach, ach, ach, ach, ach! - zaszlochał Klemens, drżąc na całym ciele.

Oslabiony postami, wyczerpany nerwowo samotnością silny niegdyś mężczyzna histeryzował, mdlał prawie.

Małgorzata przestraszyła się, litość jednak przeważyła nad obawą, była doświadczoną niewiastą.

- Nie przejmuj się tak - szepnęła, kojąco kładąc dłoń na jego czole. - Bądź dzielny! Tak, tak. Ukochany, nie tobie pierwszemu się to zdarza. Tak bywa, że mężczyzna wraca z zagranicy, bogatszy o drugiego, maluśkiego, ślicznego siebie. Jesteś kapłanem, bądź odważny, powiedz, że to On zsyła ci syna jako pociechę za to, coś utracił we mnie. A to nie tak wiele, miły mój, najlepsza, czysta część mej miłości zginie w nim, tak jak może w tobie, któryś jest księdzem i proboszczem w Goudzie.

- Ja? Księdzem w Goudzie? Nigdy! - szepnął Klemens słabym głosem. - Jestem dominikaninem... Ale płyn, słodka melodio, opowiadaj o wszystkim, co ci się zdarzyło, zanim się znowu rozstaniemy.

Ktoś może by, słysząc to, zaprotestował przeciw rozstaniu i wdałby się w słuszną dysputę. Ale niewiasta taka jak Małgorzata nie popełnia dwa razy tego samego błędu. Bardzo trudno pobić taką kobietę dwa razy, gdy walczy o coś całym sercem.

Ustała, pominęła sprawę w Goudzie jako sprawę, do której wracać nie należy; opowiedziała mu swe dzieje, rozwodząc się przede wszystkim obszernie nad dobrocią okazaną przez jego rodziców; gdy malowała obraz swych trosk i trudności, wyciągnął dłoń ku jej rękom, czuła, jak drżał z żalu i gniewu, współczując jej z całej duszy.

- Żałosna opowieść walki wiernego serca, zmagającego się samotnie z tak okrutnym losem - westchnął.

- Wszystko wydaje mi się małe, skoro ujrzałam cię znowu i to, gdy kołyszysz mego chłopca. To było ważne ostrzeżenie, Gerardzie. Tak wierna przyjaźń jak nasza nieczęsto się zdarza na tym świecie. Rozstanie prowadzi do obłędu, tylko śmierć może nas rozdzielić.

- To prawda - rzekł Klemens, przestając nad sobą panować.

Chciała, aby teraz on opowiedział jej, co dla niej wycierpiał, poprosił, aby go z tego zwolniła - zgodziła się. Ale spokojnie pytając osiągnęła to, co chciała, i wszystko z niego wydobyła; wiele razy wzdychała i często zakrywała dłońmi twarz, przerażona niebezpieczeństwami, które przeżył, pełna grozy, mimo iż to przeminęło.

Aby go pocieszyć po tym wszystkim, co przeszedł, uklękła, objęła i uniosła na rękach chłopaczka:

- Ucałuj go delikatnie - szepnęła. - Jeszcze! Jeszcze! Możesz całować do woli, jest zdrowy. To wszystko, czym mogę cię pocieszyć, póki nie porzucisz tej ohydnej nory i nie znajdziesz się w swej ślicznej plebanii.

Klemens potrząsnął przecząco głową.

- Dajmy więc spokój - rzekła. - Czy wiesz, przeżyłam wiele przykrości dla braku umowy ślubnej.

- Kto śmiał cię obrazić?

- To nieważne, ale będą to dalej robili, jeżeli, nie daj Boże, ją zgubiłeś.

- Zgubiłem? Nie, leży obok twej ręki.

- Gdzie, gdzie, gdzie?

Klemens spuścił głowę. - Zajrzyj do Wulgaty. Niech mi Bóg przebaczy; myślałem, żeś umarła i przebywasz jako święta w niebie.

Zajrzała i wśród nie zapisanych kart Ewangelii nieszczęsnego człowieka znalazła swój kontrakt ślubny.

- Dzięki Bogu; - zawołała. - Dzięki Bogu! Niech ci Pan Bóg odpłaci, Gerardzie! A to co? - Wśród dalszych kart leżał każdy przysłany niegdyś przez nią skrawek papieru, dwa imiona kochanków, które dla żartu wypisała kiedyś razem, pukiel jej włosów, który mu dała, połowa przełamanej wspólnie srebrnej monety i słomka, przez którą piła polewkę w dniu, gdy pierwszy raz ją ujrzał.

Gdy Małgorzata ujrzała te dowody wiernej miłości i cierpień czulego, opuszczonego serca, radość z odzyskania kontraktu ślubnego ustąpiła miejsca przejmującej tklivości. Zachwiała się, przycisnęła dłonią serce, oparła czoło o kamienną ścianę celi i płakała tak ciche, aby nie widział, że płacze. Nie chciała do tego dopuścić, bo czuła, że aby go teraz oswoić, musi być tą silniejszą, wzruszenie zaś osłabia.

- Gerardzie - powiedziała - wiem, że jesteś mądry i dobry.

Musisz mieć jakieś powody swego postępowania, mimo iż wydaje się to tak bardzo nierozsądne. Porozmawiajmy jak starzy przyjaciele. Czemuś pogrzebał się żywcem?

- Aby uniknąć pokusy, Małgorzato. Mój bezbożny gniew przeciw tamtym dwom miał swe korzenie w sercu; muszę to serce poskromić i poskromię, Deo gratia. Czyż godzi mi się, słudze Chrystusa i Kościoła, zabiegać o pokusy? Prosić co dzień „nie wódź. nas na pokuszenie” i świadomie się na nie narażać? - Tu choć widać już jakiś sens - rzekła Małgorzata, wyśmie. nicie udając szczerłość.

- Niezaprzeczalny - westchnął Klemens.

- Zobaczymy. Powiedz mi, udało ci się tu uniknąć pokus? Pytam, bo dziksze i głupsze myśli prześladowają mnie więcej w samotności, niż gdym w kompanii. Powiedz mi prawdę. No!

- Muszę przyznać, że gorsze cierpiałem pokusy od zlej imaginacji niż w świecie.

- No widzisz.

- Tak, ale to samo było z Antonim i Hieronimem, Makarym i Hilarym, Benedyktem, Bernardem i wszystkimi świętymi. To się skończy.

- Skąd wiesz?

- Czuję, że tak.

- Zgadywanka, a nie wiedza. Mężczyźni są w tych sprawach głupszy od nas, któreśmy jeno niewiastami. Wymyślają sobie przeróżne mądrości, których nie chcą sami widzieć; ich serca zbyt wzniosłe, aby się uczyć od własnych oczu. Gdyby niewiasta weszła do dziury w skale, aby uniknąć pokus, i właśnie tam je znalazła, zawinęłaby spódniczkę i już jej tam nie ma. Nawet by nie wiedziała, jaka jest mądra, dopóki nie przyjrzałaby się mężczyźnie w podobnej trudności:

- No nie, ja uznaję, iż pokora i umysł podatny na naukę wiodą do mądrości. Ale gdy wszystko już powiedziano, zaczynam borykać się z imaginacją. W Goudzie niewiasta, którą kocham tak, jak księdzu i mnichowi wolno kochać anioły jeno, będzie kusić słabą duszę - która nie chce złego, ale nie żywi wstrętu wobec pokus.

- A to inna sprawa. Ja cię będę zatem kusić? Do czego, na miłość Boską?

- Kto wie? Ciało słabe.

- Mów o sobie, mój chłopcze. Chyba myślisz o innej Małgorzacie, nie o Małgorzacie córce Piotra. Czy kiedykolwiek umysł mój skłonny był do szaleństwa i słabości? Czekał, dlatego tak uważasz, żeś był niegdyś mym mężem, jak dowodzi ta umowa? Czy sądzisz, iż droga do głupoty dla ciebie dostępniejsza niż dla innego? Jak płytki bywają uczeni, jak mało umiesz czytać w duszy tej, która tak świetnie na wskroś rozumie twoją naturę. Proszę, naucz się tego abecadła. Gdyby, obcy człowiek ofiarował mi nieczystą miłość, zżymałabym się trochę i byłoby mi na pewno przykro, ale obroniłabym się nie czyniąc wrzawy, wiem bowiem, jacy są mężczyźni, czasami najlepsi. Ale gdybyś ty, któryś mi był małżonkiem i jesteś ojcem mego dziecka, mógł chcieć tak mnie poniżyć w moich oczach i swoich, i jego albo bym ci w twarz plunęła, Gerardzie, albo, ponieważ nie jestem taką prostytutką, chwyciłabym pierwszą lepszą z brzegu broń i przebiła cię na śmierć.

Oczy Małgorzaty miały płomień, nozdrza jej rozszerzyły się, wyglądała dumnie i wspanialej nikt, widząc ją w tej chwili, nie mógł zwątpić w jej szczerość.

- Niesłusznie na to patrzałem - rzekł Gerard spokojnie i zamyślił się.

Małgorzata spojrzała nań bez słowa i szybko się opanowała.

- Po cóż sprzeczką - powiedziała łagodnie. - Mówmy o innych rzeczach. Pytaj mnie o twoich.

- Ojciec?

- W porządku i serdeczny dla nas obojga. Biedak, chwycił miecz na tych dwóch wtedy. Jorian Ketel i ja uspokoiiliśmy go, ale wypędził ich z domu na zawsze.

- To być nie może; musi ich przyjąć z powrotem.

- Nigdy tego dla nas nie zrobi. Znasz go przecie; to człowiek twardy jak żelazo. Mógłby go przekonać tylko jeden człowiek, ale ten nie chce wyrzec słowa.

- Kto?

- Wikary z Goudy. Staruszek ma być jutro na plebanii, tak słyszałam.

- Ciągle do tego wracasz.

- Wybacz mi, jestem jeno niewiastą. Mamy zwyczaj trochę nudzić; musisz mnie powstrzymywać pytaniami.

- Siostrzyczka Kasia?

- Niestety!

- Cóż to się stało nawet tej słodkiej lilijce? Powiedz wreszcie!

- Uspokój się, kochanie, nic złego jej nie spotkało. O, nie, nie, nic takiego. - Małgorzata zmusiła się do spokoju i niskim, cichym głosem łagodnie szepnęła: - Biedny mój Gerardzie, Kasia pozostawiła już troski za sobą. Wedle tego, jak się to stało, to odpoczynek dla niej. Tacy jak ona nie dożyli nigdy trzydziestki i nie dożyją, póki ziemia nie przeminie. Uśmiechała się nawet w cierpieniu. A potem przyszła na nią wielka słabość, opuściły ją wszystkie bóle.

- Opuściły ją bóle? Nie rozumiem cię.

- Nie masz doświadczenia, matka również łudziła się i powiada: „Może to zmiana na lepsze”. Ale Joanna Ketel, która zna się na rzeczy, przyjrzała się jej i powiada: „Słońce zachodzi, wiatr cichnie”. A kumoszki potwierdziły: „Bądźcie dzielna, matko, jej już pół drogi do nieba”. Matka płakała okrutnie, Kasia nie pozwalała jej. Pewna stara bardzo niewiasta rzekła matce: „Po takim ciężkim życiu lekka będzie jej śmierć”.

Ostatnie trzy dni minęły spokojnie bez cierpień, w oczekiwaniu na niebo. Ach, drogi mój, gdy odchodziła już, poprosiła o „Gerardowego chłopaczka”, przyniosłam go, posadziłam na łóżku i maleńki zachowywał się tak spokojnie jak teraz. Nie mówiła już wtedy; pokazała szufladę, a matka wiedziała, czego szukać - były tam dwa złote dukaty, które jej dałeś przed laty. Biedactwo, przetrzymywaj je do czasu, gdy powrócisz do domu. Skinęła ku chłopcu,

spoglądała niespokojnie; zrozumialiśmy ją, włożyliśmy dukaty do rączek malca, a gdy zacisnęły się nad nimi paluszki, uśmiechnęła się zadowolona. I tak oddała swe ziemskie skarby ulubionemu dziecku - bo ty byłeś jej ulubieńcem - a nieśmiertelny klejnot Bogu, i odeszła tak słodko, że nikt z nas nie zauważył, kiedy nas opuściła. Ach, niestety, niestety!

Gerard płakał.

- Nie ma drugiej takiej na świecie - szlochał. - O jakże ziemskie uczucia czule obejmują me serce. Nie mogę temu przeszkodzić. A wreszcie one również od Boga pochodzą. Mów dalej, słodka Małgorzato, przeszłość wraca jak fala z melodią twego głosu. Uczucia i nadzieje młodości przyplływają rozjaśniając moją ponurą celę i jeszcze bardziej mroczne serce na falach wspomnień i muzyki.

- Gerardzie, przykro mi cię zmartwić, ale Kasia płakała, gdy złożyła ją słabość, a ty nie przyszedłeś do niej, aby zamknąć jej oczy.

Gerard westchnął.

- Byłeś tak niedaleko, lecz ukryłeś przed nią twarz. Jęknął.

- Wybacz, że nudzę, ale jestem jeno niewiastą; nie byłbyś, wiedząc o tym, tak okrutny wobec własnej krwi, prawda?

- Och, nie.

- Muszę ci też powiedzieć, że twój brat Sybrandt leży w moim domu ze złamanym kręgosłupem, skutek twojej klątwy.

- Mea culpa! mea culpa!

- Bardzo jest skruszony; przebacz mu dzisiejszej nocy!

- Dawno już mu przebaczyłem.

- Czy przypuszczasz, że uwierzy komuś prócz ciebie? A leży o dwa kroki stąd.

- Tak blisko? Dlaczego, gdzie?

- Na plebanii w Goudzie. Przywiozłam go tam wczorajszego wieczoru. Znam cię dobrze, wiedziałam, że ledwie wymówisz przekleństwo, już pożałujesz tego - (Gerard skinął potakująco) i powiedziałam sobie: Gerard podziękuje mi, żem wzięła Sybrandta, by umarł pod jego dachem; nie będzie musiał bić w piersi i wołać: mea culpa, ale potrudzić się te trzy kroki, aby uspokoić schorowanego brata na łożu śmierci. Może mieć muchy w nosie, ale nie jest hipokrytą, człowiekiem pobożnych słów i Nielitościwych czynów.

Gerard dosłownie zachwiał się jak od strasznego uderzenia i usiadł.

- Wybacz, że nudzę - powiedziała. - Matka również czeka na ciebie. Czy to w porządku trzymać ją tak długo jak na rozżarzonych węglach. Nie zaśnie tej nocy. Pomyśl, Gerardzie, ona dla ciebie tyle znaczy, ile ja dla tego słodkiego dzieciątka. O wiele bardziej

szanuję teraz matki od czasu, jak mam malutkiego Gerarda. Cierpiała dla ciebie, wykarmiła, wychowała od dziecka do mężczyzny. Ksiądz, mnich, pustelnik, możesz się nazwać wedle woli, dla niej jesteś zawsze dzieckiem.

- Gdzie ona jest? - szepnął Gerard. Głos mu drżał.

- Na plebanii w Goudzie, czeka cię całą noc, modli się, martwi.

Małgorzata uznała, że czas już zaapelować do rozsądku, rozmyślnie czekała, dopóki perswazja otworzy drogę do przekonania. Tak kowal zmiękcza żelazo ogniem, aby potem uderzyć młotem.

Wy tłumaczyła mu swym wymownym prostym holenderskim językiem, że jego obecne życie było nieco szlachetniejszym rodzajem zwykłego sobkostwa, duchowego egotyzmu; podczas gdy ksiądz nie ma prawa dbać tylko o własną duszę, jak i o własne ciało.

Nie była to tylko jego droga do nieba. Czy ktoś kiedy, ratując dusze bliźnich, zgubił własną? Wszechmocny kocha tych, którzy myślą o innych, i gdy zobaczy, jak troszczysz się o dusze powierzonych przez księcia twej opiece, dziesięć razy czulszą troską niż teraz otoczy i twoją duszę.

Gerard spojrzał uderzony tą uwagą.

- Mocna jesteś w dyspacie - powiedział.

- Nic podobnego - odparła - jeno złudzenia nie oslepiają mych oczu (sądzę, że chciała powiedzieć: „przesady”). Póki szatan przemierza całą ziemię kusząc ludzi i póki synowie Beliala nie zamykają się w jaskiniach, jeno biegają jak mrówki, psując innych - dobry człowiek, który ukrywa się z dala, odgrywa rolę diabła, a co najmniej daje mu okazję. Jesteś żołnierzem Chrystusa! Zapytaj swego kamrata Dionizego, który był jeno żołnierzem księcia, zapytaj, czy się kiedy schował do dziury i unikał bitwy, ponieważ w boju prawdziwe niebezpieczeństwo czyha tam, dokąd wzywa obowiązek i chwała. Jedyną twą wymówką strach - nie ukrywałeś tego. Żołnierze króla czy księcia więcej mają zaiste odwagi niż żołnierze Chrystusa. Jakżeż! Żaden książę ani król nie ma tak tchórzliwych żołnierzy jak Chrystus. A o czymże to mówiłeś w kościele w Rotterdamie? O człowieku, który w podobnej sytuacji zakopał swój talent w ziemi i obraził Tego, który mu go dał? Czy twój cudowny dar kazania nie jest darem Stwórcy?

- Tak, na pewno.

- A odrzuciłeś go! Czy pogrzebałeś! Do kogoś kazał przez te siedem miesięcy? Do sów i nietoperzy? Talent i znakomite zdolności zakopałeś wraz z sobą w tej norze!

Dominikanie są zakonem kaznodziejów. Zostali założeni po to, by głosić kazania. Sprzeniewierzyłeś się przeto świętemu Dominikowi tak jak i jego Panu.

Czy pamiętasz, Gerardzie, gdy byliśmy młodzi oboje (dziś postarzeliliśmy się przed czasem) i wędrowaliśmy po polach trzymając się za ręce; gdy tylko ujrzałeś zbłąkaną owieczkę, daleko, na trzecich gdzieś polach, zostawiałeś ukochaną (za jej zgodą) i biegleś, by zabrać z litości bydłatko? A w Goudzie nie jedna owieczka ciężkie chwile przeżywała, lecz całe stado; niektóre zagubione, niektóre zbłąkane, niektóre splamione owieczki, niektóre pożerane, a wszystko to z braku pasterza. Gdzie ich pasterz? Czai się w norze jak wilk; znalazł sobie norę we własnej parafii. O fe, fe!

Rozpoznałam cię między innymi po twojej dobroci dla ptaszków. Bacz na to: ty, Gerardzie Eliassen, zawsze musisz kochać, masz to we krwi, po toś się urodził. Przewrotny człowieku, szukasz ziemskich afektów u stworzeń niższych od ludzi.

Gerard jej przerwał:

- Ptaki to Boże stworzenia. Są niewinne i mam rację kochając je, bo są Boże.

- Są więc takimi samymi Bożymi stworzeniami jak my, jak dziecko na twoich kolanach?

- Wiesz dobrze, że tak.

- Czemuż więc unikasz nas, a im oddajesz całą swą dobroć? Jeżeli i człowiek należy do stworzeń, czemuż go unikasz? Czy dlatego, że ze stworzeń najlepszy? Opiekujesz się pisklętami, a porzucasz własne dziecko? Ptaki potrzebują jeno cielesnego pokarmu, a mając skrzydła zasługują wtedy na litość, gdy nie mogą pofrunąć i znaleźć pożywienia. Ale słodki gołąbeczek na twoich kolanach pragnie nie tylko cielesnego, lecz i duchowego pokarmu. Jest tak samo twój jak mój. Ja już zrobiłam, co do mnie należało. Będzie wkrótce zbyt dla mnie duży i ufam, że proboszcz z Goudy nauczy go prawdziwej pobożności, da mu pożyteczną wiedzę. Czy nie jest więcej wart od gromady wróbli?

Przeżony Gerard wybąkał coś twierdzącego. Czekala bowiem na odpowiedź.

- Zdziwisz się - mówiła dalej - że tak gładko cytuję Pismo Święte. Ślęczałam nad nim przez te cztery lata. Dlaczego, jak myślisz? Nie dlatego, że to Pan Bóg napisał, ale ponieważ tak często widywałam je w twoich rękach, gdy jeszcze do ciebie należała. Niech mi niebo wybaczy, ale jestem jeno niewiastą. Co sądzisz o tym zdaniu: „Pozwólcie pracy waszej świecić przed ludźmi, aby mogli widzieć wasze dobre dzieła i chwalić Ojca waszego, który jest w niebiesiach”? Święty w ukryciu czymże jest więcej niż „światłem pod korcem”.

Przeto skoro owieczki twojej pieczy powierzone beczą z żalu za tobą i wołają: „Nie opuszczaj nas, przyjdź na plebanię w Goudzie”; skoro ja, która znam cię dziesięć razy lepiej, niż ty znasz siebie samego, zaklinam cię na własne zbawienie, że dla dobra twojej duszy winieneś przyjść na plebanię w Goudzie - jeżeli obowiązek wobec zbyt długo opuszczonego

dziecka wzywa, cię na plebanię w Goudzie - jeżeli twój suweren, którego Święte Pismo znów cię zaszczyca, posyła cię do plebanii w Goudzie, jeżeli papież, którego Kościół czci cię uczy, zwolnił cię od ślubów zakonnych i skierowuje do plebanii w Goudzie...

- Tak?

- Jeżeli twa siwowłosa matka oczekuje cię w żalu i trosce, odwraca klepsydrę i wzdycha boleśnie, że tak niespieszno ci do niej, na plebanię w Goudzie - jeżeli brat sił pozbawiony z powodu przekleństwa twego oczekuje przebaczenia i twoich modlitw za jego duszę, leżąc schorzały ciałem na plebanii w Goudzie - weź w ramiona złotowłosą ptaszynę, która tuli się do twej piersi, i podaj mi dłoń - niegdyś twej ukochanej żonie, teraz najlepszej, wiernej przyjaciółce, jakiej nigdy w życiu nie miał żaden mężczyzna, aż do nocy dzisiejszej, i pójdz ze mną na plebanię w Goudzie!

TO ANIELSKIE WEZWANIE! - zawołał głośno Klemens.

- Uśłuchaj go więc i chodź na plebanię w Goudzie!

Bitwa była wygrana.

Małgorzata została nieco w tyle, rozejrzała się szybko po celi, zabrała tylko Wulgatę i psalterion. Resztę z westchnieniem pozostawiła na miejscu. Wzięła do ręki pancierz i włosiennicę i z odrobiną okrucieństwa cisnęła je na ziemię. Widząc, że Gerard zdziwiony patrzy na nią spoza jaskini, zaczerwieniła się i rzekła:

- Jestem jeno niewiastą; „małe” zawsze będzie „przekorne”.

- Czemu się tym obarczasz? Są tu bezpieczne. Wiedziała, co robi.

I tak ruszyli ku probostwu w Goudzie. Księżyc i gwiazdy świeciły tak pięknie, że wydawało się jasno jak w dzień. Nagle Gerard przystanął.

- Moje biedne ptaszyny!

- A co z nimi?

- Nie będą miały co jeść. Karmiłem je codziennie.

- Dziecko ma kromkę chleba w kapturku. Wyjmij i nakarm je teraz przed świtem.

- Dobrze. Nie, nie zrobię tego. Malutki jest tak samo niewinny, a bliższy tobie i mnie.

Małgorzata odetchnęła głęboko.

- Dobrze zrobiłeś. Mogłabym cię znienawidzić, gdybyś mu odebrał chlebek. Jestem jeno niewiastą.

Gdy uszli ze ćwierć mili, Gerard westchnął. - Małgorzato - powiedział - muszę wypocząć; chłopiec jest dla mnie za ciężki.

- Daj go mnie, weź te rzeczy. Niestety! Niestety! Pamiętam czasy, gdyś mógł biec z dzieckiem na jednym ramieniu, a matką na drugim.

Małgorzata poniosła synka.

- Myślę - rzekł Gerard spuściwszy oczy - że zbytnie posty nie sprzyjają zdrowiu mężczyzny.

- Wielu ludzi umiera przez nie co roku, zwłaszcza w czasie zimy - odparła Małgorzata.

Gerard zamyślił się nad tymi prostymi słowami. Z ukosa zerkał, jak niesie dziecko bez żadnego trudu. Szli już prawie milę, rzeki więc mocno zdziwiony:

- Myślałaś, że to dwa kroki?

- Nie, tak nie myślałam.

- Tak przecie rzekłaś.

- To inna sprawa. - Odwróciła do niego swą twarzyczkę Madonny. - Skłamałam - rzekła ze słodyczą. - Aby ocalić twą duszę i ciało, jestem zdolna w potrzebie do gorszego kłamstwa. Jestem przecie jeno niewiastą. Ale teraz to już naprawdę dwa kroki.

- Bez kłamstwa?

- Hm? Bez kłamstwa to, powiedzmy, trzy.

I rzeczywiście po paru minutach dotarli do plebanii. Świeczka paliła się w komnacie wikarego.

- Jeszcze czeka - szepnęła Małgorzata.

- Pięknie! Jak pięknie! - rzekł Klemens i przystanął, żeby popatrzeć na dom.

- Co takiego, na Boga!

- Ta świeczka jaśniejąca przez okno wśród nocy. Popatrz, czy nie jest jak gwiazda cudownej wielkości - raduje oczy i rozgrzewa serca tych, co na zewnątrz.

- Pójdź, a pokażę ci coś lepszego - powiedziała Małgorzata - i powiodła go na palcach ku oknu.

Zajrzeli do środka. Katarzyna modliła się na klęczniku, przed nią leżała książka do nabożeństwa.

- Ludzie umieją się modlić i poza jaskinią - szepnęła Małgorzata. - Tak, tak, i pacierze ich sięgają nieba. Ona bowiem prosi, by Bóg pozwolił jej ujrzeć cię, i oto jesteś przy niej. Przygotuj się, Gerardzie, to już nie ta sama niewiasta, którą znałeś. Troski dzieci wielce przygnębiły tę wesołą, lekkomyślną duszę. I nawet teraz, jak widzę, płacze. Musiała zwątpić w ciebie, gdyż jest tak późno.

- Pójdę do niej - rzekł spieszenie Klemens, drżąc na całym ciele.

- Tymi drzwiami. Ja tu poczekam.

Gdy Gerard ruszył ku drzwiom, Małgorzata obawiając się skutków zbyt nagłej niespodzianki, zastukała ostro do okna i zawołała: „Matko”, tak głośno i tak znacząco, że Katarzyna zrozumiała natychmiast. Złożyła ręce, na pół wstała z klęczek, gdy wtem drzwi rozwarły się i Klemens gwałtownie rzucił się na kolana u jej kolan. Klęczeli opleceni ramionami. Krzyknęła: „Kochanie moje, kochanie”, tak jak tylko matka potrafi, i szlochała, objąwszy go za szyję. Rzeczywiście nie widziała w nim pustelnika, księdza ni mnicha, lecz utraczone, oplakane dziecko w swych ramionach. Po chwili weszła Małgorzata z mokrymi od lez oczami i policzkami. Osiągnęła już błogi spokój, który stopniowo koi uczucia boleśnie zranione. Usiedli we troje, trzymając się za ręce, pogrążeni w cichej, słodkiej i pełnej, miłości rozmowie; ten siedzący pośrodku radował się czułym uczuciem i pokorną, lecz szczerą mądrością po prawej i lewej stronie. Nakłoniły go do zjedzenia dobrego, pożywnego posiłku, a o brzasku ułożyły do łóżka zasłanego śnieżną pościelą. A potem obudził się jak z ohydneho snu, już nie zakonnik i eremita, nie Klemens, lecz Gerard Eliassoen, proboszcz w Goudzie.

Rozdział XCVIII

Małgorzata odeszła do Rotterdamu dużo wcześniej, nim Gerard się obudził, lecz zostawiła chwilowo synka na plebanii. Posłała zaraz wierną, dzielną Reicht do Goudy z szarym płaszczem i pilśniowym kapeluszem o szerokim rondzie dla wikarego oraz z drobiazgowymi instrukcjami, jak ma pokierować nowym panem.

Potem poszła do Joriana Ketela; powiedziała sobie: jest najdyskretniejszym ze znanych mi ludzi, a więc takim jakiego potrzebuję. W porozumieniu z nim dokonała dwu niezwykle chytrych posunięć; moim zdaniem nie były one jadowite, chociaż Małgorzata tak je właśnie oceniała. Jeżeli mnie zapytacie, jakie były te nie nazwane czyny, odpowiem, że skoro ona, będąc „jeno niewiastą”, nie zdradziła swej tajemnicy aż do śmierci, to i ja, będąc mężczyzną - *verbum non amplius addam*.

Trzymała się z dala od probostwa w Goudzie.

W gorącej dyskusji nie zwraca się nieraz uwagi na niektóre słowa czy argumenty. Małgorzata później dopiero, gdy rozważała wszystko, co zaszło, poczuła się obrażona na Gerarda. „Jak mógł pomyśleć, że mogę kiedykolwiek zapomnieć o tym, że mój dawny kochanek jest obecnie księdzem. Za kogo mnie uważa!” - powiedziała sobie. Opanowała ją ogromna nieśmiałość, której istotnie nie czuła nigdy, będąc czystym i niewinnym stworzeniem. Duma i skromność podszeptowały jej: „Nie chodź na plebanie w Goudzie”.

Zostawiła tam małego Gerarda, aby umocnić zwycięstwo, które w swym macierzyńskim sercu przypisywała dziecku, nie zaś własnej elokwencji i przenikliwości. Chciała teraz, by malec związał ojca na zawsze, z ludźmi.

Ale ten szlachetny pomysł taktyczny dużo kosztował jej czułe serce. Nigdy jeszcze ani na godzinę nie rozstawała się z chłopcem, opanował ją „dziwny smutek i opuszczenie podczas nieobecności dziecka. Po pierwszym dniu nie mogła już znieść rozstania. I co miało biedactwo zrobić? Zakradła się w ciemności do plebanii w Goudzie i czyhała jak złodziej wokół zabudowań, aż ujrzała Reicht Heynes samą w kuchni. Zapukała delikatnie do okna i rzekła: - Reicht, zmiłuj się, przynieś mi go potajemnie.

Myśli jej zaabsorbował malec do tego stopnia, że przestała używać imienia.

Reicht rychło znalazła okazję do wyjścia z małym Gerardem i teraz nastąpiła scena wzajemnej radości, a potem łez, gdy matka i chłopiec znowu się rozstawali.

Umówiły się, że Reicht każdego dnia o umówionej godzinie przyprowadzi dziecko w pół drogi do Rotterdamu, a Małgorzata będzie ich tam oczekiwała. W czasie tych spotkań zaczynało się od radosnych chwil, matka i dziecko baraszkowali oboje, jak młoda kotka z pierwotnym małym, potem chłopiec bawił się sam u jej nóg, a dwie niewiasty korzystały z okazji, by porozmawiać poważnie o Łukaszu Petersonie. Zaczęło się tak:

- Reicht - powiedziała Małgorzata. - Właściwie tak, jakbym mu przyrzekła wydać się za Łukasza Petersona - „powiedz jeno słowo - takem powiedziała - a wyjdę za niego za mąż”.

- Biedny Łukasz!

- O proszę, a dlaczego biedny Łukasz?

- Żeby go tak trzymać między tak i nie.

- Czekaj no, Reicht, czy ty czasem nie czujesz sympatii do tego chłopca, że tak trzymasz jego stronę?

- Ja? - spytała Reicht, potrząsając głową.

- Bardzo przepraszam. Słuchaj przeto, możesz mi oddać przysługę?

- Sza! ciszej! Nasz kochaneczek słucha każdego słowa, tylko mu oczy błyszczą.

Głowy kobiet schroniły się pod czepeczek.

Dwie niewiasty spiskujące przeciw chłopcu? Och, wy zmije tchórzliwe!

Te wykradane spotkania trwały już pięć dni, Małgorzata czuła, że to nie w porządku, była podrażniona i nieszcześliwa.

Siedziała płacząc nad tym w domu, gdy bryczka zajechała przed drzwiami, a w niej czysty jak nowy pieniążek, z krótko przystrzyżoną brodą, w białym jak śnieg kołnierzyku, z

leciutkim rumieńcem na bladej twarzy, siedział wikary z Goudy, odziany w przysłany przez nią szary surdut. i szeroki pilśniowy kapelusz.

Pobiegła zaraz na górę, zmyła wszelkie ślady łez z twarzy, nałożyła czepeczek, który jako świeżo wyjęty z komody teoretycznie miał być czystszy niż ten, który miała na głowie, i zeszła na dół do gościa.

Chwycił obie jej dłonie i ucałował. Poczwała na rękach jego łzy. Odwróciła głowę, by ukryć własne, nabiegające jej do oczu.

- Małgorzato, miła moja - zawołał. - Dlaczego tak? Czemu trzymasz się z dala od własnego dobrego uczynku? Czekaliśmy i czekamy każdego dnia, a Małgorzaty jak nie ma, tak nie ma!

- Powiedziałeś pewne rzeczy...

- Ach! Byłem wtedy pustelnikiem i osłem.

- Niemniej jednak wypowiedziałeś je. I nie miałeś racji.

- Zapomnij o wszystkim, com tam mówił. Kto słucha majaceń szaleńca? Albowiem widzę teraz, że jeszcze za parę miesięcy stałbym się bełkoczącym idiotą. Żaden śmiertelnik jednakże nie potrafił mi niczego wytłumaczyć, jeno ty jedyna. Byłaś samą mądrością i dobrocią. Tu nie miejsce na wszystkie podziękowania i błogosławieństwa, którym ci winien. Pragnę to zrobić w domu, któryś mi darowała, między owieczkami, których pasterzem mnie uczyniłaś. Już teraz kocham ich czule, tam zatem muszę podziękować przyjacielowi, od którego nikt nie miał wierniejszego. Powtarzam teraz te same słowa, którymi ongi zwróciłaś się do mnie: przyjdź na plebanię w Goudzie.

- Hm! zastanowię się.

- Małgorzato, czy sądzisz, że zatrzymałbym tak długo najmilsze dziecko, gdybym każdego dnia nie oczekiwał, że do niego wrócisz? Jest drogi memu sercu, ale jakie moje prawa do niego w porównaniu z twoimi? Przyznaj się teraz, musiałaś źle o mnie myśleć z tego powodu.

- Nie, nie, nie, nic takiego. Ach, jesteś już znowu sobą, zawsze myślałaś o innych. Połowa mego umysłu skłania się do odwiedzenia plebanii w Goudzie po tym, co powiedziałaś.

- Pójdź więc za wołaniem owej połowy umysłu, która warta całej głowy innych ludzi.

- Dobrze, przyznaję więc, że mam ochotę, ale nie ma wielkiego pośpiechu - powiedziała chłodno (choć płonęła z niecierpliwości). - Opowiedz mi najpierw, jak się zgadzasz z parafianami.

- Ach, biedacy już zamieszkali w mym sercu.

- Tak też myślałam.

- Tyle jest poczciwych dusz między nimi, prości, szorstcy, porządni, ale ponad wszystko dobrzy.

- To właśnie twoja natura potrafi odnaleźć ziarnko dobra w korcu zła.

- Cicho, cicho! Wiesz, Małgorzato, dwóch spośród nich wadziło się przez cztery lata i gdy przyszli na plebanię, to każdy chciał skorzystać z mej nieświadomości. Ale dzięki Panu Bogu znalazłem do nich drogę, pogodziłem ich i sami się teraz śmieją ze swego szaleństwa.

- A czy jesteś już naprawdę ich wikarym? Odpowiedz mi, proszę.

- Prawdziwie. Czyż nie byłem u biskupa, nie złożyłem przysięgi, nie zadzwoniłem w dzwon kościelny, nie dotknąłem ołtarza, mszału i świętego kielicha w obecności opiekunów parafii? Powierzyli mi pieczęć parafialną, proszę, zobacz. Prawdziwy wikary zaprasza wiernego przyjaciela do parafii w Goudzie.

- Więc jestem spokojna. Opowiadaj mnóstwo rzeczy.

- A więc, najmilsza, ze wszystkich parafian najbliższym stał mi się nieszczęsny kaleka, którego mój i jego anioł stróż (znasz imię mego anioła, widzę to po odwróceniu głowy), sprowadził pod dach plebanii. Sybrandt i ja jesteśmy teraz braćmi, a nie byliśmy nimi nigdy przedtem. Ucieszyłoby cię, a i zasmuciło, gdybyś słyszała, jak ucałowaliśmy się i wybaczyli sobie wzajem. Nie przestaje cię wychwalać, pobożność jego jest tak doskonała, że powiada, iż szczęśliwszy jest teraz w swym kalectwie, niż niegdyś, gdy był zdrow i silny. Sam tak powiada. Z mego domu nie pójdzie gdzie indziej, jeno do nieba.

- Opowiedz mi coś o sobie, biedaku mój! Wszystko to dobre, ale dla mnie nie najważniejsze. Czy nie znam cię od bardzo dawna?

- Czekaj, pomyślę. Z początku raziło mnie słońko, nie mogłem wychodzić z domu (sowa!), ale to już przeszło. Ach, zacna Reicht Heynes - hm!

- Co takiego?

- Tylko do twej wiadomości, bo to brylant. Ale głos jej przeszywa mnie jak nóż, wszystkie zresztą głosy wydają mi się krzykliwe prócz twego, który jest taki łagodny i słodki. A teraz mam wiadomości dla ciebie: rozmawiałem wczoraj ze starym człowiekiem, który wmawia sobie, że jest opryskliwy, i stara się, aby inni go za takiego uważali, a tymczasem to człek zwyczajny i o najlepszym sercu ponadto.

- Widzę, że masz parafię aniołów - zauważyła z ironią Małgorzata.

- Czemu więc trzymasz się od niej z dala? - odciął się Gerard. - Słuchaj, opowiedział mi, że w całej Holandii diabeł nie ma takiej władzy jak w Goudzie. Wymienia mi różne przykłady, a między innymi powiada:

- Mieliliśmy tu pustelnika, najświętszego człowieka w Holandii, ale że to w naszej Goudzie, przyszedł po niego szatan w tym tygodniu właśnie i porwał go sakumpakum. Złamany grosz po nim nie został, jeno wielki kawał jego skóry, dla oczu świata jakby z jeża, i kawał starego wypolerowanego żelastwa.

Małgorzata uśmiechnęła się.

- Co jednak przedziwne, że jaskinia się zaiste zapadła, i gdybym był na tyle przewrotny, aby ci stawić opór, zasypałoby mnie na śmierć w tym samym miejscu, gdzie się pogrzebał za życia. Widzę w tym wszystkim, palec Opatrzności, która potępiła mój dawny sposób życia, a pochwała nowy. Co ty na to?

- Nic. Czyż mogłabym przeniknąć takie tajemnice? Jestem jeno niewiastą.

- Zda mi się, że czymś więcej. To opowiadanie dowodzi, żeś mym aniołem stróżem, a wszystko inne to potwierdza. Przyjdź zatem na plebanię w Goudzie.

- Dobrze, wracaj do domu, a ja nadejdę.

- Nie, siadaj ze mną do bryczki.

- O nie.

- Dlaczego?

- Czy ja mam mówić, czemu i dlaczego, niewiastą będąc? Wszystko co wiem, to tylko to, że tak czuję - i życzę sobie przyjść sama.

- Niech i tak będzie. Zostawiam bryczkę, skoroś, jak powiadasz, niewiastą, a ja pójdę pieszo, będąc znowu mężczyzną, i zaniosę radosną wieść o twym przybyciu.

Gdy Małgorzata przyjechała na plebanię, pierwsze co ujrzała tam - to dwóch Gerardów razem: syn igrał w ogródku, a ojciec, siedząc na krześle, w wielkim kapeluszu na głowie, trzymając papier i ołówek, z niezmierną cierpliwością próbował szkicować małego.

Po serdecznym powitaniu pokazał swe próby.

- Nie mogę go uchwycić. To żywe srebro - powiedział: - Zwróć uwagę na te ciągłe przemiany, zawsze pełne wdzięku. Jest tak giętki i swobodny, popatrz, jak łagodnie przechodzi od jednej pozy do drugiej. Biedni iluminatorzy - dodał - gdy patrzę na ciebie, maleńki, widzę, jakie niezgrabne, koślawe, niezdarne żaby malowaliśmy na mszałach, nazywając je serafinami i cherubinami.

- Zrozpaczony na koniec odrzucił papier z rysunkami, a Małgorzato ukryła go dyskretnie na łonie.

Wieczorem, gdy kręgiem usiedli przy podsycanym torfem ogniu na kominku, Gerard zwrócił ich uwagę na to, jak pięknie przy blasku od kominka lśnią świeczniki i inne metalowe przedmioty. Katarzyna ucieszyła się, oczy jej zabłyśły.

- I prześcieradła, na których leżę - powiedział. - Często sumienie mnie niepokoi. Myślę: kimże jestem, żebym spoczywał tu na tej śnieżnej pajęczynie? Nikt ze śmiertelnych nie jest rozpieszczany tak jak ja. Pomyśleć tylko, że są na świecie ludzie, którzy korzystają z podobnie pięknych rzeczy, jakie ja mam, i przecie nie są zadowoleni. Niech spróbują posiedzieć sześć miesięcy w celi pustelnika, nie widząc twarzy człowieka, zaraz zrozumieją, jak uroczy i przyjemny jest ten podły świat, i pojmą także, że mężczyźni i niewiasty są najwspanialszymi stworzeniami Boga. Małgorzata zawsze była piękna, ale nigdy nie wydawała się moim oczom tak olśniewająca jak teraz.

Małgorzata z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

- Moja matka zawsze była dobra i zacna, ale nigdy nie dostrzegalem w niej takiej nadzwyczajnej przystojności co dziś.

- Nic podobnego - rzekła Katarzyna - dziesięć lat temu mogłam ujść w tłoku, ale nie teraz.

Gerard orzekł, że każdy wiek ma swoje piękno.

- Przypatrz się tym łagodnym szarym oczom - powiedział: - Patrzyła z macierzyńską miłością na taką gromadę dzieci, każde z tych uczuć pozostawiło leciutki cień, a ten cień wytrzymuje próbę czasu. Patrz na delikatne wargi, śnieżnobiałe zęby. Patrz na czoło pięknie sklepione, którego wdzięk zmienia się już w dostojność. Jesteś piękna w moich oczach, matko droga.

- To mi wystarcza, kochanie. Czas już iść do łóżka, dziecko. Masz jutro kazanie z samego rana.

Reicht Heynes i Katarzyna wymieniły spojrzenie, które mówiło:

- Musimy we dwie opiekować się tym miłym maniakiem, dla którego wszystko jest piękne na świecie.

Następnego dnia wypadła niedziela, więc usłyszały jego pierwsze kazanie we własnym kościele. Tłum wypełnił świątynię, ludzie przyszli z ciekawości, lecz pozostali do końca z pobożności. Nigdy potężniej nie objawił się jego wspaniały talent, kaznodzieja sam był głęboko wzruszony pierwszym spotkaniem ze swymi parafianami, serce rwało mu się do stadka, które tak długo zaniedbywał. W jednym kazaniu, które trwało dwie godziny, a wydawało się nie trwać nawet dwudziestu minut, wyłożył całe Pismo Święte. Przeraził zatwardziały i bezmyślnych, umocnił chwiejnych, pocieszył opuszczonych i uciśnionych, podniósł na duchu ubogich, a gdy skończył - tłum stał, porwany uniesieniem, nie mogąc uwierzyć, że ustała boska muzyka jego głosu.

Czy muszę dodawać, że dwie biedne niewiasty w kącie siedziały oszołomione i zapłakane.

. - Po kim on to wziął? - szepnęła Katarzyna podnosząc fartuch do oczu. - Bo Matka Boska świadkiem, że nie po mnie.

Gdy znalazły się same, Małgorzata zarzuciła ramiona na szyję Katarzynie i ucałowała ją.

- Matko, matko, nie jestem całkiem szczęśliwą, ale za to dumną niewiastą.

I na klęczkach złożyła ślubowanie, że nie pozwoli, aby słowem lub czynem miłość jej stała między młodym świętym a Niebem.

Czy stałeś kiedy, czytelniku, po burzy nad brzegiem morza, gdy wiatr nagle ucichł? Fale nie mogą ustać, zda się, słyszymy nawet, że jeszcze gwałtowniej niż przedtem, kiedy młócił wiatr, smagają jęczący brzeg. Wiemy jednak, że nadszedł nieunikniony spokój i teraz morze faluje, układając się do snu.

Tak też ułożyło się życie wiernych i burzami miotanych kochanków od owej pamiętnej nocy, gdy w świetle gwiazd, podawszy sobie dłonie, przeszli z pustelni do plebanii w Goudzie.

Od czasu do czasu spiętrzy się jeszcze ciężka, hucząca fala; ale to będzie już tylko echo burzy, która szarpała ich losem. Sztorm minął, a spienione wody od tej chwili z wolna, łagodnie, lecz nieodwracalnie zaczynają opadać.

Obraz ten winien zastąpić mnóstwo nie kończących się szczegółów, które byłyby męczące i nudne. Najbardziej zasługuje na uwagę obecnie sytuacja ogólna, dziwne komplikacje uczuciowe, które się z nią wiążą. Historia, choć odważniej układa swe romanse od wielu pisarzy, niewiele zna tak dziwnych sytuacji jak następne lata życia Gerarda i Małgorzaty. Złączeni byli trwającym uczuciem, dawną

Nie odnosi się to oczywiście jedynie do zarysu tej opowieści. Wielu biskupów i księży, a nawet niektórzy papieże, mieli żony i dzieci jako ludzie świeccy. Składając śluby, rozstawali się z żonami, nie zaś z dziećmi. W naszym przypadku pozostało jednak obustronne żywe uczucie, bliskie sąsiedztwo oraz fakt, że mężczyznę doprowadziła do złożenia ślubów kapłańskich fałszywa wiadomość o śmierci niewiasty. Gdy rozważam te wszystkie zasadnicze cechy, muszę z najgłębszym przekonaniem stwierdzić, że sytuacja była jedyna w swoim rodzaju (przyp. aut.). poufałością, małżeństwem nieformalnym, lecz legalnym, rozdzieleni przez Kościół święty i własne sumienie, które bez zastrzeżeń przyjmowało decyzję Kościoła; rozdzieleni przez Kościół, ale złączem żywymi więzami afektu całkowicie w swoim czasie uprawnionego.

Żyli tylko parę mil od siebie, ona nazywała „matką” jego matkę. Przez kilka lat przyprowadzała chłopca co niedziela do Goudy, wracając do domu o zmroku. Kiedykolwiek się tam zjawiała, była to zawsze fête na plebanii w Goudzie, przyjmowano ją jak małą królową. Katarzyna prawie zawsze bawiła tam wraz z nią w te dni, a Eliasz bardzo często. Tergou tak mało ich przyciągało w porównaniu z Rotterdamem, że porzucili je wreszcie i osiedli w stolicy.

I tak płynęły lata; bez znamienitych wydarzeń, pozbawione wielkich nadziei i wolne od wielkich obaw, a rok tak był do roku podobny, że bez pomocy kalendarza nie potrafiłbym ukazać upływu czasu.

Na początku następnego, 1471 roku, księżna Burgundii z jawną dezaprobatą, choć przy cichej pomocy diuka, postawiła armię pod broń, aby dopomóc swemu zdetronizowanemu bratu Edwardowi IV angielskiemu podbić to księstwo. Stary nasz przyjaciel Dionizy zaciągnął się i przechodząc przed zaokrętowaniem przez Rotterdam usłyszał po drodze, że Gerard został księdzem, a Małgorzata jest samotna. Oświadczył wobec tego, że choć małżeństwo nie należy do jego zwyczajów, to skoro kamrat nie może dotrzymać słowa, on czuje się zobowiązany dotrzymać go za niego, „honor kamrata bowiem jest nam tak drogi jak własny”.

Zdziwiona spojrzała na niego z uśmiechem:

- Wolę raczej pozostać kompaneczką - odparła. - Przy bliższej znajomości moglibyśmy nie zgadzać się tak dobrze.

Jako kompaneczką wyekwipowała go na drogę, ofiarowując nowy miecz antwerpskiej roboty i dwie garście srebra.

- Nie daję ci złota - powiedziała - bo wydaje się je równie szybko jak srebro, a dojść do niego trudniej. Niech cię Pan Bóg zdrowo wyprowadzi ze wszystkich niebezpieczeństw; są tam bowiem kobiety sławne z urody, które mogą omamić pięknymi buziami; a mężczyźni zarąbać cię toporami.

Spieszył na wybrzeże w La Vere i nie zobaczył tym razem Gerarda.

W roku 1473 Sybrandt zaczął niedomagać. Jedyne czułość brata i własna wewnętrzna pogoda łagodziły jego litość budzący stan, co tym godniejsze jest uwagi, jeśli przypomnimy poprzednie wydarzenia. Nie obeszło się bez tego, by Gerard codziennie nie poświęcił bram dwu godzin, czytał mu lub śpiewał, modlili się razem, woził go w wygodnym wózku, który on i Małgorzata wspólnie zrobili. Gdy nieszczęsny chory poczuł bliski kres, prosił, aby posiano po Małgorzatę; przybiegła natychmiast, a on niemal ostatkiem sił „błagał ją raz jeszcze o przebaczenie, które tak dawno już był otrzymał. Pozostała przy nim do ostatka.

Umarł pobłogosławiony i błogosławiąc żywym w ramionach dwojga wiernych kochanków, których rozdzielił na całe życie. Tantum religio scit suadere bonis.

W 1474 w domu Małgorzaty odbyło się wesele: Łukasz Peterson i Reicht Heynes wstąpili w związek małżeński.

Może wyda się to wam mniej dziwne, gdy podam treść dialogu przerwanoego przed niedawnym czasem.

Małgorzata mówiła: „Jeżeli więc tak, bardzo łatwo możesz sprawić, by cię lubił, i musisz to zrobić dla mnie, bo mam wyrzuty sumienia i muszę mu koniecznie znaleźć jak najlepszą żonę”.

Małgorzata poleciła Reicht, aby była zawsze miła, wesoła i dobra dla Łukasza, sama zaś postara się być ideałem dokuczliwości.

„Ale nie bądź zbyt prostoduszna i nie napadaj na mnie - rzekła - To moja sprawa. Raczej staraj się mnie bronić, a ja już sama przedstawię się w wystarczająco złym świetle”.

Reicht przyjęła te polecenia jak dyspozycje posprzątania izby i wypełniała je dokładnie.

Gdy więc przez parę lat poddały biednego Łukasza temu podwójnemu artyleryjskiemu ostrzałowi, zaczął patrzeć na Małgorzatę jak na gradową chmurę, a na Reicht jak na promyk słoneczny. Afekt odmienił mu się, sam nawet nie wiedział jak i kiedy.

W dniu wesela Reicht ucałowała Małgorzatę i dziękowała jej prawie ze łzami:

- Zawsze był mi miły - powiedziała - odkąd pierwszy raz na niego spojrzałam.

- Hejże, nigdy mi nic nie mówiłaś. Czyżbyś była równie nieszczerą jak inni?

- Nie, nie - odparła z przejęciem Reicht - nigdy nie myślałam, że zechcecie się z nim dla mnie rozstać. W moich stronach pani czeka, by ją obsłużono przed pokojowymi.

Małgorzata urządziła ich w swoim sklepie, odstępując połowy zysku.

1476 i 1477 były dla Gerarda latami ciężkich zmaganiań wewnętrznych. Sumienie zmusiło go do przeciwstawienia się papieżowi.

Jego Świętobliwość poparł franciszkanów w ich dążeniu do zatarcia wszelkiej widocznej różnicy między Najśw. Marią Panną a jej Synem. Dla swego kaprysu przekupił świat chrześcijański, obiecując odpust zupełny tym, którzy po Zdrowaś Mario dodadzą: „niech będzie błogosławiona Matka Twa Anna, z której bez zmyy grzechu pierworoonego powstało twe dziewicze ciało”.

Gerard zgodnie z większością duchowieństwa z Północy uznał to zdanie za oczywistą herezję. Nie tylko odmówił wygłoszenia go w swym kościele, ale ostrzegł parafian przed używaniem tego zwrotu w modlitwach prywatnych; odmówił również obchodzenia święta,

które wymyślił papież w tym samym czasie - mianowicie: „niepokalanego poczęcia Marii Panny”.

Stanowisko to spowodowało zacieklą wrogość franciszkanów wobec niego, a ci byli na tyle silni, że ściągnęli nań sporo poważnych kłopotów i drobnych przykrości.

Radził się w tych trudnych sprawach Małgorzaty, ona odpowiadała w dwojaki sposób; albo: „Nie widzę jasno drogi” i odmawiała zgadywania; albo też udzielała wskazówek świadczących o niezwyklej przenikliwości. On miał talent, ona zaś cudowne poczucie taktu.

Gdy zaś przemawiało uczucie i osłabiało sąd niewiasty, Gerard wspierał ją z kolei. Małgorzata na przykład, choć wiedziała, że sama nieco psuje małego Gerarda, zaś Katarzyna wywiera nań wpływ zgubny na całe życie, nie chciała rozstać się z synkiem i zatrzymywała go w domu, zaniedbując jego zdolności. A był już bystrym, dziewięcioletnim chłopcem, który zamiast wdrazać się do pracy i posłuszeństwa, uczył się tylko zabawy i samolubstwa, a z powodu bezgranicznego altruizmu ze strony matki i babki chłopak mocno tyranizował obie niewiasty, inteligentne i rozumne, ale całkowicie ogłupione miłością do malca. Gerard obserwował to z bólem i interweniował łagodnie, lecz stanowczo, a wreszcie zwyciężył po wyraźnej walce i wysłał Gerarda do najlepszej szkoły w Europie, którą prowadził niejaki Haaghe w Deventer; było to w roku 1477. Wiele poleło się łez, ale wspaniałe postępy chłopca w sławnej szkole ułagodziły nieco Małgorzatę, a wierność Reicht Heynes, obecnie jej współniczki w handlu, umożliwiła jej częste wyjazdy do Deventer. Spędzała tam całe tygodnie, czuwając nad swym chłopcem.

Tak płynęły lata; i oto dwoje ludzi, poddanych silnej i stałej pokusie (jak można sobie doskonale wyobrazić), było dla siebie wzajemnie aniołami stróżami, nie zaś kusicielami.

Trzeba pamiętać, że łatwiejsza moralność następnego stulecia, która uczyła, że uroczyste ślubowanie Bogu otyłe jest święte, o ile rozsądne, nie znana była jeszcze nikomu. Jedyłą alternatywą dla naszych dwojga bohaterów było wyrzeczenie albo świętokradztwo.

Było to osobliwe, że rozmawiali z sobą o synku z bezgraniczną czułością, dzieliła ich jednak przez cały czas bariera z lodu. Czyż to nie dziwne?

Minęło już osiem lat i Gerard w porównaniu z przeciętnym losem innych ludzi był szczęśliwy.

Małgorzata nie.

Słodkie zamyślenie malowało się zwykle na jej twarzy; czasami bywała jednak skłonna do irytacji i nieco opryskliwa. Nawet dla Gerarda była oschła od czasu do czasu. Gdy przychodziła go odwiedzić i spotykała na plebanii zakonnik, odwracała się na pięcie i uciekała do domu.

Nienawidziła mnichów, którzy rozdzielili ją z Gerardem, i przepoiła chłopca pogardą dla nich, która przetrwała w nim aż do śmierci.

Gerard okazywał jej anielską cierpliwość. Znał złote serce Małgorzaty i wierzył, że minie ta aura niedobrej niechęci.

On sam, będąc właściwym człowiekiem na właściwym miejscu, kochając swych parafian i przez nich kochany, zajęty od rana do nocy zacynymi pracami, odzyskał wrodzoną pogodę usposobienia.

Mówiąc prawdę, jego żartobliwość była częściowo pretekstem. Jedną zwaśnionych ludzi jak nikt na świecie poza „panem Zgodą” ze znanej komedii. Pogodził w ciągu dziesięciu lat więcej skłóconych niż jego poprzednicy przez trzy stulecia. Jednym z najbardziej wypróbowanych sposobów było doprowadzenie kłótników do wysmiania przyczyny sporu. Tak oto osłabiał demona niezgody. Niezależnie jednak od wszystkiego rzeczywiście lubił niewinne żarty. Cudownie również umiał oswajać zwierzęta: wiewiórki, zające, sarny itp. Pewnego razu któryś z jego parafian, posiadający muła podejrzanego o to, że został opętany przez diabła, podarował półzartem zwierzę proboszczowi, mówiąc:

- Jeżeli potraficie, spróbujcie oswoić tego łajdaka.

Po sześciu miesiącach, Bóg wie jakim sposobem, nie tylko oswoił Kubę, ale zdobył tak wielkie jego przywiązanie, że muł przybiegał jak pies na gwizdnięcie swego pana.

Pewnego dnia, schroniwszy się przed ulewą na progu karczmy, Gerard usłyszał, że jakiś obcy pijak chwali się, iż potrafi więcej pociągnąć jednym haustem niż którykolwiek z mieszkańców Goudy. Gerard wszedł do środka i rzekł:

- Cóż to, chłopaki, żaden z was nie przyjmie wyzwania do boju o honor Goudy? Będą ludzie opowiadali, że oto w innej parafii znalazł się większy od nas głupiec? O nie, to ja wasz proboszcz trzymam zakład. Zaraz znajdę parafianina, który na raz więcej łyknie od ciebie! Zakład stanął. Gerard gwizdnął, Kuba przyczłapał - był bowiem nauczony najspokojniej wchodzić do pokoju - i trącił nosem dłoń swego opiekuna.

- Dwa wiadra! - krzyknął Gerard - zaraz zobaczymy, który z tych dwóch oślich synów pociągnie więcej jednym haustem!

Przy innej okazji dwóch włościan sprzeczało się, który z nich ma lepsze siano. Gdy nie udało im się przekonać jeden drugiego, rzekli:

- Zapytamy proboszcza - stał się on bowiem w tym czasie autorytetem we wszystkich ziemskich sprawach.

- To świetnie, żeście o mnie pomyśleli! - rzekł Gerard. - Mam tu przy sobie kogoś, kto jest najlepszym znawcą siana w całej Holandii. Przyniescie każdy po dobrej garści.

Kiedy przyszli, zaprosił ich do saloniku i położył obie wiązki na krześle. Potem gwizdnął i do pokoju wszedł Kuba.

- Boże, zmiłuj się! - rzekł jeden z gospodarzy.

- Kuba - powiedział proboszcz nawiązując swobodnie rozmowę - powiedz nam, które siano uważasz za lepsze.

Kuba obwąchał obie wiązki i zaraz dokonał wyboru, dowodząc swej szczerości dobrym apetytem - zjadł bowiem wszystko co do ostatniego źdźbła. Rolnicy klepali się po udach i skrobali w głowy.

- Że to sami nie pomyśleliśmy o czymś podobnym! I każdy przysłał wiązkę Kubie.

Gerarda nazywano w parafii wesołym proboszczem z Goudy. Małgorzata przyjęła to niechętnie i z żalem, ponieważ, jak to bywa u większości kochających niewiast, nie więcej od turkaweczki miała poczucia humoru. „Jakżeż - mówiła do siebie - nie czuje już w głębi serca żadnej bolesnej rany i jak wesołek potrafi wędrować przez życie?” Mogła zrozumieć pobożną rezygnację, uważała jednak, że wesołość nie przystoi rozdzielonym kochankom. W tym nastroju (a niewiasty silniej od mężczyzn im podlegają) dostała się pod wpływ strasznej Wścibskiej Wiercipięty. Katarzyna widziała, że Małgorzata nie jest szczęśliwa, więc rzekła:

- Straciłaś swego chłopaka. Na twoim miejscu nie siedziałabym sama przez całe życie.

- On jest bardziej ode mnie samotny - westchnęła Małgorzata.

- Mężczyzna - to mężczyzna, a kobieta - co innego. Nie wolno ci stale myśleć tylko o nim, a nie o sobie. Bliższa koszula ciała niż sukmana. Poza tym on jest księdzem, i niczym nie może sobie pomóc. A ty nie jesteś księdzem. On ma swoją parafię i dobrze mu z tym. Jeno się zastanów! Czas ucieka, nie przegap okazji. Czyż nie chciałabyś mieć wokół siebie trojga lub czworga kochanych maleństw teraz, gdy ci zrabowali biednego małego Gerarda i posłali go do tej paskudnej szkoły?

Bez przerwy namawiała i nakłaniała i tak już rozdrażnioną niewiastę.

Małgorzata miała kilku adoratorów, którzy czekali tylko na słowo lub spojrzenie, aby ją poślubić, wśród nich dwóch znaczniejszych kupców o nazwiskach van Schelt i Oostwagen.

- Wybierz jednego z nich - radziła Katarzyna.

- Zapytam Gerarda o zdanie - rzekła pewnego dnia z płaczem. - Nie mogę już dłużej żyć w ten sposób.

- Chyba nie będziesz taka głupia, żeby jego o to pytać?

- Czy sądzicie, że mogłabym postąpić tak niegodziwie i wyjść za mąż bez jego zgody?

Poszła więc do Gerarda do Goudy i spuściwszy głowę, czerwieniąc się, płacząc i mówiąc, jak bardzo jest nieszczęśliwa, zawiadomiła go, że matka radzi jej poślubić jednego z

tych dwu starających; jeżeli więc Gerard godzi się w zasadzie na jej małżeństwo, prosi, aby użył swego rozeznania i powiedział, który z dwu konkurentów byłby jego zdaniem lepszy dla małego Gerarda, ona sama bowiem o własny los nie dba wcale.

Gerardowi zdało się, że Małgorzata swą miękką dłonią wrywa mu serce z piersi. Ale ksiądz dużym wysiłkiem zapanował nad mężczyzną. Ledwie słyszalnym głosem odmówił wzięcia na siebie tej odpowiedzialności.

- Nie jestem świętym ani prorokiem - powiedział. - Mógłbym ci źle doradzić. Sam dam ci ślub - głos mu się załamał - to mój przywilej. Nikt inny tak by się za ciebie nie pomodlił jak ja. Musisz jednak sama wybrać i obym cię ujrzał szczęśliwą. Ostatnie cztery miesiące czułem, że jesteś nieszczęśliwa.

- Człowiek niezadowolony duchem nie może być szczęśliwy - odparła Małgorzata.

Odeszła, a on padł na kolana i modlił się o pomoc Niebios. Małgorzata wróciła do domu blada i podniecona.

- Matko - rzekła - nie wspominajcie mi o tym więcej, bo się pokłócimy.

- Zabronił ci? Mógłby się wstydzić, to wszystko!

- Zabronił? Nie poniżył się do tego stopnia. Był taki szlachetny jak ja nędzna. Nie wybrałby, obawiając się, że doradzi mi złego małżonka. Ale chce sam dać ślub mnie i panu młodemu. Powiada, że to jego przywilej. O matko, jak mogłam się zachować niczym stworzenie bez serca!

- Nawet nie myślałam, że będzie miał tyle rozumu.

- Bierzecie pod uwagę słowa tego biedaka, ale dla mnie to nieważne, mówiła do mnie jego twarz! Widziałam na tej drogiej twarzy walkę duchową między księdzem i wiernym kochankiem. Ściągnięte bólem były blade policzki, i och! jak drżały jego biedne wargi, gdy wymawiał te dzielne słowa - oh, oh, oh, oh, oh!

Małgorzata wybuchła gwałtownym płaczem. Katarzyna jęknęła.

- Ano, daj sobie spokój, jak tak - rzekła. - Jesteście przykuci do siebie na całe życie; jeżeli Bóg będzie łaskaw, nie potrwa to długo. Co to za życie - ani dziewczyna, ani żona, ani wdowa.

- Dać pokój? - spytała Małgorzata. - Dawno postanowione. Myślę tylko teraz, jak go pocieszyć. Sama byłam nieszczęśliwa, a teraz i jego unieszczęśliwiłam. Zły potwór ze mnie.

Następnego dnia poszły obie do Goudy. Gerard, który cały czas modlił się o łaskę rezygnacji, przyjął Małgorzatę z wyjątkową czułością, jak skarb, który miał utracić; Małgorzata była podniecona i pragnęła dać mu bez słów do zrozumienia, że nigdy nie wyjdzie za mąż. Krążyła wokół niego jak pies, który prosi o wybaczenie. Odchodząc szepnęła:

- Wybacz i zapomnij o tym. Jestem jeno niewiastą. Nie zrozumiał i rzekł:

- Jedyne, czego pragnę, to ujrzeć cię zadowoloną, nie dręcz się, na litość boską, nie chcę widzieć cię tak nieszczęśliwą jak w tej chwili.

- To się już więcej nie zdarzy, kochany - powiedziała zalana. łzami i pocałowała go w rękę.

Tego również wpieryw nie zrozumiał; gdy mijał jednak miesiąc za miesiącem i nie słyszał więcej o małżeństwie, a Małgorzata przychodziła do Goudy stosunkowo pogodna i okazywała uprzejmość nawet ojcu Ambrożemu - łagodnemu, dobrodusznemu mnichowi z niedalekiego dominikańskiego klasztoru - zrozumiał. Pewnego dnia zaprosił ją na spacer do „świętego ogródka”. Zanim opowiem, o czym we dwoje rozmawiali, muszę wam przedstawić historię tego miejsca.

Czwartego czy piątego dnia swego pobytu na plebanii Gerard wyglądał przez okno i nagle krzyknął radośnie:

- Matko, Małgorzato, tu jest jeden z moich ptaszków, jeszcze jeden, i tamten, i tamten! cztery, sześć, dziewięć. Cud! To cud!

- Jak możesz odróżnić swoje ptaki od innych? spytała

Katarzyna.

- Znam każde piórko ich skrzydełek. O popatrz, tu jest mój pupilek, któremu pozłociłem dzióbek, coś takiego!

Nagle uniesienie minęło, spowaźniał. ujrzał aprobatę Niebios w zachowaniu ptaków, jak niegdyś w fakcie zapadnięcia się jaskini.

To zdarzenie przedziwnie utrzymało w nim miłość do zwierząt; ogroził poletko i wypędził stamtąd wszystkich synów Kaina pod groźbą ekskomuniki. „Na tym kawałeczku ziemi nie będzie morderstwa” - powiedział.

Oswoił młode zajączki i kuropatwy, ptaszki, zające i sarny. Znalazł wiewiórkę ze złamaną nóżką. Złożył złamanie z niezwykłą cierpliwością i wysiłkiem i w czasie kuracji ukazywał zwierzątku zapasy żołądździ, orzechów i kasztanów. Wiewiórka wyzdrowiała i odeszła, ale odwiedzała go w dni mroźne, sprowadziła towarzysza, a w następnym roku okazało się, że młode wiewióreczki przejęły sentymenty rodziców; u wszystkich tych zwierząt następne pokolenia były bardziej oswojone od poprzednich. Nasunęło to pewne wnioski dobremu proboszczowi, zrozumiał wielkie sukcesy, które średniowieczni eremici odnosili w oswojaniu zwierząt.

Miał przy sobie klucz od ogrodzenia i nigdy nie pozwalał tam wejść nikomu. Wstęp był wzbroniony nawet małemu Gerardowi bez opieki ojca lub matki.

- Wszystkie dzieci są małymi Kainami - mówił. W tej właśnie oazie rozmawiając z Małgorzatą rzekł:

- Droga Małgorzato, w ostatnich czasach więcej niż kiedykolwiek rozmyślałem o tobie i zastanawiałem się, czemu to ja jestem zadowolony, a ty nieszczęśliwa.

- Ponieważ jesteś lepszy, mądrzejszy, bardziej święty ode mnie i to wszystko - odpowiedziała bez namysłu Małgorzata.

- Dzieje nasze mówią co innego - odrzekł zamyślony Gerard. - Za dobrze znam twoją dobroć i rozum, aby to inaczej rozumieć. Sądzę również, że kocham cię tak serdecznie, jak ty, myślę, kochasz mnie. Jednak jestem szczęśliwszy od ciebie. Czemu tak jest?

- Drogi Gerardzie, jestem tak szczęśliwa, jak tylko szczęśliwą może być niewiasta po tej stronie mogiły.

- Nie tak szczęśliwa jak ja. Teraz przejdźmy do przyczyny. W pierwszym rzędzie jestem księdzem i tę ciężką próbę i rozczarowanie, które Pan Bóg zesłał na mnie wśród tych radości, dzielę z wieloma innymi. Cóż, niestety! Nie jestem jedynym księdzem, tysiące mnie podobnych musi na całe życie wyrzec się ziemskiej szczęśliwości. I tu los twój twardszy jest od mego.

- Ale, Gerardzie, mam dziecko, które kocham. Nie możesz tak przepęlić nim swego serca jak matka. Ten argument możesz postawić przeciw sobie.

- Zabrałem ci go; okrutna była to decyzja; ale przyszedłby dzień, w którym złamałby ci serce, gdybym tego nie uczynił. Teraz, miła moja, dochodzę do miejsca, w którym ten but uwiera, tak jak mnie się przynajmniej wydaje. Mam moją parafię i praca dla niej rozgrzewa od rana do nocy me serce. Przeżywam z moimi owieczkami wiele razy w ciągu dnia prawie wszystkie ich wzruszenia. Płacę często nad ich smutkami, czasem gniewam się trochę z powodu jakiejś przewrotności, czasem głupota pobudza mnie do śmiechu lub też płomień nieoczekiwanej dobroci sprawia mi tyle radości, że chciałbym ich przycisnąć do piersi. Tymczasem ty, biedactwo, siedzisz z sercem...

- Z ołowiu, Gerardzie, zaiste z ołowiu.

- Zobacz więc, jak przykry jest twój los w porównaniu z moim. Gdybyś tak spróbowała ogrzać się przy tym samym ogniu, który mnie rozgrzewa?

- Ach, gdybym mogła!

- Jeżeli tylko zechcesz. Pójdź między moich parafian. Zajmij się jałmużną, weź oszczędzone przeze mnie pieniądze i rozdaj je z dobrym słowem. Wysłuchaj żalów, ujrzysz, jakie pełne trosk jest ich życie, a prawdę mówiąc, nie ma człeka, który by przeszedł swą drogą po tej stronie grobu nie napotykając cierni. Mam na plebanii mapę parafii w Goudzie.

Nie chciałbym cię z początku przeciążać, powierzę ci na początek dwadzieścia domów wraz z mieszkańcami. Co o tym sądzisz? Gdyby nie twoja mądrość, szczyłbym jako brudny maniak, nigdy nie ujrzałbym plebanii w Goudzie ani nie zaznał pobożnego spokoju. Czy zechcesz skorzystać z ziarenka mądrości, którym chciałbym nieco złagodzić dolę tej, której wszystko zawdzięczam?

Małgorzata zgodziła się z radością, maleńką dzielnicę, którą jej przydzielono, spotkało takie szczęście, że ludzie sądzili, iż anioł do nich zstąpił. Jej palce, krojąc i dzieląc dla nich odzież, nie czuły znużenia, serce współczuło biedakom. I to serce radowało się, przestawiały boleć rany, a dobre, szlachetne uczynki użyczały mu swego ciepła. Częste obcowanie z Gerardem, z jego duchem było dla Małgorzaty jeszcze jedną nagrodą.

Przez cały ten czas złośliwe języki nie próżnowały.

- Jeżeli rzeczywiście nie łączy ich nic więcej, niż można wysledzić, czemu ona nie wychodzi za mąż?

Muszę ze smutkiem zauważyć, że nasza stara przyjaciółka Joanna Ketel należała do tych surowych sceptyków. Pewnego zimowego wieczora chwyciła ślad. Dojrzała Małgorzatę i Gerarda spacerujących przyjaźnie po bulwarze. Skoczyła za drzewo. „Teraz usłyszę coś” - rzekła. I tak się też stało.

Była zima. Po groźnej powodzi chwycił ostry mróz. Zrozpaczony Gerard szukał schronienia dla czterdziestu czy pięćdziesięciu bezdomnych ludzi, koczujących na przenikliwym zimnie bez dachu nad głową.

- Droga, droga Małgorzato - biadał - co robić? Plebania przepelniona powodzianami, a mróz będzie tej nocy tęgi.

Małgorzata zastanawiała się, Joanna podsłuchiwała.

- Musisz pomieścić ich w kościele - powiedziała spokojnie Małgorzata.

- W kościele? To profanacja.

- Nie, miłosierdzie nie może sprofanować niczego, nawet kościoła, i niczego, nawet kościoła, nie pokala. Dziś dopiero czwartek. Ratuj ludziom życie, bo ciężka noc nadchodzi. Przenieś swój piec do kościoła, niech tam zamieszkają. Do niedzieli, dnia Pana Naszego, pomieścimy ich gdzie się da.

- Nie pomyślałem o tym, niech ci Bóg błogosławi, miłą Małgorzato, umysł twój mocniejszy i szybszy od mego.

- Nie, nie, niewiasta widzi niewiele, dlatego jaśniej. Przyjdę zająć się nimi jutro.

I z tym rozstali się, wymieniwszy wzajemnie błogosławieństwa. Joanna pomknęła skruszona do domu, Od tego czasu gorliwie prostowała wszelkie krzywdzące ich domysły.

- Uważajcie - miała zwyczaj mówić - żeby wam jaki anioł nie poraził języka. Gerard i Małgorzata kochankami? Powiadam wam, że to dwoje świętych, którzy na sekretnych spotkaniach knują spiski miłosierdzia dla ubogich.

Latem 1481 roku Gerard postanowił zabezpieczyć się na przyszłość przeciw podobnym klęskom ponownie spadającym na jego biedaków. Nadwerżył wielce swe dochody i obdarł swych przyjaciół (taki jest zwyczaj wszystkich gorliwych proboszczów), aby zbudować wielkie schronisko dla powodzian i pogorzalców; Idzi i wszyscy jego przyjaciele okazali znaczną hojność, ale to wszystko nie wystarczało. Tymczasem, patrzcie tylko! Dominikanie z Goudy, dla których serce i dom Gerarda stały od lat otworem, zachowali się godnie i ofiarowali piękną sumę, aby pomóc miłosiernemu wikaremu.

- To ci dopiero poczcwiwcy - rzekła Małgorzata. - Kto by pomyślał!

- Każdy, kto ich zna - powiedział Gerard. - Któż jest bardziej miłosierny od mnichów?

- Prawdziwie! Oddają przecie świeckim wieprzka od własnej maciory parafian.

- A ja co innego robię? A co innego diuk?

Następnie ambitny wikary pragnął wybudować schronisko dla chorych uczciwych ludzi; budował je w pobliżu plebanii, aby zapewnić biedakom nie tylko mieszkania, ale opiekę i utrzymanie. Gdy wydał wszystko, co miał, poprosił Małgorzatę o parę tysięcy cegieł, zrzucił surdut i został budowniczym. A że miał zdolności i siłę Herkulesa, a zapal artysty, niebawem wyrosły wokół domy dla biednych, dzieło własnych rąk proboszcza.

W czasie pracy Małgorzata przynosiła mu niekiedy obiad, dodając zaczyn butelkę reńskiego. Patrząc, jak wbiega na deskę z taczka naładowaną ceglami, pod którą ugiąłby się niejeden murarz, powiedziała:

- Zmieniłeś się trochę od czasu, gdy musiałam za ciebie nosić małego Gerarda.

- O tak, kochanie, dzięki tobie.

Po ukończeniu pierwszego domu zaczęli zastanawiać się, kogo mają doń wprowadzić. Wiele było wahania, cackali się z nowym domkiem jak z nową zabawką. Stary przyjaciel przybył akurat na czas, aby dopomóc im w rozstrzygnięciu tej kwestii.

Gerard przechodząc pewnego dnia obok gospody w Rotterdamie, usłyszał znany głos. Zajrzał do środka i rozpoznał Dionizego z Burgundii, smutnie jednak odmienionego. Brodę przyprószyła siwizna, odzienie miał zniszczone i podarte. Nosił jeszcze pancerz i rycerskie rękawice, ale kostur zastąpił kuszę. Zebranej kompanii zdawało się, że żołnierz chęłpi się i przechwala, zaś w rzeczywistości opowiadał on prawdziwą historię inwazji Edwarda IV i jego dwutysięcznej armii na dobrze uzbrojone królestwo; o marszu przez kraj, którego wojska mogłyby nakryć przybyłych czapkami, o bitwach pod Tewkesburg i Barnet, o odzyskaniu

stolicy i królestwa w trzy miesiące po wylądowaniu w Humber garstki angielskich, holenderskich i burgundzkich żołnierzy.

Dionizy zabłysnął wśród tych największych, jakie widział ów wiek, czynów zbrojnych, toteż zzymając się na wojownicze pretensje Karola Śmiałego, księcia, który za grosz nie posiadał bojowych talentów, a ogłaszając króla angielskiego pierwszym wodzem stulecia, kusznik nie zapomniał o wysławianiu siebie.

Gerard słuchał, oczy mu lśniły sympatią i rozbawieniem.

- Teraz zaś - mówił Dionizy - gdy dokonał takich oto czynów, gdy dzielny, młody książę Gloucester poklepał mnie po plecach, a wielki wódz we własnej osobie uśmiechnął się do mnie, okulałem na całe życie. I od czego? Od końskiego kopyta! Tej nocy nie wiem nawet, gdzie złożę zmęczone kości. Miałem niegdyś kamrata w tych stronach, który nie pozwoliłby mi lec daleko od siebie. Ale poszedł na księdza i opuścił swą ukochaną, pewnie i o kompanie zapomniał. A dziesięć lat to długi czas, pustoszy nasze serca, rujnuje zdrowie i wszystko.

Biedny Dionizy westchnął, a Gerardowi serce wyrywało się do niego.

- Cóż to za słowa? - powiedział ze ściśniętym gardłem. - Któż pożałuje wieczerzy i łoża dzielnemu żołnierzowi? Chodź ze mną do mego domu!

- Bardzom zobowiązany, ale nie jestem wielbicielem księży.

- Ani ja żołnierzy; czyż warto spierać się uczciwym mężczyznom o łoże i wieczerzę?

- Niewiele to znaczy dla was, dla mnie więcej. Przyjdę.

- Za godzinę - rzekł Gerard i pobiegł bardzo ucieszony do Małgorzaty, opowiedział o czekającym przyjęciu i poprosił, aby wzięła w nim udział. Musi jego małym powozikiem zawieźć jak najszybciej matkę na plebanię i przygotować wysmienitą kolację.

Sam wypożyczył wóz i wioził Dionizego powolutku, aby kobiety miały dość czasu.

Po drodze Dionizy doszedł do wniosku, że ksiądz jest poczciwym człowiekiem, opowiedział mu więc o swych kłopotach i wyznał, że serce ma złamane.

- Wielcy panowie posługują się naszym męstwem, ramieniem i życiem, dopóki żołnierz nie zedrze się w służbie, po czym wyrzucają nas na śmietnik jak połamane narzędzie.

Westchnął głęboko, a Gerard musiał bardzo panować nad sobą, aby nie chwycić go w ramiona i nie powiedzieć prawdy. Chciał jednak, aby wszystko odbyło się jak w bajce. Kto z nas nie marzył o tym raz w życiu? Biblijny Józef zrealizował takie marzenie; tym lepiej dla nas.

Zajechali przed mały domek. Czysty, nowiutki; na kominku płonął ogień i czekała zastawiona wieczerza.

Dionizy spytał:

- Czy to wasz dom, przewielebny ojczu?
- Zbudowałem go własnymi rękami, ale do was należy.
- Nie jest aż tak dobrze - westchnął Dionizy.
- Ależ tak - krzyknął Gerard. - A co więcej - ja (w gardle szloch) - mówię - (szloch)

Courage, camarade, le diable est mort!

Dionizy drgnął zaskoczony.

- Jak to, skąd? - wybąkał - kimże jesteście, że witacie mnie wesołymi słowami wesołych dni młodości? - bardzo był poruszony.

- Mój biedny Dionizy, przecież to ja! Zmienioną mam twarz, ale ten sam co niegdyś. Pójdź w me ramiona, drogi, wierny towarzyszu!

Rozpostarł ręce i czekał ze łzami w oczach. Dionizy podszedł bliżej, przyglądał się badawczo jego twarzy, a gdy nabrał pewności, że rzeczywiście stoi przed Gerardem, wydał okrzyk tak głośny, że nadbiegły z domu niewiasty. Kuszniak rzucił się na szyję przyjacielowi, całował go wciąż na nowo, śmiał się i łkał z radości tak nieprzytomnie, że Gerard pożałował, iż zachciało mu się odgrywać całe to przedstawienie. Niewiasty jednak łagodnością uspokoiły dzielnego żołnierza; usiadł uśmiechnięty, trzymając za rękę Małgorzatę i Gerarda. Wieczorzali wspólnie; potem udali się na spoczynek, a serca ich rozgorzały. Znużony, złamany żołnierz znalazł spokój i dom własny pod opieką kompana.

Powróciła wrodzona mu wesołość, przypomniał sobie nie używane od ośmiu lat porzekadło, kuśtykał po miasteczku, wnosząc ożywienie, choć parafianie obrażali się śmiertelnie słysząc, jak nazywa ich ukochanego wikarego kamratem i tylko kamratem.

Gdy oburzali się z tego powodu i skarżyli się Gerardowi, wikary popatrzył im w oczy i rzekł:

- Jakże to ma znaczenie? Oduczcie go przekleństw, a będę wam szczerze wdzięczny.

Tego roku Małgorzata poszła do prawnika, aby sporządzić swą ostatnią wolę. Powiedziano jej, iż gdyby tego nie uczyniła, syn może mieć trudności w dziedziczeniu jako dziecko urodzone poza legalnym związkiem małżeńskim. Prawnik jednakże w rozmowie wyraził odmienną opinię.

- Głupi bełkot kleszy - powiedział. - Wasze małżeństwo jest doskonałe, mimo iż niewyczajne.

Pouczył ją, że w całej Europie z wyjątkiem południowej części Brytanii istnieją trzy rodzaje nieregularnych związków małżeńskich, z których najwyżej cenione są zaręczyny przy świadkach, czyli mianowicie jej przypadek.

- Związek taki, jeżeli nie nastąpił po nim stosunek małżeński, jest małżeństwem spełnionym w swej formie, nie spełnionym w swej istocie. Osoba zaręczona w ten sposób może nie dopuścić do żadnych innych zapowiedzi na wieki wieków. Małżeństwo takie zostaje unieważnione, jeżeli któryś z narzeczonych zawrze zwyczajny związek małżeński i da życie dzieciom w tym późniejszym związku. Zdecydowano tak ze względu na dobro potomstwa, ale podstawa prawna jest wątpliwa.

- W każdym razie, w waszym, pani, przypadku, urodzenie dziecka zamyka tę furtkę i małżeństwo wasze jest doskonale zarówno w swej formie, jak i istocie. Dlatego waszą rzeczą, pani, domagać się swych praw małżeńskich. Byłaby to najpiękniejsza rozprawa stulecia. Prawo po waszej stronie, Kościół po przeciwnej. Stare zwyczajowe prawa Batawii, które zmuszały kler do małżeństwa, wyszły z użycia, ale nigdy nie zostały formalnie odwołane.

Małgorzata spojrzała wstrząśnięta.

- Do czego zmierzacie, panie? Kogo mam pozwać przed sąd?

- Kto jest pozwany? Wikary z Goudy, czyż nie tak?

- To on, niestety, biedak! O co mam go pozywać?

- Aby wąż wziął do domu, pani, abyście dzielili z nim stół i łożo.

Małgorzata zapłonęła jaskrawym rumieńcem.

- Piękne dzięki wam za poradę - rzekła. - Czy przystoi niewieście zmuszać mężczyznę siłą? Zaloty są sprawą mężczyzny, nie naszą. Gdybym była tak marną niewiastą, za jaką mnie macie, uwiodłabym go, a nie wyprocesowała - wyszła purpurowa ze wstydu i oburzenia.

- Zupełnie niesłychana głupota - rzekł człek biegły w prawie. Małgorzata spisała testament gdzie indziej, chroniąc swego chłopca przed biedą, niezależnie od praw małżeńskich.

Takie były główne wypadki, które przez całe dziesięć lat wydarzyły się w życiu dwojga spokojnych ludzi. Poprzedni zaś, o wiele krótszy okres tak był obfity w przygody i wzruszenia. Cechowały ich życie obecnie spokój, pobożność, łagodne zadowolenie, które trwalsze jest od gwałtownych, łatwo gasnących płomieni szczęśliwości, a nade wszystko zaś - chrześcijańskie miłosierdzie.

Na tym uświęconym terenie spotkali się teraz wierni kochankowie, a zgodność i dobroć sentymentów złagodziła rany ich własnych serc. Litowali się nad ludźmi tak jak oni opuszczonymi, tropili wszelkie zło w pożyciu małżeńskim parafian w Goudzie; naradzali się we dwoje i obmyślali lekarstwa tam, gdzie jeszcze można było pomóc. Własne troski wyostrzyły ich spojrzenie w serca strapionych, starali się więc wykorzystując to doświadczenie uczynić szczęśliwszymi od siebie innych - to było ich codziennym zadaniem.

Przy tych błogosławionych zajęciach ochłódła trochę ich wzajemna namiętność, wzrosło zaś uczucie. Od czasu, gdy Małgorzata duszą i sercem przyłączyła się do pobożnej dobroczynności Gerarda, uczucie ich oczyściło się z wszelkich ziemskich naleciałości. I skoro teraz od dawna przebrnęło już przez atmosferę skandalu i niezrozumienia, można było sądzić, że tak jasny przykład samowyrzeczenia długo będzie świecił ludziom, aby im ukazać, jak wypływająca z religii wiara (nawet jeżeli nie zawsze rozsądna) oraz związana z religią dobroczynność (zawsze rozsądna) mogą przekształcić serca dwojga wiernych kochanków w miłujące serca niebiańskich aniołów.

Mały Gerard radował serca rodziców niezwykle postępiami w sławnej szkole Aleksandra Haaghe w Deventer.

Gdy Małgorzata wróciła któregoś dnia z odwiedzin u syna, pobiegła do Gerarda promieniejąca i dumna.

- Ach, Gerardzie, malec będzie kiedyś wielkim człowiekiem, dzięki twemu rozsądkowi, dzięki temu, żeś odebrał go niemądrym niewiastom. Wielki uczoney Zinthius odbył wizytację w szkole i nie potrafił niczym zaskoczyć naszego Gerarda, nie znalazł ani linijki u Horacego i Terencjusza, po której chłopiec nie wyrecytowałby dalszego ciągu. „To cud” - mówił wielki scholarz, a biedna matka stała właśnie obok i słyszała te słowa. Przytulił naszego Gerarda i ucałował go, i jak myślisz, co powiedział?

- Nie wiem.

- „Pewnego dnia usłyszysz o tobie Holandia, i nie tylko Holandia, lecz świat cały!”
Czemu chmurzysz czoło?

- Rad jestem tak samo jak ty, najmilsza; ale obawiam się słysząc o takiej przedwczesnej mądrości dziecka. Kocham go serdecznie, lecz dla ciebie on jest bożyszczem, a Niebo tak często nasze bożki druzgoce.

- Bądź spokojny - rzekła Małgorzata - Pan Bóg nigdy nie odbierze mi dziecka. Co miałam wycierpieć na tym świecie, to już wycierpiałam. Gdyby coś złego się stało memu dziecku czy tobie, nie żyłabym ani tygodnia dłużej. Pan Bóg wie o tym i zostawi mi mego chłopca.

Minął miesiąc od tej rozmowy, ale słowa Małgorzaty nie przestawały dźwięczeć w jego uszach. W czasie codziennego obchodu ubogich usłyszał przypadkiem jako plotkę, że dwaj marynarze z Hamburga przywlekli zarazę do Deventer.

Serce w nim zamarło. Wiadomości nieprędko przenosiły się w owych czasach z miejsca na miejsce. Fatalna zaraza musiała od dawna już pustoszyć Deventer, zanim nowina dotarła do Goudy. Zawiadomił przez umyślnego posłańca Małgorzatę, że pojechał przywieźć

małego Gerarda, aby przez jakiś czas pozostał na plebanii w Goudzie; chciałby, aby przygotowała łóżko, ponieważ nazajutrz będzie z powrotem w domu. Miał nadzieję, że nie dowie się ona o niebezpieczeństwie, zanim nie będzie szczęśliwie po wszystkim. Pożyczył dobrego konia i, nie zatrzymując się prawie, późnym popołudniem dotarł do Deventer. Poszedł prosto do szkoły. Chłopca już tam nie było.

Gdy wyszedł ze szkoły, zauważył twarz Małgorzaty, w oknie sąsiedniego domu, w którym zatrzymywała się w czasie pobytu w Deventer.

Wbiegł szybko do mieszkania, aby zganić ją i zabrać wraz z chłopcem z zagrożonego miejsca.

Zdziwił się bardzo, gdy służąca z pewnym wahaniem powiedziała, że Małgorzata była tu, ale wyszła.

- Wyszła? - rzekł z oburzeniem. - Niewiasto, czy nie wstyd wam mówić mi takie rzeczy? Przecie widziałem ją teraz w oknie.

- Jeżeliście widzieli... Usłyszał słodki głos z góry:

- Nie zatrzymuj go, niech wejdzie. Była to Małgorzata.

Gerard wbiegł szybko po schodach i wyciągnął do niej rękę.

Cofnęła się w pośpiechu.

Spojrzał zdziwiony.

- Bardzo ci nierada - rzekła chłodno. - Co tu robisz? Czy nie wiesz, że w mieście zaraza?

- Tak, Małgorzato droga, przyjechałem właśnie, żeby zabrać naszego chłopca.

- Czy Gerard nie ma matki?

- Jak do mnie mówisz? Miałem nadzieję, że nie wiesz.

- Sądzisz, że zostawiam tu chłopca bez opieki? Płacę zaufanej niewieście, która donosi mi o każdej zmianie u niego. Jestem jego matką.

- Gdzież on jest?

- Mam nadzieję, że w tej chwili już w Rotterdamie.

- Chwała Bogu! A czemu ty tutaj jesteś?

- Nie jestem gotowa do podróży, nie zaprzataj sobie mną głowy. Jedź natychmiast do domu, wyruszę wnet po tobie. Wielka szkoda, żeś tu przyjechał, ryzykując życie.

- Nie jest tak cenne jak twoje - rzekł Gerard - ale mniejsza o to, jedziemy do domu, i to zaraz.

- Nie, mam jeszcze parę spraw w mieście do załatwienia. Jedź od razu, ja rychło cię dogonię.

- Zostawić cię samą w mieście dotkniętym zarazą? Do kogo mówisz, Małgorzato droga!

- Jedź, bo się posprzeczamy, Gerardzie.

- Ciekawym, jak by wyglądała kłótnia Małgorzaty i Gerarda. Do kłótni trzeba dwojga, a my jesteśmy jednym!

Gerard uśmiechnął się do niej czule, ale nie otrzymał miłego spojrzenia w odpowiedzi. Wyglądała na zmieszaną, spoglądała zimno i ponuro. Westchnął, usiadł cierpliwie naprzeciw niej skłopotany i smutny. Milczał, ponieważ czuł z całą pewnością, że wyjaśni mu swe kapryśne zachowanie lub też sytuacja sama stanie się zrozumiała.

Nagle niewiasta wstała pospiesznie i usiłowała dojść do alkowy, ale zachwiała się i wyciągnęła rękę przed siebie. Podbiegł do niej z okrzykiem niepokoju. Opadła mu w ramiona. Położył ją ostrożnie na podłodze, rozcierał zimne dłonie, pobiegł do alkowy, przyniósł wody i spryskał jej bladą twarz. Sam pobladł nie mniej od niej, ponieważ w miednicy zobaczył krew i przeraził się, nie wiedząc, dlaczego. Długo wracała do przytomności, a ocknąwszy się ujrzała Gerarda, który trzymał jej dłonie w swoich i pochylał twarz nad nią z bezgraniczną troską i czułością. Z początku zdało się, że odwzajemnia te uczucia, lecz nagle otworzyła oczy szeroko i krzyknęła:

- Podły, puść moją rękę, jak śmiesz jej dotykać?

- Ratujcie, Niebioso! - rzekł Gerard. - Ona jest nieprzytomna.

- Nie zostawisz mnie, Gerardzie? - powiedziała słabym głosem. - Niestety! po cóż pytam? Czy ja bym cię zostawiła, gdybyś był... Nie dotykaj mnie chociaż. Pozwolę ci wtedy zostać i zobaczyć ostatnie chwile biednej Małgorzaty. Nigdy nie odzywała się do ciebie szorstko, najdroższy, i już nie zrobi tego nigdy więcej.

- Biada mi! Co znaczą te słowa niejasne oraz to błędne i pomieszane wejrzenie? - zapytał Gerard, załamując ręce.

- Biedny mój Gerardzie - powiedziała Małgorzata. - Wybacz, że tak mówiłam do ciebie. Jestem jeno niewiastą, chciałam oszczędzić ci widoku, który wyciśnie łzy.

Wybuchła płaczem.

- Ach czemuż nie mogę oszczędzić ej tej troski - wołała z płaczem. - Wielki smutek czeka mego ukochanego i tym razem nie będę mogła osuszyć ci oczu!

- Niech przychodzi, miła Małgorzato, oby tylko ciebie ominął - powiedział z drżeniem w głosie.

- Najdroższy - rzekła z powagą Małgorzata - wezwij teraz religię, aby pomogła tobie i mnie. Muszę pewnego dnia umrzeć przed tobą, bo jeżelibym cię przeżyła, umarłabym z żalu.

- Umrzeć? Ty masz umrzeć? Nigdy nie pozwolę ci umrzeć. Co cię boli? Co dręczy?

- Zaraza - powiedziała spokojnie.

Gerard wydał okrzyk grozy, zerwał się na równe nogi. Odczytała jego myśli.

- Nic nie pomoże - powiedziała. - Miałam krwotok z nosa, nikt nie przeżył, kogo to spotkało w czasie moru. Nie ściągaj tu durniów, aby bełkotali nad ciałem, którego nie mogą ocalić. Jestem jeno niewiastą, nie znoszę, jak mi się przyglądają. Nie pozwól nikomu prócz siebie oglądać mojej śmierci.

Kiedy to mówiła, chwyciły ją konwulsje, była jeszcze przytomna, ale długi czas nie mogła mówić ani słowa.

Teraz dopiero Gerard zaczął sobie zdawać sprawę z okrutnej prawdy. Biegał błędnie wokół izby, błagał Niebiosa o pomoc, tak jak tonący ludzie wzywają pomocy bliźnich. Małgorzata podniosła się na łokciu nieco i zaczęła go uspokajać.

Powiedziała, że zna tortury nadziei i lęku, dlatego chciała oszczędzić mu tej męki.

- Za długo myślałam o niebezpieczeństwie - powiedziała - i otworzyłam mu swój mózg - toteż gdy subtelna trucizna wtargnęła przez te drzwi - łatwe miała zadanie. Nie będę pokryta plamami ani odrażająca, mój kochany biedaku. Dobry Bóg oszczędzi ci tego, ale w ciągu dwunastu godzin umrę. Nie patrz tak, bądź mężczyzną, bądź księdzem! Nie trać ani jednej cennej minuty dla mego ciała, które jest skazane, lecz pociesz duszę, która odchodzi.

Gerard, bolejąc, że zlodowaciałym sercem ukląkł i poprosił Niebiosa o pomoc w spełnieniu powinności.

Gdy podniósł się z kolan, twarz jego była blada i postarzała, ale śmiertelnie spokojna i opanowana. Wszedł cicho do alkowy, przeniósł łóżko do izby, ułożył Małgorzatę, oparłszy jej głowę na poduszkach. Następnie odmawiał modlitwy za konających, a ona odpowiadała „amen” po każdym pacierzu. Potem przez parę godzin umysł jej błądził po bezdrożach, ale gdy okrutna zaraza była już całkiem pewna swej ofiary, niewiasta oprzytomniała i poprosiła Gerarda o spowiedź.

- Moje sumienie jest obciążone - rzekła ze smutkiem.

- Wyznaj mi grzechy, córko, niczego nie skrywaj.

- Ojciec mój - rzekła ze smutkiem - wielki grzech ciąży mi na sercu od wielu lat. Nawet teraz, gdy śmierć noszę w piersi, trudno mi go wyznać. Bóg jest miłosierny, jeśli będziesz się za mnie modlił, może mi przebaczy.

- Wyznaj go najpierw, córko.

- Niestety!

- Wyznaj!

- Oszukałam cię. Przed kilkoma laty oszukałam cię. Łzy przerwały jej słowa.

- Odwagi, córko moja, odwagi - powiedział serdecznie Gerard, zwyciężając kochanka w sercu księdza.

Ukryła twarz w dłoniach i wzdychając powiedziała mu, że to ona rozwalila jaskinię pustelnika z pomocą Joriana Ketela.

- Ja to, marna, zrobiłam, żeby ci przeszkodzić w powrocie tam, ale gdy dojrzałeś w tym palec Boży, powiedziałam sobie: skoro tak myśli, nigdy nie porzuci plebanii w Goudzie. I milczałam. O moje fałszywe serce!

- Odwagi, córko, przesadzasz w ocenie zwykłego błędu.

- To jeszcze nie wszystko. Ptaki.

- Proszę?

- Nie przyszły za tobą do Goudy cudem, jeno przez moją zdradę. Pomyślałam: nigdy nie będzie całkiem szczęśliwy bez swoich ptaków, które odwiedzały go w celi; a ja byłam o nie zazdrosna, płakałam i mówiłam, że te paskudne maleństwa są rywalami mego dziecka. Kupiłam chleb, nasypaliśmy z Jorianem okruszków na progu jaskini, potem rozsialiśmy je wzdłuż drogi do plebanii, na progu nakruszyliśmy cały stos. Udał mi się mój podstęp, przyszły, a tyś był rad, ja zaś zadowolona widząc twą uciechę. A skoro uznałeś moje kręctwo za palec Boży, ja podła, szachrajka, nie powiedziałam ani słowa. Ale umierać w tym kłamstwie nie mogę. Wybacz mi, jeżeli możesz. Byłam jeno niewiastą. Nie umiałam postąpić lepiej w owym czasie. W sercu miałam wyryte: „Dobrą jest rzeczą dla niego, aby pozostał na plebanii w Goudzie”.

- Wybaczyc ci, święta i niewinna! - załkał Gerard - cóż mam ci przebaczyć? Chciałaś wyprowadzić głupie, krnąbrne dziecko na najlepszą dlań drogę i uczyniłaś to. Dziękuję ci i błogosławię. Ale jako spowiednik muszę rzec, że każde oszustwo złe jest w oczach Boga. Dlatego słusznie postąpiłaś, wyznając je. Po spowiedzi i skrusze Kościół wybacza ci za moim pośrednictwem. Przejdź do poważniejszych błędów.

- Moje poważniejsze błędy? Niestety! Niestety! Cóż mogłam zrobić gorszego? Nie jestem złą niewiastą, nie bardzo złą. Jeżeli Pan Bóg może mi przebaczyć, żem cię oszukała, może przebaczyć wszystko inne, com kiedykolwiek uczyniła.

Pod łagodnym naciskiem księdza wyznała jednak, że powinna była zrobić więcej dobrego na świecie.

- Ledwie zaczęłam - rzekła - a muszę odejść. Nie buntuję się, skoro taka jest wola Niebios. Tak się jeno martwię, że będzie ci mnie brakowało. - Mimo wysiłku nie mogła powstrzymać łez.

Gerard jak mógł, walczył, aby się nie rozpląkać. Znając jej życie tak pobożne, czyste i pełne miłosierdzia i widząc, że w obecnym stanie nie potrafi uprzytomnić sobie żadnego grzechu poza tym, że go oszukała, udzielił jej całkowitej absencji. Włożył jej do rąk krucyfiks i gdy poświęcał oleje, polecił penitencie skoncentrować myśli nie na jej własnych zasługach i błędach, lecz na Tym, który umarł dla niej na drzewie krzyża.

Posłuchała z wejrzeniem pełnym miłości i pokory.

Dotknął jej powiek olejem świętym i modlił się głośno przy niej.

Zadrzemała po chwili.

Czuwał przy niej, sam bardziej umarły niż żywy.

O świcie ocknęła się jakby trochę silniejsza. Zażądała, aby poszukał w pudełku i przyniósł jej kontrakt ślubny i obrazek. Spełnił życzenie. Następnie, zaklinając na wszystko, co wycierpieli dla siebie wzajemnie, Małgorzata poprosiła go, aby złożył solenne przyrzeczenie, że wykona jej ostatnią wolę.

Ślubował, że to uczyni co do joty.

- A więc, Gerardzie. Nie pozwól nikomu tu wejść i wynieść mojego ciała. Nie mogłabym znieść myśli, że patrzą na mnie trup mój poczerwieniałby ze wstydu. Nie chcę stać się potworem, z którego robaki szydzą, pożerając. Nawet moje odzienie jest zarażone i musi pójść wraz ze mną do ziemi. Jestem córką lekarza; nie uchodzi mi zabijać ludzi po śmierci, zwłaszcza że tak niewiele dobrego zrobiłam dla nich będąc zdrowa; zamknij mnie tak, jak jestem, w ołowianej trumnie, zakop głęboko! Nie tak jednak głęboko, abyś miał nie odnaleźć miejsca. Złóż twoje kości obok moich.

Gdy żyłam, przychodziłam do Goudy jeno raz albo dwa razy w tygodniu. Dużo mnie kosztowało, że nie mogłam tam być co dzień, niech śmierć przyniesie mi tę korzyść, bym była zawsze w drogiej Goudzie - na zielonym cmentarzyku.

Powiadają też, że dusza unosi się nad miejscem, w którym spoczywa ciało. Chciałabym, aby moja dusza przebywała niedaleko ciebie, a cmentarz jest niedaleko plebanii. Tak się boję, żeby cię nie spotkało nic złego, gdy Małgorzaty nie stanie.

Teraz popatrz, własnymi rękami kładę mój kontrakt ślubny na łonie. Niech ręka żyjącego człowieka go nie poruszy, pod groźbą mojego i twojego przekleństwa. A kiedy anioł przyjdzie po mnie w dniu Sądu, powie: oto uczciwa niewiasta, ma swój ślubny dokument (bo wiesz o tym, Gerardzie, że wedle prawa jestem ci małżonką, choć Kościół święty stanął między nami), i umieści mnie między uczciwymi niewiastami. Nie chcę siedzieć ze złymi nawet w niebiosach. Nie mam nic z nimi wspólnego, ich myśli nie są moimi myślami ani ich

dusze do mojej nie są podobne. Stałam czasem, niewidoczna z ulicy, w oknie, słyszałam ich rozmowy.

Zamilkła, nie mogła mówić przez chwilę, ale skinieniem ręki dała mu znać, że jeszcze nie skończyła.

Odzyskała wreszcie oddech i poprosiła, aby spojrzeć na obrazek.

Był to portret, który wymalował jej w dniach, gdy oboje byli młodzi i nie myśleli, że tak szybko będą musieli się rozstać. Trzymał go w ręku, patrzył, prawie nie widząc. Pozostawił go w kawałkach, teraz znowu cały.

- Pocięli go na kawałki, zniszczyli, Gerardzie. Ale popatrz, miłość zadrwiła z ich noży. Powieś go tak, aby twoje oczy zawsze nań spoglądały, proszę cię o to zamierającym głosem.

Słyszałam, że plamy, które pokrywają ciało człowieka dotkniętego zarazą, jeśli nie ukażą się za życia, niechybnie oszpecą go po śmierci. Przeto nie mogę znieść myśli, że takie mogłoby być twoje o mnie wspomnienie. Miły mój, gdy uleci ze mnie ostatni oddech, przykryj tą chusteczką twarz i nie patrz na mnie aż do chwili, gdy spotkamy się znowu. Ten dzień zapewne nie jest bardzo odległy. Przynajmniej mi!

- Przynajmniej - wyrzekł Gerard, szlochając,

- Patrz zamiast tego na obrazek. Przebaczone mi, jestem jeno niewiastą. Nie mogę znieść myśli, że w twojej pamięci pozostanie oszpecona twarz. Chcę, żebyś wspominał mnie tak ładną, jaką naprawdę byłam. Nazwałś mnie raz czy dwa razy aniołem, ale bądź sprawiedliwy. Czyż nie odpowiadałam, że nie jestem aniołem, jeno biedną, prostą niewiastą, która, jeżeli widzi niekiedy jaśniej od ciebie, to dlatego, że na niewiele rzeczy spogląda; która kocha cię gorąco i nigdy nie kochała nikogo prócz ciebie; a teraz umierając proszę cię, byś by! wyrozumiał i spełnił to moje życzenie, ty, który jesteś mężczyzną.

- Tak uczynię. Każde twoje słowo, każde życzenie jest dla mnie święte.

- Niech ci Bóg błogosławi! Tedy oczy moje, teraz tak zmęczone zarazą, że cię prawie nie widzą, usta, które nie powinny cię dotknąć, aby cię nie zarazić, będą przy tobie jak wtedy, gdy byliśmy młodzi, kiedy mnie kochałeś.

- Kiedy cię kochałem? Małgorzato! Nigdy nie kochałem cię tak jak teraz!

- Od dawna mi tego nie rzekłeś!

- Niestety! Czyż miłość tylko słowami przemawia? Byłem księdzem odpowiedzialnym za twoją duszę; słodka i czysta miłość była dozwolona, miłosne słowa zaś co najmniej nieostrożne. Ale teraz wygraliśmy ową uczciwą walkę. Och, ukochana moja,

jeżeli za życia wątpiłaś w serce swego Gerarda, nie umieraj w tym mniemaniu; albowiem nie było nigdy na świecie kobiety kochanej tak czule jak ty przez ostatnie lat dziesięć.

- Uspokój się, najdroższy - wyszeptała umierająca z niebiańskim uśmiechem. - Wiem o tym, ale jestem jeno niewiastą, nie mogłabym umrzeć spokojnie, gdybym nie usłyszała tych słów. Tęskniłam dziesięć lat do tych słodkich wyrazów. Powiedziałeś - i oto przyszła najszcześniejsza godzina w moim życiu. Musiałam umrzeć, aby je usłyszeć; ale nie żałuję ceny.

Od tej chwili łagodne zadowolenie opromieniało jej gasnące rysy. Nie powiedziała już nic więcej.

Teraz Gerard, który przez tyle lat miłował jej duszę, przeraził się, że ukochana może skonać z umysłem zwróconym ku ziemskim jedynie uczuciom.

- Córkó moja - zawołał - droga moja córkó, jeżeli naprawdę mnie kochasz tak bardzo jak ja ciebie, nie pozwól teraz swej pobożnej duszy myśleć o doczesnych sprawach. Nie pozostawiaj mnie w lęku o twe zbawienie.

Owieczko z całego stada najdroższa, w opiece mej dusza twoja, nie myśl teraz o doczesnym miłowaniu, lecz o miłowaniu Tego, który umarł za ciebie na krzyżu. Skieruj ostatnie spojrzenie ku niebu, niech twe ostatnie słowo będzie słowem modlitwy.

Spojrzała na niego posłusznie i z wdzięcznością.

- Jaki święty?- szepnęła, co znaczyło na pewno: jakiego świętego wzywać jako orędownika.

- Ten, do którego modlą się sami święci. Jeszcze raz spojrzała na niego słodkimi, pokornymi oczami i jak dziecko złożyła śliczne ręce do pacierza.

- Jezu!

To święte słowo było jej słowem ostatnim. Leżała z oczami wzniesionymi ku niebu i złożonymi pobożnie rękami.

Gerard modlił się gorąco za odchodzącą duszę. Długo pogrążony był w modłach, odwróciwszy głowę, aby nie widzieć ostatniego oddechu. Nagle zrobiło się nienaturalnie cicho. Odwrócił zalekniony głowę. Stało się.

Odeszła.

Pozostała już tylko martwa powłoką najbardziej stałej, czystej i kochającej duszy, jaka kiedykolwiek była ozdobą tego świata.

Rozdział XCIX

Ksiądz jest w najczystszej postaci księdzem w komnacie śmierci. Gerard odprawił ostatnie nabożeństwo Kościoła dla tej, która odeszła, jak musiałby to uczynić dla

najskromniejszego ze swych parafian. Odmówił mechanicznie przepisane modlitwy i usiadł osłupiały pod wpływem tego nagłego, potwornego ciosu, nie zdając sobie jeszcze w pełni sprawy ze swej straty. W przystępie pobożnego uniesienia ukląkł i podziękował Niebu za chrześcijańską śmierć ukochanej.

Teraz jedynym jego pragnieniem było wywiezienie jej spośród obcych i pochowanie na własnym cmentarzu. Jeszcze tego samego wieczora kryty wóz zaprzężony w jednego konia wyruszył do Goudy. Wewnątrz była trumna; obejmując ją ramionami, oparłszy głowę na wieku, leżał zrozpaczony człowiek.

Niezbędne przygotowania wyczerpały zapas gorączkowej, krótkotrwałej energii żałobnika. Leżał teraz zdruzgotany, przyciskając twarz do zimnego ołowiu, pod którym spoczywało jej ciało.

Człowiek, od którego wynajął wóz, szedł przy koniu, nie mówił ani słowa, nawet poganiał szeptem, szanując tę niemą rozpacz. Gdy zatrzymał się na noc, próbował dobrodusznie wraz z oberżystą przekonać żałobnika, aby odpoczął i posilił się nieco. Ale Gerard odepchnął ich, gdy zaś nakłaniali go dalej, prawie zawarczał jak wierny pies i całą noc przeleżał na zimnym ołowiu. Zrzucili tedy na niego płaszcz i pozostawili w spokoju.

Okolo południa smutny pojazd zajechał pod plebanię. Przed domem tłumnie zebrali się parafianie ze swymi drobnymi troskami i kłopotami. Tęsknili już do proboszcza. Gdy zobaczyli, co się stało, na widok tak zgnębionego swego pasterza podnieśli głośny lament, który obudził Gerarda z letargu; zobaczył, gdzie się znajduje, popatrzał na twarze ludzkie, spróbował przemówić do nich:

- O dzieci moje, dzieci moje! - zawołał, ale rozpacz zdławiła jego słowa.

Nazajutrz wbrew wszystkim protestom sam ją pochował i odprawił egzekwie głosem drżącym jeszcze od czasu do czasu. Wiele łez upadło na ten grób. Po obrzędzie został skamieniały jak posąg, a ludzie z szacunkiem opuścili cmentarz.

Stał jak we śnie, dopiero grabarz, głupi, jak to często bywa, zaczął bez uprzedzenia zasypywać grób.

Dźwięk padającej na zmarłą ziemi dotarł do jego świadomości i Gerard krzyknął rozdzierająco.

Kościelny przerwał pracę.

Gerard się zachwiał i przycisnął ręką serce. Kościelny podtrzymał go i wezwał pomocy.

Jorian Ketel, który pozostał jeszcze na cmentarzu oplakując swą dobrodziejkę, podbiegł i we dwóch zanieśli Gerarda na plebanię.

- Ach, Jorianie, dobry człowieku! - powiedział. - Coś załamało się we mnie. Czuję i słyszę; tu, Jorianie, tutaj - i przyłożył rękę do piersi.

Rozdział C

Dwa tygodnie później blady, zgarbiony człowiek wszedł do klasztoru dominikanów na przedmieściu Goudy i poprosił o chwilę rozmowy z bratem Ambrożym, który w zastępstwie kierował klasztorem. Przeor zmarł niedawno, a następca, choć wyznaczony, nie zjawił się.

Chorym człowiekiem był Gerard, który przybył do klasztoru zakończyć życie tak, jak je rozpoczął. Miał przejść próby nowicjatu, ale w rzeczywistości był umierający i wiedział o tym. Chciał tam umrzeć w spokoju pod bokiem przyjaciela - dobrego, łagodnego brata Ambrożego i innych mnichów, dla których zawsze jego dom i serce stały otworem.

Nie mógł już znieść swej plebanii, z którą zbyt wiele wiązało się wspomnień o Małgorzacie.

Ambroży, który znał jego wartość i jego smutek, nie tracił żadnej nadziei, że uda mu się wyleczyć przyjaciela i przywrócić księdza parafii. Umieścił go w wygodnej celi nad furtaa, zabronił postów i innych umartwień.

Po kilku dniach przyjechał jednak nowy przeor, który okazał się okrutny jak Tatar. Przede wszystkim postanowił ukrócić nadużycia i wzmocnić ogólną dyscyplinę, a usłyszawszy pewnego dnia, że wikary z Goudy wstąpił jako nowicjusz do klasztoru, powiedział: „Dobrze. Niech zostawi probostwo albo niech się stąd zabiera. Nie potrzebuję w moim domu tłustych proboszczów”.

Posłał potem po Gerarda, który do niego przyszedł; gdy na siebie wzajemnie popatrzyli, obaj razem krzyknęli:

- Klemens!

- Hieronim!

Rozdział CI

Hieronim nie zmienił ponurego zawsze usposobienia, ale złagodził nieco swój stosunek do Gerarda. Przez cały czas pobytu w Anglii bardziej, niż mu się to wydawało możliwe, odczuwał brak towarzysza i często się zastanawiał, jak potoczyły się jego losy. To, co usłyszał w Goudzie, poprawiło jego opinię o słabym bracie; szczególnie podobał mu się opór przeciw papieżowi i franciszkanom w sprawie „piekielnej herezji Niepokalanego Poczęcia”, jak ją nazywał. Gdy jednak któryś z młodych mnichów powiedział mu ze łzami w oczach o przyczynie choroby Gerarda, dawna jego pogarda odżyła: „Umierać dla kobiety!”

Postanowił przeszkodzić temu skandalowi; dwa razy dziennie odwiedzał Klemensa w celi, próbował całego dawnego wpływu i całej elokwencji, aby wyrwać Klemensa z

niegodnego upadku ducha. Przekonywał, że nie wolno mu pozbawić Kościoła pobożności, a domu zakonnego daru swej wymowy w tak krytycznym okresie.

Gerard słuchał, przyznawał mu rację, podziwiał jego siłę, spowiadał się z własnej słabości i w dalszym ciągu wyraźnie marniał, dążąc do krainy wieczności. Pewnego dnia Hieronim rzekł, że opowiedziano mu jego historię i że wysłuchał jej z dumą.

- Ale teraz - dodał - psujesz wszystko, Klemensie, gdyż jest to triumf ziemskiej namiętności. Lepiej byłoby ustąpić i odpokutować, niż opierać się, gdy ta niewiasta żyła, a poddać się temu teraz ciałem i duszą.

- Drogi Hieronimie - odparł Klemens tak łagodnie, że sprzeciw zatracił nawet cień sprzeciwu - wydaje mi się, że jesteś wobec mnie nieco niesprawiedliwy. Nie ma tu namiętności, lecz głębokie uczucie, za które nie rumienię się tutaj, skoro nie będę rumienił się za nie w niebie. Pomyśl jeno, bracie, czy biedny pies, który zdycha z żalu na grobie swego pana, winien jest grzechu namiętności? Tak też ze mną. Namiętność ocaliłaby życie, a zgubiła duszę. Ona była mym dobrym aniołem. Pomagała mi w obowiązkach i miłosierdziu; jej twarz dodawała mi odwagi na ambonie, jej usta pocieszały, gdy spotykała mnie niewdzięczność. Związana była ze wszystkim, co było dobre w mym życiu; wspierała mnie tak długo, że nie potrafię sam wędrować. Drogi Hieronimie, uwierz mi, nie buntuję się przeciw wyrokom Nieba. Sam Pan Bóg chce mnie już uwolnić. Gdy rzucali ziemię na jej biedną trumnę, pękło coś w mej piersi, co nie da się już naprawić. Słyszałem i czułem. Od tego czasu, Hieronimie, jadło straciło smak w mych ustach. Mając teraz zawiązane oczy, nie mógłbym ci powiedzieć, czy jem chleb czy mięso.

- Święci pańscy!

- Ale z drugiej strony od tejże chwili opuściła mnie rozpacz, mogłem się znowu uśmiechać. Często uśmiecham się, ale czemu? Tak to zrozumiałem: Ten, w którego rękach są losy życia i śmierci, ofiarował mi w tej minucie wielkie wezwanie - pękła we mnie jakaś struna. życia. On jest miłosierny. Żyłbym nieszczęśliwy, ale On rzekł: nie. Dość się dokonało, dość wycierpiano: biedny, słaby mój sługo kochający, błędy twe wybaczone, smutki dobiegają kresu, pójdź, odpocznij. Idę, Panie, idę.

Hieronim jęknął.

- Kościół zawsze miał sługi święte, lecz słabe - rzekł. - Oddałbym dziesięć lat swego życia, aby ocalić twoje. Ale widzę, że to niemożliwe. Umieraj w spokoju.

I oto po paru dniach Gerard umierał w aureoli takiej świętobliwości i szczęścia, że niejednen leciwy święty towarzyszył tym ostatnim chwilom, aby zapamiętać jego ostatnie słowa. Wieczorem widział się z Idzim i prosił, aby nie pozwolił głodować biednemu Kubie,

dopilnował, aby prawni opiekunowie małego Gerarda godnie wypełniali swe obowiązki, ucałował rodziców i odesłał Dionizego do przyjaciół w Burgundii.

„Mógłby się tu biedaczysko bardzo źle czuć bez swego kamrata”. Potem rozmawiał w cztery oczy z ojcem Hieronimem. Bliżej nie wiadomo, co zaszło między nimi, ale zapewne coś ważnego, bo przeor wyszedł z rękami skrzyżowanymi na piersiach, nisko opuszczoną dumną głową i ciężko wzdychając.

Dwaj mnisi, którzy czuwali przy umierającym aż do jutrzni, opowiadali, że całą noc co pewien czas wydawał tylko pobożne westchnienia, wyrażające dziękczynienie i chwałę; raz stracił przytomność i sądził, że widzi Małgorzatę spacerującą po zielonych łąkach z innymi duchami w bieli, przywołującą go skinieniem ręki. Wszystkie owe duchy uśmiechały się i pozdrawiały go. Obydwaj mnisi opowiadali (ale może to imaginacja), że tuż przed brzaskiem coś trzy razy zapukało w ścianę. Słyszeli te powolne kolejne stuknięcia; usłyszał je też umierający i rzekł: „Idę, ukochana, idę”.

Jedno jest pewne, że Gerard wyrzekł te słowa, co uczyniwszy, zaczął przygotowywać się do odejścia. Posłał po wszystkich mnichów, którzy czuwali o tej porze. Zebrali się wokół łoża konającego jak dobre duchy opiekuńcze, nie szczędząc świętych słów. Jedni modlili się w milczeniu za niego leżąc krzyżem na ziemi, inni łagodnie podtrzymywali mu głowę. Gdy któryś z nich wspomniał o jego życiu pełnym wyrzeczeń i miłosierdzia, przerwał mu i zwracając się do wszystkich obecnych rzekł: „Bracia moi drodzy, zapamiętajcie, że ten, który dziś tak szczęśliwy umiera, nie uznaje nowomodnych doktryn o zasłudze człowieka. Jakaż to nieszczęsna byłaby dla mnie godzina, gdybym je przyjął! Nie, ja twierdzę wedle apostołów i ich uczniów, Ojców Kościoła, że „świadczy o nas nie mądrość lub pobożność czy też czyny dokonane w świętości serca, lecz wiara”¹.

Zapadło milczenie, mnisi spojrzeli po sobie znacząco.

- Proszę was, zamiećcie podłogę - rzekł umierający chrześcijanin głosem o nadnaturalnej wyrazistości i sile.

Posłuchali zaraz, nie bez pobożnego zdziwienia i zaciekawienia.

- Nasypcie popiołu drzewnego w znak wielkiego krzyża. Rozsypali na podłodze popiół w kształt wielkiego krzyża.

- Połóżcie mnie na tym, ponieważ tak umrę.

Zdjęli go delikatnie z łożka i złożyli na krzyżu z popiołu drzewnego.

- Czy mamy rozciągnąć ci ramiona, drogi bracie?.

- Broń Boże! Czyż jestem tego godny?

Leżał w milczeniu, oczy wzniosłszy w ekstazie ku niebu. Nagle przemówił na pół do siebie, na pół do nich.

- Ochrzekł w pokornym i silnym porywie. - Czuję, jak mnie to unosi. Unosi mnie, tak że płynę przez powietrze ku niebu.

Wstał dzień, ukazał jego twarz zwróconą ku górze w cichym upojeniu i złożone jak u Małgorzaty ręce.

I właśnie mniej więcej o tej godzinie, gdy ona umarła, wyrzekł swe ostatnie na tym świecie słowo: „Jezu!”

I z tym słowem na ustach zasnął.

Przygotowali go na wieczny spoczynek. Pod bielizną znaleźli włosiennicę.

- Ach - zawołali młodszy mnisi - oto święty!

Pod włosiennicą znaleźli długie, gęste pasmo włosów o kolorze kasztanów.

Przerazili się i zgorszyli, rozległ się gwar głosów potępienia i obrony.

Na to nadszedł Hieronim i słysząc spór, zwrócił się do młodego żarliwego mnicha imieniem Bazyli, który najgłośniejszy wykrzykiwał, że to skandal.

- Bazyli - zapytał - pukiel ten należy do żywej czy umarłej?

- Skąd mogę wiedzieć, ojcze.

- Jeżeli tak, to może to relikwie świętej?

- Tak być może... - odparł sceptycznie Bazyli.

- Złamałeś więc regułę naszą, która powiada: „nie tłumacz jako złego żadnego czynu brata, jeżeli czyn ten da się wytłumaczyć jako niewinny”. Kim jesteś, by ważyć się osądzać takiego jak ten człowieka? Do celi i nie wychodzić przez tydzień za pokutę.

Zabrał ze sobą pukiel włosów.

Kiedy zamykano trumnę, kazał opróżnić celę i położył pasmo włosów na łonie zmarłego.

- Masz, Klemensie - powiedział do twarzy umarłego, wyznaczył sobie pokutę i sam zamknął trumnę.

Następnego dnia pochowano Gerarda na cmentarzu w Goudzie. Mnisi procesją szli z klasztoru za trumną, Hieronim, widocznie spełniając wolę zmarłego, odprawił modły. Grób był głęboki, na dnie biała ołowiana trumna. Spuścili w dół trumnę z biednym (lekkim jak piórko, tak był wychudzony) Gerardem i złożyli ją obok trumny Małgorzaty.

Po ceremonii Hieronim powiedział parę słów do tłumu parafian, którzy przybyli, by ostatni raz popatrzeć na swego najlepszego przyjaciela. Gdy mówił o cnotach zmarłego, rozległy się głośne płacze i jęki, łzy jak deszcz padały na trumnę..

Mnisi wrócili do klasztoru. Hieronim zebrał ich w refektarzu i tak przemówił: „Złożyliśmy dziś do ziemi świętego. Klasztor odprawi trzydzieści mszy żałobnych za jego duszę, będziemy jednak świętować, a nie pościć, ponieważ nasz dobry brat wolny już jest od ciężaru ciała. Jego trud zakończony, odszedł na radosny spoczynek. Ja jeden będę pościł i pokutował, ponieważ, wyznaję ze wstydem, byłem dlań niesprawiedliwy i nie doceniałem go do chwili, w której było na to za późno. Wy zaś, młodzi zakonnicy, nie bądźcie ciekawi, nie pytajcie, czy pukiel włosów, które nosił na piersi, był pamiątką czystego afektu czy też świętą relikwią; pamiętajcie o sercu, które nosił w piersi; zapamiętajcie jego życie i słowa, naśladujcie je, jak umiecie, był to bowiem człowiek święty”.

Tak więc po żywocie pełnym zmiennych i burzliwych wrażeń wierni kochankowie spoczęli w spokoju. Grób, łaskawszy od Kościoła, połączył ich na wieki; teraz zaś człowiek innej epoki i innej narodowości, wzruszony ich losem, postanowił zbudować nagrobek i uchronić Gerarda i Małgorzatę od długotrwałego i niezasłużonego zapomnienia.

Prosi was o współczucie dla nich, ale nie o litość.

Nie. Zróbcie godziwy użytek z tej historii.

Powieść musi często zmyślać dzieje życia i śmierci. Tu zaś tak się zdarzyło, że skrepowana historią opowieść podaje wam prawdziwe fakty. Niech przepaść, która rozdzieliła wiernych kochanków, przygotuje was na to, że na tej ziemi zawsze się znajdzie taka lub inna przeszkoda na drodze do doskonałego szczęścia; z ich przedwczesnej śmierci wyciągnijcie naukę dla Rozumu i Wiary, niech wam będzie przykładem i ćwiczeniem. Jeżeli bowiem trudno wam znieść myśli, że oto zgaśli młodo ci, którzy - choćby doczekali stu lat - i tak nie żyliby dzisiaj, jakże zniesiecie widok odchodzących od was dobrych, czułych, kochających i wiernych do grobu, ulatujących z waszego domu do nieba?

A jednak każdego z was to czeka. W każdej epoce Pan życia i śmierci, który jest lepszy i mądrzejszy od nas, zabiera do nieba młode, najwdzięczniejsze kwiaty tej ziemi.

Proszę was o zrozumienie dla ich niezwyklej stałości i czystego afektu, o współczucie dla okrutnej separacji wskutek nikczemnej herezji w łonie Kościoła, ale nie o litość z powodu ich. wczesnego, lecz szczęśliwego zgonu.

Beati sum qui in Darnino moriuntur.

Rozdział CII

Stosując się do zwyczaju, którym gardzę, ale nie mam dość odwagi, by mu się oprzeć, pozostanę jeszcze chwilę na scenie, aby pozbierać okruchy wiadomości o ludziach, których postaci naszkicowałem tu czy ówdzie - oczywiście nie wszystkie - bowiem drugoplanowe

charaktery mnie nie interesują; spełniły swą rolę, jeżeli przekonały czytelnika, że Gerard wędrował z Holandii do Rzymu wśród ludzi, nie zaś przez krainy, które zamieszkują lalki.

Eliasz i Katarzyna doczekali późnej starości; żyli tak długo, że losy Gerarda i Małgorzaty zatarły się prawie w ich pamięci. Idzi także był długowieczny, przeszedł na dwór bawarski i żył tam jeszcze jako starzec dziewięćdziesięcioletni - garść skóry i kości - ale zawsze o potężnym głosie.

Korneliusz, pozbywszy się wszystkich rywali, uzyskawszy od dawna przebaczenie matki, która teraz, gdy rozproszyło się całe jej potomstwo, była przywiązana do niego coraz bardziej, czekał bez końca na zgon rodziców. Ale przenikliwe słowa Katarzyny okazały się szczerą prawdą; zanim śmierć zabrała ją i jej małżonka, ten zacny spadkobierca pierwszy wyniósł się ze świata. W sześćdziesiątym piątym roku życia umierał ze starości w ramionach matki, krzepkiej osiemdziesięciosześcioletniej staruszki. Był już jakiś czas nieprzytomny, ale przyszedł do siebie in articulo mortis i widząc matkę obok siebie powiedział, w jaki sposób ma zamiar przekształcić sklep i całą majątność, gdy obejmie je w spadku.

„Tak kochanie” - rzekła łagodnie biedna stara kobieta; za chwilę był już jeno prochem i proch ten do grobu odprowadzili ludzie, których zgonu wyczekiwał całe życie.

Dionizy zrozpaczony po śmierci swego kamrata chętnie wrócił do Burgundii i żył tam z niewielkiej, przyznanej mu przez dwór pensji, dopóki nieoczekiwanie nie odziedziczył poważnej sumy po krewniaku. Przez wiele lat słynął w rodzinnej miejscowości jako zręczny stary żołnierz, który potrafi, jeżeli chce, opowiadać wyśmienite historie wojenne i złośliwie wyszydza niewiasty.

Hieronim zniechęcony rozluźnieniem obyczajów wśród ludzi Północy usunął się do Italii i dzięki wysokim koneksjom przywdział w siedemdziesiątym roku życia mitrę. Jako opat wymagał surowej dyscypliny, jego mnisi szanowali go i nienawidzili. Rządził żelazną ręką przez lat dziesięć. Umarł pewnej nocy - sam; nie znalazł bowiem drogi do ani jednego serca. Wulgata leżała na poduszce, w rękę trzymał krucyfiks, na ustach ujrzeli coś w rodzaju uśmiechu, który nigdy nie pojawiał się na jego wargach za życia. Moim zdaniem nie był zatem całkiem sam w tej okropnej godzinie. Requiescat in pace. Pan, któremu służył, ma wiele sług o różnych umysłach. Często wierny sługa jest szorstki i gburowaty, jak to się dzieje i w domach zwykłych śmiertelników.

Złotowłosa chłopczyna Gerard Gerardson nie należy do fikcji, lecz do historii. Ona uwieczniła jego urodzenie innymi niż moje słowa. Zapisła nad domem krawca na Brede Kirk Straet:

Haec est pana domus natus qua magnus Erasmus, i napisała pół tuzina jego życiorysów. Ale pozostało jeszcze dla niej coś do zrobienia. Nie lepiej zrozumiała magnum Erasmum, niż karzeł pojmuje olbrzymia, a człek stronniczy - sędziego.

Nawybitniejszy uczony i duchowny epoki był również natchnionym przez Niebo dramaturgiem swego stulecia. Niektóre z najlepszych scen w tej oto nowej książce wyszły spod jego średniowiecznego pióra i upiększają stronice wszędzie, gdzie się pojawiły; słowa bowiem tak wielkiego geniusza zrodziły się, aby trwać wiecznie; po wypełnieniu zadań wobec ludzkości mogą wydać się uśpione, ale każdy świeży błysk zdumienia, jakim Czas obdarza tych, którzy historię badają, przynosi dowody ich nieśmiertelności: zmartwychwstają, wykwitają spod pyłu i kurzu wielkich bibliotek; pojawiają się pąki, kwiaty, owoce, nasiona wciąż żywe - z pokolenia na pokolenie, z wieku w wiek.

KONIEC